

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

The background of the cover is a photograph of a large ship, likely a naval vessel, at sea. The ship is viewed from a distance, and its reflection is visible in the water. Overlaid on the ship is a large, semi-transparent eagle emblem, which is the symbol of the United States Navy. The eagle has its wings spread and is holding a shield. The entire scene is set against a blue sky and sea.

MORZE OGNIA

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

TOM CLANCY

w Wydawnictwie Amber

BEZ SKRUPUŁÓW

CZAS PATRIOTÓW

CZERWONY KRÓLIK

CZERWONY SZTORM

DZIEL I ZDOBYWAJ

KARDYNAŁ Z KREMLA

MORZE OGNI

POLOWANIE NA „CZERWONY PAŹDZIERNIK”

STAN ZAGROŻENIA

TĘCZA SZEŚĆ

ZĘBY TYGRYSA

TOM CLANCY

OP-CENTER CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

MORZE OGNI

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika

Tekst Jeff Rovin

Przekład

Jacek Złotnicki

AMBER

Tytuł oryginału TOM CLANCY'S OP-CENTER: SEA OF FIRE

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK, ZBIGNIEW FONIOK

Korekta

JOLANTA KUCHARSKA, ANNAMATYSIAK

Ilustracja na okładce ARCHIWUM WYDAWNICTWA AMBER

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu <http://www.wydawnictwoamber.pl> Copyright 2003 by Jack Ryan Limited Partnership and S&R Literary, Inc.

All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2046-7

BRUNE MALEZJA

ROZDZIAŁ 1

Morze Celebes, Wtorek, 4.19

Były trzy rzeczy, na których śniady, ciemnooki Lee Tong znał się doskonale.

Pierwsza z nich to morze. Chudy, lecz muskularny Lee był synem nieżyjącego już Henry'ego Tonga, oficera pracującego na drewnowcu. Statek starego Tonga „Władca Oceanu”, stutonowy kontenerowiec, odbywał regularne rejsy z Singapuru do Indii, obładowany tarcicą. W drodze powrotnej woził bale tekowe, które docierały z Wybrzeża Kości Słoniowej do Bombaju. Ich miejscem przeznaczenia były Hongkong i Tokio. Matka Lee zmarła na zatrucie pokarmowe, kiedy chłopak miał pięć lat. Lee wolał podróżować z ojcem niż mieszkać u dziadków na farmie w Keluang. Kiedy skończył trzynaście lat, był już zatrudniony w pełnym wymiarze godzin jako chłopiec okrętowy do dyspozycji pierwszego oficera.

Zaprawiony w żeglowaniu Lee znał kapryśną naturę mórz. Orzeźwiający zapach Morza Andamańskiego wyraźnie różnił się od kwaśnej, oleistej woni wybrzeży Morza Południowochińskiego. Prądy na Morzu Wschodniochińskim powodowały ostrzejsze przechyły niż długa i wysoka fala Pacyfiku. Burze także nie były do siebie podobne. Czasem przychodziły zniecka, gwałtownie; innym razem ostrzegały z daleka, by sternicy na czas mogli zejść im z drogi. Podczas rejsów Lee dowiedział się też sporo o ludziach, o tym, co ich cieszyło, co ich złościło, i to tak bardzo, że gotowi byli zabić. Przekonał się, że dla niego samego liczyły się tylko pieniądze, łatwe kobiety, papierosy, alkohol i towarzystwo do wypitki.

Kiedy stary Tong umarł na marskość wątroby, Lee umiał jedynie pić i palić.

Ponieważ pracując na „Władcy Oceanu” czy na innym statku, niczego więcej nie mógł się nauczyć, postanowił zmienić zawód.

Kiedy miał szesnaście lat, z czego kilka ostatnich spędził na drewnowcu, spotkał

dwóch młodych marynarzy, którzy nie chcieli skończyć tak, jak ich ojcowie. Nie uśmiechała im się praca za trzy dolary dziennie przez siedem dni w tygodniu.

Pewnego razu w porcie przysiedli się do nich inni niezadowoleni młodzi ludzie, rozmaitych profesji. W ten sposób Lee zetknął się z drugą rzeczą, na której znał

się doskonale. Z piractwem.

Lee stał na wzniesionym ostro w górę dziobie sampana - popularnej chińskiej łodzi. Był to typowy model mieszkalny, jakich setki można spotkać w porcie w Szanghaju, zwany mu-chi albo kurzą łajbą. Zbudowano go z trwałego i bardzo lekkiego drewna drzew iglastych. Miał sześć metrów długości i cztery przedziały, w tym kambuz. Wyposażony był w silnik, uruchamiany, kiedy trzeba było zwiększyć prędkość, oraz cztery yulohs - prawie pięciometrowe wiosła - używane, gdy należało zachować ciszę. Właśnie za ich pomocą poruszał się w tej chwili piracki sampan. Czterej wspólnicy Lee siedzieli parami przy burtach. Łódź kupili w Chinach, jakieś dwa lata temu. Zapłacili gotówką, w większości pożyczoną od dziadków Lee. Dług został spłacony w ciągu roku. Kupno sampana było ostatnim legalnym przedsięwzięciem całej piątki.

Z początku uczyli się, jak wmieszać się w portowy ruch w poszukiwaniu ofiary, jak śledzić ją do zmroku i jak podejść do niej szybko i po cichu. Zdobywali umiejętność czatowania na szlakach żeglugowych od strony zachodzącego słońca, by nie być zauważonym. Koh Yu, były stróż prawa, dysponował wielokanałowym skanerem i szerokopasmowym odbiornikiem radiowym do nasłuchu częstotliwości używanych przez wojsko i policję. Ukradł je przed odejściem z pracy w wydziale operacji specjalnych singapurskiej policji. Po kilku próbach z różnymi typami jednostek pływających postanowili skupić się na jachtach i łodziach wynajmowanych przez wędkarzy. Zwykle łup był obfity, a opór ograniczał się do przekleństw, najczęściej po angielsku, więc Lee i tak ich nie rozumiał. Z całej bandy tylko beznamiętny Koh znał ten język, ale jego nie obchodziła żadna gadanina. Piraci nie odczuwali najmniejszych wyrzutów sumienia. Na łądzie silniejsi zawsze wykorzystywali słabszych, więksi mniejszych. Bo czyż rekiny nie zjadają tuńczyków? Lee Tong poznał ten układ z obu stron i doszedł do wniosku, że woli być rekinem.

Zaczęli więc napadać na małe łódki, statki wycieczkowe i jednostki wynajmowane na przyjęcia w pobliżu Hongkongu i Tajpei. Dokonywali rabunku, nie wchodząc nawet na pokład. Podpływali ukradkiem i przyklejali do kadłuba materiał

wybuchowy w postaci niewielkich grudek plastyku. Był to wyprodukowany sposobem chałupniczym piorunian rtęci -

połączenie azotanu rtęci, alkoholu i kwasu azotowego z dodatkiem parafiny i oleju lnianego dla nadania elastyczności. Jego wyrobem zajmował się Clark Shunga, były pirotechnik z branży drzewnej. Wysadzał kiedyś drzewa zbyt trudne do wycinki. Kiedy stracił przy pracy dwa palce, dostał wymówienie i marne odszkodowanie. Spółka drzewna Woo See obawiała się, że Clark jako kaleka nie może już wykonywać swojego fachu. Co prawda pokazał szefom, że potrafi nadal grać na gitarze, ale nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. Tak więc Clark zainwestował całą swoją odprawę - 50 dolarów - w kupno sampana.

Piraci ostrożnie umieszczali ładunki przy dziobie i rufie, kilkadziesiąt centymetrów ponad linią wody, aby nie zamokły. Gdyby ktoś z załogi chciał pozbyć się ich za pomocą kija lub drąga, miałby trudne zadanie. Musiałby stać na chybotliwym pokładzie pod ostrzałem piratów. Po rozmieszczeniu ładunków sampan odpływał na bezpieczną odległość. Piraci żądali przez megafon oddania kosztowności i biżuterii. Czasem życzyli sobie, by w małej łódce lub pontonie przeprawiła się na sampan zakładniczka. Przez pewien czas zabawiali się z kobietą, a potem wyrzucali ją za burtę. W razie niewykonania rozkazów byli gotowi włączyć laserowe celowniki swoich pistoletów M8 i posłać kule, które spowodowałyby eksplozję ładunku. Jak dotąd ani razu nie musieli uciekać się do

zniszczenia statku.

Morze Celebes wciąż było nowym miejscem działania dla Lee i jego kompanów. W tym rejonie zachodniego Pacyfiku rabowali dopiero od dwóch miesięcy. Przenieśli się tu, gdy marynarka wojenna Singapuru wzmocniła patrole na Morzu Południowochińskim. Celebes było inne, odmienne też były szlaki żeglugowe. Fale nie powodowały kołysania w górę i w dół ani z burty na burtę - jak na innych akwenach - lecz pchały sampan do tyłu, by za chwilę rzucić go w przód. Wzdłużne kołysanie wywoływał stały silny prąd powrotny. Pod wpływem tego zjawiska Lee przypominał sobie słowa ojca: życie pozwala ci zrobić krok naprzód, a potem spycha cię o dwa kroki w tył.

Sampan płynął w całkowitych ciemnościach. Oświetlenie kabiny było wyłączone, nawet fosforyzująca tarcza kompasu została nakryta brezentową płachtą, aby nikt nie dostrzegł poświaty. Piraci kierowali się na dwa punkty świetlne, oddalone o około ćwierć mili - rufowe i dziobowe światło pozycyjne jachtu.

Dwudziestopięciometrową dwumasztową jednostkę namierzili dzień wcześniej, kiedy podeszli do portu. Teraz śledzili ów zgrabny elegancki jacht płynący na południowy wschód. Sunął bez pośpiechu, na pokładzie było tylko kilka osób.

Przypuszczalnie wynajął go na cały tydzień jakiś tłusty Australijczyk lub Malezyjczyk za piętnaście lub dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. Bez wątpienia - wymarzona zdobycz. To była trzecia umiejętność, opanowana przez Lee do perfekcji: znajdowanie ofiary. Od tamtej gorącej pijackiej nocy, kiedy postanowili działać razem, Lee ani razu nie dokonał złego wyboru. Aż do dzisiaj.

ROZDZIAŁ 2

Waszyngton, Poniedziałek, 19.45

Nocny klub Inn Cognito mieścił się przy Democracy Boulevard numer 7101 w Bethesda. Paul Hood nigdy jeszcze nie był w tym nowym nocnym lokalu, ale prawnik Centrum Szybkiego Reagowania, Lowell Coffey, wystawił mu wręcz entuzjastyczną rekomendację. Obdarzony niezbyt wymagającym podniebieniem Hood wolałby coś mniej pretensjonalnego. Obeszłoby się bez tych monitorów z mrugającymi oczami i strzelającymi palcami. Ale nie był tu sam. Towarzyszyła mu Daphne Connors, czterdziestojednoletnia rozwódka, założycielka słynnej agencji reklamowej Daph-Con. Także jej lokal ten polecił Coffey, który był przyjacielem rodziny jej byłego męża, adwokata Gregory'ego Packinga.

Nazwa firmy Daphne była znana przedstawicielom waszyngtońskiego establishmentu, zwłaszcza wojskowym. Jasnowłosa Daphne przypadła do gustu także politykom. Miała wytworny styl bycia i temperament spikerki CNN. Prowadziła różne interesy z wojskiem oraz reprezentowała hotele i

restauracje. To właśnie dzięki temu nie mieli kłopotu z rezerwacją.

Daphne stanowiła przeciwieństwo Hooda, który jako dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania musiał odznaczać się spokojem i opanowaniem. Miała niski głos i była wulkanem energii. Przypominała mu nieżyjącą Marthę Mackall, przebojową ciemnoskórą pracownicę Centrum, specjalistkę od kontaktu z politykami. Martha była pewna siebie, wytworna i ciągle coś tropiła. Hood nie miał pojęcia, czego szukała, i nie był pewien, czy ona sama wiedziała, o co jej chodzi.

Może właśnie tego szukała Martha, pomyślał. Zrozumienia.

Niestety, w wieku czterdziestu dziewięciu lat zginęła z ręki terrorysty. Hood bardzo żałował, że nie zdołał poznać jej trochę bliżej. Poza tym, z czysto praktycznego punktu widzenia, warto by wiedzieć, jak można okiełznać kobietę o takim temperamencie. To przydaje się w prowadzeniu firmy.

Usiłował nadażyć za Daphne, która nadawała po kawaleryjsku, opowiadając, jak jeszcze w trakcie studiów założyła agencję i zarabiała na prowizjach od sprzedaży powierzchni reklamowych w uniwersyteckich gazetach. Potem firma urosła do rozmiarów międzynarodowego giganta i obecnie w samych tylko Stanach zatrudniała trzystu czterdziestu ludzi. W ciągu dziesięciu minut Daphne kilkadziesiąt razy użyła słów „z drogi” i „Jedź”. Hood przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak potoczyłyby się losy ich firm, gdyby zamienili się miejscami. Przypuszczalnie Daph-Con zostałby wystawiony na sprzedaż i zniknąłby w przepastnych trzewiach jakiegoś koncernu, a Centrum Szybkiego Reagowania wchłonęłoby NSA, CIA, a być może także Interpol.

A może sprawy potoczyłyby się inaczej, pomyślał z nadzieją. Był przecież kiedyś burmistrzem Los Angeles, pracował też na Wall Street. A osiem lat temu wrócił na rządową posadę. Zawsze fascynowały go różnice w sposobie zarządzania firmami z sektorów prywatnego i publicznego. Podobała mu się konieczność ciągłego poszukiwania kompromisu przy pracy w zespole. Potrzeba silnego akcentowania własnego "ja", którą kierowali się ludzie pokroju Daphne, była mu zupełnie obca, a nawet nieco odpychająca - nie dlatego, że nie pochwalał takiej postawy, lecz dlatego, że budziła w nim poczucie zagrożenia. Jego pierwsza żona, Sharon, była osobą introspektywną i potrafiła docenić życie w rodzinnej wspólnoty. Nawet znani mu prezydenci i przywódcy światowi przyznawali, że umiejętność pracy zespołowej jest niezbędna.

-

Paul? - odezwała się Daphne znad talerza jakichś wodorostów, które zamówiła na przystawkę.

-

Słucham?

-

Organizowałam wiele spotkań promocyjnych i potrafię poznać, gdy ktoś jest nieobecny duchem - powiedziała.

-

Ależ nie, jestem tutaj - zaprzeczył Hood, uśmiechając się.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Kąciki jej oczu i ust zdradzały lekkie rozbawienie.

-

Opowiadałaś mi o Indianach Chumash w Kalifornii. O swoim zaangażowaniu w ich sprawy. I o tym, jak udało ci się zachować ich święte jaskinie w górach Santa Ynez.

-

W porządku, słyszałaś, co mówiłam - rzekła z ulgą. - Ale to wcale nie znaczy, że mnie słuchałaś.

-

Ależ zapewniam cię, że słuchałem. - Obruszył się. - Nieruchomy, wzrok bez wyrazu to w moim przypadku zjawisko najzupełniej normalne po całym dniu użerania się w biurze.

-

Ach tak. - Daphne uśmiechnęła się. - Rozumiem cię doskonale.

A jednak Hood wiedział, że miała rację. Wiele lat temu zaprzyjaźniony aktor z Los Angeles nauczył go pewnej zawodowej sztuczki. Stosowano ją wówczas, gdy aktorzy mieli za mało czasu na próby. Polegała ona na rejestrowaniu słów w tak zwanej pamięci krótkoterminowej, gdzie były łatwo dostępne. Dzięki temu pozostała część mózgu nie była obciążona i mogła być wykorzystana na obserwowanie czy refleksję. Będąc burmistrzem, Hood stosował tę technikę do zapamiętywania przemówień. Po przybyciu do Waszyngtonu doszedł w niej do mistrzostwa, dzięki uczestnictwie w niezliczonych politycznych briefingach, o których można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że były krótkie. Potrafił

słuchać, a nawet notować, jednocześnie myśląc o tym, co będzie robił po powrocie do Centrum Szybkiego Reagowania.

Daphne odsunęła talerz i pochyliła się do przodu.

-

Muszę ci coś wyznać, Paul.

-

Dlaczego?

Roześmiała się.

-

Zabawne. Większość ludzi zadałaby pytanie „co?”

Zastanowił się. Faktycznie, miała rację. Nie wiedział, dlaczego zareagował akurat w ten sposób.

-

To moja pierwsza randka od siedmiu lat - powiedziała Daphne - i obawiam się, że zamieniłam ją w jakieś kiepskie przedstawienie.

-

Jeżeli o mnie chodzi, to słucham cię z zainteresowaniem.

-

Jesteś kochany, ale mnie samej się to nie podoba - odrzekła. - Zachowuję się jak podczas prezentacji u klienta. Za wszelką cenę staram dobrze sprzedać.

-Ależ skąd...

-

Właśnie, że tak - upierała się. - Wykazywałeś ogromną cierpliwość przez ostatnie pół godziny.

-

Mówiłem ci, że mnie to naprawdę interesuje - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Rzadko rozmawiam z ludźmi zarządzającymi własną firmą.

-

To prawda, spotykasz się z ludźmi, którzy rządzą państwami - przyznała.

-

Większość z nich nie jest tak interesująca jak ty - odrzekł Hood. -

Mówię szczerze - dodał.

To ją zupełnie rozbroiło.

-

Powiedz mi coś więcej na ten temat.

-

Ludzie na stanowiskach to często jednostki ukrywające swą osobowość pod maską nieskazitelnego ideału - wyjaśnił Hood. - Jeżeli nawet zdołali zachować jakąś cząstkę niezależności, mają ręce związane konstytucją.

Poza tym znajdują się pod czujnym okiem lokalnych i zagranicznych obserwatorów, wyborców i różnych grup interesu.

-

Czy to źle? - spytała Daphne.

-

Niekoniecznie - odparł. - Jest to zabezpieczenie przed dyktaturą. Ceną jest jednak znaczne spowolnienie postępu. Przywódca nie może wykonać żadnego posunięcia bez wprawienia w ruch całego systemu.

-

A jednak ludzie ci mają wpływ na znacznie poważniejsze sprawy niż wyniki finansowe niewielkiej prywatnej firmy - powiedziała, prostując się na krześle. - A ty?

-

Co chciałabyś wiedzieć? - odpowiedział pytaniem.

-

Jak ty sobie radzisz? Nie wyglądasz na karierowicza szukającego znajomości.

Hood z namaszczeniem wybrał kromkę chleba z koszyka, umoczył w oliwie i odgryzł

kęs. To też nie wyszło mu najlepiej. Kiedy Sharon pytała go, jak minął dzień, nie mówił zbyt wiele. Nie było sensu rozpocząć dłuższej rozmowy, bo w każdej chwili coś mogło ją przerwać. Telefon, dzieci, kipiący garnek lub potrawa w piekarniku.

-

Jeżeli szukam znajomości, to tylko w związku z pracą, nie dla własnych korzyści.

-

Jesteś idealistą.

Wzruszył ramionami.

-

Czy to miało oznaczać, że jesteś? - spytała dociekliwie.

Hood przyjrzał się jej. Miała ładny uśmiech. Nawet oczy jej się śmiały.

-

Powiedzmy, że staram się postępować właściwie - odparł. - Jeśli przy tym kogoś skrzywdzę, to nieumyślnie.

-

A więc w odróżnieniu od większości ludzi władzy nie jesteś mściwy - stwierdziła.

-

Nie jestem - przyznał. - Każdy łajdak wcześniej czy później sam doprowadzi się do zguby.

-

Warto nie być mściwym?

-

Owszem. Dzięki temu mam więcej czasu na ważniejsze sprawy.

Daphne roześmiała się.

-

Na Boga, jak bardzo różni się od siebie. Nienawidzę chamstwa, skurwysyństwa i ludzi, którzy starają się mi dokopać przy byle okazji -

mówiła, patrząc mu w oczy. - Nie potrafię uwierzyć, że nie pałasz żądzą odwetu. Jeżeli uważasz, że to narusza reguły pierwszej randki, powstrzymaj mnie, ale czytałam o terrorystach, którzy w Nowym Jorku wzięli dzieci za zakładników. Chodzi mi o tych, których sprzątnęliście. Ty i twój kolega.

Nie czułeś do nich nienawiści?

-

Dobre pytanie - powiedział Hood.

Daphne wspomniała o zbuntowanych żołnierzach sił pokojowych ONZ, którzy wtargnęli do budynku Rady Bezpieczeństwa podczas uroczystości i wzięli wszystkich za zakładników. Na sali znajdowało się kilkoro dzieci, członków zespołu muzycznego, między innymi Harleigh, córka Hooda. Hood wraz ze swym zastępcą, generałem Mikiem Rodgersem, wdarli się do środka i po krwawej wymianie ognia oswobodzili uwięzionych.

Daphne wpatrywała się w niego z uwagą.

-

Bez wątpienia odczuwałem nienawiść do tego, co zrobili - powiedział.

-

Ale nie do nich samych? - spytała.

-

Nie - odrzekł najzupełniej szczerze. - Oni przegrali. Zwycięstwo też nas dużo kosztowało. Jak to w życiu bywa. Jednak oni zapłacili najwyższą cenę.

-

A więc traktujesz to jako czysty zysk?

-

Nie podchodzę do tej sprawy zupełnie beznamiętnie, ale w pewnym sensie tak właśnie uważam - przyznał.

-

Masz o wiele bardziej filozoficzne podejście do konfliktów niż ja -

rzekła Daphne, znów pochylając się do przodu. - Paul, ja nienawidzę swoich wrogów. Gardzę nimi z całych sił. I zaciskam pętlę. Śledzę ich poczynania na łamach prasy i w kręgach towarzyskich. Jeżeli są szefami firm notowanych na rynku, kilka razy dziennie sprawdzam ich akcje. Za każdym razem, kiedy idą w dół, odczuwam wielką satysfakcję. Wykorzystuję każdą okazję, by utrudnić im życie. Jestem gotowa zrobić wszystko, aby tylko ich zniszczyć.

-

Cóż, tak to już jest w świecie biznesu - powiedział Hood.

-

Nie o to chodzi, Paul. To dla mnie sprawy osobiste. Sama nadaję im taki charakter. Praktycznie wszystko traktuję osobiście. Czy potrafisz to zrozumieć?

-

Wygląda mi to na lekką obsesję - przyznał. - Ale może tylko ja tak to odbieram.

-

Bo to jest obsesja - potwierdziła Daphne. - I co w tym złego?

-

No cóż, wrogów zawsze będzie więcej - wyjaśnił Hood. - Wszystkich nie zdołasz pokonać.

-

Być może nie zdołam - przyznała.

-

Tym bardziej nie rozumiem, jaka korzyść płynie z podtrzymywania otwartego konfliktu.

-

Ależ ja tym żyję! - wypaliła Daphne. - Każdego dnia w każdej sekundzie czuję, że mam o co walczyć.

-

Czy nie obawiasz się, że nienawiść cię zniszczy? - spytał Hood.

-

I tu jest pies pogrzebany! - Ucieszyła się. - Nienawiść niszczy, gdy jest tłumiona. Tymczasem ja potrafię ją skanalizować, wykorzystać jako siłę napędową do działania w ogóle.

-

Chyba że tak - powiedział Hood.

Niespełna parę minut temu Daphne przypomniała mu o Marcie Mackall, teraz przywiodła na myśl Boba Herberta, szefa wywiadu Centrum. Herbert nienawidził

mocno, głęboko i bezkompromisowo. Hood szanował i darzył pełnym zaufaniem Herberta, jednak musiał trzymać go w ryzach, bo inaczej wciąż szamotałby się między tym, co słuszne, a tym, co sprawia mu przyjemność.

Daphne jeszcze bardziej odsunęła się od stołu.

-

No dobrze, skoro cię już całkiem do siebie zniechęciłam, opowiedz mi o swojej pracy, oczywiście z pominięciem spraw tajnych.

-

Wcale mnie nie zniechęciłaś - zaprzeczył Hood.

-

Czyżby?

Hood pokręcił głową i ugryzł kawałek chleba.

-

Wśród moich przyjaciół jest kilku socjopatów.

Na twarzy Daphne zagościł autoironiczny uśmiezek.

Nie jest źle, pomyślał Hood, potrafi śmiać się z samej siebie. A potem spełnił

jej prośbę, gdy kończyła jeść przystawkę. Wyjaśnił, że Centrum, czyli centrum operacyjne, to obiegowe określenie Centrum Szybkiego Reagowania. Siedziba agencji mieściła się w zwykłym dwupiętrowym budynku z fasadą w kolorze kości słoniowej, który stał na terenie wojskowej bazy lotniczej Andrews. W czasach zimnej wojny było to jedno z dwóch miejsc stacjonowania załóg eskadr szybkiego reagowania na wypadek uderzenia atomowego. W razie ataku nuklearnego na stolicę ich zadaniem była ewakuacja najważniejszych osobistości i przetransportowanie ich na bezpieczne stanowiska dowodzenia z dala od Waszyngtonu. Po upadku Związku Radzieckiego i ograniczeniu znaczenia eskadr szybkiego reagowania, specjalne jednostki lotnicze przeniesiono w inne miejsce, a opustoszały budynek w bazie Andrews został przekazany nowo powstałemu Centrum Szybkiego Reagowania.

Hood nie powiedział jej niczego ponad to, co było zawarte w oficjalnym statucie Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Agencja ma do spełnienia dwa zadania - kontynuował ściszym głosem. Mówienie głośnym szeptem stosował prawie zawsze, kiedy poruszał

niejawne sprawy zawodowe w miejscu publicznym. - Pierwszym jest prewencja. Monitorujemy treść raportów wywiadu, a także artykuły w prasie, szukając potencjalnych punktów zapalnych. Chodzi o pozornie niezwiązane ze sobą wydarzenia, które mogą wywołać sytuację kryzysową albo

sprawokować atak terrorystyczny, zarówno w kraju, jak i za granicą.

-

Jakie konkretne wydarzenia? - spytała.

-

Choćby takie, jak zaleganie z wypłatą zółdu przez rządy krajów Trzeciego Świata. Może to doprowadzić do rewolty i zagrożenia interesom Stanów Zjednoczonych - tłumaczył Hood. - Albo przechwycenie wielkiego transportu narkotyków, które stworzy niebezpieczeństwo odwetu.

Ostrzegamy terenowych pracowników o potencjalnych zagrożeniach.

-

A więc opracowujecie hipotezy wywiadowcze.

-

Właśnie - przytaknął. - Drugie zadanie centrum to interwencja w miejscach, gdzie doszło już do konfliktu. Nie mogę ujawnić szczegółów, ale chodzi mniej więcej o to, co zrobiliśmy w budynku ONZ.

-

Zabijacie złych ludzi - stwierdziła Daphne.

-

Tylko wówczas, gdy jest to konieczne - zastrzegł Hood i zamilkł.

Jeszcze osiem miesięcy wcześniej likwidowanie sytuacji kryzysowych należało do obowiązków specjalnego oddziału taktycznego Striker. Jednak po jego zdziśiatkowaniu w Kaszmirze decyzją Hooda ograniczono się do chirurgicznie precyzyjnych działań, prowadzonych przez pojedynczych agentów. W ten sposób Centrum mogło rozprawiać się z wrogimi organizacjami od środka. Trwało to nieco dłużej, ale pozwalało ograniczyć straty. Jeżeli konieczna była siła militarna, Rodgers wzywał na pomoc jednostki specjalne spoza agencji.

Rozmowa zesłała na tematy osobiste. Daphne opowiadała Hoodowi o swym byłym mężu, któremu zabrakło ambicji, by sprostać jej wymaganiom.

-

Był współwłaścicielem dużej i znanej firmy prawniczej swego ojca.

Ale wolał od pracy jazdę konną. Próbowалам nawet mu towarzyszyć, lecz smród i gładzenie o

niczym doprowadzały mnie do szału. Zwłaszcza, że on niczego poza końmi nie widział.

-

Nie wiedziałaś tego przed ślubem? - spytał Hood.

-

Miałam dwadzieścia dwa lata i byłam zupełnie zielona - odparła. -

Młodość poświęciłam na tworzenie agencji reklamowej. Myślałam, że będzie fajnie złapać faceta, który lubi i ma czas wypoczywać. Nie spodziewałam się, że mogę stracić dla niego szacunek.

Hood roześmiał się.

-

Miałem zupełnie odmienny problem - powiedział. - Żonie nie podobało się, że cały mój czas poświęcam Centrum. Doszło nawet do tego, że się zwolniłem, ale na krótko, bo nie potrafiłem wytrzymać bez tej pracy.

-

Nie zdawałeś sobie sprawy, że niszczysz swoje małżeństwo? - spytała Daphne.

-

Kiedy się zorientowałem, było już za późno. Wiedziałem, że Sharon cierpi, ale nie sądziłem, że aż tak bardzo.

-

A więc to ona odeszła?

Hood przytaknął.

-

A teraz jak się między wami układa?

-

Całkiem dobrze. Sharon nie robi problemu z odwiedzinami i w ogóle...

Przypuszczam, że nasz kłopot polegał na tym, że tak naprawdę nigdy nie byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

-

To możliwe - zgodziła się Daphne. - By się zaprzyjaźnić, trzeba się polubić. Ale nie trzeba lubić osoby, aby się z nią ożenić. Wiesz, opracowałam prosty test, pozwalający to sprawdzić.

-

Doprawdy?

-

Owszem. Nazwałam go próbą piaskownicy. Przypuśćmy, że ty i twoja przyszła partnerka bylibyście zamknięci w piaskownicy na dwadzieścia cztery godziny. Czy potrafilibyście się ze sobą bawić? Czy budowalibyście zamki, urządzali ogródek do medytacji Zen, odgrywali scenki szczęśliwych plażowiczów? Czy potrafilibyście zorganizować grę w okręty albo konkurs rysunkowy? Czy mielibyście ochotę na cokolwiek innego poza uprawianiem seksu? Jeżeli odpowiedź na te pytania będzie twierdząca, można myśleć o trwałym związku.

-

Dlaczego akurat piaskownica? - Hood skrzywił się. - Czy nie mógłby to być pokój hotelowy albo samolot czy pociąg?

-

W pokoju hotelowym mielibyście telewizor - wyjaśniła Daphne. -

A w samolocie lub pociągu czasopisma i jedzenie. Tymczasem tu trzeba dostrzec w kupie piasku wydnię, górę, zamek... W tym celu potrzebne są chęć i gotowość do zabawy, no i odrobina szaleństwa. Musisz dopuścić do głosu tkwiące w tobie dziecko. Inaczej nawet nie wejdziesz do piaskownicy.

Konieczne są też poczucie humoru i umiejętność nawiązywania kontaktu. Jeżeli zabraknie jednego z tych elementów, zanudzicie się na śmierć albo zabawa skończy się kłótnią. Te same cechy potrzebne są do zbudowania udanego związku.

-

Skąd ten pomysł z piaskownicą? - spytał Hood.

-

Robiłam kiedyś reklamę pewnego towarzystwa ubezpieczeniowego.

Rzecz działa się w piaskownicy, w której wspólnie dorastało i starzało się dwoje ludzi. To dało mi do myślenia.

Hood także pogрузzył się w rozmyślaniach. Z Sharon na pewno nie wytrzymałby całego dnia w takiej sytuacji. Nawet nie wyobrażał sobie zabaw w piaskownicy z Ann Farris, była rzeczniczką prasową

Centrum, z którą miał przelotny romans. Ale na pewno mógłby siedzieć w piaskownicy z kobietą, z którą spotykał się wcześniej

- z Nancy Jo Bosworth,

jego największą miłością, która złamała mu serce. Hood przypomniał sobie, jak Bob Herbert opowiadał o swojej zmarłej żonie, agentce CIA. Nie wątpił, że oni także świetnie bawiliby się w piaskownicy. Do licha, przecież to właśnie robili w Libanie, zanim w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku ona zginęła od bomby w ataku terrorystycznym na ambasadę, a on stracił władzę w nogach.

-

To dobry test dla większości pań, które znałem - powiedział Hood. -

Wygląda jednak na to, że twój mąż doskonale nadawałby się do zabawy w piaskownicy.

-

Racja - przytaknęła Daphne. - Pod warunkiem że byłaby to wystarczająco duża piaskownica, a on miałby do towarzystwa jakiegoś folbluta.

Mając tylko mnie, czułby się skrepowany i znudzony. Całkiem jak Lawrence z Arabii bez swego wielbłąda. Na tym to polega, Paul. Jak by ci się podobała taka zwariowana przygoda we dwoje? Czy to, że jest się razem, ma większe znaczenie od miejsca, w którym się przebywa?

-

Teraz już wiem, o co ci chodzi - powiedział Hood.

Daphne traktowała próbę piaskownicy jako wyrocznię. Miała skłonność do popadania w skrajności, a życie wymagało dużo głębszych kompromisów, niż była w stanie zaakceptować. Mimo wszystko Hood poczuł smutek na myśl, że spośród osób, które znał, mało kto przeszedłby ten test. A już na pewno Sharon i on sam nie mieliby żadnych szans.

Nie miał pojęcia, czy zdołałby wytrzymać dzień w piaskownicy z Daphne Connors.

Zresztą było jeszcze o wiele za wcześnie, aby się o to martwić. Na razie, podczas kolacji we dwoje, miło spędzili czas, dyskutując na różne tematy. Nie pokłócili się. Całkiem nieźle, jak na początek.

ROZDZIAŁ 3

Morze Celebes, Wtorek, 4.34

Sampan doganiał jacht, kołysząc się gwałtownie na boki. Lee Tong przeszedł na rufę. Clark Shunga rozdał wszystkim po kawałku materiału wybuchowego. Koh Yu prowadził nasłuch radiowy. Odległość zmniejszała się z każdym ruchem wiosła.

Lee stanął koło pawęży, która kształtem przypominała podkowę. Bose nogi rozstawił w szerokim rozkroku, by nie stracić równowagi. Wygięte ramiona pawęży wznosiły się prawie metr ponad nadburcie, do którego przymocowany był długi rumpel. Lee sterował lewą ręką. Słyszał szum wody, opływającej pióro steru. Ten dźwięk zawsze działał na niego kojąco, zwłaszcza przed atakiem. W prawej dłoni ścisnął grudę plastyku wielkości pięści. Materiał wybuchowy owinięty był w folię do przechowywania żywności, aby nie zwilgotniał i łatwo przyklejał się do kadłuba. Na lewej burcie sampana piraci wywiesili sześć płóciennych worków wypełnionych piaskiem - na wypadek gdyby zderzyli się z jachtem.

Lee nosił na prawym biodrze pistolet, który tkwił w starej, powycieranej kaburze przypiętej do paska. Po rozmieszczeniu ładunków i odejściu od burty jachtu pojawił się Koh z megafonem, by wywołać pasażerów na pokład. W razie konieczności to właśnie Lee i Koh będą strzelać w grudki materiału wybuchowego.

Sampan znajdował się o kilka metrów od jachtu i kołysał się lekko w jego śladzie torowym. Lee umiejętnie manewrował sterem, a wiosłarze utrzymywali tempo.

Stojący na dziobie Clark obserwował jacht przez gogle noktowizyjne. Prawie na każdym statku wycieczkowym na tych wodach od zmierzchu do świtu wystawiano nocną wachtę. Mimo to zaciemniona i poruszająca się bezgłośnie jednostka mogła pozostać niezauważona, zwłaszcza gdy podchodziła od dziobu lub rufy. Wachtowy znajdował się zwykle na śródkręciu i stamtąd obserwował horyzont. Większość żeglarzy nie brała pod uwagę, że na Morzu Celebes może grozić im jakieś niebezpieczeństwo.

Sampan zaczął wyprzedzać jacht, który był od niego ponad cztery razy dłuższy.

Piraci zamierzali przepłynąć tuż obok i przyczepić ładunki do burty. Najpierw Clark przyklei grudkę w pobliżu rufy. Potem sampan przesunie się wzdłuż burty jachtu, a gdyby z jego pokładu ktoś ich zauważył, Lee mógł w każdej chwili wycelować broń w materiał wybuchowy. Kiedy znajdą się koło dziobu, Lee przetrze burtę szmatą, aby osuszyć ją z wody, a następnie umieści ładunek na kadłubie.

Potem sampan odejdzie na bok.

Clark powoli i jednostajnie omiatał wzrokiem statek od dziobu do rufy. Jak dotąd Lee nie zauważył nikogo na pokładzie. Nagle Clark zatrzymał się, wpatrzony w dolną część fokmasztu, po czym zawołał głośnym szeptem:

- Wycofujemy się!

Lee przełożył rumpel na lewą burtę, a wiosłarze natychmiast zmienili kierunek wiosłowania. Lee

ugiął kolana, przygotowując się na szarpnięcie, które musiało teraz nastąpić. Sampan zadygotał, wytracając prędkość. Zatrzymał się prawie w miejscu pod naporem wiosł pracujących wstecz.

Lee otworzył szeroko oczy, usiłując w ciemnościach dojrzeć miejsce, w które wciąż wpatrywał się Clark. Niczego nie zauważył.

-

Obserwujcie nas - powiedział nieco głośniej Clark.

-

Co? - spytał Lee.

-

Kamera z noktowizorem. Jest na maszcie, na wysokości trzech metrów.

Lee podniósł wzrok, ale nadal nie widział żadnej kamery. Jednak nie było czasu na zastanawianie się. Kiedy skośny dziób sampana mijał rufę jachtu, na jego pokład wybiegło kilku ludzi. Ponieważ znajdowali się prawie cztery metry wyżej, Lee nie mógł ich dojrzeć, ale słyszał ich kroki. A potem dobiegł go charakterystyczny dźwięk zatraskiwania magazynków karabinów. Nagle łagodny nocny mrok rozświetliły żółte błyski wystrzałów, jak śmiertcionośne gwiazdy wiszące nad pokładem jachtu. Słychać było dźwięk przypominający pękające baloniki, a po chwili rozległy się krzyki. Krzyczeli ludzie na sampanie.

Lee poczuł, że płynący wstecz sampan wyraźnie zwolnił. Widocznie trafili wioślarzy. Nie przejął się tym ani trochę. Puściwszy rumpel, ruszył w stronę dziobu. Przypomniał sobie o ładunku ściszanym w garści i wyrzucił go za burtę.

Nie chciał, by zabłąkana kula trafiła w materiał wybuchowy. I tak miał małe szanse na wyjście cało z tej strzelaniny.

Czując na sobie drzazgi z dziurawionego kulami pokładu, przemieszczał się na czworaka na środek łodzi. Pomieszczenia pod pokładem osłonięte były długimi sosnowymi daszkami w kształcie litery V, które wzmacniały bambusowe maty. Lee zszedł na dół i ukrył się pod zadaszeniem. Pirat miał zamiar zostać pod pokładem w nadziei, że załoga jachtu nie zejdzie na sampan. A jeśli zejdzie, miał jeszcze do obrony pistolet. Gdyby nie był w stanie użyć go przeciwko wrogom, skierowałby lufę w swoją stronę. Za nic nie chciał trafić do więzienia w Singapurze.

Wrzasnął, gdy został trafiony w prawą kostkę. Kula przerwała ścięgno Achillesa, powodując nagłe wyprostowanie się nogi. Lee upadł na brzuch, a pulsujący ból ogarnął całą prawą stronę jego ciała, aż do szyi. Wtedy kolejna kula wbiła mu się w lewą łydkę, rozniecając nowe ognisko bólu po drugiej stronie ciała. Z

trudem tłumił krzyk, by nie zdradzić, gdzie się znajduje. Próbował desperacko czołgać się na samych rękach. Szczypiący pot zalewał mu oczy. Lee pełzł, mając wrażenie, że waży trzy razy więcej niż

normalnie. Wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby i starał się nie zamykać oczu.

Nagle cały jego wysiłek przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Od strony dziobu doszedł go odgłos, przypominający uderzenie kamienia o szybę.

Lee dobrze znał ten dźwięk. To była eksplodująca grudka. Nagle poczuł, że jakaś siła unosi go w górę. Fala gorąca i jaskrawego, białego światła uderzyła go jak gigantyczna pięść. Wszystko to słyszał, widział i czuł przez chwilę, która jednak zdawała się nie mieć końca. A potem nie słyszał, nie widział i nie czuł

już nic.

ROZDZIAŁ 4

Sydney, Australia, Wtorek, 8.30

Lowell Coffey uwielbiał potyczki słowne. Lubił w nich uczestniczyć, a także je prowokować. Zazwyczaj czynił to na dwa sposoby. Jednym z nich było wygłaszanie przemówień, w których zwięźle i przekonująco wyniszczał swe twarde poglądy.

Miał po temu czasem okazję jako prawnik Centrum. Wypowiadał się na temat prawa międzynarodowego, bezpieczeństwa państwa, praw obywatelskich i naruszania prywatności. Liczył sobie trzydzieści dziewięć lat i gdyby był gruboskórny, mógłby zrobić karierę jako polityk. Brakowało mu jednak elastyczności, w dodatku nie potrafił powstrzymać się od kłótni, gdy tylko ktoś nie zgadzał się z jego zdaniem. Pochodził z południa Kalifornii, dlatego popierał silny i agresywny militarizm - to była konserwatywna część jego natury. Jednocześnie twardo bronił

praw człowieka we wszelkich formach i odmianach, wykazując tym samym zapatrywania czysto liberalne. Dlatego nigdy nie zdołałby stworzyć koalicji gwarantującej mu sukces wyborczy, nad czym zresztą głęboko ubolewał. W

przeciwieństwie do większości polityków, Lowella Coffeya gnębił problem, który sam zainteresowany żartobliwie nazywał przerostem treści nad formą. Pociągały go tylko sprawy wielkie i doniosłe. To właśnie poszukiwanie istotnych treści sprawiło, że zajął się prawem międzynarodowym. Ojciec wolałby co prawda widzieć go w szeregach doskonale prosperującej kancelarii Coffey and O'Hare z siedzibą w Beverly Hills, jako specjalistę od praw producenckich. Coffey nawet lubił

garnitury od Armaniego, zegarek Roleksa oraz jaguara, który zresztą więcej stał

w warsztacie, niż jeździł, ale wciąż odczuwał dotkliwy brak treści. Początkowo szukał jej jako

asystent prokuratora stanu Kalifornia, a następnie jako zastępca asystenta prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych. Kiedy sześć lat temu trafił do Centrum, był już naładowany treścią po same uszy. Nie było na świecie kraju, nie było wydziału we władzach federalnych, z którym Coffey nie miałby do czynienia, odkąd rozpoczął pracę w Centrum Szybkiego Reagowania. Czasem występował z odmiennych pozycji, jak wówczas, kiedy oddział Striker wmieszał się w spór między Pakistanem a Indiami, albo gdy Paul Hood i Mike Rodgers wdali się w strzelaninę w gmachu ONZ-etu, by uwolnić zakładników. Często oznaczało to dla niego konieczność nauki w trakcie pracy. Ale nawet spory międzynarodowe dostarczały mu satysfakcji, której nigdy nie zaznałby podczas rozmów dotyczących umieszczenia w filmach dezodorantów lub napojów reklamowanej marki. Mimo wielu osobistych i zawodowych przymiotów Coffey nie ustrzegł się łatki „dziecka fortuny”, przyklejonej mu przez współpracowników. Drażniło go to, ale jakoś dawał sobie z tym radę. W końcu to nie jego wina, że pochodził z bogatej rodziny. Jednocześnie był dumny z tego, że nigdy nie wykorzystał rodzinnych koneksji, by osiągnąć jakiegokolwiek korzyści. Coffey uczył się pilnie, pracował

ciężko i zasłużył sobie na każde z dotychczas piastowanych stanowisk.

Drugą wielką namiętnością wysokiego, błękitnookiego prawnika były podróże.

Jednak w przeciwieństwie do większości turystów nie zależało mu tylko na poznawaniu nowych krajobrazów. W latach osiemdziesiątych uczestniczył w oksfordzkim podyplomowym kursie prawa międzynarodowego. Podczas pobytu w kampusie zetknął się z ideami nie dość, że niezgodnymi z jego własnym światopoglądem, to jeszcze często antyamerykańskimi. Z początku, oceniając słuszność jakichś idei, Coffey kierował się instynktem. Potem miał okazję bronić ich przy użyciu argumentów. Odkrył przy tym, że sale wykładowe, kawiarnie, a nawet dworce kolejowe czy porty lotnicze doskonale nadają się do prowadzenia dyskusji i prezentowania własnych poglądów. Po ukończeniu studiów wiele podróżował po świecie, ponieważ stan Kalifornia i władze federalne dały mu szansę doskonalenia zdobytych umiejętności. Na szczęście każdy region był inny.

Coffey uczestniczył w dyskusjach w Londynie, które w niczym nie przypominały tych z Montrealu, Moskwy, Tokio czy Damaszku.

Teraz przyszała kolej na Sydney.

Coffey stał przed wejściem do hotelu Park Hyatt Sydney przy Hickson Road.

Przyleciał poprzedniego dnia i natychmiast położył się spać. Z pokoju na tyłach hotelu miał widok na efektowny budynek opery po drugiej stronie Sydney Cove.

Teraz stał przy szerokiej alei, skąd mógł dostrzec nabrzeża portowe w zatoce Walsh Bay. Piękne, zadbane Sydney tętniło życiem. Coffey miał spędzić tu zaledwie na trzy dni, z czego większość czasu przewidziane było na uczestnictwo w konferencji na temat międzynarodowej eksploatacji oceanów. Łudził się jednak nadzieją, że znajdzie kilka godzin na zwiedzenie miasta.

Jaskrawy blask poranka oślepił Coffeya mimo okularów słonecznych. Słońce odbijało się w morzu i chmurach, lśniło na ścianach niezliczonych srebrzystych wieżowców i białych budynków. Powietrze i słońce były tutaj inne niż w Stanach Zjednoczonych czy Europie. Być może słoneczny skwar

łagodziła wiejąca stale morska bryza, a wpływ oceanu sprawiał, że powietrze było czyste.

Bez względu na przyczynę, Coffey czuł ożywczy wpływ miejscowej aury.

Turyści wchodzili i wychodzili z hotelu. Coffey czekał na Penny Masterson, przewodniczącą organizacji ARRO. Poznał ją w Waszyngtonie kilka lat wcześniej, podczas seminarium zorganizowanego przez Amnesty International. ARRO była organizacją non-profit, której działalność polegała na udzielaniu pomocy uchodźcom z Indonezji, Malezji i innych krajów Azji Południowo-Wschodniej. Wielu z nich, zwykle nielegalnie, trafiało do Australii. Tych, których schwytano od razu albo zidentyfikowano po pewnym czasie, deportowano do krajów ojczystych. To było najgorsze, co mogło spotkać nielegalnych imigrantów. Po powrocie nierzadko oskarżano ich o zdradę, skazywano na wieloletni pobyt w więzieniu lub w obozach pracy.

Drobna, jasnoruda Penny była właściwą osobą na właściwym miejscu. Miała dwadzieścia dziewięć lat, była miła, radosna i wrażliwa na cudzą krzywdę. Jej panięńskie nazwisko brzmiało Date [Penny date (ang.) - dosł. randka za grosik, można to też przetłumaczyć jako „tania panienka” (przyp. tłum.)], przez co we wczesnej młodości musiała znosić niezliczone docinki ze strony chłopców, którzy wciąż pytali ją, czy faktycznie bierze tak tanio. W rezultacie uodporniła się na ciosy w stopniu wręcz zadziwiającym. Coffey nie spotkał dotąd osoby twardszej od niej. Stanowiła idealny materiał na polityka, ale ona wolała pomagać ludziom, zamiast, jak to określała „przewodzić drużynie, dla której jest się samemu największym przeciwnikiem”.

Czerwony pick-up z Penny za kierownicą zatrzymał się na podjeździe. Portier otworzył wgniecione, porysowane drzwi auta przy wtórze skrzypiących zawiasów.

-

Wybacz mi to niezbyt reprezentacyjne powitanie, Lovell - powiedziała Penny, kiedy sadowił się na siedzeniu. - W istocie nie jest to czerwony dywan rozpostarty u twych stóp.

-

Ten wóz ma sporo wdzięku - odrzekł taktownie Coffey. W rzeczywistości w środku unosiła się woń nawozu, a na przedniej szybie widniały liczne ślady po owadach, które, jak mawiał Bob Herbert, padły ofiarą wypadku drogowego. Cały wdzięk pojazdu skoncentrowany był w osobie jego kierowcy. W głosie Penny rozbrzmiewały srebrne dzwoneczki, które lśniły także w jej uśmiechu i oczach. Coffey dawno przystąpiłby do zalotów z najzupełniej poważnymi zamiarami, gdyby nie to, że Penny była mężatką.

-

Furgonetka jest bardzo praktyczna - oznajmiła Penny. - Niestety, kiedy to się stało - dodała, wskazując wzrokiem zdezelowane drzwi - nie umiałam jeszcze pokonywać ostrych zakrętów.

-

Ale teraz już umiesz? - spytał Coffey, zapinając szybko pas.

Penny roześmiała się. W jego uszach zabrzmiało to jak najpiękniejsza muzyka.

-

Gdyby było inaczej, nie woziłabym ze sobą Gaby - odparła, ruszając spod hotelu.

-

Gabrielle musi mieć teraz... chyba roczek? - powiedział Coffey pytająco.

-

Trzynaście i pół miesiąca - odrzekła Penny. - Jest niesamowita.

-

Nie wątpię. - Coffey pokiwał głową. - A jak tam małżonek? Co u niego słychać?

-

Charlie ma się świetnie - zapewniła go. - Siedem miesięcy temu zrezygnował z pracy i założył własną firmę ogrodniczą.

-

A więc stąd ta furgonetka zamiast minivana - rzekł Coffey.

-

Mamy ich aż trzy! - Roześmiała się. - Charlie nie mógł już dłużej zajmować się parkiem. Poświęcał więcej czasu na wprowadzanie oszczędności w swojej brygadzie niż na utrzymanie zieleni. Powiedział kiedyś:

„próbowałem poruszyć niebiosa, teraz wolę poruszać ziemię.”

-

Mamy podobne problemy w Centrum - zauważył Coffey. - Pomagasz mu w pracy?

-

W weekendy rozwożę tą furgonetką drzewka, krzewy i ziemię po całym mieście i przyległościach. Muszę przyznać, że świetnie mi robi takie ubabranie rąk po łokcie.

-

Być może to pozwala ci oderwać się od brudów tego świata - podsunął

Coffey.

-

Żebyś wiedział - zgodziła się Penny. - Pomaga mi również w mojej własnej pracy. Kiedy przyjeżdżam na miejsca spotkań lub do ośrodków zatrzymań, wszyscy od razu widzą, że nie mają do czynienia z kurą domową, która traktuje ARRO jako sposób na nudę.

Zjechała z Hickson Road. Rozległ się łoskot narzędzi porozrzucanych w skrzyni furgonetki, ale Penny zdawała się tego nie słyszeć. To doprawdy ujmujące, pomyślał Coffey.

-

Jaki jest program konferencji? - spytał.

-

Będzie ona największa spośród czterech zorganizowanych w tym mieście -

odrzekła

Penny. - Spotka się stu jedenastu delegatów z trzydziestu dwóch krajów. Najpierw czeka nas poranne przyjęcie w gmachu parlamentu stanowego. W końcu dotarło do nich, że stanowimy siłę, z którą trzeba się liczyć. Potem przeniesiemy się do miejskiego centrum konferencyjnego. Wystąpisz po kolacji, co oznacza, że wszyscy będą syci, a więc chętnie rozsiada się i posłuchają, co masz do powiedzenia.

Oznaczało to także, iż przedtem Coffey będzie mógł wmieszać się między uczestników, nadstawić ucha i zorientować się, o czym mówią. Dzięki temu zdąży włączyć do swego wystąpienia najbardziej aktualne kwestie.

-

Czy będzie obecny nasz zły duch, Brian Ellsworth? - spytał Coffey.

-

Oczywiście otrzymał zaproszenie - powiedziała Penny. - Ale jak zwykle odmówił.

-

Domyślałem się, że z mojego powodu. - Westchnął.

-

Główne tezy twojego zeszłorocznego przemówienia z Brisbane na pewno nie należą do jego ulubionych lektur - przyznała Penny. - Uważam jednak, że cała jego firma wykazuje kompletny brak zainteresowania.

Ellsworth był szefem sekcji prawnej ośrodka wywiadu australijskiej marynarki wojennej (MIC), którego siedziba znajdowała się w Darwin, stolicy Terytorium Północnego. MIC znajdował się na pierwszej linii walki z falą nielegalnych imigrantów i bronił im dostępu do Australii. Zdaniem MIC osoby pragnące opuścić swój kraj z powodu prześladowań zwykle przedostają się na tereny zagranicznych ambasad. Ellsworth był przekonany, że na pokładzie każdej łodzi, samolotu czy tratwy - docierającej nielegalnie do Australii - znajdują się narkotyki, przemytnicy i terroryści. Według badań przeprowadzonych przez ARRO faktycznie tak było w przypadku ponad sześćdziesięciu pięciu procent zatrzymanych środków transportu. Jednak pozostałe trzydzieści pięć procent przewoziło biednych, przerażonych ludzi, którzy pragnęli tylko poprawy swego losu. MIC miał duże wpływy w parlamencie. Nielegalni imigranci, zgodnie z prawem, byli najczęściej odsyłani z powrotem w ciągu dwudziestu czterech godzin. ARRO tkwiła w nieustającym sporze z MIC o złagodzenie tej procedury.

Zanim Penny skończyła mówić, rozległ się dzwonek jej telefonu.

-

Przepraszam, ale to może być opiekunka do dziecka - powiedziała, naciskając przycisk zestawu głośnomówiącego, zamocowanego na desce rozdzielczej.

-

Słucham?

-

Pani Masterson? - rozległ się męski głos.

-

Przy telefonie.

-

Czy towarzyszy pani pan Lowell Coffey?

-

Tu Lowell Coffey - odezwał się prawnik. - Kto mówi?

-

Melduje się marynarz Brendan Murphy z rozkazu chorążego George'a Jelbarta z ośrodka wywiadu marynarki. Usłyszałem pańskie nazwisko od pana Briana Ellswortha. Chorąży Jelbart chciałby wiedzieć, czy znajdzie pan dziś wolną chwilę?

-

Jestem tu na konferencji - odparł Coffey.

-

Wiemy o tym, sir.

-

Czy mógłby pan sprecyzować, o co chodzi panu Jelbartowi?

-

O pański przylot do Darwin, sir - padła odpowiedź.

-

Przecież to po drugiej stronie kontynentu! - stwierdził z niedowierzaniem Coffey. - Dlaczego chce się ze mną spotkać?

-

Mamy pewien problem, sir - odpowiedział marynarz. - Z rodzaju tych, o których nie mówi się przez telefon.

-

Jaki problem? - dociekał Coffey.

-

Pałacy, sir - powiedział z naciskiem rozmówca.

Z tonu, jakim marynarz wypowiedział słowo „pałacy”, Coffey wywnioskował, że nie chodziło bynajmniej o słoneczny skwar. Była tylko jedna możliwość.

-

Zanim wyrażę zgodę, muszę porozumieć się z kilkoma ludźmi - oznajmił, zerkając na Penny.

-

Zależy nam na czasie - odparł Murphy. - Pan jest pierwszą i, miejmy nadzieję, jedyną osobą, do której dzwonię w tej sprawie.

-

Jeżeli się zdecyduje, jak wygląda kwestia transportu?

-

Do Sydney leci patrolowy samolot P-3C. Wyląduje za około godzinę. Jak już wspomniałem, chorąży pragnie rozmawiać z panem osobiście.

Penny i Coffey popatrzyli na siebie. Kobieta nacisnęła przycisk wyciszania.

-

Nie wygląda to na zaproszenie - stwierdziła.

-

Ani trochę - przytaknął Coffey. To był rozkaz.

-

Co chcesz zrobić? - spytała.

-

Akurat chęci nie odgrywają tu żadnej roli.

-

Czemu nie? Jesteś cywilem, a w dodatku Amerykaninem. Możesz odmówić i się rozłączyć.

-

Wtedy nie dowiedziałbym się, dlaczego Ellsworth polecił im zadzwonić właśnie do mnie - powiedział Coffey. - Wydaje mi się, że MIC chodzi nie tylko o kontakt ze mną, ale z całym Centrum.

-

Dlaczego tak uważasz?

-

Nie powiem, dopóki się nie upewnię - odparł Coffey. Nie chodziło o to, że nie miał zaufania do Penny. Po prostu był prawnikiem, w dodatku bardzo ostrożnym. Nie zwykł mówić o rzeczach niesprawdzonych.

Wyłączył wyciszanie i spytał:

-

Gdzie mam się zgłosić?

-

Ktoś będzie na pana czekał w terminalu krajowym - odpowiedział rozmówca.

-

Dobrze, przyjadę - odrzekł Coffey.

-

Dziękuję, sir-powiedział marynarz. - Zawiadomię chorążego Jelbarta.

A ja zawiadomię Hooda, pomyślał Coffey.

Zaczął się tłumaczyć przed Penny, ale ona powiedziała, że go rozumie. Wyraził

nadzieję, że wkrótce będzie z powrotem, jednak w głębi ducha czuł, że są na to małe szanse. Zwłaszcza jeśli okaże się, że jego interpretacja słowa „palący”

była słuszna.

ROZDZIAŁ 5

Darwin, Australia, Wtorek, 8.42

Chorąży George Wellington Jelbart skończył już pięćdziesiąt dwa lata i miał do czynienia z niejedną zdumiewającą sytuacją podczas swej trzydziestodwuletniej służby w australijskiej marynarce wojennej.

Pochodził z Brisbane, miał jasne włosy i mierzył sto osiemdziesiąt osiem centymetrów. Pierwszych dwanaście lat spędził w jednostce hydrograficznej, stacjonującej w Wollongong, na południe od Sydney. Jego oddział na bieżąco aktualizował mapy liczącego trzydzieści tysięcy kilometrów wybrzeża Australii wraz z przyległymi wodami. Jelbart uwielbiał pływać statkami i latać samolotami oraz kreślić mapy, obejmujące obszar jednej szóstej powierzchni całego świata.

Nawet zmuszony zmagać się z tropikalnym cyklonem, huraganem piątego stopnia albo tsunami, nie przestał lubić swej pracy. Jego ojciec, oficer marynarki, zwykł

mawiać: marynarka to twoje mięśnie, a niebezpieczeństwa utrwalają je.

Następny, dziewięcioletni okres służby był zupełnie odmienny i statyczny.

Jelbart dobrze znał geografie obszarów rozciągających się wokół Australii, dlatego zastępca dowódcy marynarki Jonathan Smith przydzielił mu kierownictwo nad wywiadem morskim. Było to jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy wraz z japońskimi biznesmenami i inwestorami do kraju przybyli japońscy przestępcy. W

biurze bez okien Jelbart pomagał nasłuchowcom namierzyć nadajniki, znajdujące się na okolicznych akwenach lub w pobliskich krajach. Nie miał serca do tego zajęcia, traktował je wyłącznie jako obowiązek. Wreszcie w czterdzieste urodziny poprosił o przeniesienie. Pragnął powrotu na morze, a przynajmniej widoku słońca. Smith zgodził się na kompromis. Awansując go, przydzielił do ośrodka wywiadu marynarki wojennej. Tam, jako świeżo upieczony chorąży, pracował głównie w terenie i w szerszym zakresie niż dotychczas miał do czynienia z nielegalnymi imigrantami.

W tym właśnie okresie Jelbart niemal co tydzień spotykał się z jakąś niezwykłą sytuacją. Niektóre z nich były naprawdę wstrząsające. Pamiętał bezdusznych malezyjskich handlarzy niewolników, którzy porwali grupę aborygeńskich dzieci i wywieźli je samolotem transportowym. Albo tragedię sześćdziesięciu siedmiu uchodźców z ogarniętego wojną Timoru Wschodniego, zrzuconych na spadochronach z czasów II wojny światowej. Byli to w większości młodzi ludzie, bez żadnego doświadczenia w skokach. Pięćdziesięciu z nich utonęło. Pamiętał też aferę z australijskimi handlarzami narkotyków, którzy w deskach surfingowych ukryli skomplikowany sprzęt nasłuchowy do ostrzegania przed lotniczym patrolem MIC.

Było też śledztwo w sprawie potworów morskich, widzianych ponoć w Zatoce Karpentaria. Jelbart z łatwością ustalił, że nie chodziło o żadne zjawisko nadprzyrodzone, lecz manewry chińskich okrętów podwodnych.

Jednak przez wszystkie lata służby w australijskiej marynarce wojennej ani razu nie spotkał się z takim przypadkiem jak dziś. Na samą myśl o możliwych konsekwencjach przeszedł go dreszcz.

O siódmej rano Jelbart przybył do swego biura w budynku Australian Central Credit Union przy Mitchell Street 36. Od początku lat dziewięćdziesiątych przychodził do pracy wcześniej, aby odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki i przerzucić korespondencję. Po kilku latach również zjawiał się w biurze skoro świt, jednak po to, by przejrzeć pocztę elektroniczną. Zajmowało mu to godzinę, o ile zdołał sprawnie wyeliminować e-maile ze sprośnymi dowcipami, przesyłane przez kolegów. Problem polegał na tym, że musiał otworzyć każdą wiadomość, jeżeli istniał chociaż cień szansy, że może ona zawierać służbowe treści.

Krótko po jego przybyciu rozległ się dzwonek telefonu. Rozmowę odebrał jego pomocnik, marynarz Brendan Murphy, i po chwili przełączył ją do przełożonego.

Telefonował komandor Ronald Trainor, dowódca patrolowca „Suffolk”, należącego do typu „Freemantle”. Okręt natknął się na rozbitka na wodach Morza Banda, dwanaście mil na wschód od Celebes.

- Gość był półprzytomny i trzymał się kurczowo kawałka drewnianej belki -

meldował Trainor. - Był silnie odwodniony i stracił sporo krwi. Otrzymał dwa postrzały w nogi; próbował je zabandażować kawałkami koszuli. Prawdopodobnie to pirat, który miał pecha podczas swej ostatniej wyprawy.

-

Niewykluczone - odrzekł Jelbart.

Sprawa wyglądała na zwykłą akcję ratunkową na wodach międzynarodowych. Jelbart zachodził w głowę, dlaczego dowódca okrętu zdecydował się osobiście mu o tym zameldować.

-

Jednak to, co nas do niego doprowadziło, było doprawdy niezwykle -

kontynuował komandor.

Zdumienie Jelbarta rosło z każdym kolejnym słowem wypowiedianym przez Trainora.

To, na co się natknęli, było nie tylko niezwykle, lecz wręcz niewytłumaczalne.

Chorąży uznał, że konieczne będzie przeprowadzenie pełnego dochodzenia. Trainor poinformował go, że ma zamiar rozejrzeć się w poszukiwaniu wraku i reszty załogi, a także sprawców wypadku. W tym czasie ranny zostanie przetransportowany drogą powietrzną do szpitala w Darwin wraz ze znalezionymi szczątkami łodzi.

Jelbart zapewnił, że będzie czekał na helikopter i przejmie oraz zabezpieczy dostarczone dowody. Po zakończeniu rozmowy uznał, że należy poinformować o sprawie szefa sekcji prawnej, Briana Ellswortha. Oficjalnie rozbitek z Morza Banda miał przybyć do Darwin w celu hospitalizacji, ale po rewelacjach Trainora nie to było najważniejsze z punktu widzenia MIC. Człowiek ten musiał zostać szczegółowo przesłuchany, a czynność ta w stosunku do rozbitek znalezionej na wodach międzynarodowych stanowiła poważny problem prawny.

Ellsworth właśnie brał prysznic, kiedy zadzwonił Jelbart. Urzędnik mieszkał wraz z żoną, prezenterką telewizyjną, w ekskluzywnej rezydencji La Grande przy Knuckey Street.

Ponieważ chorąży nalegał, pani Ellsworth zawołała męża do telefonu. Jelbart przekazał mu wszystko, co wiedział na temat zdarzenia. Prawnik przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

-

Spotkamy się w szpitalu - odezwał się wreszcie. - Chciałbym też, aby pan do kogoś zadzwonił.

-

Do kogo?

-

Do j egomości nazwiskiem Lowell Coffey - odrzekł Ellsworth. - Jest teraz w Sydney, uczestniczy w konferencji dotyczącej przestrzegania praw obywatelskich.

-

Chodzi o sympozjum ARRO?

-

Tak - potwierdził Ellsworth. - Pan Coffey jest pracownikiem Centrum Szybkiego Reagowania z Waszyngtonu.

-

Centrum? Czy rzeczywiście zależy nam na wciąganiu w tę sprawę obcego wywiadu?

-

Amerykanie będą nam potrzebni z trzech powodów - oświadczył Ellsworth. -

Po pierwsze, musimy szybko ustalić przyczynę całego zajścia, a oni mogą nam w tym pomóc. Po drugie, w Australii przebywa akurat jeden z ich najlepszych ludzi. Co prawda nie podzielam jego poglądów politycznych, ale facet jest bystry i dysponuje dużą wiedzą. A po trzecie, przetrzymywanie ранego cudzoziemca może wywołać reperkusje, zwłaszcza jeżeli sprawa okaże się całkiem niewinna. Wtedy lepiej będzie podzielić się odpowiedzialnością.

Ostatni powód nie wynikał ze szlachetnych pobudek, pomyślał Jelbart, ale prawnik miał rację.

Ellsworth powiedział Jelbartowi, jak skontaktować się z Coffeyem. Poleciał mu zadzwonić do Penny Masterson, która miała opiekować się nim podczas konferencji.

Jelbart przekazał odpowiednie dyspozycje Murphy'emu. Poleciał mu też wysłać samolot do Sydney. Nie chciał tracić czasu, gdyby Amerykanin zgodził się niezwłocznie przyjechać.

Podczas gdy marynarz telefonował, Jelbart sporządził opis przebiegu zdarzeń i wysłał go e-mailem opatrzonym kodem Alfa do kontradmirała Iana Carricka z dowództwa australijskiej marynarki wojennej. Kod Alfa gwarantował, że z wiadomością zapozna się wyłącznie jej adresat. Potem sprawdził w komputerze, które z dzisiejszych i najprawdopodobniej jutrzejszych spotkań trzeba będzie odwołać. Miał nadzieję, że rozwiązanie problemu nie zajmie więcej niż dwa dni.

Gdyby przypuszczenia Jelbarta miały się nie sprawdzić, oznaczałoby to, że incydent przerodził się w poważny kryzys.

ROZDZIAŁ 6

Waszyngton, Środa, 19.33

- Co wiemy na temat przyczyn milczenia Shigeo Fujimy? - spytał Paul W jego pokoju siedzieli Bob Herbert i Mike Rodgers. Kończył się kolejny bezczynny dzień. Od początku tygodnia nie wydarzyło się nic ciekawego. Jakże często Hood pragnął, by ktoś zdjął z jego barków choć połowę spraw, którymi się zajmował. Teraz jednak z niepokojem patrzył na pustą przegródkę na dokumenty.

Jego rozdrażnienie było tym większe, że w domu nikt na niego nie czekał. Cóż za ironia losu, że właśnie natłok zajęć spowodował rozpad jego rodziny.

Pytanie Hooda zawisło w powietrzu jak piłka wybita łukiem wysoko w górę. Shigeo Fujima był szefem Biura Analiz i Wywiadu w japońskim ministerstwie spraw zagranicznych. Niedawno pomógł Centrum zażegnać kryzys w Botswanie, przy czym nie wiadomo było, skąd wiedział tak wiele na ten temat ani jaki miał w tym interes. Hood czuł, że coś tu nie gra, zwłaszcza że młody oficer nie odpowiadał na próby nawiązania z nim kontaktu.

-

Absolutnie nic. - Herbert przerwał wreszcie milczenie.

-

Czy próbujemy się dowiedzieć? - spytał Hood.

-

Kiedy dwie godziny temu pytałem techników, żaden z nich, nie wyłączając Matta Stolla, nie zdołał dostać się do komputerów Biura Analiz -

uzupełnił Herbert. - Stoll twierdzi, że dane, które nas interesują, dostępne są tylko z dedykowanych terminali.

-

Dziwiłbym się, gdyby było inaczej - mruknął Hood. - Biuro Analiz nie należy do łatwych partnerów.

Nagle przypomniał mu się test Daphne Connors z piaskownicą. Być może kobieta mogłaby tu coś zdziałać.

-

Wyślemy kogoś do Tokio? - spytał Rodgers. - Można by przejrzeć akta po godzinach urzędowania.

Rodgers stworzył ostatnio w ramach Centrum zespół szpiegowski. W jego skład wchodził zagraniczni agenci, którzy współpracowali z nimi w przeszłości. Trzech z nich wyróżniło się podczas inauguracyjnej akcji w Botswanie.

-

Kogo proponujesz? - spytał Hood.

-

Porozumiałem się z kilkoma facetami, z którymi wspólnie rozpracowaliśmy sprawę koreańskich rakiet balistycznych - odparł Rodgers. -

Dali mi namiary na parę zaufanych osób. Z niektórymi zdążyłem już po rozmawiać.

Wydaje mi się, że do akcji nadaje się doskonale Bibari Hirato, która przebywa w Tokio.

-

Mam wątpliwości - rzekł Hood. - Co skłoniło ją do działania przeciwko swojemu krajowi?

-

Japonia nie jest jej ojczyzną - wyjaśnił Rodgers.

-

Chyba że tak. - Herbert pokiwał głową.

-

Bibari jest córką koreańskiej prostytutki. Ojciec to jeden z trzystu czy czterystu japońskich żołnierzy, którzy się z nią zabawiali na początku wojny. Matka dała jej japońskie imię na wypadek, gdyby chciała przenieść się do tego kraju.

- I odegrać się na nich - dodał Herbert.

-

Można tak powiedzieć - zgodził się Rodgers.

-

Sprzeciw wycofany - uznał Herbert.

-

Mike, może by tak Bob ją przeświecił? - podsunął Hood. - Jeśli okaże się czysta, możemy brać się do roboty.

-

Zrobi to jutro - odrzekł Rodgers.

W tym momencie zadzwonił telefon Hooda. Jego sekretarz Bugs Bennet powiedział, że ma na łączach Lowella Coffeya z Australii.

-

Dziękuję - powiedział Hood.

-

Która tam teraz jest godzina? - spytał Herbert.

-

Jutrzejszy poranek - odparł Rodgers.

-

A więc za wcześnie na to, by Lowell zdążył doprowadzić kogoś do szafu podczas porannych obrad - zażartował Herbert i zamilkł, gdy Hood podniósł słuchawkę.

-

Dzień dobry, Lowell - odezwał się Hood. - Co słychać na antypodach?

-

Niespodzianka - odrzekł Lowell. - Właśnie jestem w drodze na lotnisko.

-

Dlaczego? Co się stało?

-

Nie jestem do końca pewien.

-

Są u mnie Bob i Mike. Przełączam cię na głośnik - wyjaśnił Hood.

-

Dobrze - odrzekł Coffey. - Mogą mi się przydać.

Hood nacisnął przycisk i odsunął się od telefonu.

-

Możesz mówić, Lowell.

-

Kilka minut temu zadzwonił do mnie współpracownik chorążego George'a Jelbarta z ośrodka wywiadu marynarki - opowiadał Coffey. - Poinformował

mnie o pewnym palącym problemie, jaki mają w Darwin. Rozmawialiśmy przez niezabezpieczoną linię, ale zdołałem się zorientować, że słowo „palący” może oznaczać tylko jedno.

-

Promieniowanie radioaktywne - powiedział Hood.

-

Otóż to - potwierdził Coffey.

Hood poczuł chłodny dreszcz pod koszulą.

-

Czy dysponujesz choćby szczątkowym obrazem sytuacji?

-

To wszystko, co wiem - odparł Coffey. - Facet dzwonił na komórkę, nic więc dziwnego, że nie chciał powiedzieć nic więcej ponad to, że czeka na mnie samolot, by odtransportować do Darwin.

Już po pierwszych słowach Herbert pochylił się nad klawiaturą laptopa, przymocowanego do jego wózka inwalidzkiego. Szef sekcji wywiadu stracił władzę w nogach podczas ataku bombowego na ambasadę w Bejrucie, w którym śmierć poniosła jego żona. Laptop miał bezprzewodowe połączenie z Internetem oraz zdalny dostęp do sieci komputerów Centrum, zrealizowany z wykorzystaniem bezpiecznego protokołu LEACH, który pozwalał na pracę w promieniu do stu pięćdziesięciu metrów od stacjonarnego komputera w jego gabinecie. Podczas gdy Hood rozmawiał z Coffeyem, Herbert już zdążył dobrać się do danych australijskiego departamentu obrony. Właśnie czytał teczkę personalną chorążego Jelbarta.

-

Czego się dowiedziałeś o tym Jelbarcie? - spytał Rodgers.

-

To twardy zawodnik - powiedział Herbert donośnym głosem, aby słyszał go także Coffey. - Zawodowy oficer, lat pięćdziesiąt dwa, dwukrotnie rozwiedziony, bezdzietny. Kieruje sekcją wywiadu do spraw ochrony wybrzeża, zna się na kartografii i rozpoznaniu elektronicznym. Ma całą stertę wyróżnień i pochwał oraz worek medali i odznaczeń.

-

Bob, czy w rejonie Darwin działają jakieś atomowe okręty podwodne? -

spytał Rodgers. - Może to wyciek?

-

Nie mam żadnych informacji na ten temat.

-

Mógł to być też reaktor z satelity, który wpadł do oceanu - podsunął Hood.

-

Biorę to pod uwagę - zgodził się Coffey. - Jednak żadna z tych ewentualności nie uzasadnia wezwania mnie przez Jelbarta. W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi o cywilne ofiary jakiegoś wypadku...

-

Być może o obywateli amerykańskich - wskazał Rodgers.

-

Właśnie. Ale w takim przypadku najpierw zawiadamia się ambasadę.

-

Niekoniecznie - włączył się Hood. - Być może coś przeszkrobali i potrzebują dupochronu. Zaangażowanie znanego na całym świecie obrońcy praw człowieka zdecydowanie poprawia obraz sytuacji.

-

Panowie, zanim z tego powodu zaczniemy wojnę z Australią, wolałbym sprawdzić obie możliwości - odezwał się Herbert.

Szef wywiadu wszedł w tajne dane amerykańskiego Departamentu Obrony i otworzył

„czerwoną listę” wywiadu morskiego - aktualizowany na bieżąco biuletyn dotyczący miejsca przebywania i statusu wszelkich jednostek o napędzie atomowym. To właśnie dzięki niej informacja o zatonięciu rosyjskiego okrętu podwodnego

„Kursk” w sierpniu dwutysięcznego roku dotarła najpierw do Pentagonu. Z listy można się było też dowiedzieć, co stało się z głowicami nuklearnymi dziewięciu pocisków balistycznych, które wydobyto z wraku i zabrano do tajnej stoczni Nerpa u wejścia do Zatoki Oleńskiej koło Murmańska. Na liście znajdowały się okręty o napędzie atomowym oraz pociski z głowicami nuklearnymi. Herbert stwierdził, że w interesującym ich rejonie operował tylko chiński okręt podwodny typu „Xia”, wyposażony w rakiety balistyczne. Nie było żadnej wzmianki na temat związanych z nim problemów. Potem Herbert wszedł na stronę Narodowego Biura Rozpoznania, aby sprawdzić informacje o satelitach zasilanych energią jądrową i naukowych stacjach badawczych. Nie znalazł informacji o zejściu z orbity któregośkolwiek spośród tych obiektów.

-

Szkoda, że to nie żaden z nich - powiedział.

Hood nie musiał pytać, dlaczego szkoda. Skoro nie chodziło o wypadek, najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było nielegalne stosowanie technologii jądrowej, być może transport materiałów rozszczepialnych lub broni nuklearnej.

-

Lowell, czy w rejonie Darwin są jakieś elektrownie jądrowe? - spytał

Rodgers.

-

Zadałem już to pytanie mojej australijskiej opiekunce-powiedział Coffey.

- Jej zdaniem nie ma żadnych.

-

Racja, Lowell - odezwał się Herbert. - Nie bierz tego do siebie, ale trochę mnie niepokoi, że zwrócili się z tą sprawą właśnie do ciebie, a nie do oficjalnego przedstawiciela władz państwowych.

-

Mnie także - przyznał Coffey.

-

Skąd pewność, że tego nie zrobili? - spytał Hood.

-

Powiedzieli mi, że wiem o tym tylko ja.

-

Asystent Jelbarta nie musiał być we wszystko wtajemniczony - zauważył

Hood. - O ile nam wiadomo, amerykańska ambasada została już powiadomiona. Na razie nie możemy zrobić nic więcej, dopóki nie uzyskamy dodatkowych informacji.

-

Zapewne mamy tu do czynienia z kwestią prawną - oznajmił Herbert. -

Dlatego potrzebny im jest ktoś taki jak Lowell, z szeroką wiedzą na temat prawa międzynarodowego.

-

To brzmi sensownie - stwierdził Hood. - Lowell, ile czasu zajmie ci dojazd na lotnisko?

-

Około piętnastu minut.

-

Może wtedy coś się wyjaśni. Informuj nas, gdy tylko się czegoś dowiesz.

-

Jasne.

Hood życzył mu powodzenia i się rozłączył. Popatrzył na pozostałych.

-

Bob, czy występowały w tym rejonie przypadki nielegalnego handlu materiałami rozszczepialnymi?

-

Przypuszczalnie tak - powiedział Herbert.

-

O rany, pamiętam czasy, gdy agencje wywiadowcze bawiły się w przypuszczenia - westchnął Rodgers.

-

To było dawno, kiedy udawałeś zająca w Wietnamie - odrzekł Herbert. -

Wówczas dysponowaliśmy agenturą w każdej, nawet najbardziej zakazanej dziurze na całym świecie. A potem pojawili się ludzie od rozpoznania elektronicznego i stwierdzili, że nie ma już potrzeby narażania ludzkiego życia. Mylili się. Satelita nie jest w stanie zajrzeć pod pokład frachtowca lub zbiornikowca.

-

To jak w końcu jest z tym nielegalnym handlem? - spytał Hood, wracając do tematu.

-

Podejrzewamy, że terroryści i kraje bandyckie z obszaru Pacyfiku wykorzystują statki handlowe i prywatne jachty do transportu broni jądrowej oraz komponentów do jej wytwarzania. Niestety, nie mamy na to dowodów. W

ostatnich latach okręty i samoloty patrolowe w wielu państwach na całym świecie, nie wyłączając Australii, wyposażono w detektory promieniowania. Urządzenia te mierzą promieniowanie gamma lub natężenie strumienia neutronów, w zależności od tego, czy służą do wykrywania pierwiastków promieniotwórczych, czy gotowej broni. Jak dotąd nic nie znaleziono.

-

To o niczym nie świadczy - zauważył Rodgers. - Wystarczy odpowiednia osłona z ołowiu.

Herbert pokiwał głową.

-

Dlatego potrzebujemy więcej ludzi do obserwacji potencjalnych handlarzy w portach początkowych i docelowych. Zajmują się tym CIA i FBI, ale liczba agentów rośnie bardzo powoli.

-

W porządku - powiedział Hood. - System jest dziurawy. Mówisz jednak, że Australijczycy dysponują możliwością przechwycenia promieniotwórczego ładunku, czy tak?

-

Tak - odrzekł Herbert. - I jeśli właśnie mamy do czynienia z taką sprawą, może być wiele przyczyn, dla których chcą, aby przyjrzał się temu ktoś taki jak Lowell.

Hood polecił Herbertowi i Rodgersowi, aby wrócili do swoich gabinetów i ustalili, czy nie mają jakichś dodatkowych źródeł informacji do sprawdzenia.

Miał ich zawiadomić w razie, gdyby zadzwonił Coffey.

Po ich wyjściu popatrzył na stojące na biurku zdjęcie Harleigh i Alexandra.

Chciałby móc cofnąć czas o dziesięć minut. Odpowiedzialność związana ze zwalczaniem nuklearnego terroryzmu była ogromna, bowiem niepowodzenie pociągało za sobą wręcz przerażające konsekwencje.

Bez względu na to, czy tego chciał, czy nie, odpowiedzialność mogła spaść właśnie na jego barki. Pozostawała nadzieja, że sprawa okaże się mniej groźna, niż sobie wyobrażał.

ROZDZIAŁ 7

Sydney, Australia, Czwartek, 10.01

To było jak rozmowa ze ścianą.

M. Lowell Coffey miał pewną charakterystyczną cechę - kiedy nie otrzymywał tego, czego chciał, stawał do walki o to, co mu się należało.

Spokojnie, lecz z niezachwianą determinacją. I nie miało znaczenia, czy adwersarzem był prezydent, czy sprzedawca samochodów.

Tym razem jednak sytuacja należała do wyjątkowych.

Coffey i Penny dotarli do krajowego terminalu cargo, obszernego, choć niskiego budynku, który wyglądał na obiekt z lat sześćdziesiątych. Położony był z dala od innych zabudowań portu lotniczego. Penny zaparkowała samochód między ciężarówkami z naczepami kontenerowymi. Przeszli razem do dyżurki w głównym hangarze. Tam czekał na nich człowiek z MIC - mat o chłopięcej twarzy. Jego nazwisko, widoczne na naszywce, brzmiało Lady, czyli - jeśli chodzi o pretekst do drwin - było gorsze niż Date. Coffey ocenił wiek marynarza na około dwadzieścia pięć lat. Mat sprawdził jego paszport i podziękował mu za przybycie.

Oznajmiając, że zaprowadzi go do samolotu, sięgnął po mały radiotelefon, przypięty do pasa. Był uprzejmy, rzeczowy i nieskory do udzielania jakichkolwiek informacji. To oburzyło Coffeya, który odmówił pójścia do samolotu.

-

Słuchajcie no, Lady, zanim wsiądę do samolotu, chciałbym uzyskać kilka informacji. Przede wszystkim pragnę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział Coffey głośno, aby przebić się przez jazgot wózków widłowych, transportujących pojemniki i kontenery.

-

Bardzo mi przykro, sir, ale nic nie mogę panu powiedzieć - odparł młody człowiek.

-

W takim razie nigdzie nie lecę. - Coffey obruszył się.

-

Źle mnie pan zrozumiał. Nie mogę, bo sam nic nie wiem - wyjaśnił Lady. -

Mogę jedynie połączyć pana z moim przełożonym, jeśli pan sobie tego życzy. Zresztą on też nie wie więcej ode mnie. To ściśle tajna operacja.

Każdy wie tylko tyle, ile musi.

-

Aleja muszę wiedzieć więcej, podobnie jak moi przełożeni. - Coffey nie ustępował, wymachując mu przed nosem trzymanym w ręku telefonem. -

Co mam im powiedzieć?

-

Naprawdę chciałbym panu pomóc. Wszelkie informacje otrzyma pan za dwie godziny, kiedy dotrzemy na miejsce - powiedział Lady, unosząc rękę z radiotelefonem. - Pilot czeka na rozkaz startu. Co mam mu powiedzieć?

Gdyby chłopak włączył radiotelefon, Coffey odwróciłby się na pięcie i odszedł do samochodu. Ale mat Lady nie zrobił tego. Zachował postawę pełną szacunku, pokazując zarazem, że nie dał się nabrać na gierki Coffeya.

Amerykanin zwrócił się do Penny:

-

Wygląda na to, że czeka mnie dwugodzinny lot. Dam ci znać natychmiast, kiedy się tylko czegoś dowiem.

-

Nie ma problemu - odrzekła Penny.

-

Owszem, jest. Mam tylko nadzieję, że to nie misterna intryga Ellswortha, mająca na celu uniemożliwienie mi wygłoszenia przemówienia.

-

Ellsworth to oślizgły ścierwojad. Jeśli okaże się, że to był rzeczywisty powód wezwania, prześlij mi tekst e-mailem. Odczytam go za ciebie.

Coffey podziękował jej i skinął na mata, aby pokazał mu drogę. Odchodząc, zawołał przez ramię:

-

Co to jest oślizgły ścierwojad?

-

Mój ojciec jeździł na taksówce! - odkrzyknęła. - Nazywał tak kierowców, którzy wciskali się przed innych, żeby podebrać klienta.

-

Dobre!

Pomachał jej ręką i wyszedł z hangaru na płytę lotniska.

Stał tam Lockheed P-3C - duży, szary samolot, napędzany czterema silnikami turbośmigłowymi. Miał trzydzieści pięć metrów długości i prawie trzydzieści metrów rozpiętości. Coffey jak dotąd leciał samolotem z takim napędem tylko raz, na Bliski Wschód, wraz z ekipą terenowego biura Centrum. Pamiętał straszliwy hałas i wibracje i nie sądził, by tym razem miało być inaczej.

Ponieważ był to lot transportowy, a nie zadanie bojowe, znajdujące się z tyłu samolotu stanowisko koordynatora taktycznego było puste. Kiedy mat Lady przekazał Coffeya pod opiekę załogi, dowódca polecił mu je zająć. Stwierdził, że jest to najwygodniejsze i najbardziej przytulne miejsce w samolocie. Maszyna ruszyła, zanim prawnik przypasał się do czerwonego, wytartego fotela.

Samolot z rykiem silników oderwał się od ziemi. Coffey siedział w ciasnej kabinie w kształcie połówki pięciokąta, zwrócony twarzą w stronę lewej burty kadłuba. Spłowiałe metalowe panele pełne były przycisków, ekranów, staromodnych przełączników i zegarów. Za plecami miał niezastłonięte okno. Słońce prażyło go w kark i oświetlało przyrządy pomiarowe. Gdyby godzinę

temu miał wymienić wszystkie miejsca, w których może się znaleźć tego ranka, na pewno nie byłoby wśród nich tylnej części kadłuba patrolowego samolotu lotnictwa morskiego Australii.

Niezwykłość całej sytuacji była jednak niczym wobec ciekawości Coffeya, jakież to tajemnicze sprawy czekają go u kresu tej podróży. Prawnik był bardzo podekscytowany faktem, iż znalazł się w odpowiednim czasie i miejscu, by wziąć w tym udział, cokolwiek by to było. Z zadowoleniem myślał o możliwości wykazania się i czekających go nieznanym zadaniach. Utwierdzało go to w przekonaniu, że nie trzeba brudzić sobie rąk polityką, aby zrobić coś dobrego dla ludzi.

Podczas trwającego sto szesnaście minut lotu nikt z załogi nawet nie zająknął do niego, nie mówiąc o zaproponowaniu filiżanki kawy czy poduszki. Podróż nie należała do wygodnych. Coffey zastanawiał się, czy lotnicy posłali go na tył celowo, aby nie zawracał im głowy pytaniami. Siedząc samotnie, zaczął rozmyślać o stylu zarządzania stosowanym przez Paula Hooda.

Hood zawsze mówił to, co wiedział - nie robił z niczego tajemnicy. Czasem nie wolno mu było powiedzieć wszystkiego, ale wówczas od razu o tym informował.

Uchylenie się od odpowiedzi uważał za lekceważenie rozmówców. Miał swoje wady, ale zawsze traktował ludzi poważnie.

Samolot wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym w Darwin. Pojedynczy, duży budynek terminalu był cały biały. Coffey pomyślał ze zdziwieniem, że w Australii chyba wszystko jest białe. Lotnisko znajdowało się w odległości około siedmiu kilometrów od miasta i było podzielone na części cywilną i wojskową.

Stacjonowały na nim głównie maszyny australijskich sił powietrznych, ale korzystały z niego także samoloty patrolowe ośrodka wywiadu marynarki.

Coffey nawet nie wszedł do budynku terminalu. Samolot zatrzymał się z dala od niego, obok kilku stojących na płycie myśliwców F-18. Pilot zszedł wraz z nim po opuszczonym z tyłu trapie i odprowadził go do oczekującej czarnej limuzyny.

-

Proszę o odpowiedź na pytanie - odezwał się Coffey, gdy stąpając po szorstkim betonie, przemierzali krótki dystans, dzielący ich od samochodu. -

Czy celowo umieściliście mnie samego jak palec w najdalszym kącie samolotu?

Wystarczy, kapitanie, że powie pan tak albo nie.

-

Tak, sir, zrobiliśmy to celowo.

-

Pytanie uzupełniające - kontynuował Coffey. - Z jakiego powodu?

-

Taki otrzymaliśmy rozkaz, sir - odparł pilot.

W porządku, pomyślał Coffey, facet przynajmniej jest szczery.

Pilot odsalutował podoficerowi stojącemu obok samolotu, przekazał mu Coffeya i oddalił się. Mat otworzył drzwi, wpuszczając Coffeya do wnętrza samochodu.

Przednie fotele oddzielała od tylnych szklana przegroda. Najwyraźniej nie chciano, aby rozmawiał z kierowcą.

Samochód ruszył. Coffey zauważył, że mijają las wysokich, kolorowych kamiennych słupów, stojących na niewielkim, porośniętym zielenią poletku obok budynku.

Wiedział z przewodnika, który przeczytał podczas lotu do Australii, że są to słupy pogrzebowe, pozostałość po ceremonii Tiwi Pukumani - pochówku aborygenów, zamieszkujących Terytorium Północne. Podczas uroczystego obrządku pełniły rolę żałobnych totemów, a potem pozostawiano je nad mogiłami jako nagrobne pomniki.

Słupy pokryte były rzeźbami, upamiętniającymi zmarłych rdzennych mieszkańców tych okolic. Coffey rozmyślał o tym, jak wiele uczucia musiał wkładać rzeźbiarz w wykonanie stylizowanych wizerunków zmarłych ze swego szczepu lub wioski. Miało to dla niego dużo głębszy sens niż praca kamieniarzy, wykuwających zupełnie obojętne im nazwiska w kawałku marmuru.

Co więcej, słupy nie były białe. Pomalowano je w jaskrawe barwy, jakby na chwałę życia.

Jechali w kierunku śródmieścia Darwin. Coffey spoglądał na lśniące wody morza Timor. Uderzył go pewien paradoks. Od chwili wylotu z Sydney napotkał na swej drodze milczącego pilota, milczącego kierowcę oraz szereg milczących totemów. Z

tego milczącego towarzystwa treścią emanował tylko jeden element - ten wykonany z kamienia.

ROZDZIAŁ 8

Morze Celebes, Czwartek, 12.12

Dla postronnego obserwatora spotkanie tych dwóch jednostek mogło wydawać się zupełnie przypadkowe. Z pokładu statku, samolotu czy nawet satelity szpiegowskiego wyglądało to tak, jakby pochodzący z demobilu kuter oferował

pomoc załodze jachtu. Okręt i jacht przez krótką chwile stały obok siebie - nie dłużej niż piętnaście minut. Potem kuter odpłynął, a jego kapitan ceremonialnie pomachał na pożegnanie napotkanym morskim podróżnikom.

W rzeczywistości zdarzenie to nie było ani niewinne, ani przypadkowe.

Czterdziestosiedmioletni Peter Kannaday, wysoki, szpakowaty kapitan jachtu

„Hosanna” miał wyznaczone spotkanie z prywatnym kutrem po zapadnięciu zmroku, tak by nikt nie zobaczył ich razem. Jednak wskutek eksplozji na sampanie w kadłubie powstało pęknięcie. Ścisłej rzecz ujmując, uszkodzenia dokonały wiosło, szczątki kadłuba oraz ciało jednego z piratów, które z wielką siłą uderzyły razem o burtę jachtu. Szczelina nie była dłuższa niż metr i znajdowała się dość wysoko ponad linią wody. Traf chciał, że właśnie w tym miejscu znajdowało się połączenie wręgi z poszyciem, dlatego sprawa okazała się dość kłopotliwa, a nawet niebezpieczna. Trzeba było zatrzymać się i dokonać naprawy. Na szczęście w tym rejonie nie było żadnych innych jednostek. Kannaday miał to na uwadze, wybierając trasę rejsu.

Kapitan jachtu obserwował czerwony kadłub oddalającego się kutra. Z głośnym warkotem wysokoprężnych silników sześćdziesięciometrowy okręt pruł powierzchnię morza pod nieskazitelnym błękitem nieba. Niegdyś należał on do południowokoreańskiej marynarki wojennej, która zakupiła go w Stanach Zjednoczonych w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Obecnie stanowił

własność Mahathira bin Dahmana z Malezji i wykorzystywany był jako jedno z ogniw jego globalnego systemu utylizacji odpadów. Jaafar, kapitan kutra, powiedział, że Dahman niepokoił się ryzykiem, jakie stwarzał przeładunek za dnia. Jednak Jaafar zapewnił go, że wszystko będzie w porządku. Dahman zaufał swojemu wysłannikowi i się nie rozczarował - obyło się bez wpadki.

Jednak Kannaday obawiał się, że jego zwierzchnik nie będzie tak wyrozumiały.

Złościł się, że sam musi się o to martwić. Na jachcie była ochrona i to jej szef, zatrudniony osobiście przez samego pryncypała, powinien wziąć na siebie całą odpowiedzialność za tę sprawę.

Kannaday zszedł pod pokład. Wyciągnął z kieszeni skręta, przypalił i zaciągnął

się szybko kilka razy. Tuż przed nim zeszło na dół pięciu ochroniarzy. Właśnie odkładali pistolety maszynowe na stojaki. Podczas transportu cały czas trwali w stanie podwyższonej gotowości.

Reszta załogi zajmowała się swoimi obowiązkami, prowadząc jacht z powrotem do Australii.

Właścicielem jachtu był Kannaday. Kilku ludzi z załogi pływało wraz z nim już od paru lat. Byli lojalni, choć niekoniecznie w stosunku do niego. Cenili sobie nieopodatkowany zarobek oraz fakt, że robota była lekka. Prawie przez cały czas podróży „Hosanna” udawała zwykły jacht wycieczkowy, wynajmowany przez turystów i wędkarzy. Załoga starała się, by jacht widziano możliwie w wielu miejscach.

Część marynarzy udawała klientów. Jednak pomiędzy jednym a drugim pokazowym rejsem jacht

zamieniał się w statek przemytniczy, prowadzony przez doświadczonych szmuglerów. Przerzucali oni ludzi i towary między dowolnymi miejscami na całej południowej półkuli, od Australii po Afrykę Południową.

Ochroniarze nie podlegali Kannadayowi. Mieli własnego szefa, Johna Hawke'a, który pracował dla Jervisa Darlinga. Pomiędzy nimi a starą załogajachtu można było wyraźnie wyczuć brak zaufania. Jak dotąd nie zdarzyło się jeszcze, by ludzie Kannadaya musieli bronić statku albo ładunku. Jednak gdyby zaistniała taka konieczność, na pewno daliby sobie radę. Natomiast podwładni Hawke'a nigdy wcześniej nie pływali na jachcie. Wśród członków obu tych grup panowało wzajemne przekonanie, że potrafią lepiej wykonać robotę adwersarzy. Niestety, wydarzenia ostatniej nocy zwiększyły napięcie między oboma obozami. Marynarze twierdzili, że ochrona powinna była wcześniej zauważyć sampan skradający się w mroku. Miała przecież do dyspozycji radar i sonar, zainstalowany przez techników Darlinga.

Niestety, sampan był mały i dosłownie prześliznął

się pod wiązką radaru. Ludzie Kannadaya uważali również, że po zidentyfikowaniu intruza ochroniarze powinni przewidzieć obecność materiałów wybuchowych na pokładzie sampana. Można byłoby zawczasu zmienić kurs i uniknąć zagrożenia, tak jak to robili wcześniej, zanim zaczęli pracować dla Darlinga. Lecz ustalenia pomiędzy Darlingiem a jego kontrahentami nie pozostawiały marginesu czasu na ucieczkę. Najważniejsze było jak najszybsze załadowanie i przekazanie towaru.

Jak na ironię, nie licząc nieszczęsnej eksplozji, wszystko odbyło się tak jak powinno. System zabezpieczeń zadziałał prawidłowo, odpowiednia była też reakcja na zagrożenie. Godzinę przed wyznaczonym spotkaniem z Jaafarem na ekranie nowoczesnego radaru morskiego pojawiło się niepokojące echo. Marcus, bratanek Darlinga, który siedział w kabinie radiowej przed siedmocalowym kolorowym monitorem, natychmiast zgłosił to Kannadayowi. Zbliżający się sampan był pod ciągłą obserwacją dzięki kamerze noktowizyjnej umocowanej na grotmaszcie. Na tej podstawie uznano, że załogę łodzi stanowią piraci, przygotowujący się do ataku.

Grupa ochrony wyszła na pokład, by zlikwidować zagrożenie. Strzelcy celowali w ludzi, nie w sampan, aby uniknąć wybuchu paliwa lub amunicji. Jednak ostrożność na nic się zdała. Zapis wideo ujawnił przyczynę eksplozji. Kule trafiły w materiał wybuchowy, który jeden z piratów miał przy sobie. Być może napastnicy zamierzali unieruchomić jacht, aby opóźnić pościg. W rezultacie doszło do wybuchu, a następnie do uszkodzenia kadłuba. Czegoś takiego nie dało się przewidzieć, nie sposób też było przygotować się na taką ewentualność.

Na jachcie znajdowało się dziesięć pomieszczeń. Sześć z nich zajmowała załoga.

Pozostałe to zbrojownia, kabina radiowa i kabina Kannadaya; w ostatnim znajdował

się ładunek. Właśnie to pomieszczenie zostało uszkodzone. Korytarzem wysłanym chodnikiem Kannaday doszedł do pomieszczenia, w którym wciąż trwały prace naprawcze. Na szczęście ściany wewnętrzne nie zostały naruszone. Staął

naprzeciwko szefa ochrony, trzydziestojednoletniego Johna Hawke'a.

Hawke wyglądał zgoła inaczej niż Kannaday. Był mocno zbudowany, mierzył prawie sto osiemdziesiąt centymetrów. Był synem Kanadyjczyka i aborygenki. Mieszkańcy jego rodzinnej miejscowości Cootamundra, leżącej w Australii Południowej, nazywali takich jak on „kundlami”. Jednak nikt, kto znał Hawke'a osobiście, nie zwracał się do niego w ten sposób. Milczący marynarz nie rozstawał się z womerą, zatknietą za szarfę przewieszoną przez ramię. Zakrzywiony kij, służący do miotania grotów z dużą siłą i celnością, był tradycyjną bronią plemienia Daruków. Kannaday obserwował Hawke'a, gdy dla wprawy polował na morskie ptaki.

Celował w oczy. Krzyki trafionych mew były dla niego najpiękniejszą muzyką.

Tylko w takich chwilach Kannaday widział uśmiech na jego twarzy.

Hawke miał jasnoszare oczy, które odcinały się wyraźnie od ciemnordzawej karnacji twarzy. Czarne, kręcone włosy spinał w kucyk opadający na ramiona.

Poruszał się pewnie i płynnie, w sposób typowy dla człowieka, który większą część życia spędził na pokładach statków. Zdziwiająco natomiast było to, że prawie bez przerwy pogwizdywał. Za wyjątkiem nocnej wachty na pokładzie, wciąż gwizdał ludowe melodie. Nikt nie pytał, dlaczego to robi, nikt też nigdy nie poprosił go, aby przestał. Nie dość, że wyglądał na zabijakę, to jeszcze został wybrany do tej roboty osobiście przez samego Darlinga.

Hawke, ze słuchawkami na uszach, stał u wejścia do ładowni i rozmawiał z trzema pracującymi wewnątrz ludźmi. Kannaday wyciągnął do niego rękę ze skrzytem, proponując macha, ale Hawke odmówił szybkim ruchem głowy.

-

Jak idzie? - spytał Kannaday.

-

Pan Gibbons twierdzi, że naprawili kadłub w stopniu wystarczającym, aby bezpiecznie dopłynąć do jakiejś zatoki - odrzekł Hawke.

-

To dobrze - powiedział Kannaday. - Podziękuj chłopcom ode mnie.

Poinformuję o tym szefa.

Hawke nie zareagował. Można się było tego po nim spodziewać. Nigdy nie robił ani nie mówił nic ponad to, co niezbędnie konieczne.

Kannaday minął go i poszedł dalej korytarzem. Zerknął przez ramię na ochroniarzy, wracających ze

zbrojowni do swych kabin. W przedniej kabine pasażerskiej na lewej burcie urządzone było laboratorium. W tylnej kabine na prawej burcie mieściła się radiostacja. Na śródokręciu znajdował się barek przedzielony ścianką na dwa pomieszczenia. Lewą stronę zajmowały hamaki ekipy ochroniarskiej, po prawej sypiała załoga Kannadaya. On sam miał własną kabinę na rufie. Ochroniarze wychodzili na pokład tylko podczas przeładunku lub w przypadku zagrożenia. Na zewnątrz „Hosanna” wyglądała jak zwykły jacht wycieczkowy.

Kannaday zapukał do kabiny radiowej. Nie czekając na zaproszenie, przecisnął się przez wąskie wejście do pozbawionego okien pomieszczenia. Powietrze napływało tu wyłącznie dzięki wentylacji, której przewód znajdował się w ciasnym korytarzu technicznym, biegnącym wzdłuż całego jachtu. Przechowywano tam żelazne zapasy, a czasem także niezagrażający zdrowiu ładunek, czyli uchodźców politycznych lub narkotyki.

Leżący na koi zielonowłose barczysty radiotelegrafista uniósł wzrok. Marcus Darling był bratankiem szefa. Miał dwadzieścia pięć lat i wyższe wykształcenie w dziedzinie elektroniki. Zachowywał się bezczelnie, świadom przywilejów płynących z rodzinnych koneksji. Większość czasu spędzał w pozycji leżącej, w koi lub na pokładzie, czytając książki fantasy i science fiction lub oglądając filmy na DVD na swym laptopie. Czasami od niechcienia sprawdzał

rakietnice sygnałowe, bowiem w razie wypadku odpowiadał za nadawanie wezwań o pomoc. Tak naprawdę chciał zostać szefem jednego z należących do Darlinga studiów filmowych efektów specjalnych w Stanach Zjednoczonych lub w Europie.

Stryjek Jervis obiecał mu to pod warunkiem, że przepracuje rok na jachcie.

Trzy lata temu Marcus wyposażył „Hosannę” w samodzielnie wykonaną radiostację do kodowanej łączności. Był wówczas studentem, a Jervis Darling dopiero przygotowywał plany swojej operacji. Marcus włamał się do sieci komputerowej NATO i wykradł stamtąd listę komponentów polowego systemu bezpiecznej łączności radiowej. Najważniejszym elementem był cyfrowy moduł kodujący, który działał w połączeniu z analogowym urządzeniem nadawczo-odbiorczym. Ten kontrolowany komputerowo układ nieustannie zmieniał częstotliwość nadawania, jednocześnie wysyłając sygnały sterujące do odbiornika. Bez odpowiedniego oprogramowania transmisja była praktycznie niemożliwa do odczytania.

Kiedy Kannaday zamykał drzwi, Marcus odłożył czytaną książkę i podniósł się z koi. Jako radiooperator pełnił służbę właściwie bez przerwy, dlatego kabina radiowa była jednocześnie jego sypialnią. Upchnięto tu także urządzenia radarowe i cały sprzęt radiowy, który wisiał na ścianie naprzeciwko posłania. Kannaday oparł się o drzwi. Marcus podszedł do pulpitu, który właściwie był przymocowaną do ściany szeroką półką, biegnącą przez całą długość kabiny, i opadł na reżyserskie krzeselko z płóciennym obiciem.

-

No i co, Peter, tym razem nie słyszałem żadnych strzałów - odezwał się Marcus.

-

Czasami udaje się nam utrzymać porządek - odparł Kannaday. Już dawno zrezygnował ze starań, aby zmusić szczeniaka do tytułowania go kapitanem. Na szczęście Marcus nie wyrywał się z poufałościami w towarzystwie innych członków załogi, ale na osobności zawsze lubił wsadzić mu szpilę.

-

Nie bądź taki skromny - powiedział Marcus. - W większości przypadków ty i twoja załoga działacie bez zarzutu.

-

Wyczuwam w twoim głosie jakieś „ale” - zauważył Kannaday.

-

Masz dobry słuch. To „ale” wiąże się z osobą stryjka Salty, który lubi, kiedy wszystko przebiega zgodnie z planem. Nie znosi filmów robiących klapę, czasopism nieprzynoszących zysków oraz nieruchomości, które tracą wartość.

Salty było popularnym przezwiskiem Jervisa Darlinga, używanym w australijskich mediach. Wzięło się od wielkiego, podstępного krokodyla, który żył w słonych wodach Terytorium Północnego. Kannaday nie miał pojęcia, czy Darling lubił to określenie, czy nie.

-

To zupełnie inny biznes - odrzekł Kannaday. - W tym fachu zawsze jest jakiś margines niepewności.

-

Pewnie masz rację - przyznał Marcus. Włączył radiostację i założył na głowę słuchawki z mikrofonem, po czym dodał:

-

Problem polega na tym, że nie możemy sobie pozwolić na żadną niepewność.

-

Co masz na myśli?

-

Niepowodzenie może mieć dla każdego z nas dużo gorsze skutki niż straty finansowe.

Kannaday, z trudem bo z trudem, ale musiał przyznać rację Marcusowi. W tym przedsięwzięciu jakkolwiek błąd mógł oznaczać śmierć albo, co gorsza, powolne umieranie, z którego śmierć była jedynym wybawieniem. Z drugiej strony, zarówno Kannaday, jak i ludzie z załogi jachtu mieli świadomość, że ryzyko im się opłaci. Kannaday zarabiał tygodniowo siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, a każdy z jego ludzi sześć tysięcy. Darling deponował należności w banku na Kajmanach, skąd mogli je podjąć po każdym dwuletnim okresie trwania umowy. Do pierwszej wypłaty pozostawało im sześć miesięcy. Ponadto pracodawca nie wymagał, by zajmowali się przemysłem - narkotyków, broni czy terrorystów. Ponieważ znali już kilku ważnych uczestników tej gry, rotacja personelu była niewielka, rzadko zdarzały się też jakieś niespodzianki. Tylko jedno w tym wszystkim nie pasowało Kannadayowi - dlaczego wszedł w ten interes Jervis Darling. Kapitan nie rozumiał, co mogło skłonić multimilionera do podejmowania tak wielkiego ryzyka.

Marcus połączył się z osobistym sekretarzem Jervisa, Andrew Grahamem, który przebywał w jego posiadłości w Cairns. Sekretarz przełączył rozmowę na prywatną linię. Kannaday założył na głowę słuchawki z mikrofonem, które podał mu Marcus.

Ponieważ radiotelegrafista nie ustąpił mu miejsca, Kannaday musiał pochylić się nad pulpitem. Tuż przed nim wisiał na ścianie spektrometr. Od jego podstawy biegł przewód do komputera Marcusa. Drugi kabel przypięty był do akumulatora.

Urządzenie pobierało bardzo dużo prądu, ale nie mogli się bez niego obejść.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, sąsiadowało z laboratorium. Gdyby nastąpił radioaktywny wyciek, program uruchomiony na komputerze Marcusa natychmiast zarejestrowałby wzrost promieniowania i włączył alarm.

Przełączanie trwało około pięciu sekund. Kannaday odniósł wrażenie, że to najdłuższe pięć sekund w jego życiu. Sięgnął po papierosa i zaciągnął się łapczywie. Sześćdziesięcioletni Jervis Darling zazwyczaj mówił bardzo spokojnie, ale to były tylko pozory. Zawieszając głos lub milcząc, potrafił

wyrazić więcej niż inni za pomocą słów. Jego reakcja na wiadomość o eksplozji była bardzo stonowana. Poleciał tylko, aby „zrobić z tym porządek”. Kapitan jachtu zmroził monotony głos i sposób, w jaki Darling zaakcentował słowa

„zrobić” i „porządek”. Liczył na to, że informacja o udanym przekazaniu ładunku otrzymana ze statku Dahmana trochę poprawiła mu humor.

-

Proszę mówić - powiedział Andrew.

-

Sir, przeładunek zakończony pomyślnie - zameldował Kannaday. Nigdy nie zwracał się do Darlinga po nazwisku, kiedy kontaktowali się przez radio. Choć było to mało prawdopodobne, zawsze istniała możliwość, że rozmowa zostanie przechwycona i rozkodowana.

-

W porządku - odpowiedział Darling. - Porozmawiamy o tym, kiedy pan wróci... kapitanie.

W słuchawce rozległ się trzask. Kannaday poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Nie spodziewał się całkowitego rozgrzeszenia, ale miał

nadzieję przynajmniej na obojętność. Nic z tych rzeczy. Między słowami „wróci” i

„kapitanie” była długa pauza. Nie wiedział, czy miało to oznaczać „to ty byłeś odpowiedzialny za bezpieczeństwo statku”, czy też „naciesz się swym tytułem, póki go jeszcze masz”. Ściągnął z głowy słuchawki.

-

Czyżby stary krokodyl cię ukąsił? - spytał Marcus.

-

Owszem. I nawet nie musiał otwierać swojej cholernej paszczy - odparł

Kannaday, otwierając drzwi.

-

Nie przejmuj się - uspokoił go Marcus. - Może mu przejdzie. Nie załapałeś się na pierwszą falę jego gniewu, więc istnieje szansa, że w ogóle ujdzie ci to na sucho. Kiedy byłem mały, zetknąłem się z taką sytuacją na planie filmowym. Gwiazda, którą zaangażował stryjek Salty, tak się guzdrała, że po trzech dniach zdjęciowych reżyser miał już sześć dni spóźnienia. Stryjek nie mógł zbesztać znanej aktorki, więc wsiadł na jedną z jej garderobianych. Pojawił się wcześniej rano na planie i zmieszał ją z błotem za to, że za wolno pracowała. W sumie nic wielkiego, zwymyślał tylko służącą, ale po tym zdarzeniu gwiazda wzięła się ostro do pracy.

-

Muszę ostrzec swojego lokaja, żeby miał się na baczności - mruknął

Kannaday. - Ale to nie jest film. Twój stryj nie odpuści, bo takiej wpadki nie może odpisać sobie od podatku.

- To prawda - Marcus wzruszył ramionami i wrócił na koję. - Chciałem tylko rozniecić promyczek nadziei. Nie ma o czym mówić.

Sięgnął po książkę i pograżył się w lekturze.

Kannaday wyszedł z kabiny radiowej. Niepotrzebnie wdawał się w rozmowę z Marcusem. Nie dość, że szczeniak kpił sobie z niego, to jeszcze najprawdopodobniej kombinował coś do spółki z szefem ochrony. Kannaday był o tym przekonany, choć właściwie nie miał się o co przyczepić. Może zwyczajnie się przyjaźnili. Jednak zawsze, kiedy widział ich razem, sprawiali takie wrażenie, jakby zostali przyłapani na gorącym uczynku. To znaczy Hawke w charakterystyczny dla siebie sposób emanował zawziętością i nieustępliwością, a Marcus był

powściągliwy, czujny i ostrożny.

Kannaday wszedł do swojej kabiny na samym końcu jachtu. Deski podłogi zaskrzypiały pod jego ciężarem. Zamknął drzwi i zagapił się w mały iluminator.

Nie widział morza ani nieba, ani słonecznej poświaty na kuloodpornym szkle.

Nurtowało go jedno pytanie -jak zachowa się Darling w czasie bezpośredniej rozmowy.

Nie mógł go zwyczajnie odprawić bez wypłaty, bo Kannaday za dużo wiedział o jego interesach. Poza tym potrzebowałby innego jachtu. Gdyby przejął „Hosannę”, nowy kapitan musiałby się tłumaczyć, co się stało z jego poprzednikiem.

Przeprowadzono by dochodzenie. Kannaday raczej nie spodziewał się, by Darling chciał go zabić. Co prawda chodziły słuchy, że w przeszłości zdarzały się takie przypadki, ale marynarze z jachtu nie byli głupi. Gdyby cokolwiek mu się przytrafiło, wyprowadziliby jacht w morze i rozpierzchli się w jednym z ruchliwych portów. Poza tym Kannaday nie przypuszczał, by Darlingowi opłacało się unicestwienie sprawdzonego bądź co bądź systemu.

Naturalnie szef mógł rozważać zupełnie inne rozwiązanie. Mógł uznać, że ludziom, którzy dla niego pracują, przyda się lekcja pogładowa, aby uzmysłowili sobie, że żadna wpadka nie będzie tolerowana.

Tego najbardziej obawiał się Kannaday. Wiedział, że istnieje tylko jeden sposób, aby się zabezpieczyć. Musiał zaatakować pierwszy. I właśnie przyszło mu do głowy, jak się do tego zabrać.

ROZDZIAŁ 9

Morze Celebes, Czwartek. 12.33

Kuter płynął na północny wschód z prędkością siedemnastu węzłów. Szybko znalazł się w wyznaczonym rejonie. Mimo opóźnienia

Jaafar zmieścił się w wyznaczonym przedziale czasowym. International Spent Fuel Transport, firma

będąca oddziałem przedsiębiorstwa Dahman Waste Management, które zajmowało się utylizacją odpadów, miała zezwolenie na korzystanie ze składowiska raz na dwa tygodnie od godziny dwunastej do piętnastej trzydzieści.

Wypadało więc sto dwanaście wizyt w ciągu roku. Następny statek mógł pojawić się tu dopiero nazajutrz rano. Międzynarodowy Komitet Nadzoru Nuklearnego przydzielał czas dostępu w taki sposób, aby każdy statek bez problemu zdążył

opuścić rejon przed przybyciem następnego. Przedziały czasowe pozwalały uniknąć kolizji, a ponadto, gdyby doszło do jakiegoś wypadku, jego skutki nie objęłyby załóg innych jednostek.

Jaafar obserwował z mostka ludzi obsługujących windę na dziobie statku. Cała ósemka ubrana była w kombinezony chroniące przed promieniowaniem. Pracowali powoli i ostrożnie. Piętnastometrowy dźwig unosił betonowy blok z przedniej ładowni.

Blok ważył trzy tony i był wielkości średniego samochodu osobowego. Wewnątrz znajdowały się zaledwie trzy trzydziestoosmiolitrowe bębny z odpadami. Każdy pręt uranowy zanurzony był w mieszaninie chlorku litu, chlorku potasu i chlorkowych soli metali alkalicznych, która pochłaniała promieniowanie. Całość zamknięto w wykonanych z cezu, wewnątrz ceramiczno-stalowych bębnów. Kiedy blok znajdował się już w wodzie, opuszczano go powoli na skaliste dno. Dzięki umieszczonej na linie kamerze światłowodowej operator windy kontrolował przebieg operacji. Nie wolno mu było uderzyć w żaden ze stojących tam bloków. Co tydzień nad tym miejscem pojawiał się statek MKNN i dokonywał pomiarów, aby upewnić się, że nie doszło do wycieku.

Ten rejon morza Celebes był jednym z dwunastu akwenów, na których MKNN zezwalał

na składowanie odpadów promieniotwórczych. Dno morza wykazywało stabilność geologiczną, nie zapuszczali się tu też rybacy. Nawet gdyby doszło do wycieku, nie miałyby to poważniejszych następstw społecznych ani gospodarczych.

Oczywiście, nie było mowy o stuprocentowym bezpieczeństwie. Odpady miały pozostać radioaktywne przez dziesięć tysięcy lat. Jednak jakoś trzeba było je składować, a to, jak na razie była jedna z najlepszych metod, odkąd naukowcy odkryli, że nawet najbardziej trwałe pojemniki zakopywane głęboko pod ziemią, ulegają erozji w wyniku działalności mikroorganizmów. Wiele z nich zostało pogrzebanych w popiołach wulkanicznych przed milionami lat i zachowało się w stanie uspienia we wnętrzach skał. Wystarczyła teraz nawet niewielka dawka promieniowania z substancji takich jak kobalt-60, aby ożyły i zaczęły zżerać skałę oraz metal.

Śniady, trzydziestosiedmioletni czarnobrody Jaafar z dumą patrzył na ludzi zajętych pracą. Współpracował z fizykami Mahathira bin Dahmana, którzy opracowali prostą i bezpieczną metodę pozbywania się odpadów. Ściany kabiny nawigacyjnej były wytapetowane pochwałami z MKNN.

Jaafar pozostał na mostku aż do zakończenia wyładunku. Potem połączył się z centralą firmy w Kuala Lumpur i poinformował, że wszystko w porządku. Na koniec zszedł pod pokład, aby podziękować

załodze i zjeść obiad. Był w doskonałym humorze. Nieodmiennie bawiły go te pochwały z MKNN.

ROZDZIAŁ 10

Darwin, Australia, Czwartek, 12.05

Royal Darwin Hospital, czyli Szpital Królewski w Darwin, to jedna z najokazalszych i najnowocześniejszych placówek opieki medycznej w Australii.

Mieści się w dziesięciopiętrowym, białym budynku i pełni rolę dość szczególną.

Ze względu na fakt, iż służy mieszkańcom z rozległego obszaru - należącym do różnych ras i żyjącym w trudnych warunkach klimatycznych - szpital ten musi radzić sobie z praktycznie każdym rodzajem schorzeń i urazów.

Dlatego też pod względem medycznym personel szpitala był przygotowany na przyjęcie Lee Tonga. Jednak pod względem psychicznym nikt nie byłby na to przygotowany. To, co przywłókł pacjent do Australii, było straszne.

Sztabowa limuzyna podjechała pod główne wejście do szpitala. Na jej widok z budynku wyszedł wysoki oficer o włosach koloru słomy. Coffey nie znał się na australijskich dystynkcjach wojskowych, ale z jego postawy wywnioskował, że musi być oficerem wysokiego stopnia. Kierowca obiegnął samochód i otworzył drzwi od strony Coffeya. Na widok przybysza zbliżającego się do auta mat zasałutował.

-

Zapewne pan Coffey. Ja jestem George Jelbart - powiedział oficer z silnym australijskim akcentem.

-

Dzień dobry - przywitał się Coffey.

-

Dziękuję, że zechciał pan przyjechać - ciągnął Jelbart. - Mam nadzieję, że podróż nie była męcząca.

-

Nie było źle, jeśli nie liczyć tego, że przez całą drogę zżerała mnie ciekawość.

-

Proszę nam wybaczyć te tajemnice. Jednak przekona się pan, że to było konieczne - usprawiedliwił się Jelbart.

-

Z pewnością. Tyle że nie znoszę dzwonić do swojego szefa z informacją, że z niewiadomego powodu muszę nagle gdzieś wyjechać. Kiepsko to wygląda, w końcu pracuję w agencji wywiadowczej.

-

Rozumiem. Zapewniam pana ponownie, że nie można było inaczej.

Weszli do holu, minęli izbę przyjęć i wjechali windą na piąte piętro. Na końcu korytarza w kształcie litery L przy drzwiach stali dwaj starsi marynarze.

Na rękawach mieli naszywki przedstawiające sekstans. Na pytanie Coffeya Jelbart wyjaśnił, że są z wojskowego biura hydrograficznego. Obaj byli uzbrojeni, a na ich twarzach malowała się niewzruszona powaga.

Biuro hydrograficzne i wywiad marynarki wojennej, pomyślał Coffey. Uczni i kontrwywiad wspólnie pracują nad sprawą. To umocniło jego przypuszczenia co do natury problemu. Miał tylko nadzieję, że sprawa nie wygląda tak źle, jak sobie wyobrażał.

Marynarze oddali honory Jelbartowi, który odsalutował i otworzył drzwi. Na wprost wejścia stała ołowiana osłona w postaci trzech pionowych paneli. Była podobna do tych, które Coffey widywał w pracowniach rentgenowskich. Nie zaskoczyło go to, ale też i nie ucieszyło. Za osłoną leżał człowiek.

W osłonie było małe okienko. Jelbart wskazał mu dłonią, żeby zajrzał do środka.

Prawnik podszedł bliżej i popatrzył na leżącego pacjenta. Był to smagły, muskularny mężczyzna. W jego ręce tkwił wenflon, a dolna część twarzy ukryta była pod maską tlenową. Nagą pierś, ręce, a także fragmenty twarzy i głowy okrywały bandaże i opatrunki. Do rąk i skroni przyczepiono mu przewody, prowadzące do kilku monitorów.

-

Prawdopodobnie pochodzi z Singapuru - poinformował Jelbart.

-

Skąd pan wie? - spytał Coffey.

-

Wskazują na to rysy twarzy. Ponadto ubrany był tak, jak robotnicy portowi z Keppel Harbor. Tatuaze

przedstawiające rekina i kotwicę wyglądają na tamtejszą robotę. Przynajmniej te fragmenty, które nie uległy spaleni.

-

Rozumiem - powiedział Coffey. - Jak się tu znalazł?

-

Wyciągnął go z wody patrolowiec marynarki - odrzekł Jelbart. - Kiedy go znaleźli, trzymał się kurczowo drewnianych szczątków, prawdopodobnie sampana. Przynajmniej tak się wydaje ze względu na ich kształt i gatunek drewna.

Poparzenia trzeciego stopnia pokrywają dwadzieścia procent powierzchni ciała, ponadto w obu nogach ma rany postrzałowe. Zabawne, ale oparzenia zasklepiły rany. W przeciwnym razie wykrwawiłby się na śmierć. Spędził w wodzie jakieś osiem, dziewięć godzin, zanim go znaleźli.

-

Miał szczęście, że go spostrzeżono - zauważył Coffey.

-

Szczęście to rzecz względna - stwierdził Jelbart.

-

Jak to?

-

Nasze patrolowce są wyposażone w detektory promieniowania, w celu wykrywania przemytu broni jądrowej w tym rejonie. Nasz przyjaciel okazał się radioaktywny.

-

On sam czy szczątki statku? - spytał Coffey.

-

Jedno i drugie - odpowiedział Jelbart. - Lekarze twierdzą, że dawka nie była śmiertelna. Tak wynika z badań, aleja sędzę, że będziemy pewni dopiero wówczas, gdy odzyska przytomność. Pan zdaje się zna Briana Ellswortha?

-

Owszem.

-

Jest na dole w kostnicy wraz z przedstawicielami miejscowej policji i resztkami wraku - powiedział Jelbart. - Ofiara została wykąpana, ale tych kawałków drewna nie czyścimy, dopóki ich nie zbadamy.

-

Dlatego trzymacie je w odosobnieniu.

Jelbart kiwnął głową.

-

Czy ktoś poinformował władze w Singapurze? - spytał Coffey.

-

Tak - odparł Jelbart. - Liczymy na ich pomoc w identyfikacji tego osobnika.

-

Ale jego stan nie pozwala na transport do Singapuru - skostatował Coffey.

-

Na to wygląda - przytaknął Jelbart. Stanął naprzeciwko Coffeya i, zniżając głos prawie do szeptu, dodał: - Ma pan rację, panie Coffey. Na razie nie mamy zamiaru odsyłać go do domu. Człowiek ten ma coś wspólnego z przewozem materiałów rozszczepialnych, a my nie wiemy, czy nie jest w to zamieszany jakiś singapurski polityk, wojskowy lub prywatny przedsiębiorca. Nie chcemy dopuścić do tego, żeby rozbitkowi się coś przytrafiło, zanim go przesłuchamy.

-

Zapewne pan wie, że nie wolno wam go zatrzymywać, jeżeli będzie chciał

wyjechać - powiedział Coffey. - Został znaleziony na wodach międzynarodowych i nie ma żadnych dowodów na to, że popełnił jakieś przestępstwo. Pozostaje dla was jedynie ofiarą wypadku.

-

Rozumiem - odrzekł Jelbart. - Powróćmy jednak do rzeczywistości. W tej części świata panuje ożywiony ruch w branży nuklearnej. Pański kraj prowadzi wojnę z atomowym terroryzmem tu oraz w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Jednak na naszych barkach spoczywa obowiązek blokowania kanałów przerzutowych. A to nie jest łatwe. Nie mamy prawa wchodzić na pokład żadnego statku na pełnym morzu, poza przypadkami wykrycia promieniowania albo osób poszukiwanych. Osobny

problem stanowi linia brzegowa, której obserwowanie jest bardzo czasochłonne i wymaga zaangażowania potężnych środków. Trudno przewidzieć, czego dowiemy się o tym człowieku. Rejon, w którym został znaleziony, przeczesują patrole morskie i powietrzne. Szukają resztek wraku, jak dotąd bezskutecznie. Kilka godzin przebywania w wodzie wystarczy, aby promieniowanie osłabło, a szczątki rozproszyły się po morzu.

-

Czy w pobliżu znajdowały się jakieś inne jednostki? - spytał Coffey.

-

Sprawdzamy rejestry, łączność radiową, a nawet rozmowy z telefonów komórkowych, prowadzone przed świtem. Zdaniem lekarzy ofiara odniosła obrażenia między czwartą a piątą rano. Niewykluczone, że marynarze z jakiegoś statku coś widzieli lub słyszeli, należy jednak przypuszczać, że zameldowaliby o tym.

Coffey pokiwał potakująco głową.

-Naturalnie jeśli w grę wchodziły jakieś ciemne sprawy, łódź naszego pacjenta trzymała się z dala od innych jednostek.

-

Najprawdopodobniej - zgodził się Jelbart. - Powinniśmy wziąć pod uwagę jeszcze jeden scenariusz wydarzeń. Wypadek miał miejsce w pobliżu Ryder Ridge, gdzie znajduje się składowisko odpadów promieniotwórczych. Nie można wykluczyć, że ten człowiek wraz z towarzyszami próbował odzyskać co nieco z zatopionego dobra.

-

I posłużył się w tym celu sampanem? - wyraził swe niedowierzenie Coffey.

-

Powiedziałem, że nie można tego wykluczyć, a nie, że jest to prawdopodobne

- zastrzegł Jelbart. - To by pasowało do hipotezy, że zostali zaatakowani podczas transportu materiałów rozszczepialnych. Być może doszło do nieporozumienia ze współnikiem lub klientem. Albo przegrzał

im się silnik. Musimy koniecznie poznać więcej szczegółów, co oznacza, że człowiek ten pozostanie u nas tak długo, aż nam coś powie.

Coffey popatrzył na nieprzytomnego rozbitka.

- I czego pan ode mnie oczekuje? Mam zgodzić się na naruszenie jego praw?

-

Włączenie pana do sprawy to pomysł Ellswortha. Nie znam powodów jego decyzji. Muszę panu jednak powiedzieć, panie Coffey, że to wszystko mnie przeraża. W przeszłości zdarzało się nam czasem przechwycić kłopotliwy towar - elementy do produkcji broni jądrowej, fałszywe paszporty służące do przemycania przekupionych naukowców czy plany elektrowni atomowych, krajowych i zagranicznych, na których oznaczono trasy wywozu zużytego paliwa. Jednak po raz pierwszy mamy w ręku dowód na obecność radioaktywnych materiałów w pobliżu naszych brzegów.

-

Chodzi o to, że je znaleźliście - stwierdził Coffey.

-

Przypadkiem.

-

Tak czy inaczej, teraz już wiecie, gdzie należy szukać. Po zbadaniu szczątków wraku być może dowiedzie się nawet, co ma być przedmiotem poszukiwań - jakajednostka, skąd przybyła. Ten człowiek może o niczym nie wiedzieć. Nie macie prawa traktować go, jak przywódcę terrorystów.

-

Nie możemy sobie pozwolić na to, by traktować go inaczej - odparł Jelbart.

- Chce pan wiedzieć, czego od pana oczekuję, Coffey? Otóż proszę, aby zastanowił się pan nad prawami dwudziestu milionów ludzi, mieszkających w Australii, a także miliardów pozostałych mieszkańców całego globu. Proszę, aby wziął pan pod uwagę ich prawo do życia w świecie pozbawionym atomowego terroryzmu.

-

Ludzie nie powinni mieć do czynienia z żadną formą terroryzmu - powiedział

Coffey. Wskazał spojrzeniem rannego, leżącego w łóżku. -

Mam na myśli także terroryzm państwowy, w majestacie prawa, zarówno fizyczny, jak i psychiczny.

-

Nikt nie zamierza go skrzywdzić - zapewnił Jelbart. - Powinien pan wiedzieć o jeszcze jednej sprawie. Jakkolwiek byśmy go tu potraktowali, zawsze będzie to o niebo lepsze dla niego, niż gdyby pojechał do Singapuru. Tam wymuszają informacje biciem i szprycowaniem narkotykami.

A gdy chcą kogoś uciszyć, po prostu popełniają zbrodnię.

Jelbart zerknął na zegarek.

-

Obiecałem Ellsworthowi, że pana przyprowadzę. Chodźmy na dół. W każdej chwili mogą się pojawić Singapurczycy.

Ruszyli z powrotem do wind.

Coffeyem szarpały sprzeczne uczucia. Teoretycznie nie zgadzał się z żadnym argumentem Jelbarta. A jednak w głowie wciąż brzmiał mu cytat z Calvina Coolidge'a, wyryty na tablicy w jednej z sal wykładowych na wydziale prawa Uniwersytetu Los Angeles: „Ludzie mówią o prawie naturalnym, ja jednak pytam, czy w naturze występowały bądź istniały jakieś prawa, zanim nie ustanowiono odpowiedniego aparatu prawnego, który pozwolił na ich zadeklarowanie i obronę”.

Jelbart się mylił. Naginanie prawa w przypadku jednego człowieka zagraża prawom wszystkich ludzi.

Coffey był dobrym prawnikiem, ale nic nie mógł poradzić w tej sytuacji.

Zastanawiał się jednak, czy nie ma jakiejś furtki, którą można by było wykorzystać w tym przypadku. Atomowy terroryzm, a nawet sama możliwość jego zaistnienia sprawiła, że zmałała jego determinacja, z jaką chciał bronić rozbitka. W sformułowaniu „prawa człowieka” słowo „człowiek” wyraźnie straciło na znaczeniu.

ROZDZIAŁ 11

Darwin, Australia, Czwartek, 12.17

Major Monica Loh z singapurskich wojsk obrony wybrzeża przeleciała śmigłowcem typu „Iroquois”, należącym do australijskiej marynarki wojennej. Maszyna usiadła na lądowisku przyszpitalnym, na którym zwykle lądowały śmigłowce z pacjentami z bliższych i dalszych okolic Darwin. Loh służyła wcześniej w oddziale do likwidacji niewypałów. Miała ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, więc górowała nad dwoma towarzyszącymi jej podoficerami, którzy szli kilka kroków za nią. Trzysta sześćdziesięcotonowy trałowiec, którym płynęła do Darwin, wciąż był jeszcze w morzu. Jelbart wysłał po nią śmigłowiec, aby jak najszybciej ściągnąć ją do szpitala.

Brian Ellsworth przesłał fotografię i odciski palców rozbitka straży przybrzeżnej w kompleksie singapurskim Tanjong Pagar. Interesowały go wszelkie informacje o znalezionym. Okazało się, że człowiek ten nazywał się Lee Tong i pływał kiedyś jako marynarz na kontenerowcu „Władca Oceanu”. Straż przybrzeżna chciała wiedzieć, po co Ellsworthowi te informacje, więc im powiedział, jednocześnie proponując, aby ktoś z wojsk obrony wybrzeża wziął udział w śledztwie.

Ponieważ major Loh znała te wody, a ponadto była ekspertem od materiałów wybuchowych, wybór padł na nią. Trzy lata temu współpracowała już z władzami australijskimi podczas międzynarodowej akcji policyjnej wymierzonej przeciwko nielegalnym hurtowniom pirackich płyt DVD w Malezji. Rozbito wówczas gang, którego działalność przynosiła rocznie dwadzieścia pięć milionów dolarów strat hollywoodzkim producentom filmowym.

Wszyscy chcą być w show-biznesie, pomyślała wówczas z goryczą Loh. Aby mogła uczestniczyć w tamtej akcji, przełożeni musieli oderwać ją od prowadzonego wspólnie z ministerstwem spraw wewnętrznych dochodzenia, dotyczącego grupy singapurskich muzułmanów, członków palestyńskiej organizacji terrorystycznej Hezbollah. Osobnicy ci mieli służyć jako szpiedzy w amerykańskiej i izraelskiej ambasadzie w Singapurze. Na szczęście muzułmanie stwierdzili, że ryzyko wcale im się nie opłaca i opuścili szeregi palestyńskich terrorystów przed przystąpieniem do realizacji wyznaczonych zadań.

Dwóch australijskich marynarzy zaprowadziło Loh i jej towarzyszy na zaplecze szpitala. Tam poinformowano ich, że służbową windą mają dostać się do miejsca przechowywania dowodów.

Loh czuła się trochę nieswojo na stałym lądzie. Większość czasu spędzała na trałowcu i przywykła do kołysania. Nawet w helikopterze było jej dużo lepiej niż na twardym, nieruchomym asfalcie. Nie była też przyzwyczajona do przebywania w pełnym słońcu. Kiedy większość dwudziestoośmioosobowej załogi zajęta była poszukiwaniem min, ona w wydzielonym pomieszczeniu prowadziła nasłuch radiowy.

Gdy udało jej się wychwycić podejrzane transmisje, mogące świadczyć o działalności przemytników, do akcji natychmiast posyłano odpowiednią jednostkę policji lub wojska.

To, że tym razem stało się odwrotnie, nie było dla niej zaskoczeniem.

Trzydziestoczteroletnia Loh miała odmienny punkt widzenia od większości pań służących w marynarce. Otóż uznawały one obowiązującą nomenklaturę za uwłaczającą, bo nazywano je kobietami oficerami, a nie tak jak mężczyźni po prostu oficerami. Loh nie zgadzała się z takim rozumowaniem, bowiem uważała, że mężczyźni celowo podkreślają odmienność kobiet - by w razie potrzeby wiedzieć, do kogo się zwrócić o pomoc. Tak jak choćby tym razem. Jej ojciec miał na imię Vendesan i pracował w wydziale śledczym singapurskiej policji. Specjalizował się w gromadzeniu informacji o zakonspirowanych grupach przestępczych, nadzorujących hazard, prostytutkę i handel narkotykami na wielką skalę. Vendesan był bardzo bystrym człowiekiem, ale czasem, kiedy się pogubił, zwracał się o pomoc do żony.

Mała Monica często przysłuchiwała się ich nocnym rozmowom. Nurdiyana, jej matka, była nauczycielką, jednak najczęściej potrafiła znaleźć rozsądne rozwiązanie.

Podobnie bywało z kobietami oficerami. Bo czyż w naturze nie jest tak, że kiedy ryk i potrząsanie grzywą nie przynoszą efektu, stare lwy morskie przerzucają problem na barki inteligentniejszych i sprytniejszych lwic?

Nie znaczy to, że jej ojciec postępował tak samo. Szanował kobiety. I wysoko cenił intelekt. Władał

czterema językami urzędowymi Singapuru - chińskim, malajskim, tamilskim i angielskim. Na wyraźne życzenie ojca Loh uczyła się ich w szkole, natomiast sam nauczył ją japońskiego.

- Broń pozwala uzyskać dominację, nierzadko okupioną ciężkimi stratami -

tłumaczył. - Natomiast znajomość języków umożliwia infiltrację i sprawowanie kontroli. Postępując umiejętnie, można przejąć władzę nad jednostkami i całymi grupami ludzi.

Był najlepszym potwierdzeniem słuszności swoich słów, bowiem utrzymał się przez czterdzieści pięć lat w biurze śledczym, aż do przejścia na emeryturę.

Singapurczycy wraz z marynarzami wsiedli do windy i zjechali trzy piętra w dół.

Po wyjściu z kabiny znaleźli się przed metalową ladą, za którą siedział strażnik. Obok niego stał wysoki oficer lokalnej policji, który uklonił się na widok major Loh. Sprawiłoby to jej dużą przyjemność, gdyby nie była w mundurze, a tak poczuła się niezręcznie. Oficer powinien zasalutować.

Pokonali kilka schodków prowadzących do kostnicy. Strażnik uruchomił zamek i otworzył drzwi. Wszyscy oprócz marynarzy weszli do środka.

Pomieszczenie kostnicy miało mniej więcej sześć na sześć metrów. Z tyłu znajdowało się dwoje drzwi. Po lewej stronie sali stały metalowe szafy chłodnicze, po prawej pulpity z chemikaliami, narzędziami i sprzętem elektronicznym, a pośrodku - rząd noszy na kółkach. Na kilku z nich leżało coś pod ciemnymi płachtami. Loh domyśliła się, że to fartuchy ołowiane okrywające szczątki wraku.

W jasno oświetlonym pokoju były jeszcze cztery inne osoby. Niski, korpulentny, łysiejący mężczyzna podszedł sprężystym krokiem i przedstawił się. Nazywał się Brian Ellsworth. Ubrany był w czarny trzyczęściowy garnitur, co w zestawieniu z bladym obliczem sprawiało wrażenie, jakby wybrał się na własny pogrzeb.

Ellsworth dokonał prezentacji swoich towarzyszy: chorążego George'a Jelbarta, prawnika Lowella Coffeya z Centrum Szybkiego Reagowania w Waszyngtonie oraz doktor fizyki Maud Forvey z Uniwersytetu Terytorium Północnego.

Loh podała swoje nazwisko oraz nazwiska obu podwładnych.

-

Pragnę podziękować wszystkim państwu za przybycie - zaczął Ellsworth. -

Szczerze mówiąc, nie wiemy jeszcze dokładnie, w co wdepnęliśmy.

Mamy nadzieję, że wspólnie uda nam się to ustalić.

-

Otrzymał pan dane od naszej straży przybrzeżnej - stwierdziła Loh.

-

Tak. Nadeszły przed chwilą, jesteśmy bardzo wdzięczni - podziękował

Ellsworth. - Właśnie sprawdzamy, czy są jakieś dodatkowe informacje o panu Tong.

-

Chciałabym go zobaczyć - nadmieniła Loh.

-

Za chwilę zaprowadzimy panią do sali, w której leży - zapewnił Ellsworth.

- Najpierw jednak, jeżeli pani pozwoli, chcielibyśmy, aby powiedziała nam pani coś na temat wraku. O ile nam wiadomo, służy pani na morzu od ponad dziesięciu lat.

-

Istotnie - przytaknęła.

-

Pan Jelbart twierdzi, że szczątki pochodzą z sampana, ale nie mamy stuprocentowej pewności - powiedział Ellsworth. - Przy okazji, pani doktor Forvey sprawdziła poziom promieniowania szczątków. Jest on bardzo niski, nie ma żadnych przeciwwskazań do przeprowadzenia szybkich oględzin. Proszę jednak nie dotykać żadnego z tych elementów bez odpowiednich zabezpieczeń.

Loh podeszła do noszy. Forvey włożyła grube, żółte rękawiczki i uniosła z jednej strony ołowianą osłonę. Specjalistka z Singapuru przyjrzała się osmalonym fragmentom poszycia.

-

Wykonano je z sośniny z Fuczau - orzekła.

-

Jest pani pewna? - spytał Ellsworth.

-

W zupełności. Chińczycy używają tego drewna do budowy sampanów mu-chi.

-

Czy widywała pani takie łodzie w Singapurze? - zainteresował się Jelbart.

-

Rzadko. Służą one głównie do żeglugi rzecznej.

-

Z jakiegoś konkretnego powodu? - spytał Ellsworth.

-

Sampan mu-chi jest bardzo niski i bez problemu przechodzi pod większością mostów - wyjaśniła Loh.

-

Czy łodzie te mogą być wyposażone w silniki? - zapytał Jelbart.

-

Owszem, to się zdarza.

-

Ta bez wątpienia była - stwierdził Ellsworth. - Brakuje mi jednak odpowiedzi na pytanie, co spowodowało ją w ciemną noc na sam środek morza Celebes.

-

Piractwo - odparła Loh. - Do tego właśnie wykorzystuje się sampany na Morzu Południowochińskim.

-

To by nawet pasowało - zauważył Jelbart. - Skoro jest niska, bardzo trudno ją zauważyć na tle horyzontu, niełatwo też złapać na radarze. Po zapadnięciu zmroku może podejść do statku na samych wiosłach, a więc bezgłośnie.

-

Tak właśnie się to odbywa - potwierdziła major Loh.

-

Czy sampany wykorzystuje się do przemytu? - spytał Ellsworth.

-

To mało prawdopodobne - stwierdziła Loh. - Mają niewielką ładowność.

Ponadto w przypadku zbyt dużego obciążenia ładunkiem tracą swe atuty. Pani doktor, czy może pani unieść wyżej tę płachtę?

Forvey spełniła życzenie. Loh przez dłuższą chwilę przyglądała się szczątkom wraku.

-

Jest coś jeszcze - powiedziała. - Nie sądzę, aby tego rodzaju zniszczenia spowodowała eksplozja silnika wysokoprężnego.

-

Na jakiej podstawie opiera pani swe przypuszczenie? - spytał Ellsworth.

-

Silnik powinien znajdować się z tyłu - wyjaśniła. - Kształty tych elementów wskazują na to, że pochodzą z części dziobowej. Aby powstały takie ślady, eksplozja musiała nastąpić blisko tych fragmentów. Poza tym dość niezwykły jest rodzaj uszkodzeń powierzchni. Wybuchające paliwo spowodowałoby postrzępione, pełne drzazg złamania, tymczasem to drewno zostało wręcz sproszkowane.

-

Co pani sugeruje?

-

Na pokładzie sampana nastąpiła eksplozja silnego materiału wybuchowego -

powiedziała Loh z przekonaniem. - W ciągu ostatnich trzech lat otrzymywaliśmy raporty o umieszczaniu przez piratów ładunków wybuchowych na kadłubach statków. W ten sposób, grożąc zniszczeniem jednostki, wymuszali wydanie łupu.

-

Czy wiadomo coś więcej na temat tych piratów? - spytał Jelbart.

-

Nie - odparła Loh. - Tylko tyle, że zawsze atakują nocą, pod osłoną ciemności. Jeżeli biorą zakładników, to albo zakrywają im oczy, albo ich zabijają. Informacja o wykorzystywaniu sampanów do tego procederu oparta jest wyłącznie na przypuszczeniach.

-

W jaki sposób następuje przekazanie łupu?

-

Pieniądze i kosztowności wkładane są do małego pontonu, czasami torby.

Jeden z piratów wpław płynie po zdobycz.

-

To nie jest najwygodniejsza forma przeładunku w przypadku materiałów rozszczepialnych - zauważyła doktor Forvey, na powrót przykrywając szczątki sampana ołowianym płaszczem.

-

Należy więc założyć, że piraci byli w zмовie - stwierdził Coffey.

-

Jedynie przesłuchując rozbitka, możemy się czegokolwiek dowiedzieć -

powiedziała Loh. - Należy to zrobić niezwłocznie.

-

Jest nieprzytomny - poinformował Ellsworth.

-

To trzeba go obudzić - odparła Loh.

-

Pani major, na ten temat będziemy musieli porozmawiać z lekarzami -

powiedział Ellsworth.

Loh zmierzyła go wzrokiem.

-

Możecie sobie rozmawiać z jego lekarzami. Ja jestem tutaj po to, by dowiedzieć się, dlaczego sampan i jeden z członków jego załogi ulegli skażeniu promieniotwórczemu.

-

Spróbujmy więc zrobić i jedno, i drugie - zasugerował pojednawczo Coffey.

Loh odwróciła się i wyszła z kostnicy. Tutaj już nie było nic ciekawego do upolowania. Lwica wyruszała na nowe tereny łowieckie.

ROZDZIAŁ 12

Morze Celebes, Czwartek, 13.08

Jacht właśnie zrobił zwrot na południe, by przeciąć Morze Moluckie, kiedy kapitan Kannaday wezwał do siebie Johna Hawke'a. Po piętnastu minutach szef ochrony zapukał do drzwi kabiny i wszedł do środka.

Kannaday siedział przy małym sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem. Mebel pochodził z osiemnastego wieku. Leżały na nim laminowane mapy, na których tu i ówdzie coś zaznaczono pisakiem, oraz przenośny komputer z danymi nawigacyjnymi.

Kiedy Kannaday zasiadał za nim, czuł się jak kapitan dawnej fregaty lub statku wielorybniczego. Zastanawiał się czasem, ilu z nich zajmowało się niegdyś przemytem, gdy w modzie byli niewolnicy, broń oraz opium.

Hawke zamknął za sobą wąskie drzwi. Światło słoneczne, wpadające przez iluminator, poruszało się zgodnie z powolnym kołysaniem jachtu. Najpierw oświetliło pociągłą twarz przybysza, potem ukryło go w mroku. Hawke nawet nie mrugnął, kiedy blask słoneczny znów zaświecił mu prosto w oczy. Zdjął z głowy słuchawki i przewiesił je sobie przez ramię.

Obok koi stał składany leżak, ale Kannaday nie poprosił, by przybysz usiadł.

Przekręcił się tylko na krześle w jego stronę.

-

Nie spieszył się pan zbyt - zauważył.

-

Byłem zajęty naprawami - odparł Hawke.

Jego głos był jak morska piana - miękki i puszysty. Stanowił mieszankę aborygeńskiego akcentu matki, o charakterystycznie przeciągniętych samogłoskach, i lirycznej odmiany angielszczyzny ojca, który pochodził z Kanady. Zważywszy na kłopotliwą sytuację, w jakiej się znajdowali, pewny siebie i swobodny ton Hawke'a brzmiał nieco drażniąco.

-

W jakim stanie jest laboratorium? - spytał Kannaday.

-

Otwór został załatany. Nie stwierdza się przecieków.

-

Ma pan na myśli przecieki zewnętrzne czy wyciek radioaktywny?

-

Jedno i drugie - odparł Hawke. - Jednak wybuch poczynił poważne szkody w sprzęcie laboratoryjnym.

-

Chce pan przez to powiedzieć, że nie zdołamy przerobić materiału przed przybyciem do Cairns? - spytał Kannaday.

-

Tak - przytaknął Hawke. Odczekał chwilę, po czym zapytał: - Czy coś jeszcze?

-

Owszem. Nie wygląda pan na zmartwionego - zauważył Kannaday.

-

Nie potrafię odmienić tego, co już się stało.

-

Szef nie życzy sobie, abyśmy wpływali do portu z towarem na pokładzie - przypomniał mu Kannaday.

-

W takim razie jedyne, co możemy zrobić, to ukryć pojemniki. Poprosiliśmy już przez radio o nowy sprzęt. Będzie na nas czekał w posiadłości. Przybijemy, zabierzemy sprzęt i odpłyniemy.

-

Jest pan pewien, że nie ma innej możliwości? - dociekał Kannaday. - A sprzęt awaryjny?

-

Uszkodzenia są rozległe. Może pan włożyć kombinezon ochronny i sprawdzić sam. - Hawke zdjął słuchawki z ramienia i podsunął je Kannadayowi. - Albo może pan skontaktować się z doktorem Mettem i jego zapytać.

-

Ale ja pytam pana - powiedział Kannaday.

-

Pan mnie pyta? Brzmi to raczej tak, jakby mnie pan oskarżał - stwierdził

Hawke.

-

Może sam pan siebie oskarża - stwierdził Kannaday. - W czym właściwie tkwi problem?

Hawke wpatrywał się smutnymi, szarymi oczami w twarz kapitana. Zabrał słuchawki.

-

Nawet wstępna obróbka wymaga zastosowania kwasu azotowego w celu rozpuszczenia zużytego materiału. Tymczasem wybuch zniszczył

wszystkie cztery zbiorniki kwasu. Do oddzielenia frakcji konieczna jest sprawna wirówka. Nasza ma podziurawione wirniki, które nie pracują prawidłowo. Odbiorca oczekuje półtora kilograma wzbogaconego uranu w postaci około trzystu pięćdziesięciu granulek. Jeżeli nie zdołamy rozdzielić materiału, nie będziemy mogli przekazać go naszemu partnerowi, a on swoim klientom. - Hawke przerwał. Czuł wzbierającą złość i zniecierpliwienie. -

Muszę przy tym dodać, panie kapitanie, że zdaniem załogi mamy dużo szczęścia, że wciąż utrzymujemy się na powierzchni.

-

Racja, panie Hawke. Ale szczęście nie ma nic do tego.

-

Podjęliśmy wszelkie konieczne środki ostrożności - stwierdził dobitnie Hawke.

-

Czyżby? Skąd w takim razie ta dziura w kadłubie? - rzucił z ironią Kannaday.

-

Znowu to samo. Czy pan mnie wezwał po to, by wiercić mi dziurę w brzuchu?

- spytał Hawke.

-

Nie, panie Hawke. Tak naprawdę wezwałem pana w innej sprawie. Chciałbym, aby zrezygnował pan ze stanowiska dowódcy ochrony.

Na twarz Hawke'a znowu padło światło. Nie malowało się już na niej zniecierpliwienie. Wyglądało na to, że oświadczenie Kannadaya autentycznie go rozbawiło.

-

Mam się rzucić na miecz z powodu tego, co się wydarzyło? - spytał

retorycznie.

-

To pańskie słowa, nie moje - odparł Kannaday.

-

Ale przecież o to panu chodzi.

-

Okazaliśmy się nieprzygotowani. Ludzie, którzy nas napadli, nie byli nowicjuszami - powiedział Kannaday. - Musiały istnieć doniesienia o podobnych atakach.

-

Niewykluczone - zgodził się Hawke. Jego rozbawienie znikło równie błyskawicznie, jak się pojawiło. - Jednak w poszukiwaniu informacji nasi komputerowcy musieliby dobrać się do tajnych danych, ryzykując, że zostawią ślady. Za każdym razem, kiedy płacimy komuś za dostęp do akt policyjnych, dotyczących jakiegoś szlaku żeglugowego czy portu, grono wtajemniczonych powiększa się o jedną osobę. Dużo wygodniejsze i, w ostatecznym rozrachunku, bezpieczniejsze, jest wykończenie jednego czy dwóch bydlaków w chwili, gdy się pojawiają.

-

To jest wymówka, a nie wyjaśnienie - odparł Kannaday. - Czekam na pańską rezygnację.

-

A jeżeli jej nie złożę?

-

Wówczas zostanie pan zwolniony dyscyplinarnie - powiedział Kannaday.

-

Za zgodą czy bez zgody szefa? - spytał Hawke.

-

Kiedy wpłyniemy do zatoki z pojemnikami pełnymi odpadów, szef nie będzie podawał w wątpliwość mojej decyzji.

-

Niech pan nie będzie tego taki pewien, kapitanie. - Hawke zrobił

krok do przodu. - Pracuję dla niego, nie dla pana.

-

Szef nie znosi wpadek, dlatego mnie poprze - stwierdził Kannaday.

-

Bo jest pan kapitanem?

-

Bo dbam o jego interesy - odparł Kannaday.

-

Rozumiem. A więc nie jest to decyzja na tle rasowym?

-

W żadnej mierze.

-

Bo pan tak uważa?

-

Bo to prawda! - podniósł głos Kannaday. - Pańskie pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy.

-

Ale kiedy spotka się pan z szefem, powie mu pan, że byłem niedbały i trudno się ze mną współpracowało - powiedział Hawke. - Typowy zarzut stosowany przez białych w stosunku do rdzennych Australijczyków. Być może nawet panu uwierzy. Nigdy nie popierał aborygenów ani ich sprawy.

-

Moja decyzja nie ma nic wspólnego z pańskim pochodzeniem - powtórzył

Kannaday. - Zaniedbał pan swoje obowiązki. Nie można tego puścić płazem. Otrzyma pan wynagrodzenie za dotychczas wykonywaną pracę. Dodam, że to dość znaczna suma. Jeśli złoży pan rezygnację, będzie pan mógł zabezpieczać inne operacje. Nie wpłynie to na przebieg pańskiej pracy.

Hawke wyciągnął womerę zza pasa, do którego przymocowany był płócienny woreczek pełen dziesięciocentymetrowych grotów. Kannaday nie bał się. Było za ciasno, aby Hawke mógł ich użyć, a sama womera nie była tak gruba i twarda jak kij baseballowy.

-

Odmawiam. Nie rezygnuję - powiedział Hawke. Jego głos zabrzmiał

twardo, metalicznie. - W jaki sposób wyegzekwuje pan swą decyzję?

-

Ja też mam broń - powiedział Kannaday. - A także ludzi, którzy potrafią jej użyć. W dodatku jest nas więcej.

-

Pańscy ludzie to marynarze - stwierdził Hawke - a ja mam prawdziwych morderców.

-

Połowa z nich to aborygeni, reszta to biali - powiedział Kannaday. -

Skąd pewność, że w decydującym momencie nie zwrócą się przeciwko sobie?

-

Moi ludzie są lojalni wobec mnie.

-

Pańscy ludzie? Oni nadal pracują dla szefa i będą chcieli otrzymać wypłatę - oświadczył Kannaday. - A teraz proszę wyjść. Muszę poinformować Indonezyjczyków, że nici z wyznaczonego na rano spotkania. A potem przekażę dowództwo nad ochroną jednemu z marynarzy, panu Hendricksonowi. Może pan poruszać się swobodnie po całym jachcie, ale tylko do czasu, gdy pan czegoś nie zbroi.

-

Nie rezygnuję - powiedział Hawke.

-

W takim razie zwalniam pana - zakomunikował Kannaday i wstał, spoglądając na womerę. - Jeżeli chodzi panu po głowie, żeby mi przyłożyć, to ostrzegam, że nieraz miałem do czynienia z takimi małpami jak pan. Na wyspach, w barach i na ulicach oraz na pokładach statków i poza nimi.

-

Małpami - powtórzył Hawke głosem pełnym pogardy.

-

Właśnie - potwierdził Kannaday. - To małe, wkurzające stworzenia.

A teraz niech pan już idzie, bo będę musiał pana wyrzucić.

-

Jak śmiecia - dopowiedział Hawke.

Kannaday był wściekły. W dzisiejszych czasach każdy uważał się za prześladowanego. Wyciągnął ręce przed siebie, by złapać Hawke'a za ramiona, lecz Hawke potrząsnął nagle womerą, jakby chciał przeładować strzelbę, i oczom kapitana ukazało się ukryte wewnątrz kija ostre jak skalpel, dwunastocentymetrowe ostrze. Hawke przystawił Kannadayowi stalowy nóż do krtani.

Szpiczasty czubek niemal wbijał się w miękką skórę. Kapitan poczuł się bezradny jak dziecko.

-

Nie pozwolę się obrażać - syknął Hawke. - Nie jestem twoim psem ani...

małpą.

Kannaday milczał. W takich okolicznościach lepiej było nic nie mówić, tylko słuchać - by zyskać informacje oraz czas.

-

Może masz rację - ciągnął Hawke. - Może nienawidzisz mnie za to, jaki jestem, a nie z powodu pochodzenia. Albo po prostu chcesz chronić własną dupę cudzym kosztem, co niejednokrotnie robiłeś w przeszłości.

Dowiedz się, że prześwietliłem cię dokładnie, zanim dostałeś tę robotę. Twój były wspólnik, pan March, wytoczył ci sprawę o kradzież tej łajby poprzez lipne zmiany w krajowym rejestrze. Nie postawił cię przed sądem tylko dlatego, że nie mógł cię znaleźć. Znam historię fałszerzy, których wystawiłeś w Auckland, by ratować się przed zarzutem przemytu. Słyszałem, jak potraktowałaś żonę.

Porzucona, mieszka teraz w Sydney. Szef potrzebował kogoś na tę trasę, a taka kanalia jak ty nadawała się idealnie. Domyślałem się jednak, że nie należy ci do końca ufać.

Hawke nacisnął na womerę. Kapitan poczuł ukłucie w gardle. Zrobił krok do tyłu, opierając się o sekretarzyk. Hawke był tuż przed nim. Duże krople krwi kapały Kannadayowi na spodnie. Przewidywał, że Hawke może go zaatakować. Na wszelki wypadek trzymał czterdziestkę piątkę w szufladzie biurka. Teraz jednak nie mógł

jej dosięgnąć.

-

Pytałeś, czemu nie przybyłem do ciebie od razu - powiedział Hawke. -

Otóż rozmawiałem ze swoimi ludźmi. Faktycznie, panie Kannaday, należą do różnych nacji, ale dobrze wiedzą, co to lojalność i niezawodność.

Gdyby, będąc pod ogniem, nie mogli zaufać kolegom, nie mieliby szans na przeżycie. A teraz moja propozycja. Pozwolę ci zachować jacht i dowodzenie.

Jeśli szef podejmie decyzję, by cię zwolnić, nie zgodzimy się pływać z kimś innym. A on nie będzie chciał stracić nas obu. - Hawke podszedł

jeszcze bliżej, ale nie zwiększył nacisku na ostrze. - Możemy przejść do porządku nad tym niefortunnym incydentem. Twoje osobiste bezpieczeństwo, kapitanie, będzie polegało na tym, żeby nie szukać kozła ofiarnego, tylko sprzymierzyć się z jastrzębiem, który będzie cię strzegł.

-

Trzymasz mi nóż na gardle - sapnął Kannaday. - Nie mam wielkiego wyboru.

-

A jaki ja miałem wybór? Sam teraz widzisz, jak to wygląda z drugiej strony.

Krew płynęła coraz obficie. Kannaday rozważał, czy nie złapać za rękojeść noża, a Hawke wydawał

się czytać w jego myślach.

-

Przemysł to sobie - powiedział z wyraźną pogroźką w głosie. - Nikt się nie dowie o naszej zmianie ról. Kiedy spotkasz się z szefem, możesz mu powiedzieć, że zostałeś ranny podczas walki. Być może w ten sposób zyskasz nieco w jego oczach. Ja z kolei nie powiem swoim ludziom, że mi groziłeś. Poinformuję ich, że ustalaliśmy jedynie, jak będziemy tłumaczyć się szefowi. A ranę możesz ukryć pod golfem.

-

Rozumiem. Czyli z pozoru wszystko zostaje po staremu - powiedział

Kannaday.

-

Tak jest - potwierdził Hawke. - Możesz mnie nie lubić, może ci się nie podobać nasz układ, ale taka jest konieczność. Jakoś to przeżyjesz.

Hawke cofnął się i zwolnił nieco nacisk na ostrze, a po chwili całkiem odstawił

je od szyi Kannadaya. Bez wątpienia miało to świadczyć o zaufaniu, a może o pewności siebie. Te dwie rzeczy bywały ze sobą powiązane.

Kannaday wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i przycisnął ją do rany. Odsunął

się od sekretarzyka, a więc mógł już sięgnąć po czterdziestkę piątkę. Przecież Hawke go zaatakował, rana i broń były najlepszymi dowodami.

Pochwa skrywająca nóż w rękojeści womery zwisała na skórzanym rzemyku. Hawke nałożył ją na ostrze i wsunął broń za pas. Potem odwrócił się i ruszył powoli w kierunku drzwi.

Kannaday mógł swobodnie sięgnąć po pistolet. Hawke na pewno o tym dobrze wiedział. Miał świadomość, że kapitan trzyma w swojej kajucie broń. Kannaday musiałby jednak strzelić mu w plecy, a taki postępek na pewno nie spodobałby się jego starej załodze. Ludzie potrafili pojąć znaczenie dyscypliny i obrony koniecznej, ale nie wybacжали tchórzostwa.

Hawke zatrzymał się u drzwi, odwrócił się i stanął twarzą do kapitana.

-

Czy ma pan do mnie jeszcze jakąś sprawę?

-

Nie - odpowiedział Kannaday.

Hawke zawahał się, a potem sięgnął za plecy, nacisnął klamkę i wyszedł z kabiny.

Kannaday opuścił ramiona. Nie zdawał sobie sprawy, w jak wielkim napięciu trwał

od dłuższego czasu. Obejrzał chusteczkę do nosa i stwierdził, że cała przesiąkła krwią. Przyłożył ją powrotem do rany i podszedł do szafki, gdzie przechowywał

apteczkę i szkocką. Miał zamiar napić się natychmiast po założeniu opatrunku.

Był roztrzęsiony, a zarazem wściekły, że nie docenił Hawke'a. Facet był odważny, opanowany i miał jasno określony cel: zostawić Kannadaya w poczuciu, że nie jest ani prawdziwym kapitanem, ani prawdziwym mężczyzną.

Kannaday usiadł na koi, aby przemyć i opatrzyć ranę. Spojrzał w lusterko pod pokrywą apteczki. Skaleczenie nie miało nawet centymetra długości i krwawiło coraz słabiej, ale głęboko raniło jego godność.

Kannaday zdjął nakrętkę z tuby odkażającego kremu. Tak naprawdę konfrontacja z Hawkiem miała też swoje dobre strony. Gdyby do niej nie doszło, nie miałby żadnej gwarancji, że Hawke będzie go popierał. Przysiągł także sobie, że jeśli John Hawke nie wstawi się za nim w rozmowie z Jervisem Darlingiem, to zapomni o dumie i honorze. Za wszelką cenę dopadnie go i załatwi.

Nawet jeżeli będzie musiał strzelić mu w plecy.

ROZDZIAŁ 13

Waszyngton, Czwartek, 23.09

- Czuję się, jakbym był w Oz - powiedział Coffey, rozmawiając przez telefon komórkowy.

-

Przecież właśnie jesteś - stwierdził Hood.

-

Miałem na myśli to drugie miejsce, Szmaragdowe Miasto - odpowiedział

Coffey. - Krainę, gdzie człowiek spoza miasta pęta się z gromadką dziwolągów w poszukiwaniu

czegoś, co bardzo trudno znaleźć.

Hood był sam w swoim gabinecie. Bob Herbert i Mike Rodgers poszli już do domu, ale członkowie ich zespołów wciąż szukali informacji. Zwracali szczególną uwagę na wzmianki o zaginięciu lub transporcie materiałów rozszczepialnych w tym rejonie Pacyfiku. Jak dotąd nie znaleźli niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zgodnie z tym, co powiedział Herbert tuż przed wyjazdem, w handel takim towarem zwykle zamieszane były władze lub służby państwowe różnych krajów.

W przeciwieństwie do indywidualnych handlarzy, kraje takie jak Chiny lub Ukraina potrafiły doskonale maskować swą działalność.

-

Jestem teraz w przedsionku sali szpitalnej, w której leży uratowany pirat - ciągnął Coffey. - Wewnątrz są tylko trzy osoby. Jedną z nich to Brian Ellsworth. Pisałem wam o nim w raportach. Pozostali to chorąży Jelbart z wywiadu marynarki australijskiej oraz major Loh, kobieta oficer singapurskich wojsk obrony wybrzeża.

Hood wprowadził do komputera nazwiska przekazane przez Coffeya i przesłał je natychmiast Herbertowi. Wiedział, że tytuł „kobieta oficer” stosowane jest w singapurskiej armii od wielu lat. Oficjalnie w wojsku nie istniały żadne podziały, a wszelkie formy dyskryminacji były zakazane. Mimo to najwyższe dowództwo wołało, by jednostki liniowe dowodzone były w większości przez mężczyzn, a dzięki temu tytułowi łatwiej było utrzymać równowagę.

-

Czy pacjent jest przytomny? - spytał Hood.

-

Nie, właśnie dlatego nie wszedłem do środka wraz z pozostałymi -

powiedział Coffey. - Ellsworth obiecał, że dadzą mi znać, kiedy pirat się ocknie. A tak przy okazji, dzwonię z bezpiecznego telefonu, który pożyczyłem od Jelbarta. Przełącz się na kod DPR1P.

-

Zaczekaj - rzucił Hood, wpisując podany kod australijskiego ośrodka wywiadu morskiego. Telefony używane w Centrum Szybkiego Reagowania miały wstępnie zaprogramowane klucze kodowe ponad dwustu bezpiecznych sieci, używanych przez służby specjalne i wywiady wielu państw. Jedną z nich należała do MIC. Aby nawiązać bezpieczne połączenie, należało podać kod dostępu do konkretnego, indywidualnego aparatu telefonicznego, wykorzystywanego w tamtej sieci. - Zrobione - stwierdził. - A więc co sądzisz o tym wszystkim?

-

Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem - przyznał Coffey. - Kawałki wraku to na pewno resztki sampana,

bez wątpienia napromieniowane. Łódź

została zniszczona najprawdopodobniej na skutek wybuchu na jej pokładzie.

Piraci już od lat zapuszczali się czasem na Morze Celebes. Materiały wybuchowe stosowali w celu zastraszenia załóg napadniętych jednostek.

-

A więc mogła to być przedwczesna detonacja.

-

Możliwe.

-

Jednak to nie tłumaczy napromieniowania - ciągnął Hood.

-

Właśnie. O ile wiadomo, piraci do tej pory nie mieli nic wspólnego z materiałami rozszczepialnymi, stąd ten niepokój u miejscowych.

-

A to dlaczego? - spytał Hood. - Przecież w tym rejonie przemysł substancji radioaktywnych trwa od lat. Zresztą ci z MIC doskonale o tym wiedzą.

-

Owszem, wiedzą też, że niewiele mogą na to poradzić - powiedział

Coffey, ścisząc głos. - Jeżeli sprawa się wyda, powstaną naciski, żeby coś z tym zrobić. Tylko nikt nie wie, co konkretnie. Od dawna mamy podobny problem w Stanach Zjednoczonych. Nie da się stale kontrolować wszystkich możliwych punktów przerzutowych. Niełatwo jest wykryć przemysł narkotyków, ale z materiałami radioaktywnymi jest jeszcze gorzej.

Coffey miał rację. Sytuacja była trudna. Terrorysty mogli stosować ołowiane wieczne pióra, zegarki, a nawet breloczki do kluczy w celu przemycenia plutonu przez granicę. Tymczasem już kilka gramów tej substancji wystarczało do zabicia tysięcy ludzi albo zatrucia wielkich zbiorników wodnych.

-

Czy prasa coś wie na ten temat? - zainteresował się Hood.

-

Jeszcze nie. Rząd usiłuje utrzymać sprawę w ścisłej tajemnicy - odrzekł

Coffey. - Do rozbitka nie są dopuszczani ani odwiedzający, ani inni pacjenci, ale to ogromny szpital, ktoś może usłyszeć, że dzieje się coś niezwykłego. Zgodnie z planem władze zamierzają zaprzeczać, że sprawa ma coś wspólnego z promieniowaniem.

-

Czy możemy w czymś pomóc?

-

W razie czego dam znać. Zdaje się, że ktoś po mnie idzie. Chyba chcą, żebym wszedł do sali. Oddzwonię, kiedy tylko będę mógł.

-

Zostanę tu jeszcze około godziny - powiedział Hood. - Potem możesz mnie łapać w domu albo na komórkę.

-

W porządku - szepnął Coffey i przerwał połączenie.

Hood odłożył słuchawkę na widelki. Usiadł głębiej w fotelu i rozmyślał o tym, co działo się po drugiej stronie globu. To dziwne, jak pod wpływem podobnych spraw kula ziemiska ulegała skurczeniu. Nie można było wykluczyć, że to, czym zajmowali się Coffey i reszta, dotrze do Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższych kilku godzin. Materiały rozszczepialne można potajemnie transportować drogą morską, a następnie w dowolnym miejscu załadować na pokład samolotu, lecącego na któreś z małych lotnisk w Waszyngtonie, Nowym Jorku lub Los Angeles. Niewielka ilość substancji promieniotwórczej może zostać wniesiona do terminalu, umieszczona w koszu na śmieci lub po prostu upuszczona na podłogę pod ławką. Liczba ofiar byłaby niezwykle wysoka. Dysponując nieco większą ilością substancji, można ją dodać do bomby wykonanej metodą chałupniczą. Wystarczy plastik domowej roboty albo podpalona puszka farby w sprayu. Tym razem liczba ofiar byłaby niewyobrażalna.

Coś takiego może dziać się właśnie w tej chwili, pomyślał Hood, zdając sobie boleśnie sprawę ze swej bezsilności.

Sytuacje kryzysowe to chleb powszedni. Centrum Szybkiego Reagowania stworzono właśnie po to, aby je zwalczać. Jednak na przestrzeni lat zmieniły się katastrofy. Ich gwałtowność, zakres i częstotliwość są doprawdy przerażające. Na walkę z zagrożeniami przeznaczano coraz potężniejsze środki. Wykorzystywano je na badanie określonych wzorców oraz obserwację prawdopodobnych sprawców.

Natomiast nie stworzono jak dotąd metodologii przewidywania przypadków pojawienia się „ludobójców-kamikaze”, jak nazwał to zjawisko Bob Herbert, czyli doraźnej eksterminacji ludności

państw Zachodu przez samobójców.

Kilka lat temu, kiedy Centrum zajmowało się zwalczaniem neonazistów, Herbert powiedział coś, co zapadło Hoodowi w pamięć:

-

Kiedy mózg otrzymuje zbyt mało informacji, jedynym motorem działania pozostaje instynkt. Na szczęście, odkąd banda zdeprawowanych sukinsynów wysadziła w powietrze moją żonę, a mnie samego pozbawiła nóg, posiadam umiejętność instynktownego wyczuwania chorych myśli.

Hood nagle poczuł przyływ energii. On i jego ludzie zapewne dadzą sobie radę ze wszystkim. Rozwiążą każdą zagadkę, określą każdy rodzaj dewianta lub nawet potwora. Muszą to zrobić, bo taka jest konieczność, ale w tym przypadku chodziło o coś więcej - o niezłomną amerykańską dumę.

ROZDZIAŁ 14

Darwin, Australia, Piątek, 12.47

- Droga pani, nie mamy najmniejszego zamiaru robić pacjentowi żadnego zastrzyku!

- rzekł z naciskiem mężczyzna w białym fartuchu, prawdopodobnie lekarz dyżurny, stojący obok Ellswortha, Loh i Jelbarta. To Ellsworth wezwał Coffeya. Amerykanin słyszał podniesiony głos lekarza jeszcze zza zamkniętych drzwi.

-

Panie doktorze - powiedziała major Loh. - Mamy trudną sytuację, która musi zostać niezwłocznie wyjaśniona...

-

A ja mam pacjenta, który musi odpocząć - przerwał jej lekarz.

-

Na razie ma pan jednego pacjenta - nie dawała za wygraną Loh. -

A co pan robi, jak zapełnią się wszystkie łóżka na tym oddziale, i trzeba będzie jeszcze dostawić wiele z nich na korytarzach?

Lekarz przeniósł wzrok na Ellswortha.

-

Czy to prawda? Czy może do tego dojść?

-

Nie można wykluczyć takiego scenariusza - odparł ze złością Ellsworth, spoglądając na Loh.

-

Mamy do czynienia z substancją radioaktywną - tłumaczyła Loh. -

Musimy się dowiedzieć, czy ten człowiek przewoził ją, odbierał, czy zetknął

się z nią zupełnie przypadkowo. Musimy ustalić, czy substancja ta wciąż znajduje się w morzu, zatruwając ryby, którymi żywią się pańscy pacjenci, albo bezpośrednio ich samych. Doktorze, musimy dowiedzieć się, co się stało.

-

Jeżeli zrobię to, o co mnie prosicie, on może umrzeć - powiedział

lekarz, kręcąc przecząco głową. - A wówczas nigdy nie otrzymacie odpowiedzi na te pytania. Jeżeli go nawet zbudzimy, nie ma żadnej gwarancji, że cokolwiek powie.

-

To jest ryzyko, które musimy podjąć - odparła.

-

Łatwo pani powiedzieć - burknął lekarz.

-

Zanim uznamy za niezbędne poczynienie tego nadzwyczajnego kroku, sprawdźmy, czy mamy do tego prawo - powiedział Ellsworth, zwracając się do Coffeya. Był wyraźnie zdenerwowany. Coffey nie wiedział, co było gorsze dla tego australijskiego formalisty: odpowiedzialność za podjęcie kontrowersyjnej decyzji, czy też obawa, co mogą odkryć w jej wyniku. - Lowell, to pańska działka. Co pan na to? Proszę jednak pamiętać, że nie mamy całkowitej pewności co do narodowości naszego gościa.

Czy mamy prawo cokolwiek z nim zrobić?

-

Poza udzieleniem mu niezbędnej pomocy medycznej - dodał lekarz.

Coffey spojrział na plakietkę z nazwiskiem lekarza.

-

Doktorze Lansing, jeśli ten człowiek jest członkiem sekty scjentologów lub buddystą, to nawet zabiegi medyczne mogą zostać potraktowane jako naruszenie jego praw.

-

Też coś! - wykrzyknął lekarz. - Facet ma dwie rany postrzałowe i oparzenia trzeciego stopnia! Wykrwawiłby się na śmierć, gdybyśmy go nie połatali.

-

Niewykluczone - przyznał Coffey. - Jednak zgodnie z międzynarodowym prawem morskim, w przypadku braku możliwości podjęcia decyzji przez samą ofiarę, powinna to zrobić najbliższa rodzina lub oficjalny przedstawiciel ojczystego kraju, z zachowaniem podanej kolejności.

-

A jeżeli nikogo takiego nie ma pod ręką? - spytał Jelbart.

-

Wówczas ma zastosowanie prawo kraju pełniącego rolę gospodarza, nieprawdaż? - upewnił się Ellsworth.

Coffey skinął głową.

-

A więc my możemy podjąć decyzję - rzekł Ellsworth.

-

Słusznie - potwierdził Coffey. - Jednak kraj pełniący rolę gospodarza jest także odpowiedzialny za każde pogwałcenie praw człowieka, wynikające z podjęcia tej decyzji. Ponadto zobowiązany jest do kierowania się „humanitarną rozważą” podczas doboru leków oraz metod terapeutycznych.

-

Co oznacza, że nie możemy szprycować go koktajlem z norepinefryny, aby wyszedł ze śpiączki - stwierdził stanowczo doktor Lansing.

-

Niekoniecznie - zastrzegł Coffey. - Jeżeli człowiek ten j est podejrzany o dokonanie poważnego

przestępstwa, takiego jak przemyt narkotyków czy materiałów rozszczepialnych, dozwolone jest przesłuchanie go przez odpowiednie władze.

-

No to go przesłuchujcie! - wyrzucił z siebie Lansing. - Zdaje się, że nie zdołam was powstrzymać. Tylko nie każcie mi go budzić!

-

Trudno wprost uwierzyć, że bawi się pan w dyskusje, podczas gdy odpady radioaktywne mogą być właśnie wyrzucane do morza - stwierdziła major Loh.

-

A mnie trudno uwierzyć, że w pani kraju można zostać w majestacie prawa zachłostanym prawie na śmierć za graffiti na murach - odciął się Lansing.

-

Panie doktorze, prawo morskie wyraża się jasno w kwestii prowadzenia śledztwa - powiedział Coffey. - Nie stosuje określenia „pytanie”, lecz

„przesłuchanie”. Zakłada się przy tym, że przesłuchiwany jest przytomny.

-

A jeśli nie jest? - spytał lekarz.

-

Szczerze mówiąc, nadrzędne wydaje się wówczas summum bonum, czyli dobro ogółu - stwierdził Coffey. - Zawsze udaremnienie przestępstwa jest korzystne dla społeczeństwa. Jedyne pytanie, jakie się wobec tego nasuwa, dotyczy zasadności dążeń do uzyskania wszelkich możliwych informacji. Jeżeli zaś takowa istnieje, pozostaje tylko przeprowadzić przesłuchanie w sposób humanitarny, nie stosując przymusu ani groźby.

-

Sądzę, że napromieniowany człowiek stanowi wystarczające uzasadnienie obaw o pojawienie się materiałów promieniotwórczych - powiedział Jelbart.

-

Poza tym jeszcze co najmniej jeden kraj popiera waszą decyzję -

rzekł Coffey, wskazując na major Loh.

-

Tylko jeden? - spytał Ellsworth.

-

Oficjalnie tak - potwierdził Coffey.

-

Czy Stany Zjednoczone poprą każdą decyzję, jaką my podejmiemy, ze specjalnym podkreśleniem słowa „my”? - naciskał Ellsworth.

-

Macie silne podstawy prawne, a moi zwierzchnicy zgadzają się, że mogło dojść do poważnego zagrożenia bezpieczeństwa - powiedział Coffey. -

Jako prawnik powiem, że odpowiedź na to pytanie nie może być już bardziej twierdząca.

Doktor Lansing przenosił wzrok z Coffeya na pozostałych uczestników rozmowy. W

końcu potrząsnął głową i rzekł ze smutkiem:

-

Próba obudzenia go może spowodować śmierć. Zdajecie sobie z tego sprawę?

-

Tak - odparła Loh.

-

Zgłaszam zdecydowany sprzeciw - zakomunikował lekarz. - Chcę, aby to było jasne.

-

Zostanie to odnotowane - potwierdził Ellsworth.

-

Chciałbym też zaznaczyć, niejako lekarz, lecz jako postronny obserwator, że człowiek, którego ta sprawa bezpośrednio dotyczy, nie może powiedzieć ani słowa. To nie jest w porządku.

-

A dlaczego pan przypuszcza, że miałby coś przeciwko temu? - spytał Coffey.

-

Słusznie! - rzucił Jelbart. - Może chce, abyśmy złapali sprawców.

Lansing spojrział na Ellswortha, potem na Jelbarta i rzekł:

-

Inni pacjenci czekają. Kto z państwa podpisze formularz zezwolenia?

Na moment zapadła cisza. Jelbart zwrócił się z pytaniem do Ellswortha:

-

Czy to będzie sprawa wojskowa, czy państwowa?

Dobre pytanie, pomyślał Coffey. Gdyby pozostawić ją w gestii wojska, miałoby ono podstawy prawne do ewentualnej reakcji zbrojnej. Nielegalny transport materiałów rozszczepialnych, w przeciwieństwie do zwykłego przemytu, stanowi naruszenie bezpieczeństwa państwa. Gdyby zaś dokument podpisał Ellsworth, Canberra powinna szukać rozwiązania przede wszystkim na drodze dyplomatycznej, choć nie wyłącznie.

Coffey nie zdziwił się, kiedy po chwili Jelbart sam odpowiedział na własne pytanie.

-

Ja podpiszę. Przekonajmy się, co nasz gość ma nam do powiedzenia.

Lekarz wezwał pielęgniarkę i wskazał jej Jelbarta, a sam wszedł do magazynku leków po drugiej stronie korytarza. Major Loh, nic nie mówiąc, weszła do sali chorych.

-

Dziękuję, Lowell - powiedział Ellsworth.

-

Proszę bardzo, Brian - odparł Coffey.

Wysoki urzędnik państwowy wyglądał blado. Podeszedł do stojącego pod ścianą automatu z wodą.

-

Napijesz się? - spytał, napełniając kubek.

-

Nie, dziękuję - odrzekł Coffey.

Ellsworth opróżnił kubek i ponownie podstawił go pod kranik. Wypił do dna, zgniótł papierowe naczynie i wyrzucił je do kosza.

-

Czy coś przede mną ukrywasz? - spytał Coffey.

Rozmówca zaprzeczył, energicznie kręcąc głową.

-

Czy będę ci jeszcze do czegoś potrzebny?

-

Tak. Czy mógłbyś z nami zostać? - spytał Ellsworth. - Wiem, że masz konferencję w Sydney, ale przydałby się nam ktoś z zewnątrz tu na miejscu.

-

Powiedz mi, co byście zrobili, gdybym nie pozwolił go obudzić? -

zainteresował się Coffey.

-

Nie brałem tego pod uwagę. Sądzę, że mamy podstawy prawne, aby postępować w ten sposób.

-

Unikasz odpowiedzi. Co byście wówczas zrobili? - Coffey ponowił pytanie.

-

Dokładnie to samo, co teraz - stwierdził Ellsworth zrezygnowanym głosem. - Nie mamy innego wyjścia. Ta sprawa budzi grozę, Lowell, dlatego trzeba działać agresywnie. - Spojrzał na Coffeya i uśmiechnął się. -

Ale dobrze mieć cię po swojej stronie.

Coffey odwzajemnił uśmiech. Dziwnie brzmiały słowa Ellswortha, przekonującego o konieczności agresywnego działania. Załedwie przed minutą zdrętwiał, kiedy przyszło do wzięcia odpowiedzialności za nafaszerowanie gościa prochami. A tymczasem szefowi doradców chodziło o jeszcze bardziej agresywne nakłanianie ludzi do działania. Był to zupełnie nowy świat dla człowieka takiego jak Brian Ellsworth, kogoś, kto do tej pory cieszył się władzą, nie odczuwając

przygniatającego brzemienia odpowiedzialności.

Tym samym jednak Coffey stwierdził, że w co najmniej jednym punkcie podzielał

zdanie Ellswortha. Sprawa faktycznie budziła grozę. W dodatku miał przeczucie, że będzie jeszcze o wiele straszniej.

ROZDZIAŁ 15

Darwin, Australia, Piątek, 12.59

Major Loh stała między chorążym Jelbartem a doktorem Lansingiem. Wszyscy troje mieli na rękach gumowe rękawiczki, a na twarzach maski chirurgiczne. Kobieta beznamiętnie przypatrywała się, jak lekarz podaje poprzez wenflon przezroczysty roztwór do żyły pacjenta. Przedtem zamknął zawór kroplówki, spływającej do szczupłego, choć muskularnego ramienia rozbitka. Brian Ellsworth i Lowell Coffey stali w przejściu, za ołowianym ekranem. Lekarz pokręcił głową, na której zaznaczały się początki łysiny.

-

Biedaczek dostanie podwójnego kopa - powiedział.

-

Jak to? - zainteresował się Jelbart.

-

Musiałem zamknąć dopływ środków przeciwbólowych. Morfina osłabia działanie norepinefryny - wyjaśnił Lansing. - Na swój sposób to może mu pomóc. Podałem mu umiarkowaną dawkę levonoru. Mam nadzieję, że ból i środek pobudzający wystarczą, aby się ocknął, a jednocześnie nie spowodują działań ubocznych.

-

A jakie mogą być konsekwencje? Jak działa norepinefryna? - spytał Jelbart.

-

To środek pobudzający - powiedział Lansing. - A pacjent cierpi na niedociśnienie.

-

Na skutek wstrząsu. - Jelbart domyślił się.

-

Właśnie - potwierdził Lansing. - Gwałtowne przejście organizmu ze stanu obniżonej aktywności do stanu pobudzenia może doprowadzić do zatrzymania akcji serca.

-

Rozumiem - powiedział Jelbart. - A co z napromieniowaniem? Jakie miało dla niego skutki?

-

Za wcześnie, by to ocenić - odparł lekarz. - Mogły jeszcze nie wystąpić wszystkie objawy, ponadto wciąż nie wiemy, jaki był pierwotny poziom skażenia.

-

W takim razie na czym opiera pan leczenie? - spytał Jelbart.

-

Pacjent wciąż jeszcze żyje - powiedział oschle lekarz - a więc można postawić tezę, że dawka nie była śmiertelna.

-

Istotnie - przytaknął Jelbart.

-

Leczenie jest zawsze podobne, bez względu na otrzymaną dawkę -

ciągnął Lansing. - Podałem mu preparat z pyłku kwiatowego i wosku pszczelego, będący naturalnym lekiem w chorobie popromiennej. Właściwie możemy leczyć tylko objawy: mdłości i osłabienie, ale środek ten pobudza szpik kostny do produkcji białych i czerwonych krwinek, a ponadto nie wchodzi w interakcję z lekami stosowanymi w leczeniu jego ran. Pewnym optymizmem może napawać fakt, że jego oparzenia powstały najprawdopodobniej na skutek eksplozji, a nie w wyniku napromieniowania.

-

Skąd pan wie? - spytał Jelbart.

-

Ciało inaczej reaguje na napromieniowanie. Tworzy się dużo więcej pęcherzy.

-

A jeśli chodzi o poziom promieniowania emitowanego przez pacjenta? -

Jelbart zaniepokoił się.

-

Jest bardzo niski - odrzekł Lansing. - Nie ulegniemy skażeniu nawet przebywając w jego towarzystwie około pół godziny. Zapewniam pana, że nie będziemy potrzebowali tyle czasu. Tę ołowianą osłonę postawiono z myślą o pielęgniarkach, które kręcą się tu przez cały dzień.

Mężczyzna leżący na łóżku zaczął jęczeć, kiedy lek rozszedł się po jego organizmie. Major Loh pochyliła się nad nim.

-

Jeszcze za wcześnie na rozmowę - przestrzegł ją Lansing. - Pacjent nic nie słyszy. To tylko reakcja na ból. Gdy zacznie odzyskiwać przytomność, zaobserwuje pani ruchy gałek ocznych pod powiekami.

Loh wyprostowała się. Zaczęła bezwiednie przesuwając dłoń po brzegu swej kurtki.

W sali było ciepło i unosił się drażniący zapach środków odkażających. Nie pachniało świeżością. Dla major Loh świeżością pachniała brudna woda po zmywaniu pokładu patrolowca albo przesycone solą i paliwem morskie powietrze z maszynowni. Natomiast zapach panujący w szpitalu pozbawiony był życia i charakteru.

Młoda kobieta wpatrywała się w pacjenta, który zaczynał coraz szybciej oddychać.

Poczuła ukłucie smutku. Zanim znalazł się w tym szpitalnym łóżku, musiał przeżyć prawdziwy horror. Tysiące młodych ludzi z Azji, kobiet i mężczyzn, były bardzo podobne do niego. Może przed

czymś uciekał. Może nie chciał stać się podobny do swojego ojca. Może próbował

dośćgnąć swe marzenia. Może naoglądał się w telewizji amerykańskich i europejskich filmów i zapragnął tak żyć.

Major czuła dla niego współczucie, ale jednocześnie pogardę. Chęć wyrwania się spod ucisku lub ucieczka od nędzy nie stanowiły żadnego przestępstwa, podobnie jak pragnienie bogactwa i wolności. Jednak były inne drogi, prowadzące do tego celu. Legalne i uczciwe. Na przykład służba wojskowa, praca na farmie, działalność handlowa. Ludzie podobni do niego byli bardziej cwani niż mądrzy, bardziej niecierpliwi niż pracownicy, bardziej gwałtowni niż stanowczy.

Zasługiwali na tragiczny koniec, który sami sobie gotowali.

Pacjent otworzył na chwilę oczy i zaraz zmrużył je, straszliwie się krzywiąc.

Suche wargi poruszyły się bezgłośnie. Zaczął się powoli kręcić na łóżku, a potem słabo rzucać i jęczeć. Loh pochyliła się mu do ucha, dotykając lekko policzka i czoła.

-

Nie ruszaj się - powiedziała łagodnym głosem po malajsku. Powtórzyła te słowa także po chińsku i angielsku.

-

Ktoś ty? - powiedział chory także po malajsku.

-

Jesteś bezpieczny - powiedziała. - Mam na imię Monica. Znajdujesz się w szpitalu. Skąd jesteś?

Pacjent otworzył usta, jakby krzyczał bezgłośnie z bólu.

-

Skąd jesteś? - powtórzyła Loh.

-

Z Singapuru - odpowiedział.

-

Jak masz na imię?

-

Imię... - powtórzył niewyraźnie chory. - Lee.

-

Jaki Lee?

-

Lee Tong - powiedział.

-

Lee Tong, co robiłeś na morzu?

-

Boli mnie - powiedział pacjent i przymknął oczy, z których pociekły mu łzy. - Moja skóra... stopy... pieką.

-

Ulżymy ci, jeśli odpowiesz na moje pytania - oznajmiła Loh z zadowoleniem, że doktor nie może jej zrozumieć. Marnowałby tylko czas na niepotrzebne uzalanie się. - Co robiłeś na morzu?

-

Strzelali do nas - powiedział.

-

Kto strzelał?

-

Zobaczyli nas mimo ciemności.

-

Ze statku, który napadliście?

-

Tak - odpowiedział. - Trafili... w plastik.

-

Wasz plastik? - spytała Loh. - Mieliście plastyczny materiał wybuchowy na pokładzie?

Kiwnął głową.

-

Lee Tong, czy próbowaliście zabrać coś z tej drugiej jednostki?

Zaczął sapać.

-

Czy zaatakowaliście ten statek? - Loh domagała się odpowiedzi.

-Boli... pomóż mi!

-

Czy zaatakowaliście ten statek?! - krzyknęła.

-Tak...

Lansing obserwował monitor po prawej stronie łóżka.

-

Pani major, ciśnienie krwi pacjenta wzrosło do dwustu dziesięciu na sześćdziesiąt. Puls dochodzi do dwustu dwudziestu uderzeń na minutę.

-

Co to znaczy? - spytał Jelbart.

-

Że grozi mu częstoskurcz komorowy - powiedział doktor. - Może to spowodować zaburzenia przepływu krwi, zakrzep, uduszenie, śmierć.

-

Niedawno mówił pan, że ma pan mało czasu - przypomniał Jelbart.

-

A teraz mówię, że to jemu nie zostało zbyt wiele czasu - odparł Lansing. -

Niech pani zrobi przerwę, pani major.

Loh nawet się nie poruszyła.

-

Lee Tong, powiedz, co zamierzaliście zrobić z tamtą jednostką- na ciskała.

Jedyną odpowiedzią były jęki.

-

Chcieliście ją porwać? A może coś ukraść? - pytała.

-

Pieniądze - padła odpowiedź.

-

Chcieliście zrabować pieniądze?

-

Kosztowności też - dodał. - I sprzęt.

-

Jaki sprzęt?

-

Elektroniczny.

-Nic niebezpiecznego? -spytała. - Żadnych odpadów promieniotwórczych?

Lee Tong zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

A więc to tylko piraci, pomyślała Loh. Piraci, którzy obrali sobie zły cel.

Lee Tong zaczął krzyczeć i szarpać się pod krępującymi go pasami. Pojawiła się pielęgniarka i usiłowała go uspokoić.

-

Wystarczy już, pani major - powiedział lekarz. - Siostró, trzeba mu podać beta-bloker, żeby go ustabilizować. Zwiększyć dawkę propranololu IV.

Pozostali obecni, proszę wyjść.

Loh, ignorując lekarza, zadała kolejne pytanie:

-

Lee Tong, czy do tego zdarzenia doszło na Morzu Celebes?

-

Tak.

-

Możesz opisać statek, który napadliście?

-

Było za ciemno - odpowiedział. Zaczął się trząść i stał się wyraźnie pobudzony. Nagle otworzył szeroko oczy, a z gardła wyrwał mu się nieartykułowany wrzask.

-

Dość tego! - krzyknął lekarz.

Lansing wepchnął się między major Loh i na powrót otworzył dopływ morfiny do krwiobiegu pacjenta, który prawie natychmiast się uspokoił. Loh obeszła bokiem doktora i znów spytała:

-

Jak wyglądał ten statek? Czy zatonął?

-

Nie zatonął - odpowiedział rozbitek, tracąc powoli przytomność. -

Był wybuch... utrzymywał się...

Pacjent znieruchomiał i bezwiednie opadł na poduszkę.

-

Dlaczego pan to zrobił? - Loh zaatakowała lekarza.

-

Bo tętno doszło do dwustu trzydziestu pięciu uderzeń na minutę. W jego stanie mogło to oznaczać śmierć. A teraz proszę się odsunąć, pani major, i umożliwić mi wykonywanie moich obowiązków.

Loh cofnęła się o krok. Kiedy lekarz wraz z pielęgniarką podeszli do łóżka, Jelbart wziął ją pod ramię. Minęli ołowiane osłony i wyszli na korytarz, dołączając do pozostałych członków ekipy.

-

Co pani powiedział? - spytał Ellsworth.

Loh przeciągnęła wzrokiem po ich twarzach i zaczerpnęła powietrza.

-

Nazywa się Lee Tong i jest Singapurczykiem. Tej nocy był w morzu wraz z grupą piratów, próbowali zaatakować j jakiś statek. Zależało im tylko na pieniądzach i sprzęcie dla pasera. Typowy piracki łup. Sądząc ze skażenia, musieli nadzieć się na jednostkę przewożącą odpady radioaktywne.

-

Co to za statek? - spytał Jelbart.

-

Nie wiem - powiedziała Loh. - Jednak ludzie ci z reguły nie atakują statków przewożących odpady promieniotwórcze.

-

Chodzi o legalny transport - uściślił Coffey.

-

Tak jest - potwierdziła. - Piraci najwyraźniej próbowali zatrzymać atakowaną jednostkę, ale zostali odparci ogniem z broni maszynowej, prawdopodobnie przez zespół ludzi wyposażonych w gogle noktowizyjne.

Lee Tong powiedział, że wystrzelali ich w zupełnych ciemnościach.

-

Musieli trafić na zawodowców - zauważył Jelbart.

-

Na to wygląda - zgodziła się Loh. - Podczas strzelaniny eksplodował

materiał wybuchowy, należący do piratów. Widocznie wybuch wybił otwór w kadłubie broniącego się statku, przez który sampan został napromieniowany.

Lee twierdzi, że statek utrzymywał się na powierzchni. Prawdopodobnie został uszkodzony i teraz stoi na kotwicy gdzieś niedaleko miejsca, w którym doszło do ataku. Mam zamiar go poszukać.

-

Chciałbym zwrócić pani uwagę na pewien fakt, zanim pani wyruszy -

powiedział Coffey.

-

Słucham.

-

Z tego, co pacjent powiedział pani podczas przesłuchania, nic nie może zostać użyte podczas formułowania ewentualnego oskarżenia przeciwko niemu - wyrecytował Coffey. - Badanie odbywało się pod nieobecność adwokata pana Tonga, a on sam był pod wpływem środków medycznych.

-

Ale przecież on jest winien piractwa - powiedziała Loh.

-

Być może - przytaknął Coffey. - Jednak jeżeli zechciałaby pani to udowodnić, nie będzie pani mogła korzystać z wiedzy uzyskanej w ten sposób.

Pomocnicy major Loh stali na drugim końcu korytarza. Choć niedouczeni i bardzo młodzi, dużo lepiej znali świat przestępczy od tych seniorów z wyższym wykształceniem, którym wiedza i liberalne poglądy odebrały rozsądek.

-

Panowie, wracam na patrolowiec - powiedziała Loh. - Prawdopodobnie miejsce zdarzenia nie było przypadkowe.

-

Co pani ma na myśli? - spytał Ellsworth.

-

Chodzi pewnie o obszar sto trzydzieści i pięć, prawda pani major? -
domyślił się Jelbart.

-

Tak. Mam zamiar tam popłynąć i poszukać dowodów zajścia, a może nawet statku, który miał być ofiarą piratów.

-

Przepraszam, co to jest obszar sto trzydzieści i pięć? - spytał Coffey.

-

To współrzędne geograficzne, sto trzydziesty stopień długości wschodniej i piąty stopień szerokości południowej. W tym miejscu Chiny i Japonia mogą zatapiać swoje odpady nuklearne.

-

Ale przecież major Loh powiedziała przed chwilą, że piraci nie zaatakowałyby
statku przewożącego odpady - zdziwił się Ellsworth.

-

Być może wcale tego nie zrobili - odrzekła Loh. - Obawiam się, że mamy do czynienia z inną sytuacją.

-

Jaką? - niecierpliwił się Ellsworth.

-

Taką mianowicie, że piraci zaatakowali jednostkę, która nieco wcześniej przejęła część ładunku z jednego z transportowców odpadów.

ROZDZIAŁ 16

Waszyngton, Czwartek, 23.55

Paul Hood zbierał się do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. Prawie pięć godzin temu przekazał dyżur w Centrum nocnej zmianie. Tylko w tym czasie mógł przejrzeć zaległą pocztę elektroniczną, zapoznać się z raportami wywiadu i pozałatwiać sprawy osobiste. Teraz podniósł słuchawkę i usiadł na krawędzi biurka.

-

Dobry wieczór, Paul - powiedział Coffey.

-

Witaj. No i co? Pacjent się obudził?

Coffey przytaknął. Zanim opowiedział o szczegółach, Hood zorganizował

konferencję telefoniczną z udziałem Mike'a Rodgersa i Boba Herberta. Obaj byli w domu. Rodgers oglądał stary film przygodowy, jak zwykle z udziałem Johna Wayne'a lub Charltona Hestona. Herbert kładł się spać.

Hood nie był zaskoczony tym, co opowiedział Coffey.

-

Masz coś na temat pocisków wyciągniętych z ciała pirata lub ze szczątków wraku? - spytał Rodgers.

-

Tak, zanotowałem to sobie - powiedział Coffey. - Wystrzelono je z półautomatycznej trzydziestki ósemki. Według wstępnych badań przerobiono je, dodając wolframowo-polimerowy płaszcz...

-

Co oznacza, że są dużo trudniejsze do identyfikacji - wtrącił się Rodgers.

-

Jak to? - spytał Hood.

-

Tego rodzaju przeróbka oznacza, że pocisk i łuska pochodzą z różnych miejsc - wyjaśnił Rodgers. - Ponadto na pociskach nie zostają ślady gwintu lufy, z której zostały wystrzelone.

-

Kule niepozostawiające odcisków palców - stwierdził Herbert.

-

Mniej więcej - przytaknął Rodgers.

-

Czy do ich wytwarzania potrzebne są znaczne środki finansowe? A może specjalne laboratorium?

-

Niekoniecznie - odpowiedział Rodgers. - Zależy od skali produkcji.

Kilkadziesiąt, a nawet kilkaset sztuk można wykonać w baraku za pomocą nieskomplikowanego sprzętu.

-

A więc ten ślad prowadzi donikąd - stwierdził Hood.

-

Jest jeszcze coś, o czym musimy pomówić - powiedział Coffey. -

Brian Ellsworth, szef prawników australijskiego ośrodka wywiadu morskiego, z dużym zadowoleniem powitałby włączenie się Stanów Zjednoczonych w prowadzone śledztwo.

-

Masz na myśli oficjalne włączenie się? - uściślił Rodgers.

-

Otóż to - odpowiedział Coffey. - Jestem tu jako niezależny doradca, a nie przedstawiciel Centrum czy też władz Stanów Zjednoczonych.

- O co właściwie chodzi Ellsworthowi? - dociekał Hood.

-

Chciałby formalnego potwierdzenia, że bierzemy udział w dochodzeniu -
wyjaśnił Coffey.

-

Dlaczego to jest dla nich takie ważne? - spytał Herbert. - To nie jest coś, na co Australijczycy potrzebowaliby naszego przyzwolenia, ani też nic takiego, z czym nie mogliby dać sobie radę sami.

-Naturalnie, że mogliby to zrobić samodzielnie - zgodził się Coffey. - Zarazem j ednak...

-

...woleliby mieć nasze wsparcie - wszedł mu w słowo Hood. -

Zwłaszcza jeżeli będą musieli przycisnąć Singapur w celu uzyskania dokładniejszych informacji na temat tego pirata.

-

Singapur, Malezję, Chiny i każdy inny kraj, który może mieć związek z tą sprawą.

-

Szczerze mówiąc, nie sędzę, aby ten pirat odgrywał w tym jakąś rolę -

stwierdził Herbert. - Zarówno on, jak i jego kumple mieli po prostu pecha.

-

Możliwe - zgodził się Hood. - Ciekawi mnie, jak się zachowają, gdyby okazało się, że w sprawę zaplątani są Australijczycy.

-

Jestem pewien, że właśnie dlatego Ellsworth chce, abyśmy się przyłączyli do śledztwa - powiedział Coffey. - Gdyby faktycznie pojawił się wątek australijski, moglibyśmy okazać się pomocni w wywieraniu nacisku na władze w Canberze, które mogą próbować iść w zaparte. Widzisz, Bob, rachunek sumienia to akurat jedna z tych rzeczy, które za dobrze im nie wychodzą. Australijczycy mają poczucie specjalnej misji w tamtym rejonie, jakby byli pewnego rodzaju policjantami. Dookoła pełno Azjatów, a oni samotnie propagują wśród nich europejskie wartości. Dlatego bardzo nie lubią znaleźć się w roli oskarżonych.

-

Czy ktoś wybiera się na miejsce zdarzenia? - spytał Rodgers.

-

Loh i Jelbart mają tam popłynąć, każde osobno, na oddzielnych okrętach - poinformował

Coffey. - Ja zabiorę się z Australijczykami.

-

Lowell, jeżeli piraci zaatakowali statek legalnie transportujący odpady, to powinien być jakiś ślad tego zajścia, nieprawdaż? - spytał Hood.

-

Owszem - odparł Coffey. - Powinien zostać sporządzony raport o ataku.

Zgodnie z wymogami Międzynarodowego Komitetu Nadzoru Nuklearnego, wszelkiego rodzaju sytuacje awaryjne na wojennej lub cywilnej jednostce, przewożącej substancje promieniotwórcze, powinny zostać zgłoszone w portach zarówno wyjściowym, jak i docelowym. Jednak nic takiego nie miało miejsca.

-

Skąd wiesz? - spytał Rodgers.

-

Ponieważ w biuletynie MKNN natychmiast pojawiłoby się ostrzeżenie o potencjalnym zagrożeniu dla żeglugi lub skażeniu promieniotwórczym -

powiedział

Herbert. - Ponadto zawiadomiono by między innymi australijski departament obrony, krajowe służby ratownictwa oraz wydział

zdrowia publicznego i chorób zakaźnych.

-

A tak się nie stało - skonstatował Hood.

-

Właśnie - potwierdził Coffey.

-

Czy tamtejszy wydział zdrowia publicznego podjął jakieś kroki zaradcze? -

spytał Hood.

-

Zamierzają zwiększyć liczbę patroli przybrzeżnych w pobliżu głównych miast - powiedział Herbert. - Naturalnie będą szukać podwyższonego poziomu promieniowania, a także wszelkich uszkodzonych statków.

-

Bob, czy Narodowe Biuro Rozpoznawcze może pomóc w poszukiwaniach tej tajemniczej jednostki? - spytał Hood.

Narodowe Biuro Rozpoznawcze, czyli NRO, to bardzo tajemnicza struktura rządowa, kontrolująca satelity szpiegowskie oraz opracowująca uzyskiwane obrazy. Zajmuje się ona także innymi metodami rozpoznania elektronicznego.

-

Chodzi o ogromny rejon z ruchliwymi szlakami morskimi - stwierdził

Herbert. - Nie wiemy, dokąd popłynął ten statek, ani nawet nie znamy dokładnego miejsca zatonięcia sampana. Wolałbym zawęzić obszar poszukiwań, zanim poprosimy NRO o skorzystanie z pomocy jednego z tych cennych urządzeń.

-

Zdaje się, że po to właśnie tam są - zauważył Coffey.

-

Niezupełnie - odrzekł Herbert. - Satelity znajdują się tam w celu obserwacji

chińskich manewrów morskich, testów pocisków raketowych, a także monitorowania aktywności terrorystów w górach i dżunglach Indonezji, bo te właśnie elementy mają na co dzień największy wpływ na wojskową i zagraniczną politykę Stanów Zjednoczonych.

-

Ach tak - powiedział Coffey.

-

Nie słyszę w twoim głosie radości, Lowell - zauważył Hood.

-

Miałem nadzieję, że coś jednak damy Australijczykom.

-

Chodzi o wsparcie operacyjne czy polityczne? - spytał Herbert.

-

Rozumiem, że oba rodzaje wsparcia nie wchodzi w grę - rzekł Coffey.

-

Owszem, nie wchodzi. Od czasów Juliusza Cezara - powiedział Herbert. -

Czy Ellsworth jest skłonny przyjąć solidarnościowy gest?

-

Sądzę, że tak - odparł Coffey. - Co masz na myśli?

-

Moje osobiste przybycie - wyjaśnił Herbert. - Byłoby niezręcznie posyłać Mike'a, skoro już teraz roi się tam od żołnierzy.

-

Nie sądzę zresztą, aby Pentagon wyraził na to zgodę - mruknął Rodgers.

Hood miał tego świadomość. Mimo iż Rodgers pełnił funkcję zastępcy szefa Centrum, wciąż był

żołnierzem służby czynnej. Niezapowiedziane przybycie wojskowego doradcy prasa w Australii mogłaby potraktować jako zapowiedź lokalnej koncentracji wojsk. Niezwykłe sytuacje stanowią pożywkę dla nieprawdopodobnych pomysłów. Tymczasem należało unikać zwracania uwagi na tę sprawę, nie tyle ze strony innych państw, ile Białego Domu. Potrzeby Centrum mogły kolidować z krótko- lub długoterminowymi planami administracji waszyngtońskiej dla tego rejonu.

-

Mike, a może by tak ruszyć któregoś z twoich agentów do zadań specjalnych?

- spytał Hood.

-

Jeżeli wyślę teraz Marię na kolejną akcję, to Darrell gotów jest samodzielnie wywołać jakąś wojnę - stwierdził Rodgers.

Darrell McCaskey był łącznikiem między Centrum a FBI oraz różnymi zagranicznymi agencjami, zajmującymi się egzekwowaniem prawa. Niedawno ożenił się z byłą agentką hiszpańskiego Interpolu, Mariją Corneja. Wkrótce potem Rodgers zaoferował jej pracę w ramach tworzonej przez siebie nowej grupy wywiadowczej ORION, mającej zajmować się bezpośrednim zwiadem i rozpoznaniem. Główną rolą ORION-a było sprowadzenie szpiegów w pobliże miejsc, w których coś się działo, zamiast polegania na podsłuchach i obserwacjach elektronicznych. Maria przyjęła propozycję i niemal natychmiast została wysłana do Afryki wraz z dwoma innymi członkami zespołu, Davidem Battatem i Aideenem Marleyem. McCaskey nie okazał

zbytniego entuzjazmu z tego powodu.

-

Pozostali agenci są poza miastem, załatwiają sprawy rodzinne i zawodowe, by można było ich tu ściągnąć - powiedział Rodgers. - Nie miałem też od dawna bezpośredniego kontaktu ze swoim azjatyckim agentem, Yuenem Chów.

-

Gdzie on teraz jest? - spytał Hood.

-

W domu w Hongkongu. Przyjedzie tu w przyszłym tygodniu. Cały czas znajduje się pod naszą ochroną. Spędził siedem lat, robiąc interesy z filmowcami w Szanghaju. Naprawdę trudno jest się połapać, który z tych ludzi może mieć powiązania z Guoanbu w Pekinie lub z triadami w Hongkongu.

-

Albo i z tymi, i z tymi - powiedział Herbert. - Szczerze mówiąc, chciałbym choć na pewien czas

dostać wolną rękę, by zrobić porządek w swoim ogródku.

-

Ja także - przyłączył się Rodgers. - Natomiast nie chciałbym być zmuszony do stosowania inwigilacji, aby upewnić się, że moi szpiedzy nie pracują na dwie strony.

Guoanbu to skrót od Guojia Anquan Bu, jak po chińsku nazywa się ministerstwo bezpieczeństwa państwa, czyli bezlitosna policja polityczna, która poprzez chińskich emigrantów ma powiązania na całym świecie. Normalną procedurą dla Guoanbu było wtrącanie do więzienia członków rodzin ludzi, którzy wyemigrowali do innych krajów, w celu zapewnienia sobie ich posłuszeństwa. Z kolei triady to równie zdemoralizowane grupy przestępcze, powstałe ponad sto lat temu w Hongkongu. Ich nazwa pochodziła od troistego symbolu szczęścia, który wyobrażał

niebiosa, ziemię i człowieka.

-

A więc zostaję tylko ja - powiedział Herbert. - Mogę pojechać do Darwin i pomóc w gromadzeniu i interpretacji danych.

-

Co ty na to, Lowell? - spytał Hood.

-

To chyba dobry pomysł - przyznał Coffey.

-

Powiadom o tym Ellswortha - polecił Hood, po czym zwrócił się do Herberta: - Tymczasem, Bob, mógłbyś się przygotować...

-

Właśnie zrobiłem rezerwację - odrzekł Herbert. - Linie Air New Zealand.

Będę w Darwin w sobotę rano.

-

Ile przesiadek? - spytał Rodgers.

-

Trzy. Z Waszyngtonu do Nowego Jorku, potem do Los Angeles, stamtąd do Sydney i ostatni odcinek

do Darwin.

-

Odpuść to sobie - poradził mu Rodgers. - Zadzwoń zaraz do biura podróży w Pentagonie. Głowę daję, że załatwię ci lepszą podwózkę.

-

Czy masz na myśli jedną z tych metalowych, hałaśliwych latających skrzyń, które nazywacie samolotami? - spytał Herbert.

-

Właściwie to miałem zamiar zarekwirować dla ciebie Air Force One, ale nie chcę, by ci się w głowie przewróciło od tego luksusu.

-

Panowie, ja idę do domu - zakomunikował Hood.

-

A ja ruszam w rejs z Jelbartem, kiedy tylko skończy gadać z Ellsworthem i major Loh - powiedział Coffey.

-

A o czym rozmawiają? - zainteresował się Hood.

-

O tym, czy po wyjściu w morze prowadzić poszukiwania na własną rękę, czy raczej realizować wspólną, skoordynowaną operację - wyjaśnił Coffey.

-

No, nie! - Herbert westchnął. - Oto co przywiedzie świat do zguby.

Ktoś komuś rozwali nos w bójce, a potem wybuchnie wojna światowa, która nie będzie miała żadnego związku z tym wydarzeniem. Pozabijamy się nawzajem, spierając się o metodę prowadzenia poszukiwań jakiegoś sukinsyna, zamiast po prostu wytluc wszystkich bydlaków jak wszy.

-

Wspominałeś, że pomoc może być operacyjna lub polityczna - przypomniał mu Hood.

-

Spróbujemy zapewnić im oba rodzaje wsparcia - powiedział Herbert.

-Wjaki sposób?

-

Poprzez zrozumienie.

-

Tylko tyle? - Hood zaśmiał się.

-

Tak - powiedział Herbert. - Zrozumienie, czyli zdanie sobie sprawy, że pozbędą się mnie dopiero wtedy, gdy uczciwie wykonają swoje obowiązki.

ROZDZIAŁ 17

Cairns, Australia, Piątek, 19.00

Peter Kannaday bardzo potrzebował ciszy i ukojenia, co mogła mu zapewnić jedynie spokojna przystań. Jak u większości starych wilków morskich, morze miało ogromny wpływ na jego stan emocjonalny.

Słońce chowało się za widnokregiem, gdy „Hosanna” zbliżała się do wejścia do zatoki. Miało się wrażenie, jakby ktoś postawił na horyzoncie płonącą świecę, która rzuciła lśniąca, żółtą poświatę na powierzchnię morza. Kannaday stał na rufie i podziwiał ten widok, podczas gdy jacht wpływał coraz głębiej do zatoki.

Na ciemniejącym niebie wprost nad jego głową zapalały się pierwsze gwiazdy.

Przed dziobem i po obu burtach miał tylko brzegi zatoki Darling. Wejście do niej znajdowało się w pobliżu północnego krańca Wielkiej Rafy Koralowej, długiej na ponad dwa tysiące kilometrów, szerokiej na sto dwadzieścia pięć metrów, którą od brzegu oddzielała płytka laguna. Ten potężny twór powstał pod koniec zlodowaceń, kiedy w oceanie nastąpił gwałtowny wzrost liczebności koralowców - dziwacznych stworzeń, wyposażonych w parzące czułki. Różnobarwne szkielety osiadały warstwa po warstwie przez ponad dziesięć tysięcy lat, stanowiąc podstawę kolejnych pokoleń koralowców. Rafa stała się domem dla niezliczonych gatunków ryb, ogromnych żółwi, waleni, wielkich płaszczyk, delfinów oraz diugoniów - morskich kuzynów słoni.

Sternik wprowadził jacht w spokojną szeroką odnogę. Kannaday przyglądał się nieskazitelnej,

błękitnej toni. Kiedy delikatny, ciepły powiew lądowej bryzy dotarł do pokładu, kapitan ruszył na dziób. Wiaterek niósł ze sobą ulotną woń winorośli z winnic Darlinga, znajdujących się na południowym zachodzie. Tuż obok, na północnym wschodzie, wznosiły się wapienne skały, uformowane przez pradawne sztormy z wysokiego na ponad sto metrów klifu. O zmierzchu skały przybierały barwę dojrzałej pomarańczy.

Ogromna rafa oddzielała zatokę od otwartego morza. Żeglarz mający zamiar się w niej znaleźć musiał opłynąć rafę daleko od północy. Wejście do zatoki, gdzie stały teraz dwie motorówki, dwie żaglówki i jacht, miało niecałe pół kilometra szerokości. Odległość do przeciwległego brzegu nie przekraczała dwustu metrów. Na wprost widać było długie, kamienne nabrzeże, a po bokach biały piasek szerokich plaż. Na sześćdziesięciometrowych drzewach karri, otaczających zatokę, ochrona rozmieściła kamery. Kannaday wiedział, że wśród gałęzi są także mikrofony. Zwykle słychać było przez nie jedynie szum wiatru, szmer morza lub krzyk zagubionego delfina. Przypadkowych gości witały w wejściu do zatoki dębowe tablice informacyjne, przytwierdzone do pływających boi.

Widniał na nich napis: WŁASNOŚĆ PRYWATNA, TEREN DARLING ENTERPRISES. Nie było żadnych zakazów czy gróźb. Ci, którzy znali Darlinga, i tak wiedzieli, że lepiej trzymać się od tego miejsca z daleka. Pozostali byli zatrzymywani po kilku minutach po wpłynięciu do zatoki. Strażnicy dyżurowali w małym domku letniskowym tuż obok plaży. Większość czasu spędzali na surfowaniu po Internecie lub grze w pchełki. Dwa razy do roku Darling organizował zawody dla pracowników, przeznaczając pokaźne kwoty na nagrody.

Kannadayowi nie umknęło, że celem gry było zebranie wszystkich pchełek w jednym kubku. Kubek nadzorował naturalnie Jervis Darling.

Kannaday znów popatrzył na zachodzące słońce. Do zatoki Darling wpływał po raz dziewiąty lub dziesiąty. Spokój i majestatyczne piękno tego miejsca przejęły go dreszczem. Było tak za każdym razem. Dziś jednak zachwytowi towarzyszyła złość.

Pragnął, by wody, po których pływał, należały do niego. Powinno tak być. Miał

jacht i wszelkie perspektywy na zdobycie wielkiego bogactwa. A jednak w tej chwili potrafił myśleć tylko o niezadowoleniu Jervisa Darlinga, człowieka, którego nazwisko wystarczało, aby przepłoszyć przypadkowych wpływających do przystani wodniaków. Kannaday zazdrościł mu władzy i bał się jego niezadowolenia, a zarazem brzydził się tą zazdrością i strachem.

Jacht za chwilę rzuci kotwicę. Kannaday wsiądzie do wyposażonego w silnik pontonu. Nie ma potrzeby uprzedzić przez radio o swym przybyciu. Strażnicy już go widzieli. Kiedy jacht zwalniał, Kannaday zastanawiał się nad tym, czy Jervis Darling mógł się czegoś bać. Był miliarderem, więc prawdopodobnie bał się bankructwa. Przypuszczalnie także śmierci. Prawie na pewno w takiej właśnie kolejności. Człowiek pokroju Darlinga mógł pogodzić się z klęską tylko wówczas, gdyby została zadana ręką Boga.

Ech, gdybym miał Boga za sojusznika, pomyślał z goryczą Kannaday. Zamiast Boga jego

sprzymierzeńcem był Hawke.

Szef ochrony siedział pod pokładem wraz ze swymi ludźmi. Prawdopodobnie oglądali filmy sensacyjne na DVD. Było to ich stałe zajęcie. Nie interesowali się światem, mieli w głębokim poważaniu zdobywanie wiedzy i nowych umiejętności. Być może to dlatego Kannaday sądził, że Hawke przyjmie jego propozycję i odejdzie.

To było najprostsze, a przecież tacy ludzie wybierali proste rozwiązania.

Kannaday przeszedł na lewą burtę i stanął koło windy pontonu. Począł, aż jeden z marynarzy spuścił go na wodę. Pomruk silnika rozszedł się po zatoce. Kannaday poczuł gwałtowny ból brzucha.

Mimo iż Hawke zagroził mu śmiercią, Kannaday nie bał się go. Lęk nie bierze się z zagrożeń, które są znane i dotyczą własnego życia lub zdrowia. Na morzu dobry kop adrenaliny nieraz pozwalał przetrwać kapitanowi trudne chwile. Nawet mając nóż na gardle, Kannaday nie odczuwał lęku. Skupiał się na tym, by ująć z życiem, ale to zupełnie co innego.

Najważniejszym czynnikiem wywołującym lęk jest nieznane. Bierze się on z oczekiwania na obezwładniający cios. Na utratę wolności lub odebranie nadziei zrealizowania jakiejś wizji.

Darling był wystarczająco potężny, by móc coś takiego sprawić. Kannaday niechętnie szedł na to spotkanie. Zastanawiał się nad ujawnieniem podstępów Hawke'a. Ciekawe, czy ten mały człowieczek odważy się przejąć jacht? A Darling, czy w takim przypadku zaakceptuje Hawke'a jako dowódcę?

Pojawił się opalony na brązowo pierwszy oficer, Craig McEldowney. Potężny, trzydziestodwuletni Nowozelandczyk stanął obok Kannadaya. Trzymali się razem od lat. Poznali się w barze w Surabaja na Jawie, w którym McEldowney zmywał naczyń. Właśnie skończył mu się wyrok pięciu lat ciężkich robót za przywłaszczenie dostawy tytoniu i sprzedanie jej po obniżonej cenie miejscowej ludności.

-

Wszystko będzie dobrze - powiedział McEldowney. - Szef nie obwini pana za to, co się stało.

-

A kogo obwini? - spytał Kannaday.

-

Nikogo - odparł McEldowney. - Kapitanie, każdemu może się zdarzyć wpadka.

Tak jak mnie.

Kannaday roześmiał się. McEldowney był przyzwoity, ale niezbyt bystry. Dlatego dał się złapać.

Kannaday przekazał pierwszemu obowiązek dowódcy i zszedł po drabince do pontonu.

Szczelble były wilgotne, musiał się dobrze trzymać, aby się nie pośliznąć.

Znalazłszy się w pontonie, usiadł na tylnej ławce, zwolnił zaczep windy, uruchomił silnik i popłynął w kierunku nabrzeża. Strażnicy właśnie opuszczali skośny, drewniany trap. Skrzypienie drewna i warkot silnika ich samochodu terenowego zakłóciły spokój panujący w zatoce.

Oto jak powstaje chaos, pomyślał Kannaday. Jest nagromadzeniem pojedynczych dźwięków.

Pytanie stojące przed nim było proste. Jak w obecnej sytuacji ustrzec się przed pogrążeniem w jeszcze większym chaosie? Niestety, tylko jeden człowiek mógł

odpowiedzieć na to pytanie.

Lecz odpowiedź wciąż była nieznana.

ROZDZIAŁ 18

Morze Celebes, Piątek, 19.33

Kiedy Lowell Coffey miał osiem lat, przeżył niezwykłą przygodę. Ojciec zabrał go do cyrku w Sherman Oaks. Jednak nie chodziło

samo przedstawienie. Coffey stał jak urzeczony, przyglądając się pakowaniu cyrkowców do odjazdu. Obserwował demontaż, przytłoczony rozmiarami i stopniem komplikacji przedsięwzięcia.

Przypomniało mu się tamto zdarzenie, kiedy patrzył na wyjście singapurskiego i australijskiego okrętu z Darwin. Z łopotem flag wielkie jednostki wyruszały w morze. Zamiast robotników cyrkowych widział marynarzy wprawiających w ruch potężne maszyny. Zamiast słoni -śmigłowce i łodzie motorowe, zmieniające pozycję. Zamiast woni końskiego potu i trocin czuł spaliny silników wysokoprężnych i morskie powietrze. Szeroki rozmach i sprawna logistyka - to także zapadało w pamięć. Były jednak dwie zasadnicze różnice. Kiedy cyrk spakował się

odjechał, młody Lowell Coffey poszedł z ojcem do domu, czując smutek i pustkę. Tego zaś ranka dorosły Lowell Coffey wypływał wraz z konwojem. Zdawało mu się, że jest częścią wspaniałego, potężnego przedsięwzięcia. Było to wybitnie pobudzające uczucie.

Trwało niecałe trzy minuty.

Niestety, dorosły Lowell Coffey cierpiał straszliwie z powodu mdłości. I to była druga różnica. Choroba morska ogarnęła całe jego ciało - ból rozrywał czoło, oczy, żołądek. Coffey czuł nawet dziwną miękkość w kolanach, jakby zginały się we wszystkie strony, co było o tyle dziwne, że nie stał, lecz siedział.

Znajdował się na ciasnym, przyprawiającym o klaustrofobię pomoście bojowym korwety wywiadu marynarki. Okrętem dowodził chorąży Jelbart, siedzący w obrotowym fotelu po jego prawej stronie. Sanitariusz dał Coffeyowi dwie tabletki dimenhydrynatu. Pod tą tajemniczą nazwą krył się zwykły aviomarin. Stan Coffeya co prawda nie poprawił się, ale

przynajmniej nie uległ pogorszeniu. Z jednym wyjątkiem. Kiedy Jelbart obracał

się w swoim fotelu, Coffey natychmiast czuł w ustach poranny posiłek. Widok zmieniającego swe położenie oficera zakłócał pracę jego błędnika.

Szybki, nowoczesny okręt opuścił Darwin kilka minut po wyjściu z portu patrolowca z major Loh na pokładzie. Ellsworth pozostał na lądzie. Po ożywionej dyskusji na nabrzeżu, dotyczącej sposobu dowodzenia wyprawą, postanowił udać się do biura. Ponieważ autorką planu była Loh, zgodził się, by wstępną fazę poprowadziła właśnie ona, wraz z załogą swego okrętu. Jelbart miał jej zapewnić wszelkie wsparcie - w sprzęcie, ludziach i możliwościach technicznych. Coffey poinformował ich, że szef wywiadu Centrum, Bob Herbert, jest w drodze do Darwin.

Na miejscu miał zająć się analizowaniem tego, co znajdą oraz czego nie znajdą na morzu. Ellsworth ucieszył się na wieść o zaangażowaniu Centrum Szybkiego Reagowania. Oczywiście był wdzięczny za dostęp do źródeł informacji, ale nie tylko z tego powodu zależało mu na wsparciu Amerykanów. Być może mieli do czynienia jedynie z incydentem, czego naturalnie życzyli sobie wszyscy zainteresowani. Jednak na wypadek, gdyby sprawa okazała się poważniejsza, Ellsworth wolał zabezpieczyć sobie tyły.

Jelbart zsunął z głowy zestaw słuchawkowy i zawiesił go sobie na szyi.

-

Jak się pan czuje, panie Coffey? - spytał.

-

W miarę stabilnie - odpowiedział zapytany, uśmiechając się niewyraźnie.

Popatrzył pod nogi. W odróżnieniu od horyzontu podłoga pomostu była nieruchoma. Prawnik zapragnął znaleźć się w cichym, wykładanym boazerią gabinecie, gdzie jedynym ruchomym elementem byłoby wahadło staromodnego zegara.

-

Przyzwyczaj się pan - pocieszył go Jelbart. - Kiedy po powrocie do Darwin zejdzie pan na ląd, będzie się pan czuł dziwnie bez kołysania.

Coffey nie wykluczał takiej możliwości. Na razie jednak uważał ją za mało prawdopodobną.

Do wnętrza zajrzał radiooperator. Zajmował stanowisko w klitce tuż za ścianą centrali dowodzenia.

-

Sir, przekaz od major Loh - powiedział.

Jelbart nasunął szybko słuchawki i poprawił mikrofon.

-

Tu Jelbart - zgłosił się.

-

Wchodzimy w rejon poszukiwań - oznajmiła Loh.

Jelbart rzucił okiem na panel kontrolny. Po prawej znajdował się mały czarny monitor. Na jego ekranie wyświetlona była błękitna siatka. Coffey już wiedział

od Jelbarta, że jest to wyświetlacz systemu GPS o regulowanej dokładności. Na ekranie mogli obserwować obszar o powierzchni od pięciuset do dziesięciu kilometrów kwadratowych. W tej chwili urządzenie nastawione było na zakres dwudziestu kilometrów kwadratowych. Jelbart obrócił się w prawo.

-

Halo, ster!?

-

Tak jest, sir - zgłosił się sternik.

-

Współrzędne dziesięć-pięć-dziewięć zachód, trzy-cztery-dwa północ -

powiedział Jelbart, odczytując dane z monitora. - Gotowość do zmiany biegu maszyn wstecz, czekać

na komendę.

Sternik powtórzył współrzędne, potwierdził komendę i odpowiednio skorygował

kurs. Coffey podniósł wzrok. Wyglądał na zaskoczonego.

-

Przecież widać ich przez okno. Czemu po prostu nie płyniemy za nimi?

-

Płyniemy - przytaknął Jelbart. - Ale jeśli Singapurczykom coś się przytrafi i stracimy z nimi kontakt wzrokowy, to wolę, żeby nasz komputer znał

ich dokładną pozycję.

-

Rozumiem - odrzekł Coffey. Nie była to miła perspektywa, ale lepiej dmuchać na zimne.

Singapurski patrolowiec zatrzymał maszyny. Jelbart dał pół naprzód i minął

stojącą bez ruchu jednostkę w odległości około trzystu metrów z lewej burty. Po chwili korweta również się zatrzymała. Ponieważ znikła jedna z osi ruchu, Coffey natychmiast poczuł się lepiej. Mógł bez żadnych sensacji obserwować dziób singapurskiego okrętu. Widział, jak marynarze za pomocą sieci rybackich opuszczają pod wodę jakieś niewielkie, czarne skrzyneczki, przypominające przenośne komputery.

-

Co to jest? - spytał Jelbarta.

-

To detektory promieniowania gamma i mierniki napromienienia przez neutrony. Uczyłem się o nich na kursie fizyki dla personelu wywiadu marynarki.

Zadziwiająca maszynki.

-

Czego się od nich dowiemy?

-

Materiały, których poszukujemy, emitują promieniowanie trzech rodzajów -

wyjaśnił

Jelbart. - Cząstki alfa, cząstki beta i promienie gamma. Te ostatnie niosą największą energię. Nawet niewielkie dawki mogą ugotować człowieka od środka. Dlatego właśnie to promieniowanie musi być wykrywane jako pierwsze.

-

Gdyby sampan znalazł się pod wpływem promieniowania gamma, marynarz raczej by nie przeżył - zasugerował Coffey.

-

Możliwe. Widocznie nie został wystawiony bezpośrednio na oddziaływanie źródła promieniowania. Tego i my musimy uniknąć. Dlatego nakazałem gotowość do przestawienia maszyn na pracę wstecz na wypadek, gdyby wystąpiła konieczność szybkiego odwrotu.

-

Popieram taką gotowość - stwierdził Coffey.

-

Stopień napromienienia neutronowego pozwala rozpoznać skład oraz ilość materiału promieniotwórczego - kontynuował Jelbart. - Major Loh kontaktowała się z MKNN w celu ustalenia wielkości bębnow składowanych w tym miejscu. Zawsze istnieje jakaś śladowa radiacja z tych pojemników, nawet gdy są szczelnie zamknięte i zabezpieczone.

-

Brzmi krzepiąco - mruknął z sarkazmem Coffey.

-

Poziom napromienienia w takich przypadkach jest minimalny, chyba że nastąpiło skumulowanie dawki - dodał Jelbart. - Między innymi z tego powodu umieszcza się odpady w głębokich jaskiniach albo na dnie morza.

-

A jaki to ma wpływ na środowisko?

-

Ryby są regularnie badane. Dopóki nie wykazują śladów skażenia, nie ma mowy o skażeniu - powiedział Jelbart. - Istotne jest to, że znając termin i wielkość ostatniego rozładunku, major Loh wie, jakich odczytów należy się spodziewać.

-

Czy wiadomo, jaki statek odpłynął stąd jako ostatni? - spytał Coffey, który znajdował się tuż przed monitorem komputera.

Jelbart odwrócił się w jego stronę. Obrót był szybki i sprawił, że Coffeyowi zakręciło się w głowie. Prawnik opuścił wzrok i wziął głęboki wdech, usiłując odzyskać równowagę.

-

Ostatnią jednostką odwiedzającą to miejsce był chiński frachtowiec z czterema prawie pięćdziesięciolitrowymi bębnami ze zużytym paliwem z elektrowni atomowej spod Szanghaju - powiedział Jelbart. - Przedtem był tu kuter należący do malezyjskiej firmy International Spent Fuel Transport. Zostawił trzy trzydziestoosmiolitrowe bębny odpadów z japońskiej elektrowni atomowej. Wcześniej przez dziesięć dni nikt nie pojawił się w tym rejonie.

-

W jaki sposób rozpoznamy, do kogo należy pozostawiony ładunek?

-

Wszyscy mają przydzielone odrębne punkty składowania - odrzekł

Jelbart. - Współrzędne przekazane przez Loh określają położenie składowiska, z którego korzystają Chiny.

-

Rozumiem - powiedział Coffey. - Wciąż nie mam jednak pełnej jasności w jednej kwestii. Co major ma zamiar tu znaleźć? Jeżeli jeden ze statków był uszkodzony, to chyba ktoś został o tym fakcie poinformowany.

-

Prawdopodobnie tak - odrzekł Jelbart. - Jednak bierzemy pod uwagę możliwość, że któryś ze statków wcześniej przeniósł ładunek na inną jednostkę i dopiero ona została zaatakowana przez piratów.

-

Co zamierza pan zrobić, jeżeli ten scenariusz okaże się prawdziwy?

Rozpocznie pan poszukiwania podejrzanej jednostki?

-

Nie wiem - odparł Jelbart.

-

Nie wie pan? Czyż nie byłoby to logicznym posunięciem? - spytał Coffey.

-

Może i tak - zgodził się Jelbart. - Jednak w ten sposób możemy spłoszyć aktualnego posiadacza tych odpadów. Rozsądniej będzie najpierw je znaleźć, a potem zająć się ekipą dostawczą.

-

Czy ośrodek wywiadu marynarki dysponuje gotowymi procedurami na takie okazje?

-

Owszem, mamy opracowane procedury rewizji oraz protokoły zatrzymań -

przypadka

Jelbart. - Ale jeśli w grę wchodzi śledzenie radioaktywnego ładunku, to wkraczamy na nieznane terytorium. Podobnie jak kiedyś w Ameryce. Jak dotąd tylko raz udało się nam przechwycić materiały radioaktywne. Chodziło o dwie głowice, które zaginęły strategicznym siłom rakietowym Związku Radzieckiego. Jedna pochodziła z Kazachstanu, a druga z Białorusi.

-

Odnaleźliście je?

-

Ostatecznie zrobili to Rosjanie - przyznał Jelbart. - Chodziły słuchy, że głowice nabyli indonezyjscy rebelianci. Prawdopodobnie faktycznie je kupili, ale nigdy ich nie otrzymali. Broń trafiła na Ukrainę, gdzie w jakiejś jaskini rozbroili ją rosyjscy inżynierowie i fizycy, wynajęci przez emerytowanego generała.

-

Pięknie - powiedział Coffey.

-

Próbujemy wskrzesić raj, ale wciąż napotykamy węże, i to coraz bardziej nieustępliwe.

-

Które w dodatku mają mnóstwo czasu, by nas obserwować z zarośli - zauważył

Coffey.

-

Trafił pan w samo sedno. Natomiast jeśli chodzi o naszą wyprawę, musimy pamiętać, że nie działamy w pojedynkę - powiedział Jelbart, ruchem głowy wskazując singapurski patrolowiec. - Nie wiemy, czy w ich dowództwie nie ma jakichś przecieków. Trudno określić, do jakiego stopnia możemy im zaufać.

-

Zastanawiam się, czy major Loh ma podobne odczucia w stosunku do nas - stwierdził Coffey.

-

Prawie na pewno - zgodził się Jelbart. - Jednak w tym przypadku to kwestia bardziej kulturowa niż polityczna. Singapurczycy są agresywnie zamknięci w sobie.

-

Agresywnie zamknięci? Przecież to się wzajemnie wyklucza. - Coffey wzruszył ramionami. - Muszę się nad tym zastanowić.

- Sam pan zobaczy, o czym mówię, kiedy spędzi pan więcej czasu z major Loh - zapowiedział Jelbart.

Coffey nie znosił podobnych uogólnień, nawet wyrażonych w tak łagodnej formie - bo zakrawały na rasizm. Nie chciał, aby to odczucie zaważyło na jego stosunku do Jelbarta.

Dziesięć minut po rozpoczęciu poszukiwań Loh poinformowała przez radio, że chińskie składowisko wykazuje przewidywany poziom radiacji, po czym podała współrzędne drugiego składowiska. Patrolowiec ruszył naprzód. W jego ślady poszła korweta.

Niestety, ogólne poruszenie ożywiło także żołądek Coffeya.

ROZDZIAŁ 19

Przestrzeń powietrzna nad Oceanem Spokojnym, Piątek, 02.57

Był to jeden z niewielu momentów, gdy życie zdołało zaskoczyć Boba Herberta.

Mike Rodgers załatwił szefowi wywiadu Centrum miejsce w samolocie rozpoznawczym dalekiego zasięgu TR-1. Maszyna odbywała lot z bazy sił powietrznych Langley w Wirginii na Tajwan, z międzylądowaniem w szkole pilotów australijskich sił

obronnych w Tamworth w Nowej Południowej Walii. Miało tam wejść na pokład trzech Australijczyków w celu odbycia ćwiczeń. Australijskie siły powietrzne zgodziły się stamtąd dostarczyć Herberta do Darwin. Start TR-1 wyznaczony był na pierwszą trzydzieści w nocy, więc Herbert musiał się pośpieszyć. Sam prowadził samochód w drodze ze swego domu w Quantico. O tej porze nie było prawie żadnego ruchu, więc stutrzydziestokilometrowa podróż wzdłuż brzegu rzeki zajęła mu zaledwie godzinę.

Na pokładzie długiego na trzydzieści metrów samolotu znajdowało się niewielkie stanowisko obserwacyjne. Zlokalizowane było w pobliżu kabiny pilotów. Załoga zdemontowała fotel, dzięki czemu Herbert mógł wjechać tam na swoim wózku.

Stanowisko wyposażone było w źródło zasilania baterii wózka oraz gniazdo umożliwiające bezprzewodowy dostęp do Internetu, do którego mógł podłączyć swój komputer. Herbert czuł się trochę jak cyborg, będący częścią potężnego statku szpiegowskiego. Na szczęście samolot nie był tak hałaśliwy jak wojskowe transportowce. W rzeczywistości był cichy niczym pasażerski odrzutowiec.

Życie zdawało się łatwe i bezpieczne przynajmniej w tym momencie. A ponieważ człowiek nie powinien liczyć na więcej, Herbert starał się cieszyć chwilą. I przez chwilę mu się to udało.

Herbert pogрузił się w poszukiwaniu informacji, popijając kawę, przyniesioną przez bardzo uprzejmego nawigatora. Kawa dawała mu dużo więcej satysfakcji niż poszukiwania. Moment zadowolenia minął.

Korzystając z bezpiecznego łącza, Herbert wszedł do sieci jako użytkownik o przydomku WASTEM. Zgodnie z danymi zawartymi w profilu użytkownika, WASTEM była trzydziestoletnią białą kobietą, popierającą grupy paramilitarne oraz ograniczenie praw dla wszystkich, którzy nie byli „czystej krwi Amerykanami”.

Herbert udawał kobietę, aby tym łatwiej przyciągnąć mężczyzn-socjopatów, poszukujących w sieci zwolenników swych chorych poglądów. Dzięki WASTEM udało mu się rozbić grupę przestępczą, organizującą turystyczne wyjazdy dla sadystów do Libii. Tam na członków klubu oczekiwały rozliczne atrakcje. Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów mogli przyglądać się torturowaniu więźniów. Za siedemdziesiąt pięć tysięcy mogli wziąć udział w torturach, z użyciem wszelkich dostępnych narzędzi. Za sto pięćdziesiąt tysięcy mogli osobiście dokonać egzekucji.

Do profilu WASTEM Herbert dołączył zdjęcie swojej żony. Nie tylko dlatego że Yvonne była bardzo atrakcyjna. Uważał, że sprawiłoby to jej satysfakcję, gdyby wiedziała, że nawet z za grobu pomaga w zwalczaniu wyznawców kultu zła, przez których i ona straciła życie.

Jak zwykle WASTEM dostała mnóstwo e-maili. Większość pochodziła od mężczyzn i kobiet,

proponujących wspólny wypad na strzelnicę albo zgłaszających gotowość sponsorowania jej udziału w obozie kondycyjnym na pustkowiu lub w górach. Co prawda WASTEM wyrażała zainteresowanie zakupem „czerwonego deszczu”, jak określano substancje radioaktywne, ale żadna z wiadomości nie zawierała oferty sprzedaży. Herbert zajrzał na chwilę do Anarkiss, gdzie na sieciowe pogawędki wchodziły świry spragnione miłości. Jako jedna z nielicznych kobiet w tym towarzystwie WASTEM wzbudzała powszechne zainteresowanie. Jeżeli tylko w czyjejś wypowiedzi pojawiał się choć cień informacji, których poszukiwał Herbert, proponował przejście na kanał indywidualny. W takich rozmowach ludzie bywali bardziej wylewni.

Niestety, nie natrafił na żaden ślad informacji o szmuglowaniu substancji promieniotwórczych na Dalekim Wschodzie lub w rejonie południowego Pacyfiku.

Następny sieciowy przystanek Herberta wypadł przy mapach szlaków żeglugowych tego akwenu. Stamtąd uzyskał spis tankowców, statków rybackich, pasażerskich i wycieczkowych obecnych na tych wodach w okresie ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. Po skopiowaniu nazw przełączył się na swój pierwotny profil sieciowy BOB4HIRE. Jako detektyw

agencji ubezpieczeniowej rozesłał e-maile do różnych kompanii żeglugowych i firm armatorskich, w których pytał o niezidentyfikowaną eksplozję na Morzu Celebes.

Zdobył też wydruk kodów wszystkich statków, korzystających z systemu GPS w przedziale czasowym, w którym doszło do wybuchu. Co prawda były to poufne informacje, zapisane w kodowanych plikach, dostępnych jedynie zainteresowanym jednostkom pływającym i satelitom, ale Narodowe Biuro Rozpoznawcze potrafiło dotrzeć do satelitarnych baz danych poprzez tajny system satelitów szpiegowskich, które śledziły działania innych satelitów. Satelity tego systemu wyposażone były w najnowocześniejsze detektory promieniowania tła, dzięki którym, poprzez badanie zaburzeń promieniowania kosmicznego, udawało się odczytać impulsy z innych satelitów. System potrafił stworzyć widmo telekomunikacyjne całej kuli ziemskiej. Satelity przekładały impulsy na liczby, a te z kolei Biuro Rozpoznawcze tłumaczyło na kody statków i samolotów, kontaktujących się z satelitami systemu GPS.

Herbert poszukiwał niespójności w danych. Chodziło mu o statek, który znalazł

się wystarczająco blisko, by słyszeć wybuch, ale o tym nie zameldował. Gdyby udało się namierzyć taką jednostkę, istniało spore prawdopodobieństwo, że to właśnie ją próbowali napaść piraci.

Dane spływały powoli przez kilka godzin. Czas ten spędził Herbert w warunkach względnej wygody i spokoju, na swoim ciasnym stanowisku w samolocie. Siedział

twarzą do prawej burty, w której znajdowało się niewielkie okienko. Pochylił się i wyjrzał na zewnątrz. Widok podziałał na niego inspirująco. Nie tyle ze względu na ogrom i piękno oceanu, ile raczej poprzez uświadomienie sobie, z jaką wytrwałością i odwagą człowiek walczył o jego ujarzmienie i zagospodarowanie.

Tylko ciężka praca i poświęcenie dawały pożądane wyniki. Dzięki tej konstatacji Bob Herbert zdołał powstrzymać się od gorzkich rozważań o tym, jak wiele jego samego kosztowała służba publiczna.

Napłynęły odpowiedzi na dwadzieścia dwa e-maile, które wysłał wcześniej. W

żadnym nie podano nic na temat eksplozji w badanym rejonie. Herbert dowiedział

się też, że co najmniej jedna jednostka znajdowała się wówczas w pobliżu miejsca wybuchu. Nazywała się „Hosanna”, a jej właścicielem był pan Arvids March. W

informacji wspomniano coś o sprawie sądowej, ale Herbert nie zdołał dotrzeć do żadnych szczegółów. Statek płynął pod flagą tasmańską i był zarejestrowany w sześciu portach. Herbert przeszukał sieciowe spisy abonentów telefonicznych na Tasmanii, ale nie znalazł w nich Arvidsa Marcha. Nie zaskoczyło go to. Statki z jednego kraju rejestrowano w innym ze względu na wysokość podatków i opłat. Pan March mógł pochodzić z dowolnego miejsca na ziemi. Mogło to być też nieprawdziwe nazwisko, skrywające nielegalne przedsięwzięcie. Herbert wpisał w wyszukiwarkę imię i nazwisko, ale nie było żadnych trafień. Poszukał według wzorca „A. March”

i znalazł ponad tysiąc odniesień, poczynając od hasła „kocham marzec”, kończąc na nazwie hip-hopowej grupy „Idy marcowe”. Wysłał więc e-maila do Centrum, prosząc o jakiegokolwiek informacje o tym człowieku, jednak szybki przegląd nie dał rezultatów. Najwyraźniej nie chodziło o osobę publiczną bądź szukającą rozgłosu.

Tu Herbert zrobił sobie przerwę na zastanowienie się. Oto spędził kilka godzin na poszukiwaniach i prawie niczego się nie dowiedział. To było wyjątkowo denerwujące. Co gorsza, mogło okazać się niebezpieczne. Herbert doskonale wiedział, czym grozi kompletny brak informacji. To właśnie w takich okolicznościach nastąpił zamach bombowy na ambasadę w Bejrucie.

Wrócił do komputera. Bandycki statek wciąż gdzieś tam był, a on chciał go odnaleźć.

ROZDZIAŁ 20

Cairns, Australia, Piątek, 19.58

To była chyba największa na świecie prywatna kolekcja skamielin. Jervis Darling od prawie czterdziestu lat wykazywał ogromne zainteresowanie, wręcz podziw dla prehistorycznych zwierząt. Kiedy jako dwudziestolatek przeczytał artykuł o australijskim Muzeum Narodowym w czasopiśmie „Australian Insider”, nie zdawał

sobie w pełni sprawy, jak ogromne było niegdyś królestwo dinozaurów na Ziemi.

Każda nowa generacja stanowiła coraz doskonalszą wersję poprzedniej. Drapieżniki podzieliły się na specjalistów od polowań grupowych oraz samotnych łowców.

Roślinożercy żyli w stadach przypominających rodziny, w których wykształcili skomplikowane formy

opieki nad młodymi. Przetrwały ponad sto milionów lat. To ponad sto razy dłużej niż czas, który minął od pojawienia się człowieka i jego przodków, i sto razy dłużej, niż człowiek będzie stąpał po ziemi.

Jeżeli nie zmieni swojego postępowania.

Najpierw w kolekcji Darlinga pojawiły się najmniejsze i najstarsze morskie trylobity, potem lądowe allozaury, jeszcze później latające pteranodony. W

przeciwieństwie do wielu muzeów Darling nie zadowolął się plastikowymi odlewami, kupował wyłącznie oryginały. Wystawiał je

w dwóch ogromnych pomieszczeniach w swojej posiadłości, wraz z malowidłami przedstawiającymi zwierzęta i ich świat. Australijskie media nadały mu przydomek Salty, od krokodyla z północnego zachodu. Odbierał to jako zniewagę, ale nie dlatego że przeszkadzało mu porównanie z drapieżnikiem. Chodziło o to, że ze względu na swą potęgę wolałby zostać tyranozaurem lub gorgozaurem, a nie mizernych rozmiarów współczesnym przedstawicielem gadziej rodziny.

Światło księżyca wpadające przez dużą, przeszkloną kopułę oraz punktowe reflektory oświetlały szkielety, malowidła i gabloty z eksponatami. Darling, ubrany w dżinsy i flanelową koszulę, stał pośrodku przypominającej katedrę budowli. Król mediów mierzył sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i był

łysy. Nie miał zwyczaju kończyć każdego dnia przeglądem swojej kolekcji, jednak dziś właśnie to uczynił. Przemknęło mu przez myśl, że czasami stworzenia giną z przyczyn, na które nie mają żadnego wpływu. Tak jak na przykład dinozaury.

Wyginęły stopniowo po uderzeniu asteroidy o powierzchnię ziemi. Zderzenie wyrzuciło do atmosfery nieprzeliczalne ilości pyłu, który na wiele lat przesłonił światło słoneczne i spowodował katastrofę ekologiczną o globalnym zasięgu. Można ją uznać za prehistoryczny odpowiednik nuklearnej zimy. Ze źródeł

geologicznych wiadomo, że podobne zderzenia i zagłada gatunków następowały w dość regularnych odstępach czasu.

W niektórych miejscach na Ziemi już dawno powinno się dokonać takich czystek, pomyślał Darling. To była koncepcja, której Darwin nie byłby w stanie sobie wyobrazić. Połączenie selekcji naturalnej z masową zagładą.

W korytarzu rozległy się kroki. Po chwili Andrew pojawił się w drzwiach łączących resztę posiadłości ze skrzydłem, w którym Darling trzymał swą kolekcję.

-

Panie Darling, widzę na ścieżce kapitana Kannadaya - poinformował

sekretarz. - Jest już całkiem blisko.

-

Proszę go zaprowadzić do kuchni - wydał polecenie.

-

Tak jest, sir - potwierdził Andrew.

W jego głosie nie było nawet cienia wahania. Gdyby Darling kazał mu zaprowadzić Kannadaya do prywatnego obserwatorium, garażu albo do toalety obok salonu gościnnego, bez słowa wykonałby polecenie. Andrew Juta Graham był potomkiem tych, którzy żyli na tej planecie w epoce lodowcowej, a zarazem jedynym człowiekiem, którego Darling darzył absolutnym zaufaniem.

Darling ruszył za sekretarzem do wielkiego holu. Znajdowali się w skrzydle wschodnim, w którym mieściły się pomieszczenia ogólnodostępne -

muzeum, jadalnia, sala balowa, projekcyjna i gimnastyczna oraz baseny, kryty i pod gołym niebem. Przez jadalnię przeszedł do kuchni, gdzie poprosił kucharkę i pomocnika, aby udali się na kilka minut do swoich kwater. Oboje natychmiast wyszli. Darling podszedł do jednej z trzech lodówek i wyjął dużą butelkę gazowanej wody mineralnej. Pochylił się nad kontuarem do krojenia mięsa i wyjrzał przez okno. Pił wodę, przyglądając się górzystej okolicy. Nagle przyszło mu do głowy pytanie, czy dinozaury pijały wodę źródlaną. A jeśli tak, to czy dostrzegały różnicę między zwykłą i naturalnie gazowaną.

Uznał, że na pewno dostrzegały. Ale nie miało to dla nich żadnego znaczenia. Ich umysł był ograniczony i reagował tylko na bezpośrednie bodźce. W tym sensie dinozaury przypominały terrorystów, z którymi Darling obecnie prowadził

interesy. Nieskomplikowane procesy myślowe nie pozwalały im na głębszą analizę informacji. Działa pod wpływem impulsu, a nie refleksji. Te same cechy, które sprawiały, że byli niebezpieczni, pozwalały łatwo nimi manipulować.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Prowadziły one do przejścia na tyły posesji, obok pomieszczeń dla służby. Darling odstawił butelkę na kontuar i odwrócił się, stając plecami do okna. Andrew wszedł, potem wyszedł, pozostawiając Kannadaya przeciskającego się między sprzętami gospodarczymi. Za oknem świeciły światła z patio. Ciepłe, białe smugi padały na kapitana. Ubrany był w czarny pulower z golfem i spodnie khaki. Mimo iż szedł dziarskim krokiem, z wyprężoną pierśią, wyglądał na zmęczonego. Wyciągnął rękę na powitanie.

Darling uściskał mu dłoń i przytrzymał przez chwilę.

-

Ma pan ciepłą dłoń - powiedział.

-

Stałem w pełnym słońcu na pokładzie, panie Darling - wyjaśnił Kannaday.

-

Z rękami do góry?

-

Jestem jak bateria słoneczna - odrzekł Kannaday. - Światło trafia w dowolne miejsce i rozchodzi się we wszystkich kierunkach.

-

Ach tak. Może coś zimnego do picia?

-

Nie, dziękuję.

-

Wino... - powiedział Darling, powoli puszczał dłoń Kannadaya.

-

Nie, dziękuję.

-

To nie była propozycja. - Darling roześmiał się. - Zastanawiałem się tylko, czy winogrona fermentowały w czasach prehistorycznych.

-

Sądzę, że tak - powiedział Kannaday. Wyglądało na to, że nieporozumienie z poczęstunkiem wyprowadziło go z równowagi.

-

Całkiem słusznie - przyznał Darling. - Załóżmy, że płyn zbierałby się w kałuży, z której mógłby go wychłptać dinozaur. Być może nawet lekko by się wstawił. Niezły pomysł, nieprawdaż?

-

Faktycznie - zgodził się Kannaday.

-

Ciekawe, jaką cenę osiągnąłby prehistoryczny rocznik w domu aukcyjnym Mahogany - kontynuował myśl Darling. - Sądzę, że kwota była by niezwykle wysoka. Potrafi pan to sobie wyobrazić? Z jednej strony koneserzy win, z drugiej naukowcy, walczący o zakup błotnistego, skamieniałego bajora.

Darling zachichotał na samą myśl o takiej licytacji, ale uśmiech Kannadaya był

raczej powściągliwy. Ten człowiek nie ma za grosz wyobraźni, pomyślał Darling. Z

drugiej strony, specjalnie postawił go w tak głupiej sytuacji. Światła z patio świeciły za plecami Darlinga, więc gość widział tylko jego kontur i nie mógł

zorientować się, czy gospodarz mówi poważnie, czy też żartuje. Darlingowi właśnie o to chodziło. Chciał wytrącić Kannadaya z równowagi, by otworzył się na ciosy.

Darling skrzyżował ramiona i zmierzył wzrokiem kapitana.

-

Rozumiem, że w tej chwili wymieniacie na jachcie uszkodzony sprzęt.

-Tak jest, sir.

-

Zależy mi, aby wyszedł pan w morze najprędzej, jak będzie to możliwe.

-

Oczywiście, sir - zapewnił Kannadaya.

-

Przedtem jednak chciałbym, aby mi pan coś wyjaśnił.

-

Przede wszystkim pragnę obiecać, że to się więcej nie powtórzy -

zaczął Kannadaya. - Powinniśmy byli przewidzieć taką sytuację. Szef ochrony jest tego samego zdania.

-

Hawke tak powiedział?

-

Oczywiście - zapewnił Kannaday.

-

A jak ustrzeżecie się przyszłych ataków? - spytał z naciskiem Darling, coraz bardziej tracąc humor. - Sampan pełen szczurów morskich podchodzi wystarczająco blisko, by wywalić dziurę w burcie pańskiego jachtu! Jak do tego doszło?

-

Sir, to nie ludzie z sampana spowodowali wybuch - tłumaczył Kannaday. - My to zrobiliśmy.

-Wjaki sposób?

-

Przypadkiem. Zaatakowaliśmy piratów szybko i skutecznie, mieliśmy zdecydowaną przewagę - opowiadał Kannaday. - Jednak kule spowodowały eksplozję materiałów wybuchowych, zgromadzonych na sampanie.

-

Dlaczego pozwoliliście im podejść tak blisko? - spytał Darling. - Macie na pokładzie dobry system radarowy.

-

Echa, które daje sampan, nie sposób odróżnić od dźwięków delfina lub dryfującej belki - powiedział Kannaday. - Nie zidentyfikowaliśmy go, dopóki nie znalazł się w zasięgu kamery, ale wtedy był już bardzo blisko przy nas. Początkowo nie chcieliśmy atakować, bo nie wiedzieliśmy, że ludzie z sampana mają złe zamiary.

-

A to dlaczego? - spytał Darling.

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Kannadaya.

-

Sir, czy sugeruje pan, że powinniśmy atakować łódź z przypadkowymi, niewinnymi ludźmi?

-

Wyprzedzające uderzenie wydatnie zmniejsza niebezpieczeństwo - oświadczył

Darling.

-

Zawsze sądziłem, że lepiej nie dać się zauważyć.

-

Najlepszą metodą pozostania w ukryciu jest likwidacja potencjalnych świadków - podkreślił Darling. - Ale ponoć pan Hawke także uważa, że zachowaliście wszelkie środki ostrożności?

-

Tak jest - powiedział Kannaday.

-

A może mamy do czynienia z postawą: ja będę chronił twój tyłek, a ty mój?

-

Przepraszam, ale nie rozumiem. - Kannaday zdziwił się.

-

Nie znam za dobrze pana Hawke'a - stwierdził Darling. - Zdaje się, że nikt go nie zna. Dobry szef ochrony nie zdradza się ze swymi myślami.

Jednak nie wyobrażam sobie, aby Hawke mógł stwierdzić, że operacja była przeprowadzona we właściwy sposób, mimo iż zakończyła się katastrofą.

Takie stanowisko jest po prostu nie do obrony.

-

Sir, proszę wybaczyć, że się powtarzam, ale tego, co się stało, nie sposób było przewidzieć - upierał się Kannaday.

-

A ja twierdzę, że można było to przewidzieć! - krzyknął Darling.

Kannaday zamilkł.

-

Raczej nie przeinaczył pan słów Hawke'a. To jest zbyt łatwe do sprawdzenia.

No więc mamy dylemat.

-

Wprawia mnie pan w zakłopotanie, sir - rzekł bezradnie kapitan.

-

Prawdopodobnie Hawke zgodził się poprzeć pańską wersję, że to był niecodzienny wypadek - stwierdził Darling. - Tylko dlaczego?

-

Bo tak właśnie było.

-

Lubi pan Hawke'a? - spytał Darling.

-

Nie, sir, nie lubię.

-

Nie lubi go pan, nie pan go przyjął do pracy - rozmyślał głośno Darling. -

Miał pan okazję zwalić winę na niego i pozbyć się go. Dlaczego pan tego nie zrobił?

Darling z uwagą wpatrywał się w twarz Kannadaya. W świetle, bijącego z okna, miał ją jak na dłoni. Kapitan nie opuścił wzroku ani nie poruszył ustami. To było nienaturalne.

Wyraźnie ważył coś w myślach.

Minęło sporo czasu, zanim zaczął mówić. Milczenie dłużyło się niemiłosiernie.

-

Ma pan rację - powiedział wreszcie. - Obarczyłem go winą za wszystko i zażądałem, aby zrezygnował ze stanowiska.

- I co on na to?

Kapitan odwinął wolno golf zasłaniający mu szyję. Na wysokości gardła miał

przyklejoną gazę chirurgiczną z paskudną, czerwoną plamą pośrodku. Jervis Darling nie okazał zaskoczenia na ten widok. Domyślał się, że Kannaday nie bez przyczyny włożył wysoki golf. Gdyby został ranny podczas walki, nie starałby się tego ukryć.

-

Hawke przyłożył mi nóż do gardła.

Darling zarechotał.

-

Dał mu się pan zaskoczyć tak samo jak piratom.

Kannaday nie odpowiedział.

-

Hawke darował panu życie, więc pan odpuścił winę jego ekipie - ciągnął

Darling. - Z drugiej strony, nie powinno mnie to obchodzić. Interesują mnie tylko skutki. Jednak problem polega na tym, kapitanie, że podobają mi się ludzie, którzy spełniają moje oczekiwania wobec nich albo nawet je przekraczają. Z tego punktu widzenia zawiodł pan na całej linii.

-

Tylko raz - bronił się Kannaday. W jego głosie nie było słycać złości, raczej obawę. - To tylko jedna wpadka na kilkanaście perfekcyjnie przeprowadzonych operacji.

-

Dwie wpadki, kapitanie Kannaday - powiedział z naciskiem Darling. -

Pierwsza z piratami, druga z panem Hawkiem.

-

Zgoda - przytaknął Kannaday. - Popełniłem dwa błędy i biorę za nie pełną odpowiedzialność.

-

Nie o to chodzi - stwierdził Darling. - Błędy można naprawić, ale trudniej jest odzyskać zaufanie.

-

Panie Darling. Czuję się jak żaglówka w samym środku szalejącego huraganu - powiedział Kannaday. - Ale się nie ugnę. Doprowadzę do końca ten transport, a potem zajmę się kolejnymi. Potrafię wytrwać w układzie, jaki powstał między mną a Hawkiem. Dam sobie radę. Ale jak mam

odzyskać pana zaufanie?

-

To pan jest kapitanem - rzucił Darling. - Niech pan coś wymyśli.

-

Sir, staram się, jak mogę - zapewnił Kannaday. - Na przyszłość będziemy od razu atakować lub unikać wszelkich spotkań z innymi jednostkami.

Postaramy się nadrobić stracony czas. Jeżeli pan chce, postaram się rozwiązać problem z panem Hawkiem.

-

Kapitanie Kannaday, to nie jest kwestia mojego „chcenia” - skrzywił

się szyderczo Darling. - Pan miał bunt na swoim statku!

-

To było nieporozumienie, panie Darling.

-

Skończyło się podyktowaniem warunków przez Hawke'a za pomocą noża - stwierdził Darling. - A to się nazywa bunt, drogi panie.

Kannaday już otwierał usta, aby odpowiedzieć, gdy nagle zrezygnował, odwracając wzrok.

-

Pan zaś nic z tym nie zrobił - ciągnął Darling. - Czy on przez cały dzień trzymał panu ten nóż na gardle?

-

Nie, sir.

-

Jak więc został ukarany za to przestępstwo? - zapytał twardo Darling. -

Co powiedział, kiedy sytuacja uległa zmianie i to pan przyłożył

mu nóż do gardła? Zapewne chciał pan to zrobić, nieprawdaż?

-

Tak, sir.

-

Wolałbym, żeby pan to rzeczywiście zrobił - powiedział Darling. -

Nie może pan pracować dla mnie i jednocześnie dla pana Hawke'a. Jedynym wyjściem dla pana jest rozwiązanie tego problemu, kapitanie.

W kuchni zrobiło się tak cicho, że Darling słyszał szum bąbelków w butelce.

Kannaday wytrzymał twarde spojrzenie szefa.

-

Rozumiem, sir. Czy ma pan do mnie coś jeszcze?

-

Nie - odrzekł Darling.

Kannaday skinął głową, a potem odwrócił się i ruszył do wyjścia. Kiedy przechodził obok kontuaru, pojawił się Andrew, aby wyprowadzić go na zewnątrz.

Andrew przez cały czas był w zasięgu głosu. Kannaday podziwiał oddanie, dyskrecję, a przede wszystkim lojalność sekretarza Darlinga. Czyżby wszyscy służący mu ludzie reprezentowali podobną postawę?

Darling podszedł do kontuaru, przechylił butelkę i pociągnął długi łyk. Nie interesowało go, czy Kannaday zdoła odzyskać jego zaufanie. Dla niego liczyło się tylko jedno - ktoś musiał dalej kierować operacją, i to w taki sposób, żeby on, szef, więcej nie słyszał o nieprzewidzianych okolicznościach.

Dopijając wodę, Darling zastanawiał się, kto lepiej nadawał się na dowódcę. John Hawke był człowiekiem bardzo pewnym siebie, a siła stanowiła gwarancję wykonania zadania. Peter Kannaday był tchórzem, ale strach bywa skutecznym motorem działania, choć czasem jego efekty bywają zgoła nieoczekiwane.

Który z nich będzie lepszy? Oto pytanie, które w tej chwili zadawał sobie Darling.

Ogromne, prehistoryczne drapieżniki były niezwykle silne i przebiegłe. Czasem jednak, działając z zaskoczenia, bojaźliwy roślinożerca, jak choćby stegozaurus, jednym uderzeniem kolczastego ogona potrafił powalić potężnego tyranozaura.

Pośród skamieniałości znajdowano wiele roztrzaskanych czaszek.

Taktyka pozostaje ta sama, zmieniają się tylko wojownicy i ich broń.

Darling odstawił pustą butelkę na kontuar i wyszedł z kuchni, by przez pewien niezbyt długi czas poświęcić się innym interesom, tym razem legalnym. Interesom, które już od dawna nudziły go, nie sprawiając mu żadnej satysfakcji, ale które uczyniły go sławnym na cały świat.

Świat, którego kształt już wkrótce przyjdzie mu zmienić.

ROZDZIAŁ 21

Morze Celebes, Piątek, 21.44

Patrolowiec Moniki Loh kołysał się w pobliżu drugiego składowiska odpadów, wykorzystywanego przez rząd japoński. Tokio mogło też przydzielić część tego obszaru innym krajom, pod warunkiem respektowania warunków określonych przez Międzynarodowy Komitet Nadzoru Nuklearnego.

Major niechętnie przebywała w miejscu przydzielonym Japończykom. Właściwie to nie znosiła wszelkich miejsc kontrolowanych przez ludzi tej narodowości. Była to bardzo silna niechęć, choć o podłożu czysto psychologicznym. Mieszkańcy mniejszych krajów tego rejonu siłą rzeczy tkwili w głównym nurcie historii, którą tworzyły Chiny i Japonia. Chińczycy byli ambitni, dobrze zorganizowani i bezduszni. Ponadmiliardowa populacja, którą trzeba było wyżywić i utrzymać w ryzach, wymagała totalitarnych rządów - Loh mogła jeszcze to zaakceptować.

Jednak wobec Japończyków nie była już tak wyrozumiała. Japończycy byli bardziej chciwi niż ambitni, bardziej apodyktyczni niż dobrze zorganizowani. Ponadto cechowało ich okrucieństwo. Chińska ekspansja miała na celu zdobycie ziemi i surowców, Japończykom zaś chodziło o podporządkowywanie sobie ludzi.

W Singapurze stosowano własne formy ucisku. Prawo było bardzo surowe, kary jeszcze bardziej. Istniała wolność słowa, pod warunkiem że nie nawoływano do buntu i nikogo nie obrażano. Praca była ciężka, płace niskie, a państwo nie robiło nic, by polepszyć los robotników. Gospodarka opierała się na stoczniach i rafineriach ropy naftowej, kontrolowanych przez rząd. Ponieważ większość populacji miała chińskie korzenie, ludzie byli posłuszni. W głębi duszy Singapurczycy mieli łagodną naturę. Ich niechęć wobec Japończyków wynikała przede wszystkim z uwarunkowań historycznych oraz z niezgodności charakterów. Można ją było dostrzec wszędzie, na morzu, w portach, w bankach i na giełdach papierów wartościowych. Widząc japońskich marynarzy z floty wojennej lub statków handlowych, major Loh natychmiast wpadała w złość.

Denerwowali ją nawet turyści. Wydawało się jej, że zbierają pamiątki, nie po to by się nimi cieszyć, lecz po to, by je tylko mieć.

Major przyglądała się z pokładem marynarzom, którzy opuszczali jej sprzęt do wody. Znajdowali się zaledwie kilka metrów przed nią, na lewej burcie. Pracowali w milczeniu, tak jak ich wyszkolono. Podczas operacji wojskowych rozmowy mogły rozpraszać uwagę. Wszystkie zmysły Loh były wyostrzone. Czowała zapach ropy i słonawy smak morza. Słyszała uderzenia fal o burtę patrolowca. Widziała światła reflektorów przenikające toń wody. Sieć ze sprzętem zanurzała się w ciemność pod jasnymi, postrzępionymi grzywami fal, a silny północno-zachodni wiatr owiewał

Loh. Choć jej prawdziwym żywiołem było morze, zawsze odczuwała jakąś więź z wiatrem. Podobnie jak ona sama, wiatr przemierzał oceany, milczący i kapryśny, i od czasu do czasu mocno dawał się ludziom we znaki. Gwiazdy częściowo skryły się za postrzępionymi chmurami, sunącymi wysoko na niebie. Ten widok przywiódł jej na myśl pewną kelnerkę z Bangkoku. Ubrana była w białą sukienkę z cekinami, które skrzyły się migotliwie. Loh pomyślała, że zarówno kelnerka, jak i niebo, stanowią dla niej niezgłębioną tajemnicę. Świat jest pełen sekretów.

Czekała obojętnie, aż krzątający się ludzie zakończą badanie składowiska. Nie miało znaczenia, co stwierdzą - nieprawidłowości czy absolutny porządek. Brak informacji sam w sobie stanowi informację. Loh przyjmie do wiadomości każdy fakt. Nie była co prawda buddystką, ale wierzyła w cztery prawdy leżące u podstaw tej nauki. Po pierwsze, że istnienie jest cierpieniem. Po drugie, że źródłem cierpienia jest chęć posiadania. Po trzecie, że cierpienie kończy się ostatecznie wraz z osiągnięciem stanu ukojenia, zwanego nirwaną. I po czwarte, że do nirwany prowadzi ścieżka o ośmiu odnogach: właściwego rozumienia, myślenia, wysławiania się, działania, życia, intencji, wytrwałości i koncentracji. Umiejętności te nie są łatwe do opanowania i wymagają przede wszystkim ogromnej cierpliwości.

Loh posiadała tę cechę, przyglądając się, jak jej ojciec cierpliwie pracuje nad sprawami. Z góry było wiadomo, że sprawca zostanie schwyty. Należało tylko odpowiedzieć na pytanie: jak, kiedy i gdzie.

Wreszcie młody specjalista, odpowiedzialny za systemy podwodne, podbiegł do major Loh i zasalutował.

-

Promieniowanie w pobliżu miejsca złożenia ostatniego ładunku jest niższe od oczekiwanego, chyba że mamy błędne współrzędne.

-

Nie ma powodu przypuszczać, że są nieprawidłowe - powiedziała Loh. - Zejdźcie na dół i rozejrzyjcie się.

-

Tak jest, pani major - odrzekł, zasalutował i zrobił w tył zwrot.

Pięć minut później zespół nurków zszedł pod wodę, zabierając ze sobą skaner fluoroskopowy. Gdyby w betonowym bloku, oznaczonym najświeższą datą, było coś „gorącego”, w wizjerze pojawiłby się czerwony kontur.

Nurkowie uwinęli się błyskawicznie. Stwierdzili, że ostatni z zatopionych bloków nie zawierał substancji radioaktywnych. Major Loh odpięła radiotelefon od paska i połączyła się z Jelbartem na drugim okręcie.

-

W takim razie odpady zostały wylądowane wcześniej, między portem wyjściowym a składowiskiem - powiedział Jelbart.

-

Na to wygląda - przytaknęła.

-

Odebrała je z pewnością jednostka zaatakowana przez piratów - dodał.

-

To bardzo prawdopodobne - zgodziła się Loh.

-Należy ustalić nazwę i banderę statku, który transportował odpady na składowisko, a potem porozmawiać z jego kapitanem - oznajmił Jelbart.

-

Dobrze by było - zgodziła się Loh. - Jednak idę o zakład, że nie znajdzie pan ani statku, ani załogi.

-

Jak to? Przecież każdy statek posiada rejestrację.

-

To prawda. Ale może mieć ich kilka. Przypuszczam, że załoga dowiedziała się o ataku piratów na tę drugą jednostkę i zmieniła nazwę, a nawet kolor kadłuba. Wątpię, żeby udało nam się cokolwiek znaleźć.

-

A więc niczego się nie dowiedzieliśmy, poza jednym, że gdzieś w naszym zakątku świata znajduje się pełno odpadów nuklearnych - stwierdził Jelbart.

-

To nie jest nic. Znajdziemy te odpady - powiedziała Loh.

-

Podoba mi się pani podejście. Co pani proponuje?

-

Tylko jedno - odrzekła. - Niech pan zachowa cierpliwość.

ROZDZIAŁ 22

Cairns, Australia, Piątek, 21.45

Peter Kannaday wrócił na jacht. Był roztrzęsiony po spotkaniu z Darlingiem. Po raz pierwszy w jego czterdziestosiedmioletnim życiu zdrowa podejrzliwość przybrała postać paranoi. A przyczyna tego stanu rzeczy była zadziwiająco prosta. Już sam fakt, że Kannaday stał między Darlingiem a Hawkiem był

wystarczająco kłopotliwy. Jednak jeszcze bardziej niepokoiła Kannadaya myśl, że obie te siły działają w zмовie. To Darling zatrudnił Hawke'a. Mogli utrzymywać ze sobą łączność przez Marcusa Darlinga. Być może starszy z Darlingów chciał, żeby Kannaday zwrócił się przeciwko Hawke'owi. Wówczas ten ostatni mógłby go wyeliminować i przejąć jacht. Załoga nie sprzeciwiłaby się szefowi ochrony, gdyby działał w samoobronie. Z punktu widzenia Jervisa Darlinga to było łatwiejsze i bardziej bezpieczne niż kupowanie nowej jednostki. Po takiej transakcji pozostawał ślad w papierach. A może były inne przyczyny. Może Darling robił to wszystko jedynie z głębokiej pogardy, żywionej wobec niefrasobliwego kapitana? Albo z satysfakcji płynącej z niszczenia ludzi.

Te podejrzenia obróciły siłę i energię kapitana przeciwko niemu samemu. Zamiast ostrożności pojawił się śmiertelny strach. Kannaday za wszelką cenę musiał się go pozbyć. Musiał się też pozbyć Johna Hawke'a-bez względu na to, czy Hawke współpracował z Darlingiem, czy nie.

Kannaday liczył na to, że pomyślne zakończenie operacji przywróci mu nieco spokoju i równowagi.

„Hosanna” wyszła z zatoki Darling o dwudziestej pierwszej pięć. O dwudziestej drugiej zakończono naprawianie laboratorium. Nowy sprzęt został zainstalowany i sprawdzony. Jacht był gotów, by popłynąć na spóźnione spotkanie z malezyjskim statkiem rybackim. Zaledwie jednak wyruszyli,

Marcus Darling zameldował o dziwnych sygnałach radiowych, które dochodziły z Morza Celebes. Kapitan Kannaday zszedł do niego pod pokład.

W pomieszczeniu radiowym był już John Hawke. Kannaday widział go po raz pierwszy od powrotu z posiadłości Darlinga, bo kiedy przybył na pokład, szef ochrony pracował w kabinie.

Wzajemnie unikali swego wzroku. Hawke nie zareagował na widok Kannadaya, a kapitan starał się nie zauważać szefa ochrony, stając za plecami radiooperatora.

Hawke znajdował się po lewej, w miejscu, gdzie kiedyś był iluminator. Marcus uruchomił program translatorski z Alta Visty, który tłumaczył na angielski przychodzące wiadomości.

-

Złapałem transmisję z japońskiego trawlera - powiedział Marcus. -

Pytał, czy jest bezpiecznie.

-

Kogo? - spytał Kannaday.

-

Singapurski patrolowiec, sądząc z nazwy i stopni wojskowych - odpowiedział

Marcus.

-

Z jakiego powodu zadał to pytanie? - Kannaday zdziwił się.

-

Pozycja trawlera to sto trzydzieści stopni długości geograficznej wschodniej i pięć stopni szerokości geograficznej południowej - odrzekł

młody Darling. - Oczywiście patrolowiec też tam jest. Co gorsza, chyba ma towarzystwo.

Słowa te zmroziły Kannadaya.

-Mów dalej.

-

Okręt singapurski najwyraźniej rozmawia z innym okrętem - ciągnął

Marcus. - Nie wiem, o czym, bo sygnały zanikają.

-

A więc skąd wiesz, że Singapurczycy rozmawiają z innym okrętem?

-

Po każdej wymianie komunikatów z trawlerem pojawiają się krótkie zaniki. Trwają one mniej więcej tyle samo, co rozmowa z trawlerem, tak jakby okręt odbierał wiadomość, tłumaczył ją i przekazywał dalej słowo po słowie.

-

Dlaczego ten drugi okręt po prostu nie słucha wymiany komunikatów? -

spytał Hawke.

-

Bo wtedy ktoś, na przykład ja, mógłby określić jego pozycję. Co więcej, wiedziałby dokładnie, z kim ma do czynienia - wyjaśnił Marcus.

-

Rozumiem - rzekł Kannaday. - Czy to zachowanie wskazuje na okręt wojenny?

-

Tak, wojenny lub policyjny - potwierdził Marcus.

Ani okręty wojenne, ani tym bardziej policyjne nie odwiedzały regularnie tego miejsca. Było ono kontrolowane przez cywilne statki Międzynarodowego Komitetu Nadzoru Nuklearnego.

-

Musimy się dowiedzieć, kogo tam zaniósł - stwierdził Hawke.

-

Po co? - Kannaday wzruszył ramionami. - Nasza trasa nie prowadzi przez żadne składowiska.

-

Ale prowadzi przez nie trasa Jaafara - podkreślił Hawke.

-

A co to nas obchodzi? - Kannaday wyglądał na zdziwionego.

-

Jest naszym wspólnikiem.

-

Do tej pory Jaafar z pewnością przemałował już statek i płynie pod zmienioną flagą - powiedział Kannaday. - Zmian dokonał pod osłoną ciemności. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby ktoś go widział.

-

W takim razie co okręt wojenny, a być może nawet dwa okręty robią nad składowiskiem? - spytał Hawke.

-

Nie mam pojęcia i nie sędzę, aby to nas dotyczyło - stwierdził Kannaday.

-

Jak się zorientują, że Jaafar spuścił na dno puste pojemniki, to się do nas dobiorą.

-

Najpierw musieliby go znaleźć, a to właściwie niemożliwe - uspokajał

Kannaday. - Jaafar od razu się ukryje, gdy uzna, że ktoś go szuka.

Możemy go ostrzec, wykorzystując bezpieczne łącze.

-

Wolałbym wiedzieć, co to za okręty - upierał się Hawke.

- I co potem? - spytał Kannaday.

-

Potem należałoby ruszyć za nimi i zabawić się w piratów - powiedział

Hawke.

Wyprzedzające uderzenie, przypomniał sobie Kannaday. Dokładnie o tym mówił

Darling. Może Hawke naprawdę zaniepokoił się patrolowcem. A może zwyczajnie próbował

sprowokować konflikt z Kannadayem. Tak czy inaczej, kapitan zdecydował, że nie będzie mu w niczym przeszkadzał.

-

W jaki sposób proponuje pan przeprowadzić rozpoznanie? - spytał.

-

Potrzebujemy obrazu z satelity - odparł Hawke. - Musimy wiedzieć, kto tam jest i co robi.

-

Marcus, czy dasz radę to załatwić? - Kannaday zwrócił się do młodego Darlinga.

-

Możemy spróbować przez pułkownika Hwana - odpowiedział radiotelegrafista.

-

Kto to taki?

-

Pułkownik Kim Hwan to człowiek mojego stryja. Służy w północnokoreańskim Biurze Rozpoznawczym - odrzekł Marcus. - Struktura ta gromadzi strategiczne informacje dla ministerstwa ludowych sił zbrojnych.

Ponadto, w razie potrzeby, zajmują się podsłuchiowaniem konkurentów biznesowych stryja.

-

Ile czasu potrwa uzyskanie informacji od pułkownika Hwana? - spytał

Kannaday.

-

Tylko on może odpowiedzieć na to pytanie - wyjaśnił Marcus. - Być może zdobędzie informacje tradycyjnymi kanałami. Jeśli mu się nie uda, musi poprosić Chińczyków, aby dali mu dostęp do jednego ze swych satelitów.

-

Bierz się do roboty - polecił Hawke.

Nie był nawet łaskaw zapytać Kannadaya o zdanie. Kapitan nie zaprotestował.

Chwilę zastanawiał się, czy robi to ze strachu, czy z wyrachowania, pozwalając Hawke'owi samemu władować się na minę. Wiedział, do czego doprowadziła jego pobłażliwość jako dowódcy. A może powinien wykonać jakiś ruch, pokazać, że się nie boi?

-

Jesteś pewien, że nikt nie zdoła podsłuchać naszych sygnałów? - spytał

Marcusa.

-

To bardzo mało prawdopodobne - odparł radiotelegrafista. - Stryj ma bezpośrednie łącze z telefonem komórkowym pułkownika Hwana. Skorzystamy z niego, by przesłać mu e-maila. Hwan może odpowiedzieć natychmiast.

Nie ma żadnego powodu, by ktokolwiek kontrolował tę linię.

-

A jeżeli ktoś taki się znajdzie?

-

Każda wiadomość jest szyfrowana w chwili wysyłki. Ponadto nie można wyśledzić, kto jest jej nadawcą - wyjaśnił Marcus. - Nic nam nie grozi.

-

W porządku - powiedział Kannaday. - Możesz zaczynać.

Marcus połączył się z głównym nadajnikiem w Darwin, a potem otworzył w swoim notebooku książkę kodów i wyszukał kod Hwana. Następnie wyciągnął dyskietkę z małego sejfu pod panelem radiowym i wsunął ją do stacji.

-

Gotowe - poinformował.

Hawke podyktował tekst. On, jako szef ochroniarzy, nie zareagował, kiedy to Kannaday ostatecznie polecił skontaktować się z Hwanem. W treści wiadomości prosił północnokoreańskiego pułkownika o sprawdzenie, kto wpłynął na składowisko i z jakiego powodu. Czekać na potwierdzenie odbioru, Kannaday zwracał baczność uwagę na jakiegokolwiek oznaki porozumienia między dwoma mężczyznami - spojrzenie, ruch warg, gest Hawke'a w stronę Marcusa, cokolwiek, co mogłoby być dowodem istnienia zmywy. Każdemu z nich błąd Kannadaya był na rękę. Hawke przejąłby

„Hosannę”, a Marcus poprowadziłby część operacji, dzięki czemu wykazałby przed stryjem swe zdolności kierownicze. Kapitan nie zauważył jednak niczego podejrzanego w zachowaniu mężczyzn. Poczul, że nabiera wiatru w żagle.

Wielu paranoików ma wrogów, zreflektował się Kannaday. Jednocześnie pomyślał, że zwykle sami dla siebie bywają najgorszymi wrogami.

-

Co będziemy robić do czasu otrzymania informacji? - spytał Marcus.

-

Kontynuujemy rejs do miejsca spotkania - odparł Kannaday. - Czy z Malezyjczykami już wszystko uzgodnione?

-

Otrzymałem depezę, gdy był pan u szefa - rzekł Marcus, otwierając notes w komputerze. - Kiedy się nie stawiliśmy, krążyli w pobliżu rejonu wyznaczonego spotkania. Poinformowałem ich o problemach ze sprzętem.

Poprosili o wyznaczenie nowego terminu spotkania.

-

Przełącz kapitanowi bin Omarowi, że będziemy na miejscu o pierwszej w nocy - polecił Kannaday. - I dziękuję za dyskrecję.

-

Nie miałem wyboru - powiedział Marcus. - Prawda nie wzbudziłaby w nich zaufania.

Istotnie. Kannaday poprosił go o zawiadomienie, kiedy tylko napłyną jakieś informacje z Japonii. Następnie wyszedł na pokład, aby pogadać z członkami załogi grającymi rolę pasażerów. Na przybrzeżnych wodach panował ożywiony ruch.

Kannaday znał wielu miejscowych kapitanów, prowadzących jachty wycieczkowe.

Paradoksalnie, im więcej ludzi go widziało, im więcej machało do niego, tym większą zyskiwał anonimowość. Nikt nie zastanawiał się, gdzie jest i czym się zajmuje kapitan Kannaday.

Kannaday spacerował po pokładzie. Powietrze było przesycone wilgocią, która osiadała mu na twarzy. Działo to na niego kojąco, czuł się nieco lepiej niż przed rozmową z Darlingiem. Chwilowo Hawke zajmował się czym innym, dlatego Kannaday miał więcej swobody. W ten sposób zyskał czas na zastanowienie się nad dalszymi krokami, jakie powinien podjąć wobec szefa ochrony.

ROZDZIAŁ 23

Waszyngton, Piątek, 07.17

Jako mer Los Angeles oraz szef Centrum Szybkiego Reagowania, Paul Hood odbierał

telefony od głów państw. W czasie kryzysów rozmawiał grzecznie przez telefon z równymi sobie przedstawicielami z różnych krajów. Nawet w obliczu śmiertelnego ryzyka Hood potrafił rozmawiać spokojnie i rzeczowo z agentami wyruszającymi na akcję. Rozmawiał z żonami i matkami funkcjonariuszy policji i straży pożarnej, które straciły swych mężów i synów. Kontaktował się telefonicznie i osobiście z rodzinami żołnierzy Strikera, poległych podczas walk w Kaszmirze.

A jednak kiedy sprawdzał wiadomości, które przychodziły na jego osobistą komórkę, nie wykazywał już takiego spokoju. O szóstej piętnaście rano dzwoniła Daphne Connors. Sądząc z brzmienia jej głosu, musiała właśnie się obudzić. A może raczej dopiero kładła się spać. Często uczestniczyła w trwających do białego rana przyjęciach organizowanych przez swych klientów. Niskim, przytłumionym głosem informowała go, że się jej przyśnił. Była to jakaś opowieść o woźnicy dyliżansu i właścicielu gospody na Dzikim Zachodzie. Hood prowadził

saloon, woźnicą była Daphne.

Niewykluczone, że był to jedynie pretekst, by do niego zadzwonić. Tak czy inaczej, ten telefon, a raczej ton głosu Daphne sprawił go w zakłopotanie. Od lat nie słyszał „pościelowego” głosu kobiety. Sharon, jego była żona, nie miała w zwyczaju odzywać się w sypialni. A noc, którą spędził ostatnio z rzeczniką prasową Centrum, Ann Farris, także zakończyła się kłopotliwą ciszą.

Głos Daphne był bardzo kobiecy i uwodzicielski. Hood słyszał go w uszach, w mózgu, właściwie wszędzie, ale, o dziwo, nie sprawiało mu to przyjemności.

Zaczął się zastanawiać, czy to Daphne nie jest pociągająca, czy to on po prostu nie ma ochoty się do nikogo zbliżyć. Może właśnie taka postawa spowodowała rozpad jego małżeństwa? Może stało się to na jego własne życzenie? Uczuciowy chłód i coraz większy dystans... Czuł się w domu tak, jakby przewodniczył radzie miejskiej albo kierował agencją federalną.

Hood nie lubił i nie chciał o tym myśleć. Był już w biurze od pół godziny i wciąż przeglądał raport nocnej zmiany. Wyglądało na to, że tej nocy na całym świecie panował spokój, za wyjątkiem rejonu Morza Celebes. Odśluchał cyfrowe nagranie rozmowy, przeprowadzonej przez Lowella Coffeya z dyżurującym w nocy Curdem Hardawayem.

Coffey meldował, że singapurski okręt odkrył pusty betonowy blok na składowisku.

Blok ten powinien zawierać odpady radioaktywne. Ustalenia te zostały potwierdzone przez czujniki promieniowania australijskiej korwety, którą płynął

Coffey.

-

Singapurczycy nie próbują niczego przed nami ukrywać - zapewniał

Coffey. - Zamierzamy zlokalizować jednostkę, która dostarczyła ten blok.

Według dokumentów obszar o współrzędnych sto trzydzieści i pięć jako ostatni odwiedzał statek należący do Mahathira bin Dahmana z Malezji.

Chorąży Jelbart słyszał o nim i twierdzi, że Dahman trudni się usuwaniem odpadów na skalę światową.

Hood zwrócił uwagę na to nazwisko.

-

Jelbart wie, że będzie trudno odnaleźć brakujące odpady promieniotwórcze -

ciągnął

Coffey. - Jeżeli ten statek je odsprzedał, z pewnością już dawno zmienił swój wygląd. Dostawcy mogą być jedynie płótkami, więc upłynie dużo czasu, zanim zostaną zlokalizowani ich mocodawcy.

Rząd malezyjski niechętnie udostępnia poufne informacje, zwłaszcza gdy chodzi o wybitnych obywateli tego kraju.

Potem Coffey zapytał Hardawaya, czy Biuro Rozpoznawcze nie mogłoby rzucić okiem na ten rejon. Być może uda się coś wypatrzeć. Hardaway zostawił Hoodowi notatkę, że normalnie Biuro nie prowadzi obserwacji Morza Celebes. Zgląda tam tylko wówczas, gdy robią to także

Rosjanie albo Chińczycy. Kraje te, podobnie jak Stany Zjednoczone, testowały swoje satelity poprzez wyznaczanie im rejonów obserwacji leżących poza normalnymi sektorami. Nowe kamery satelitarne często kalibrowano i ogniskowano, wykorzystując jako cele okręty podwodne i statki.

Po zapisaniu wiadomości Hood połączył się z Bobem Herbertem. Szef wywiadu był

już w powietrzu od sześciu godzin, a to wystarczyło, by czuć się rozdrażnionym.

Herbert uwielbiał brać udział w akcjach, ale gdy tylko zgromadził potrzebne informacje, chciał natychmiast przystępować do działania. Czekanie go wykańczało.

Pilot TR-1 poinformował Hooda, że Herbert śpi, i zapytał, czy ma go obudzić.

Hood zaprzeczył. Był pewien, że Herbert sam się zgłosi, kiedy się ocknie.

Zaledwie się rozłączył, zadzwonił do niego Stephen Viens, który przez kilka lat pracował jako szef analityków w Narodowym Biurze Rozpoznawczym. Viens podczas studiów kolegował się z Mattem Stollem, szefem technicznym Centrum, które dzięki temu, o ile istniała taka konieczność, miało najszybszy dostęp do danych.

Obecnie Viens pracował jako szef służby wewnętrznej Centrum, wciąż jednak miał znajomych w NRO. Kiedy znajdowali interesującą informację dla Centrum, natychmiast dawali mu znać.

-

Cześć, Paul, właśnie rozmawiałem z Noah Moore-Mooney z NRO -

powiedział Viens. - Bob Herbert zameldował, że coś się dzieje na Morzu Celebes.

-

Curd Hardaway stwierdził, że panuje tam spokój.

-

Faktycznie panował, jeszcze parę minut temu - powiedział Viens.

-

Co się stało?

-

Nasz satelita Shado-3 śledzi chińskie satelity. Kiedy się przemieszczają, podąża ich śladem. No i właśnie się przesunęły znad szlaków żeglugowych prowadzących na Tajwan na Morzu Południowochińskim w rejon Morza Celebes.

-Jaka pozycja?

-

Sto trzydzieści stopni długości geograficznej wschodniej i pięć stopni szerokości geograficznej południowej.

-

Dokładnie w tym miejscu znajdują się dwa patrolowce, singapurski i australijski. Na pokładzie tego drugiego jest Coffey. Dlaczego Chińczycy mieliby się interesować dwoma małymi okrętami

wojennymi?

-

Skąd w ogóle wiedzieli, że tam są jakieś okręty? - zastanawiał się Viens. - Demonstracja?

-

Być może - stwierdził Hood.

Było mało prawdopodobne, aby Chińczycy wchodzili w jakieś interesy dotyczące odpadów promieniotwórczych pochodzących z obcego kraju. Mieli dość własnych, które sprzedawali zwłaszcza Pakistanowi.

-

Stephen, kiedy jeszcze byłeś w NRO, czy nie natknąłeś się na przypadki wspólnego wykorzystania satelitów? - spytał Hood.

-

Masz na myśli udostępnienie chińskich satelitów innym krajom? - upewnił

się Viens.

-

Właśnie.

-

Czasem sojusznicy, tacy jak Wietnam czy Korea Północna, proszą Chiny o dane - przyznał Viens. - Ale to Chińczycy kontrolują urządzenia.

-

W porządku, Stephen, dziękuję. Daj znać, jak się czegoś dowiesz na ten temat.

-

Jasne - powiedział Viens na zakończenie.

Hood rozłączył się. Spojrzał na zegar w komputerze. Musiał zadzwonić jeszcze do kogoś, kto w tym momencie był jedyną osobą, mogącą dostarczyć niezbędnych informacji.

Hood podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Zamierzał odbyć jedną z tych rozmów, podczas których czuł się jak ryba w wodzie. Był świetny w prowadzeniu takich konwersacji. Chodziło o rozmowy, które wpływały na losy całych narodów, ale nie miały żadnego znaczenia dla samego Paula Hooda.

ROZDZIAŁ 24

Morze Celebes, Piątek, 22.33

Raja Adnan bin Omar stał w małej, ciemnej kabinie łodzi rybackiej. Towarzyszył mu radiooperator, który zajął miejsce obok półki z krótkofalówką.

Radiooperator miał nogi lekko ugięte w kolanach, aby utrzymać równowagę na kołyszącym się pokładzie. Bin Omar stał za sterem. Mężczyźni ubrani byli w czarne pulowery, mieli odkryte głowy, a ich włosy i brody były starannie wypielegnowane. Wilgotny wiatr szumiał za oknem i walił w drewniane ściany kabiny. Obaj mężczyźni przywykli do tego, podobnie jak dwaj inni rybacy z pokładu dziesięciometrowego kutra. Jednym z nich był dwudziestosiedmioletni syn bin Omara. Wraz ze swym towarzyszem siedzieli teraz na dole, układali ryby w wypełnionych lodem zasobnikach i naprawiali sieci. Łódź długo krążyła w miejscu, więc i połów był obfitszy niż zwykle. Kiedy skończyli z rybami, zabrali się do nylonowych sznurków, aby nadal mieć co robić. Kazano im stale się czymś zajmować na wypadek, gdyby ktokolwiek wszedł na pokład. Ludzie, którzy nic nie robią, zawsze wyglądają podejrzanie, nawet gdy są niewinni. Zasobniki stały we wnęce na rufie łodzi. Dwa z nich, wykonane z ołowiu, nie były przeznaczone do przechowywania ryb.

Broń automatyczną także trzymano na dole. Mogła okazać się potrzebna.

Radiooperator zdjął słuchawki.

-

Są nieco ponad dwie godziny od nas. Przepraszają za spóźnienie.

-

Czy podali przyczynę? - spytał bin Omar.

-

Pan M powiedział tylko, że mieli jakiś problem natury technicznej - odparł operator.

-

Ach tak - stwierdził bin Omar. - Wymówka, której nie sposób podważyć.

-

Może powiedzą coś więcej, jak się spotkamy.

-

Nie inaczej. Nasi zleceniodawcy bez wątpienia będą chcieli wiedzieć więcej. Ale to nie nasz problem. Jesteśmy tylko posłańcami.

Po raz pierwszy od ponad roku, odkąd prowadzili ten interes, kapitan Kannaday nie stawił się na spotkanie. Sześćdziesięciodwuletni rybak był bardzo zmartwiony tym faktem. Nie znosił niespodzianek, bez względu na to, czy chodziło o sztorm, o nagłą kontrolę policji portowej w Pontian Kechill, czy spóźnienie. Było to szczególnie niebezpieczne w branży przemytniczej. Marynarze nie lubili przebywać na otwartym morzu, kiedy ładunkiem była broń, narkotyki lub substancje promieniotwórcze. Z dala od lądu mogli natknąć się na patrolowce albo na piratów.

Bin Omar miał nadzieję, że kapitan Kannaday przedstawi jakieś sensowne wytłumaczenie. Przetworzone odpady promieniotwórcze nie były co prawda najłatwiejszym towarem do zdobycia, ale też Kannaday nie należał wcale do jedynych dostawców w tym rejonie. Był po prostu najsprawniejszy, aż do dzisiaj.

Tymczasem grupa Kansai Unit, do której należał bin Omar, żądała niezawodności.

Azjatycka grupa kładła też nacisk na odpowiedzialność. Bin Omar będzie musiał wyjaśnić zwłokę.

Mimo to był spokojny. Jego żona wraz z pozostałymi dziećmi czekała w domu pod dobrą opieką. A on czuł się zawsze odprężony na wodach, po których jego przodkowie pływali już od setek lat. Wiedział, że bez względu na to, do czego doprowadzą źli ludzie i budowane przez nich szalone cywilizacje, rodzina bin Omarów będzie pływać po tych morzach przez kolejne stulecia.

ROZDZIAŁ 25

Tokio, Japonia, Piątek, 21.34

Chigeo Fujima stał na balkonie swego mieszkania i palił papierosa. Oficer japońskiego wywiadu był zmęczony i wcześniej wrócił do domu. Zamierzał w ten weekend odpocząć. Fujima pracował nad kilkoma powiązаныmi ze sobą sprawami.

Chińczycy byli zamieszani w atak na katolickich duchownych w Botswanie, zacieśniali gospodarcze związki z Tajwanem oraz gwałtownie przyspieszyli realizację chińskiego programu kosmicznego, którego celem było wysłanie człowieka na orbitę okołozemską. Ekspansja Chin, liczących ponad miliard ludzi, stanowiła bezpośrednio zagrożenie dla Japonii i krajów Dalekiego Wschodu, tym

bardziej że japońska gospodarka dotkliwie odczuwała skutki ogólnoświatowej recesji.

Fujima mieszkał z żoną i dwiema córkami w przestronnym apartamencie koło parku Yoyogi. Wprowadzili się niecałe siedem miesięcy wcześniej. Starsza córka Fujimy, Keiko, studiowała w międzynarodowej szkole handlu i biznesu, mieszczącej się o pięć minut drogi od domu. Młodsza córka, Emiko, uczęszczała do międzynarodowej podstawówki, która była oddalona o sześć minut marszu. Wszyscy byli dumni z przestronnego, stuosiemdziesięciopięciometrowego mieszkania, choć szczęście Fujimów zbudowane było na nieszczęściu innych. Mogli się tu przenieść, bo japońska gospodarka wpadła w trudny okres i wielu ludzi straciło dach nad głową.

Wcześniej mieszkał tutaj zawodowy fotograf. Kiedy załamała się sprzedaż detaliczna, gwałtownie skurczył się rynek reklam. O ile w ogóle się pojawiały, produkowano je, wykorzystując gotowe teksty i obrazy generowane komputerowo, zamiast zdjęć. Fotograf doczekał się w końcu eksmisji. Rodzina Fujimów przeniosła się tu z mieszkania o połowę mniejszego, za które płaciła prawie identyczny czynsz.

- Smutne czasy - mruknął pod nosem Fujima i pstryknął żarzący się jeszcze niedopałek na chodnik. Trudne i niebezpieczne. Fujima był szczęśliwy, że wrócił

wcześniej do domu. Będzie mógł zjeść kolację z żoną, zobaczyć się z dziewczynkami, zanim pójdą spać -jeśli, oczywiście, Keiko odłoży na chwilę telefon, a Emiko wstanie od komputera. Uśmiechnął się i wrócił z balkonu do mieszkania. Nie mógł oczywiście wymagać, żeby z jego powodu nie czuły się sobą.

Wiele się zmieniło od czasów, kiedy on sam był dzieckiem. Jego ojciec pracował

na kolei jako konduktor. Gdyby po przyjściu do domu nie zastał przy drzwiach swojego syna, niechybnie zrobiłby użytek z paska.

-

Może to dobrze, gdy wszystko jest tak przewidywalne - powiedział do siebie. W jego pracy bywało dokładnie na odwrót.

Nagle Keiko wybiegła ze swego pokoju. Długie, kruczoczarne włosy opadały na jej bladą twarz.

-

Tato, chce z tobą rozmawiać jakiś mężczyzna - powiedziała, wyciągając dłoń z purpurowym telefonem.

-

Ktoś do mnie dzwoni na twój telefon? - spytał Fujima.

-

Tak. Włączył się w moją rozmowę z Kenji. Powiedział, że to pilne.

Chyba jest cudzoziemcem, bo kiepsko mówi po japońsku - dodała.

Fujima podziękował i wziął telefon, po czym wrócił na balkon.

-

Mówi Fujima - powiedział.

-

Przepraszam, że dzwonię na ten numer - odezwał się głos po drugiej stronie. - To był jedyny numer, jaki znalazłem w spisie.

Keiko miała rację. Mężczyzna niemiłosiernie kaleczył japoński. Ale jego głos brzmiał znajomo.

-

Kto mówi? - spytał Fujima.

-

Tu Paul Hood z Centrum Szybkiego Reagowania - rozmówca przedstawił

się po angielsku. - Przepraszam. Korzystam z beznadziejnego komputerowego tłumacza. Mój japoński nie jest najlepszy.

-

Podobnie jak pora na telefon, panie Hood - powiedział Fujima. - Ta rozmowa jest wyjątkowo...

-

Nieortodoksyjna. Tak, wiem, panie Fujima - przerwał mu Hood. -

Proszę przyjąć moje przeprosiny, ale musimy porozmawiać.

-

Właśnie miałem siadać do kolacji z żoną - powiedział Fujima. - W dodatku połączenie nie jest bezpieczne.

-

Wiem o tym, panie Fujima - odparł Hood. - Dlatego mam nadzieję, że mnie pan dobrze zrozumie, kiedy powiem, że z waszego ogródka znikły materiały, które powinny trafić na obszar sto trzydzieści i pięć.

-

Ma pan dobrą nadzieję. - Hood mówił o odpadach radioaktywnych.

Nagle kolacja przestała być ważna. Fujima przycisnął telefon do ramienia i zapalił kolejnego papierosa.

-

Niech pan mówi, panie Hood - powiedział, zaciągając się głęboko.

-

Szukamy zguby. Pomagają nam Singapur i Australia. Ale ktoś nas podgląda, wykorzystując chińskiego satelitę, a nam się wydaje, że Chińczycy nie mają z tym nic wspólnego. Tu raczej chodzi o handel nielegalnym towarem. Musimy się dowiedzieć, kto mógł mieć dostęp do tego sprzętu. Pomyślałem, że pan może uzyskać jakieś informacje.

-

To akurat mogę panu powiedzieć od razu - odrzekł Fujima. - Odbywają się tam południowokoreańskie manewry morskie. Korea Północna ma pełen dostęp do trzech satelitów w tym rejonie. Satelita, który pana interesuje, nazywa się „Fong Sai”.

-

Kto dowodzi tą operacją po stronie północnokoreańskiej? - spytał Hood.

Fujima usłyszał córkę, krzyczącą za jego plecami:

-

Tato! Oddaj mój telefon! Ten mężczyzna włączył mi się w rozmowę!

Zakrył mikrofon.

-

Chwileczkę, Keiko - powiedział i wrócił do Hooda. - Operacją dowodzi pułkownik Kim Hwan z północnokoreańskiego biura rozpoznawczego.

Człowiek raczej bez znaczenia.

-

Ma pan z nim jakiś kontakt? - spytał Hood.

-

Posiadam telefon służbowy i e-maila. Jestem pewien, że macie to samo w archiwum.

-

Jeżeli nie znajdę, dam panu znać - rzekł Hood. - Mamy na miejscu swoich ludzi, posiłki w drodze. Jak coś się wydarzy, to się odezwę.

-

Proszę zadzwonić na telefon domowy - powiedział Fujima, podając Hoodowi prywatny numer. - W ten sposób unikniemy komplikacji tu na miejscu. Pan zdaje się także ma nastoletnią córkę.

-

Owszem - przyznał Hood. - Niech pan siada do kolacji. Jeszcze raz przepraszam, że przeszkodziłem.

-

Nie ma sprawy - uspokoił go Fujima.

Japończyk rozłączył się i oddał telefon córce. Dziewczyna natychmiast nacisnęła ponowne wybieranie i poszła do swojego pokoju, nogą zatrzaskując drzwi. Fujima potrząsnął głową i przeczesał dłońmi krótkie, czarne włosy. Były wilgotne od potu. Każdy dostrzegłby lęk w jego spokojnej z pozoru twarzy, ciemnych oczach, silnie zarysowanej linii ust. Kiedy czegoś się obawiał, po prostu się pocił.

Wciąż palił papierosa i zastanawiał się, czy nie wrócić do swego gabinetu w Gaiumusho, czyli ministerstwie spraw zagranicznych. Czuł, że powinien powęszyć koło obszaru sto trzydzieści i pięć. Przejrzeć zestawienie jednostek korzystających ze składowiska, prześwietlić dane statków i ich załóg. Ale Centrum już się tym zapewne zajmowało, dlatego zdecydował, że będzie lepiej, jeśli dzisiejszej nocy porządnie wypocznie. Dzięki temu następnego dnia będzie gotowy na każdą niespodziankę nadchodzącego tygodnia.

Fujima odwrócił się w stronę żony, która przyszła z kuchni z informacją, że kolacja będzie gotowa za pięć minut. Podziękował, puścił do niej oczko i powiedział, że zaraz przyjdzie, a ona uśmiechnęła się. Oparł się o barierkę i popatrzył w dół na ulicę.

-

Świat zwariował - stwierdził na głos.

Jego ojciec nigdy by nie uwierzył, że naród, który zrzucił na Japonię dwie bomby atomowe, prosi go o pomoc w znalezieniu zaginionych materiałów promieniotwórczych. A on tej pomocy udziela. Na oczach jednego pokolenia nastąpiło całkowite przewartościowanie pojęć. Ale nie to było najbardziej zdumiewające. Oto watażkowie czy też grupy terrorystyczne, działając w zupełnej tajemnicy mogą

spowodować katastrofę nuklearną na podobieństwo Hiroszimy. I to nie po to, by zakończyć wojnę, lecz by ją rozpocząć.

- Świat zwariował - powtórzył.

Jednak w tym momencie Fujima oddawał odpowiedzialność za losy tego świata komuś innemu. Żona czekała z kolacją, w której miały uczestniczyć także córki. Fujima chciał się nimi nacieszyć.

W końcu to dla nich właśnie toczył swoją walkę.

ROZDZIAŁ 26

Waszyngton, Piątek, 08.57

Przyszła pora, by obudzić Boba Herberta. Po rozmowie z Shigeo Fujima Paul Hood przejrzał dossier pułkownika Hwana. Czytając akta, polecił swemu asystentowi, Bugsowi Bennetowi, by połączył się z kabiną pilotów TR-1. Stąd rozmowę przełączono do zaspanego szefa wywiadu Centrum. Kiedy Bob Herbert zgłosił się, Hood uświadomił sobie, że przez te wszystkie lata wspólnej pracy ani razu nie musiał go budzić. Zupełnie jakby zawsze miał go pod ręką. Ten pierwszy raz był

dość kłopotliwy. Mówiąc szczerze, wyrwany z głębokiego snu Herbert nie był ani bystry, ani przyjemny.

-

Przepraszam, że cię budzę - powiedział Hood, słysząc niemiły bełkot w słuchawce.

-

Świat się kończy - wyburczał Herbert i były to pierwsze zrozumiałe słowa, które wyartykułował.

-

Jeszcze nie teraz, chociaż niewykluczone, że już niedługo, jeśli zaraz czegoś nie wymyślimy - poinformował go Hood.

-

Właściwie to mam gdzieś ten cały świat - stwierdził Herbert. - Martwię się tylko o nas, czyli Stany Zjednoczone.

Szef wywiadu mówił takim głosem, jakby nałykał się piasku. Hood zrobił krótką przerwę.

-

Czy aby na pewno się obudziłeś? - spytał po chwili.

-

Tak, jestem przytomny - odrzekł Herbert. - Cholera, skończyła mi się kawa.

-

To przykre - stwierdził Hood.

-

Już dobrze. Co mamy na tapecie?

-

Niejakiego Kima Hwana, pułkownika wojsk Korei Północnej - wyrecytował

Hood. - Słyszałeś o nim?

-

Pułkownik Kim Hwan - mruknął Herbert. - Tak, natknąłem się na jego nazwisko w dokumentach, które mam ze sobą. Zdaje się, że gość robi w rozpoznaniu.

-

Owszem.

-

Jest z nami czy przeciwko nam? - spytał Herbert.

-

Prawdopodobnie skorzystał z chińskiego satelity, by sprawdzić, co robimy na Morzu Celebes - odrzekł Hood.

-

Skąd wiesz?

-

Od Shigeo Fujimy.

-

To ten palant wreszcie podniósł słuchawkę? - Herbert zdziwił się.

-

Nie miał wyboru. - Hood zaśmiał się. - Wciąłem się w rozmowę jego córki, prowadzoną przez jej telefon komórkowy.

-

Pięknie - powiedział coraz bardziej ożywiony Herbert. - Fujima dobrze wie, kto czym kręci w tej stronie świata. A więc pułkownik Hwan jest naszym wrogiem. Dlaczego?

-

Tego właśnie musimy się dowiedzieć. - Hood westchnął. - Ekipa Coffeya znalazła pusty blok betonowy na dnie Morza Celebes. W bloku miały znajdować się odpady promieniotwórcze.

-

Korea Północna dostaje substancje radioaktywne z Chin, tyle, ile dusza zapragnie - stwierdził Herbert. - Dlaczego więc mieliby się interesować nieprzetworzonymi odpadami radioaktywnymi?

-

Celne pytanie.

-

Korea Południowa też nie musi kombinować, bo dostaje te substancje od nas. A więc Hwan nie miał zamiaru podglądać swych wrogów.

-

Brzmi sensownie.

-

Najwyraźniej chodziło o kogoś spoza tego kręgu - oznajmił Herbert.

- I tu zaczyna się nasz problem - powiedział Hood. - Mam w komputerze dossier pułkownika Hwana. Niewiele tego jest. Obchodzi go tylko praca, nie ma rodziny i jest całkowicie poza zainteresowaniem zachodniego wywiadu.

-

Może uczestniczy w jakichś szkoleniach, zaszywa się w odosobnieniu albo podróżuje w prywatnych interesach?

-

Nic mi nie wiadomo na ten temat - stwierdził Hood. - Jak już mówiłem, żaden z wywiadów naszych sojuszników nic o nim nie wie.

-

To mnie właśnie martwi.

-

Dlaczego? - spytał Hood. - Być może nie jest nikim ważnym.

-

Może nie jest - zgodził się Herbert. - Częściej jednak tacy jak on okazują się prawdziwymi zawodowcami, działającymi anonimowo i w konspiracji. Pozwól mi się zastanowić przez chwilę.

Podczas tej chwili Hood przeglądał zgromadzone w komputerze dokumenty. Nie było w nich nawet zdjęcia Hwana, co świadczyłoby na korzyść tezy Herberta. Mało ważny oficer wywiadu nie miałby nic przeciwko temu, by ktoś go sfotografował. Hood trafił do tej roboty ze świata polityki i finansów. Walkę o głosy prowadzi się w oparciu na danych demograficznych. W bankowości i inwestowaniu pieniędzy potrzebna jest precyzja. Natomiast szybkie reagowanie to sprawa zupełnie odmienna. Wybitnie denerwowało go to, jak często jedyną zaporę między bezpieczeństwem a katastrofą stanowiły natchnione pomysły ludzi w rodzaju Boba Herberta. Jednocześnie dziękował Bogu, że są tacy ludzie.

-

Dobra - przerwał milczenie Herbert. - Czy Hwan chodził do szkoły?

-

Chodzi ci o to, czy studiował?

-Tak.

Hood zajrzał w dokumenty.

-

Owszem. W Moskwie, a potem w Londynie. A co?

-

Prawie siedemdziesiąt siedem procent ludzi zwerbowanych do pracy w wywiadzie studiowało za granicą - powiedział Herbert. - Są obeznani z obcą kulturą i potocznym językiem. Jeżeli Hwan studiował w Londynie, to prawdopodobnie zna angielski.

- I co z tego? - spytał z powątpiewaniem Hood.

-

Możemy z nim pogadać - wyjaśnił Herbert niewzruszonym głosem. -

Która godzina jest teraz w Korei?

-

Parę minut po dziesiątej wieczór.

-

Szpiedzy zbierają informacje w dzień, a rozsyłają je nocą- powiedział

Herbert. - Hwan pewnie wstaje wcześniej rano, żeby zapoznać się z raportami, które nadeszły w nocy.

-

A co to ma do rzeczy?

-

Pewnie jest teraz w domu i śpi. Możesz mi zdobyć jego numer? -

spytał Herbert.

-

Mart bez problemu wydobędzie go z czeluści systemu komputerowego -

zapewnił Hood. - Ale po co?

-

Bo czasem najlepsza jest klasyczna zagrywka „na wariata” - odparł Herbert.

-

Przykro mi, ale nie nadążam za tobą - przyznał Hood.

-

Przypomnij sobie, jak ja się zachowywałem na początku naszej rozmowy.

-

Byłeś śpiący, zdezorientowany.

-

No właśnie. - Herbert ucieszył się. - To stary sposób na jeńców wojennych.

Wyciągasz człowieka w środku nocy z celi albo ściągasz z pryczy.

Gość jest bezbronny, ma mętlik w głowie. Nie musisz go nawet bić, wystarczy, że zasypiesz go pytaniami. Przestraszony, zmęczony człowiek właściwie zareaguje na ten rodzaj przemocy. Zacznie kłapać jadaczką, zanim jego mózg zdoła go od tego powstrzymać.

-

A więc zadzwonisz do pułkownika Hwana i obudzisz go - ustalił

Hood. - On jednak nie jest jeńcem wojennym. Znajduje się we własnym domu, więc prawdopodobnie nie będzie zbyt wystraszony. Czemu uważasz, że cokolwiek z niego wyciągniesz?

-

Boja też jestem zawodowcem - odparł Herbert.

ROZDZIAŁ 27

Morze Celebes, Piątek, 23.09

Lowell Coffey znajdował się pod pokładem w kabinie dowódcy. Leżał na plecach na wąskim łóżku, z zamkniętymi oczami. Choć na zewnątrz panowały ciemności, zasłona była spuszczone. Coffey nie chciał widzieć kołyszących się gwiazd, gdy od czasu do czasu otwierał oczy. Wystarczało mu już samo kołysanie korwety oraz łoskot fal o burtę. Zszedł na dół około pół godziny wcześniej, po tym jak Jelbart i Loh postanowili pozostać w tym miejscu. Nie mieli po co płynąć do Darwin czy Singapuru. Najpierw musieli ustalić, gdzie powinien wypaść ich następny przystanek, a to pozostawało tajemnicą. Musieli zlokalizować statek, który postawił na dnie pusty betonowy blok. Coffeyowi nie podobało się, że siły morskie dwóch krajów musiały czekać, aż jakaś zapyziała łajba pojawi się na ekranach ich radarów. Czuł się równie potrzebny, jak Scylla i Charybda po przepłynięciu Messyny przez Odyseusza. Ktoś zapukał w wąskie, stalowe drzwi.

-

Proszę wejść - wybełkotał Coffey. Chciał podnieść się i usiąść na krawędzi łóżka, ale nic z tego nie wyszło. Podparł się tylko lekko na łokciu.

Do środka wszedł młody marynarz z telefonem bezprzewodowym.

-

Jest rozmowa do pana.

-

Dziękuję - odrzekł Coffey słabym głosem i wyciągnął rękę po słuchawkę.

Marynarz dał mu telefon i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Coffey opadł na łóżko.

-

Słucham - powiedział do słuchawki.

-

Witaj Lowell, mówi Paul.

-

Cześć Paul - powoli wydukał Coffey.

-

Oho, wygląda na to, że dziś ciągle kogoś budzę - powiedział wesoło Hood.

-Nie spałem - zaprzeczył Coffey. - Staram się jedynie nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Odnosi się to także do moich strun głosowych.

-

Aż tak źle?

-

Jeżeli istnieje istota, będąca przeciwieństwem wodnego dziecka, to zapewne ja nią jestem.

-

Rozumiem - rzekł Hood zatroskanym głosem.

-

Co się dzieje? - spytał Coffey.

-

Twoje okręty są obserwowane - poinformował go Hood.

Coffey otworzył szeroko oczy i przeturlał się na bok, nie zważając na zbuntowany żołądek.

-

Kto je obserwuje? I w jaki sposób?

-

Chiński satelita - oznajmił Hood prawnikowi. - Czasowo korzysta z niego Korea Północna. Chyba już wiemy, kto prowadzi tę obserwację, choć jeszcze nie wiadomo, na czyje zamówienie. Bob już się tym zajął.

-

To wcale nie musi być tak - powiedział Coffey. - Może to planowe rozpoznanie. Jestem pewien, że Korea Północna rutynowo monitoruje wszelką aktywność sił zbrojnych innych państw w tym rejonie.

-

To prawda, ale dotychczas w waszym sektorze nie było żadnych ruchów sił zbrojnych - stwierdził Hood. - Niemożliwe, aby zainteresowali się tym obszarem bez przyczyny.

-

Przyczyną może być to, że zostaliśmy zauważeni, podsłuchani lub zdradzeni - podsunął Coffey.

-

Jeśli już o tym mowa, nie można niczego wykluczyć - odrzekł Hood. -

Masz jakieś nowe informacje?

-

Jelbart i Loh wciąż usiłują odnaleźć statek, który jako ostatni zatapiał

odpady. Jak dotąd wiemy tylko, że dokonano tego niezgodnie z przyjętymi zasadami.

-

Jak to?

-

Statki korzystające ze składowiska muszą zgłosić plan rejsu w Międzynarodowym

Komitecie Nadzoru Nuklearnego - wyjaśnił Coffey. -

Major Loh połączyła się z wojskową bazą lotniczą Paya Lebar i poprosiła, aby dwa samoloty F-5 Tiger II sprawdziły zgłoszoną trasę. Odrzutowce nie znalazły żadnego statku. Jelbart poinformował MKNN i poprosił o pomoc, ale na próżno.

-

Wciąż nie rozumiem?

-

Mniej więcej połowa statków w drodze na składowisko, a więc z ładunkiem substancji promieniotwórczych, jest poddawana wrywkowej kontroli - powiedział Coffey. - Kontrolerzy wchodzi na pokład i sprawdzają, czy nie ma wycieków radioaktywnych, czy nie naruszono zasad bezpieczeństwa, czy statek posiada wszystkie zezwolenia i certyfikaty. Jednak żadne kontrole nie są prowadzone na statkach, które opuściły składowisko.

-

A więc nie sprawdza się, czy pozbyły się ładunku.

-

Otóż to.

-

To idiotyczne - stwierdził Hood.

-

Zgadzam się. Chorąży Jelbart i major Loh są również tego samego zdania - powiedział Coffey. - Problem w tym, że utrzymywanie floty jest kosztowne. MKNN finansowane jest z subwencji ONZ-etu oraz grup ochrony środowiska. Trzecim wpływem są opłaty za wykorzystanie składowisk.

Dysponuje więc około piętnastoma milionami dolarów rocznie i to musi wystarczyć na nadzór nad światowym transportem wszelkich substancji promieniotwórczych, nie tylko odpadów nuklearnych.

-

Ma tylko tyle? - Hood zdziwił się.

-

Tak, nie licząc łapówek.

-

To znaczy, że wyjątkowo mało uwagi poświęcamy zabezpieczeniu materiałów rozszczepialnych - powiedział z niesmakiem Hood.

-

To prawda, Paul. Jednak szczerze mówiąc, ci, którzy przemycają tego rodzaju towar, nadal będą to robić, bez względu na środki zaangażowane przez MKNN - oświadczył Coffey.

-

Ale to nie oznacza, że mamy im to ułatwiać - zauważył Hood. - Nie wiedzielibyśmy o tym incydencie, gdyby nie atak piratów.

-

Nie wszystko jest tak idealnie uporządkowane jak prawo i finanse - rzucił

Coffey.

-

Zabawne, że właśnie ty to mówisz. Zastanawiałem się nad naszą robotą i doszedłem do wniosku, że należałoby ją nieco udoskonalić. Żyjemy w nowoczesnym świecie. Możemy z kosmosu wyśledzić człowieka, znając kod jego telefonu komórkowego. Tym bardziej niewybaczalnym błędem jest stracenie z oczu statku i ładunku odpadów radioaktywnych.

-

To się tylko tak wydaje - zaproponował Coffey. - Jako student odbywałem praktykę u adwokata, specjalisty do spraw kryminalnych. Towarzyszyłem mu w rozmowach z klientami w więzieniach. Gdy sprawca już siedzi, łatwo jest wymyślić, co należało wcześniej zrobić, by uratować jego ofiary. Ludzie, z którymi mamy obecnie do czynienia, przemytnicy i terroryści, to kompletni socjopaci. Jak z nimi walczyć? Jak powstrzymać kogoś od zatrucia botuliną pieniędzy w bankomacie? Jak ustrzec się przed wariatem, który wnosi na pokład samolotu szklaną butelkę po wodzie napełnioną kwasem?

-

To trudne, przyznaję- powiedział Hood. - Ale musimy zdać sobie sprawę, że w tym przypadku liczba ofiar może iść w setki tysięcy.

-

Nie chodzi o liczby - odrzekł Coffey. - Przyglądałem się kiedyś pracy negocjatorów, którzy próbowali wyrwać z rąk porywaczy zakładników.

Dla nich każda uratowana osoba to cały świat. A wracając do środków, problem nie w tym, jak je rozdzielić. Największy problem tkwi w nas samych. Jesteśmy obciążeni czymś w rodzaju odruchu sumienia.

-

To znaczy?

-

Jesteśmy cywilizowani - stwierdził ze smutkiem Coffey. - Niech to szlag, j jestem tak bardzo cywilizowany, że nie mogę nawet wypłynąć w morze, żeby nie czuć żołądka w gardle. Tych, których ścigamy, nie dręczą tego typu ułomności.

-

Masz rację. Uważam tak samo - powiedział Hood. - Jeśli chcemy pozostać cywilizowani, musimy znaleźć sposób na odróżnianie sojuszników od wrogów.

-

Dokładnie o to chodzi - potwierdził Coffey. - Tylko jak ich odróżnić?

-

Temu właśnie Centrum musi poświęcić o wiele więcej uwagi. Musimy poprawić skuteczność agencji i działań profilaktycznych.

-

Chodzi ci o podglądanie i szpiegowanie sąsiadów - stwierdził Coffey. -

W ten sposób sami staniemy się socjopatami.

-

Wierzę, że nasza cywilizowana natura nie dopuści do tego - powiedział

Hood.

-

Płonne nadzieje - odparł Coffey. - Zdobędziesz w ten sposób jedynie wygodniejszą pozycję do obserwacji walki i zniszczenia.

-

Nie chciałem tego mówić, ale gadasz jak Bob - zauważył Hood.

-

Bo jestem sfrustrowany - wyjaśnił Coffey.

-

Nie powinieneś ulegać takim nastrojom - orzekł Hood. - Na razie.

Zawiadomię cię, kiedy dowiem się czegoś od Boba.

-

Dobrze. Wiesz, może to przez te nudności jestem taki marudny. Postaram się wykrzesać z siebie nieco więcej optymizmu.

-

To pewno się przyda.

Prawnik rozłączył się. Przez chwilę czuł się tak, jak niegdyś na rozprawie, gdy usłyszał ostateczny argument świadczący o niewinności podsądnego, a wiedział, że klient jest winny. Teoretycznie rozpierała go duma, ale praktycznie czuł się dość podle.

Coffey usiadł, tym razem bardzo powoli. Teraz czuł się odrobinę lepiej, co wskazywało, że jego choroba morska ma podłoże psychologiczne. Gdy nie zwracał na nią uwagi, niemal ustępowała.

Szkoda, że wszystkie nasze problemy nie znikają, kiedy je ignorujemy, pomyślał

Coffey.

Ostrożnie wstał z łóżka i otworzył drzwi, za którymi stał marynarz. Coffey podziękował mu i oddał telefon, po czym ruszył w ślad za nim na pomost. Trzymał

się lewej strony, dzięki czemu podczas przechyłu okrętu po prostu opierał się ramieniem o ścianę, sunąc do przodu.

Im więcej myślał o sprawie, tym wyraźniej dostrzegał gnębiący go problem.

Coffey został zatrudniony w Centrum Szybkiego Reagowania, aby pilnować przestrzegania prawa,

nie dopuścić, by organizacja stała się nieobliczalna - jak FBI za czasów J. Edgara Hoovera. Jednak mimo protestów wiedział, że Hood ma rację. Trzeba robić dużo więcej, aby zapewnić bezpieczeństwo uczciwym ludziom i całym narodom. Pieczę nad bezpieczeństwem sprawowały właśnie takie organizacje jak Centrum. Bob Herbert porównał kiedyś tę działalność do wysiłków poganiacza bydła, który próbuje zatrzymać rozpędzoną lokomotywę. Centrum dysponowało odpowiednimi środkami, by być skuteczne. Pracowali w nim ludzie tacy jak Darrell McCaskey, Mike Rodgers i Bob Herbert, łącząc doświadczenia policji, wojska i wywiadu. Byli też prawdziwi geniusze do spraw technicznych, jak Matt Stoll, oraz wyśmienita psycholog, Liz Gordon. Do dyspozycji mieli ekspertów do telekomunikacji, zawodowych polityków oraz fachowców od zwiadu satelitarnego.

Coffey znał się na prawie międzynarodowym, a Paul Hood zręcznie kierował całością.

O ile Hood chciał zaprowadzić ład i porządek, o tyle Coffey wręcz kurczowo trzymał się litery prawa. W kodeksach nie ma jednak odpowiedzi na wszystkie pytania, czasem trzeba ich szukać w ludziach. A on wiedział, że ten zespół

tworzą dobrzy ludzie.

Hood miał rację, mówiąc, że ich zasady moralne nie pozwolą im na nadużycia. Myśl ta napełniła Coffeya dumą, a duma podniosła go na duchu.

Zapowiadała się zacięta walka. Ale było coś ważniejszego od walki.

Coś, o czym nie potrafili zapomnieć.

Walka ta wcale nie była pozbawiona nadziei.

ROZDZIAŁ 28

Nad Oceanem Spokojnym, Sobota, 02.22

Zaskoczenie bywa przyjemne, ale może być bardzo niebezpieczne, -i Bez względu na to, czy jesteśmy agresorem, czy ofiarą- stan zaskoczenia trwa krótko oraz wywołuje gwałtowne i ukierunkowane reakcje.

Umiejętnie wykorzystane zaskoczenie to jedna z najdoskonalszych metod operacyjnych, stosowanych przez wywiad. Nawet samo niebezpieczeństwo zaskoczenia spełnia pozytywną rolę. Agent, który

wie, że za drzwiami bądź za rogiem, a nawet po drugiej stronie linii telefonicznej czai się coś groźnego, ma wyostrzone zmysły i wzmożoną uwagę. Brak przygotowania na zaskoczenie może kosztować życie.

Bob Herbert przekonał się o tym w Bejrucie. Od tamtej pory potrafił

błyskawicznie przestawić się na pracę na najwyższych obrotach.

Umiejętność przyspieszania od zera do setki stanowiła jedną z najcenniejszych zalet agenta Boba Herberta. Nie musiał wiedzieć, która jest godzina, ani gdzie się znajduje. Ważne było tylko sprecyzowanie celu działania. Kiedy Bob znał cel, nic nie mogło mu przeszkodzić w akcji - ani zmęczenie, ani niewygody, ani nawet dzikie namiętności. Herbert uważał, że gdyby nie pracował w wywiadzie, byłby wybitnym szachistą.

Matt Stoll zdobył dla Herberta numer domowego telefonu pułkownika Hwana. Nie musiał się nawet włamywać do spisu zastrzeżonych abonentów w Korei Południowej.

Numer był podany w notatce wywiadowczej, dołączonej do raportu z 1999 roku.

Raport sporządził zespół doradców do spraw Korei Północnej dla przewodniczącego Izby Reprezentantów.

- Od dawna wiem, że zanim się zacznie grzebać w cudzych śmieciach, najpierw należy przeszukać nasze rządowe bazy danych - stwierdził Stoll.

Gdyby okazało się, że numer jest błędny, Stoll obiecał podjąć dalsze poszukiwania.

Herbert wolałby od razu mieć pewność, ale z drugiej strony zależało mu na czasie. W Bejrucie ucierpiał od wybuchu konwencjonalnej bomby. Gdyby tamci terroryści dysponowali bronią jądrową, nie byłoby go wśród żywych. Podobnie jak tysiący innych osób.

Czekając na numer, uruchomił swój komputer zintegrowany z wózkiem inwalidzkim.

Podłączył telefon do specjalnego gniazdka i znalazł się w bezpiecznej sieci telekomunikacyjnej samolotu. Zainstalował program automatycznej transkrypcji, by utworzyć dokument rozmowy. Ponadto przećwiczył najbardziej monotony sposób mówienia, na jaki potrafił się zdobyć. Nie wiedział, jakiej narodowości był

człowiek, rozmawiający wcześniej z pułkownikiem Hwanem, dlatego wolał, aby jego głos był możliwie neutralny. Starał się rozkładać akcenty nie według następujących po sobie samogłosek i spółgłosek, lecz tak, by wynikały z tonu i tempa wypowiedzi. Im głębszy i bardziej monotony głos, tym trudniej go zidentyfikować.

Herbert wybrał numer pułkownika Hwana. Po kilku dzwonekach ktoś odebrał telefon.

Hwan - rozległ się wysoki, nosowy męski głos. Między podniesieniem słuchawki a zgłoszeniem minęła dłuższa chwila, co mogło oznaczać, że rozmówca musiał przyjąć wygodną pozycję w łóżku, by odebrać telefon.

-

Potrzebujemy więcej danych - odezwał się Herbert głosem przypominającym bas wiolonczeli. Miał zamiar utrzymać rozmowę w trzeciej osobie liczby pojedynczej, by usłyszeć jak najwięcej imion i nazwisk.

-

Ja już śpię - powiedział Hwan.

-

Musimy mieć je natychmiast - naciskał Herbert.

-

To niemożliwe - odparł Hwan. - A w ogóle kto mówi? Ty nie jesteś Marcus.

-

Marcus zachorował. Wie pan, jak tu jest.

Hwan milczał.

-

Za długo pracował nad tym cholernym projektem, podobnie jak my wszyscy -
dodał Herbert.

Hwan nadal nie chwycił przynęty. Może nie wiedział, o jaki projekt tu chodzi.

-

Nazywam się Alexander Court i zastępuję Marcusa - powiedział Herbert.

Court był autorem książki, którą Herbert widział w sektorze załogi.

Spodobało mu się to nazwisko. W sam raz na pseudonim. - No to jak będzie, panie pułkowniku? Możemy jeszcze raz liczyć na pomoc z pańskiej strony?

-

Panie Alexandrze, proszę przypomnieć panu Hawke, że umawialiśmy się na jeden rzut okiem. - Hwan

wykręcał się. - Tym razem nie dam rady zrobić nic więcej. Proszę mnie nie naciskać, panie Court, bo poskarżę się przełożonemu Hawke'a.

-

Może powinien pan porozmawiać z szefem - podsunął Herbert. - Hawke zamienił nasze życie w koszmar.

-

To niech pan sam się poskarży - odparł Hwan.

-

Nie będzie chciał ze mną rozmawiać - narzekał Herbert, próbując wyciągnąć od Hwana nazwisko szefa.

-

Ze mną pewnie też by nie chciał, o ile w ogóle złapałbym z nim jakiś kontakt - powiedział Hwan. - Dobranoc, panie Court.

-

Panie pułkowniku, czy zmieniłby pan swoją decyzję, gdyby szef zadzwonił do pana osobiście?

-

To zależy, co miałby do zaoferowania - odrzekł Hwan. - Gdyby był gotów odstąpić jedną ze swoich sióstr, mógłbym się zastanowić - dodał ze śmiechem Koreańczyk.

-

A którą? - spytał Herbert.

-

Niech sam wybierze - rzucił Hwan.

Połączenie zostało przerwane. Herbert przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu.

Czuł się wyczerpany. Nie udało mu się wyciągnąć wszystkiego, na co liczył, ale zdobył jakieś informacje. Marcus - dość niezwykle imię. Hawke - to pewnie nazwisko. Hwan mówił o nim per „pan”, więc można było wnioskować, że nie chodzi o pseudonim. Wszyscy pracują dla tajemniczego, trudno dostępnego osobnika, który ma co najmniej dwie siostry. Prawdopodobnie młode i bogate.

Odłączył telefon i wszedł do Internetu. Przesłał zapis rozmowy Hoodowi i Coffeyowi, a potem

wpisał w wyszukiwarkę słowa „Marcus”, „Hawke” i „siostry”.

Słowa te pojawiały się dość często, ale w żaden sposób się nie łączyły. Program wskazał internetową księgarnię Nigela Hawke' a, biografię Marka Aureliusza i powieść Zaginione siostry. Poza tym trafił na strony sportowe, dotyczące drużyny piłkarskiej z Zatoki Hawke'a, tenisistek sióstr Williams oraz bejsbolisty Marcusa Fowlera.

- Za wiele sobie obiecywałem, liczyłem na szczęśliwy traf-mruknął pod nosem.

Sprawdził oddzielnie słowa „Marcus” i „Hawke”. Otrzymał ponad cztery tysiące odnośników dla każdego z nich, zbyt wiele, aby je sprawdzać. Zdecydował się dodać kryterium geograficzne. Wpisywał „Marcus”, „Hawke”, „siostry” z „Malezją”, a potem zamienił Malezję na Koreę Północną, Koreę Północną na Indonezję, Indonezję na Singapur. Nie miał ani jednego trafienia dla żadnej pary wyrazów.

Poszerzył więc geograficzne obszary poszukiwań. Dołączył Australię, a potem Nową Zelandię. Nowa Zelandia dała całkiem nieoczekiwany wynik.

Było to prawdziwe zaskoczenie.

W pozytywnym znaczeniu tego słowa.

ROZDZIAŁ 29

Morze Celebes, Sobota, 00.04

Odkąd „Hosanna” zdążyła pospieszyć na umówione spotkanie, Peter Kannaday nie schodził z pokładu. Uwielbiał, kiedy jego jacht żwawo sunął po falach. Dawało mu to poczucie siły i swobody. Nocą zwykle nie pływał tak szybko, ze względu na ryzyko zderzenia. Jednak z radarem i sonarem, za które zapłacił Darling, ciemności nie stanowiły większego problemu.

Kannaday stał oparty o burtę i z szeroko rozstawionymi nogami popijał kawę z termosu. Na mokrej od potu głowie i szyi czuł zimny powiew wiatru. Kannaday spociał się trochę za sprawą gorącej kawy, trochę zaś z powodu żalu, który go ogarnął. Nie był już kapitanem swego losu, a nawet swego statku. Zawodowy marynarz nie mógł się pogodzić z poczuciem, że dryfuje na mieliznę.

Albo z poczuciem strachu. Bo rzeczywiście zaczął się bać.

Spędził na morzu całe życie. Wiedział, że pod wodą rozpościera się tajemnicza głębia. Akceptował to bez zastrzeżeń, dopóki pozostawał na powierzchni. Teraz jednak zaczynał dostrzegać, jak wielkiej

części świata w ogóle nie dostrzegał.

Niektóre rzeczy były całkiem prozaiczne, na przykład gorąca kawa w termosie, inne okazywały się groźne.

Na przykład ostrze ukryte w womerze, promieniowanie wewnątrz metalowej osłony albo sam Jervis Darling.

Ludzie ukrywali też swe intencje, zwłaszcza ci, którzy z nim pracowali, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Kapitan nie spał prawie od czterdziestu godzin. Mimo zmęczenia w dalszym ciągu nie miał zamiaru się położyć. Najpierw musiał dokończyć robotę. Nie chciał

pozwolić sobie na wypoczynek do momentu dostarczenia towaru odbiorcy i powiadomienia o tym Darlinga. Gdyby jacht miał natknąć się na jeden z tych okrętów wojennych z obszaru sto trzydzieści i pięć, wolał być w pobliżu, gotów do rozmów.

Jednak ważniejszy był drugi powód, trzymający Kannadaya na pokładzie. Ważniejszy i bardziej osobisty. Chodziło o Johna Hawke'a i jego ekipę. Być może zmęczenie wpływało do pewnego stopnia na jego percepcję, ale mógłby przysiąc, że przez ostatnich kilka godzin zostały jasno określone rola i zakres działania obu mężczyzn. Ochroniarzami i pomieszczeniami pod pokładem rządził Hawke, a górnym pokładem i marynarzami Kannaday. Kabina radiowa stanowiła obszar neutralny. Nikt za wiele nie mówił. Wystarczały spojrzenia, gesty, postawa oraz miejsca, do których jedni chodzili, a inni nie. Byli z nimi spojeni niczym wodorosty przyłączone do skały.

Kannaday podejrzewał, że duży wpływ na tę sytuację miało napięcie panujące między nim a Hawkiem. Nie sądził, aby Hawke rozpowiadał o ich konflikcie. Być może jednak ludzie czegoś się dowiedzieli albo coś wyczuli. Marynarz, który nie potrafi wyczuć zmiany kierunku wiatru albo zauważyć różnicy głębokości przechyłów pokładu, ma małe szanse na długie życie.

Niewątpliwie część napięcia była spowodowana przewożonym ładunkiem. Wydarzenia ostatnich dwóch dni pokazały, jak potrafi być on niebezpieczny. Kannaday odwiedził kiedyś laboratorium, aby przyjrzeć się procesowi wzbogacania materiałów rozszczepialnych. Czarne, połyskujące pręty uranowe, zużyte w reaktorach, były jednym z najbardziej niebezpiecznych materiałów na świecie.

Piękne, groźne, a zarazem dziwnie wrażliwe -jak grzechotnik albo pająk zwany czarną wdową. Człowieka, który się z nimi zetknie, czekała bardzo nieprzyjemna śmierć. Kannaday czytał o chorobie popromiennej, zanim przyjął tę pracę. Krótkie zetknięcie się z niską dawką promieniowania, od pięćdziesięciu do dwustu radów, wywoływało bóle głowy. Otrzymanie w tym samym czasie dawki pięciuset radów powodowało bóle głowy, mdłości, uczucie zmęczenia i wypadanie włosów. Dawki powyżej tysiąca radów wywoływały wymioty, biegunkę oraz uczucie wycieńczenia.

Dochodziło do rozpadu komórek w tkankach, a w ciągu trzydziestu dni następowała bardzo bolesna śmierć.

Naukowcy przetwarzający w laboratorium ostatnią dostawę nosili, rzecz jasna, kombinezony ochronne. A rad, uwolniony na skutek wybuchu, uleciał na zewnątrz z dymem pożaru. Pracownicy laboratorium zapewnili Kannadaya, że członkowie jego załogi otrzymali dawki dużo mniejsze niż pięćdziesiąt radów. Ludzie wzięli prysznic, splukując z siebie wszystko, co ewentualnie osiadło na ich ciałach.

Nie zanotowano ani jednego przypadku zachorowania.

A jednak zawsze istniało ryzyko katastrofy. Charakter zagrożenia powodował wzmożony lęk wśród załogi. Przeciwno temu wrogowi nie było obrony. Był niewidzialny, a kiedy wyrwał się spod kontroli, nie dawał się powstrzymać.

Kannaday pociągnął kolejny łyk kawy. A więc, skoro ładunek był śmiertelnie niebezpieczny, czemu to nie jego się bał, lecz Darlinga, spytał sam siebie. I Hawke'a. Obaj są tylko ludźmi, w dodatku jeden daleko stąd. No i na pewno nie są nietykalni.

Wręcz przeciwnie, każdy z nich musiał mieć jakiś słaby punkt. Obaj byli pewni, że mają nad nimi przewagę. A on nauczył się na morzu, że niczego nie można być pewnym. Niewielka burza morze zmienić się w nawałnicę. Pod gładką powierzchnią oceanu może czyhać przeogromna siła, zdolna zrodzić trzydziestometrowe fale.

Zbytńia pewność siebie osłabia instynkt samozachowawczy.

Kannaday mógł to wykorzystać. Zastosować jakąś tajną broń, która byłaby skuteczna wobec Hawke'a, a także, jeśli okaże się to konieczne, wobec samego Darlinga.

Musiał się nad tym zastanowić. Teraz jednak należało zająć się pracą. Marcus zasygnalizował przez radiotelefon, że właśnie otrzymał wiadomość od bin Omara.

Malezyjski statek znajdował się w odległości dwudziestu dwóch mil na północny zachód i do spotkania z „Hosanną” miało dojść w ciągu godziny. Kannaday skontaktował się z laboratorium. Właśnie kończyli wzbogacanie, mieli być gotowi na czas. Kannaday podziękował im i zszedł pod pokład. Chciał osobiście poinformować o tym Hawke'a.

Być może kofeina zaczęła działać, w każdym razie Kannaday poczuł nagły przypływ odwagi. Pomysł przejścia do kontrataku dodał mu animuszu, uczynił go silniejszym. Przeżył już to wcześniej, kiedy stał samotnie naprzeciwko Marcusa i Hawke'a w kabinie radiowej.

A może silniejszym uczyniły go wydarzenia ostatnich dni. Może czegoś się nauczył. Po wielu latach spędzonych na morzu Kannaday sądził, że już wie, co to znaczy być w pełni człowiekiem. Myślał, że chodzi o gotowość do podejmowania trudnych wyzwań i stawiania czoła żywiołowi, umiejętność przetrwania na morzu i mistrzostwo sztuki żeglarskiej. Trud kształtuje mężczyznę, niebezpieczeństwo czyni z niego człowieka.

Myśląc o tym intensywnie, zaczynał dostrzegać, jak bardzo się mylił. Bycie człowiekiem oznaczało gotowość do postępowania wbrew sobie, wyłamania się z kanonów i konwencji. W jego przypadku miało to oznaczać kontratak z wykorzystaniem umysłu, a nie mięśni.

Trud faktycznie kształtuje mężczyznę, ale to wiedza, którą zdobywa, sprawia, że staje się on człowiekiem.

Ponadto Kannaday zdał sobie sprawę, że im głębiej człowiek skrywa swą wiedzę, tym bardziej staje się niebezpieczny.

ROZDZIAŁ 30

Waszyngton, Piątek, 10.07

Paul Hood kończył właśnie telefoniczną rozmowę z Mikiem Rodgersem, kiedy zadzwonił Bob Herbert.

Generał wracał ze śniadania z senatorem Danem Debenportem z Karoliny Południowej. Należący do grona seniorów deputowany miał objąć w Kongresie przewodnictwo komisji do spraw kontroli wywiadu. Stanowisko to zwalniała senator Barbara Fox. Hood zęgnął ją bez żalu. Pani Fox nie potrafiła zrozumieć, że szybkie reagowanie nie może przebiegać zgodnie ze sztywno wytyczonymi zasadami.

Centrum nierzadko nie otrzymywało błogosławieństwa komisji dla swych działań.

Bob Herbert wymyślił nawet własne określenie dla stosunków między komisją a Centrum. Nazywał je „tłumieniem inteligencji”. Hood żądał elastyczności, dla Fox najważniejsze było ścisłe wypełnianie obowiązków. Te dwie rzeczy nie szły ze sobą w parze.

Debenport należał kiedyś do „zielonych beretów” i odbył dwie tury w Wietnamie.

Dlatego Hood posłał Rodgersa, żeby z nim pogadał. Miał nadzieję, że dwaj starzy żołnierze znajdą wspólny język. Mogło to mieć pozytywne skutki nie tylko dla Centrum, ale także dla samego Hooda. Nawet bez pani senator Fox użeranie się z komisją zabierało mu zbyt wiele czasu.

Z rozmowy wynikało, że senator Debenport gotów jest zapewnić Centrum spory margines swobody w związku z rodzajem prowadzonej działalności, jednak z pewnym istotnym zastrzeżeniem.

-

Dostaniemy wolną rękę, bo senator nie chce, aby Stany Zjednoczone wplątywały się w sytuacje kryzysowe, których można było uniknąć - informował

Rodgers. - Jednak w zamian za to żąda bliskiej współpracy.

Zależy mu na swobodnym przepływie informacji między nim, Centrum, FBI, CIA i NSA.

-

Obawiam się, że ten układ nie będzie dla nas korzystny - powiedział Hood, nie kryjąc niezadowolenia.

-

Masz na myśli dodatkową biurokrację?

-

Owszem, a także to, że pan senator będzie mógł wpływać na przebieg operacji - wyjaśnił Hood. - Da nam trochę więcej swobody, ale jak mu się coś nie spodoba, to nas zablokuje. Czasem nawet nieumyślnie. Może być bardzo zajęty w momencie, gdy plan akcji dotrze na jego biurko.

Wówczas wstrzyma operację aż do chwili, kiedy będzie miał czas się z nim zapoznać.

-

Mamy autonomię.

-

Dopóki senator nie zmieni zdania - odparł Hood.

-

To prawda - przyznał Rodgers. - Ale zawsze będę mógł się z nim dogadać. Mamy wspólnych znajomych, kolegów, podobne przeżycia.

Łączy nas o wiele więcej niż z panią senator Fox.

-

Trudno zaprzeczyć - zgodził się Hood.

Wtedy właśnie zadzwonił Herbert. Hood natychmiast odebrał telefon. Nie mógł

przełączyć rozmowy na konferencję z Rodgersem, bo generał nie korzystał z bezpiecznej linii, ale połączył się z Lowellem Coffeyem. Prawnik znajdował się na pomoście australijskiej korwety.

-

Dobra, Bob, co dla nas masz? - spytał Hood.

-

Odbyłem krótką rozmowę z pułkownikiem Hwanem - odrzekł Herbert.

-

Dostałem zapis i przekazałem go odpowiedniej ekipie. Dobra robota -
pochwycił Hood.

-

Dzięki. Sam też sprawdziłem parę rzeczy. Z zapisu wiecie, że w rozmowie padło nazwisko Hawke, prawdopodobnie z „e” na końcu. Ponad to imię Marcus. Nie znalazłem między nimi żadnych powiązań. Potem jednak pułkownik wspomniał coś o szefie oraz o tym, że ma ochotę na jedną z jego siostr. Co prawda pułkownik nie jest żonaty, ale raczej nie sędzę, aby chodziło o kobietę. Dowiedziałem się, że na wschód od Nowej Zelandii jest archipelag znany jako Wyspy Chatham. Na północ od nich znajduje się grupa wysp, zwanych Siostrami.

-

Słyszałem o nich - potwierdził Coffey. - W związku z prawami tubylców oraz ochroną drzewiastych paproci na największej z wysp. Zapytam Jelbarta, co on wie na ich temat.

Kiedy Coffey odszedł od telefonu, Herbert zachichotał.

-

A ja myślałem, że prawo jest nudne - powiedział. - Nie zdawałem sobie sprawy, że obejmuje także pasjonujący problem paproci drzewiastych.

-

Walka to walka, nieważne o co - stwierdził Hood.

-

Właśnie.

-

Czy to wszystko, co udało ci się wyciągnąć od pułkownika? - spytał Hood.

-

Tak jest - potwierdził Herbert. - Próbowałem go przycisnąć, ale wydaje mi się, że on nie chce poświęcać tym ludziom dużo czasu i wysiłku.

-

Co z tego wynika?

-

Że robi to dla pieniędzy, a nie dla sprawy - wyjaśnił Herbert.

-

A więc pułkownik Hwan dostaje dołę, ale rząd koreański nie jest zamieszany w sprawę.

-

Świetnie to ująłeś.

Coffey znów przyłączył się do rozmowy.

-

Panowie, albo oddalmy się od celu, albo zdecydujemy się wleźć na minę wielką jak stodoła - powiedział prawnik.

-

Sam już nie wiem, co będzie lepsze - wtrącił Herbert.

-

Jelbart powiedział, że właścicielem kilku wysp w grupie Sióstr jest nie kto inny, jak sam Jervis Darling.

-

Ten magnat w świecie mediów? - spytał Herbert.

-

We własnej osobie - potwierdził Coffey. - Jelbart właśnie dzwoni do Darwin, żeby jeszcze coś sprawdzić.

-

Niepotrzebnie - stwierdził Herbert. - Ja już to zrobiłem.

-

Czegoś tu nie rozumiem - powiedział zaniepokojony Hood.

-

Właśnie sprawdziłem w Internecie. Darling ma bratanek o imieniu Marcus - wyjaśnił Herbert.

-

Wolne żarty, panowie - obruszył się Hood. - Dlaczego ktoś taki jak Darling, z jego miliardami i imperium medialnym, miałby się w coś takiego mieszać?

-

Z nudów? - podsunął Herbert.

-

Nie chce mi się w to wierzyć.

-

Jak się nazywa właściciel statku, który rzekomo zatopił odpady na składowisku sto trzydzieści i pięć? - spytał Herbert.

-

Mahathir bin Dahman, malezyjski miliarder - przypomniał Hood.

-

Jeszcze jeden miliarder - zauważył Herbert.

-

Zajmuje się wszystkim, od utylizacji odpadów po handel nieruchomościami - poinformował Hood.

-To pachnie czymś w rodzaju „spisku grubych ryb”, jak mawiają w CIA.

-

Rozwiniesz temat?

-

U podstaw tej teorii leży teza, że ważni ludzie z kręgów wojskowych i przemysłu zbrojeniowego byli zamieszani w zabójstwo Johna F. Kennedy'ego -

oświadczył

Herbert. - Chcieli przyspieszyć zaangażowanie

się Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, co miało wpłynąć na wzrost zakupów sprzętu i wyposażenia wojskowego. Ponieważ Kennedy nie zmieniał kursu, zjednoczyli się i wyłączyli go z gry. Tak przynajmniej mówi ta teoria.

-

A więc mamy prawdopodobnie do czynienia ze spiskiem grubych ryb, związanym z przemysłem materiałów rozszczepialnych - podsumował Hood.

-

To możliwe - zgodził się Herbert. - Zgodnie z założeniami spisku ludziom takim jak Dahman i Darling przeszkadza skomplikowany demokratyczny proces decyzyjny. Dochodzą więc do wniosku, że to oni powinni mieć władzę. A więc starają się ją przejąć wszelkimi możliwymi sposobami, między innymi poprzez zawieranie strategicznych sojuszy.

Jeżeli mamy tu do czynienia z unią, pozostaje tylko odpowiedzieć na pytanie, kto był jej inicjatorem.

-

To wciąż tylko przypuszczenia - odezwał się Coffey. - Cały czas snujesz domysły, które dotyczą znamienitych osobistości o nieskazitelnej reputacji.

-

Punkt dla ciebie - rzekł Herbert.

-

Co proszę?

-

Oni właśnie liczą na takie reakcje, bo to stawia ich poza wszelkim podejrzeniem - wyjaśnił Herbert. - Paul, powiedz Liz Gordon, żeby sporządziła sylwetki tych gości. Założę się, że dojdzie do takiego samego wniosku jak ja.

-

Nawet jeśli tak się stanie, to wciąż będą to tylko przypuszczenia. -

Coffey nie dawał za wygraną.

-

Może i tak, ale nie jesteśmy w sądzie - przypomniał mu szef wywiadu. -

Jeżeli chcemy odnaleźć zaginione odpady promieniotwórcze, musimy poczynić kilka teoretycznych założeń.

-

Bob, zgadzam się, że powinniśmy pójść tym tropem - odezwał się Hood. - Jednocześnie sądzę, że powinniśmy zacieśnić szeregi. Załóżmy, że Bob ma rację. Jesteś na miejscu. Co możesz zasugerować, Lowell?

-

Na wstępie muszę powiedzieć, że nie wyobrażam sobie, aby australijski rząd wykonał jakiś ruch przeciwko Darlingowi bez przekonujących dowodów - stwierdził Coffey. - Jeszcze raz podkreślam: przekonujących.

-

Właśnie na to liczy Darling - zauważył Herbert.

-

O ile rzeczywiście maczał w tym palce - przypomniał mu Coffey.

-

Wiecie co, panowie, a może by tak go o to zapytać? - zaproponował

Herbert.

-

Tak po prostu? - zdziwił się Coffey.

-

W przypadku pułkownika Hwana się udało.

-

Darling to nie Hwan - stwierdził Coffey. - Mój ojciec zna kilku bonzów z Hollywood. Oni sami nie załatwiają żadnych spraw, o których decydują.

Robią to za nich figuranci. Rzesza figurantów.

-

Figuranci spełniają rolę ochronną tylko wówczas, gdy usiłujesz się przez nich przebić - wyjaśnił Herbert. - A ja spróbuję ich ominąć.

-

Zanim to zrobisz, lepiej zbierzmy trochę prawdziwej amunicji - powiedział

Coffey.

-

Na przykład? - spytał Herbert.

-

Zastanawiam się, czy istnieją jakieś dokumenty, potwierdzające związek Darlinga z Dahmanem.

-

Przypuszczalnie nie ma nic takiego - stwierdził Hood. - Ale może być coś innego, coś co mam możliwość sprawdzić. Niewykluczone że chodzi o spisek grubych ryb, jak sugeruje Bob. Ale może Darling po prostu wpadł w kłopoty finansowe, z których próbuje się wydobyć. W trakcie naszej rozmowy przejrzałem ostatnie notowania giełdowe. Kompanie medialne nie stoją wcale tak dobrze, jakby się wydawało, a on ma w nich sporo udziałów.

-

Brzmi sensownie - stwierdził z uznaniem Coffey. - Przynajmniej jest jakiś punkt zaczepienia.

-

Lowell, może mógłbyś tymczasem poprosić swoich nowych przyjaciół

o pomoc w pewnej sprawie - powiedział Hood. - Chodzi mi o typy jednostek pływających, które są w posiadaniu Darlinga. Przydałyby się też miejsca ich przebywania oraz spis jego rozmów telefonicznych.

-

Wolałbym się z tym nie wyrywać - zaproponował Coffey.

-

A to dlaczego? - Herbert się zdziwił.

-

Bo istnieje całkiem realna możliwość, że takie węszenie może zaalarmować ludzi sympatyzujących z Darlingiem albo nawet znajdujących się na jego liście płac - wyjaśnił Coffey.

- I co z tego?

-

Daj spokój, Bob, Lowell ma rację- przyznał Hood. - Nie chcemy przecież, by przez nasze działania schował się za plecami swoich figurantów.

Lowell, czy możesz pogadać o tym z Jelbartem lub Ellsworthem, ale po cichu, bez petard i fajerwerków?

-

Z Jelbartem na pewno tak - odrzekł Coffey.

-

A co z Dahmanem, Bob? - spytał Hood. - Czy mamy jakieś kontakty w Malezji?

-

Nie bardzo - zaprzeczył Herbert. - Trzeba by o to zapytać koleżankę Lowella, major Loh.

-

Mogę spróbować - powiedział Coffey. - Wydaje mi się, że można jej zaufać. Nie wiem jednak, czy powinniśmy pracować na dwa fronty, bo to oznacza podwójne ryzyko przecieków.

-

Chyba trudno będzie ich uniknąć - zafrasował się Herbert. - Ten kij ma dwa końce.

-

To prawda - przyznał Hood. - Jak dotkniesz jednego końca, drugi też się poruszy. Zgadzam się z Lowellem. Powinniśmy skoncentrować się na źródłach australijskich.

-

Paul, może jednak król odpadów Dahman jest łatwiejszy do rozpracowania -
upierał się Herbert.

-

Nawet jeśli go na czymś przyłapiemy, Darling zyska czas na zdobycie alibi i takie zaaranżowanie

sytuacji, aby wyjść z opresji bez szwanku -

powiedział Hood. - Potencjalnie on jest dużo groźniejszy. Prowadzi liczne interesy na Zachodzie. Prawdopodobnie w wielu miejscach na świecie nie podlega nawet kontroli celnej.

-

To dość częste w przypadku miliarderów korzystających z prywatnych odrzutowców - dodał Coffey.

-

Jeśli Darling skumał się z diabłem, to faktycznie mamy się czego bać - powiedział Hood. - Dahmanem zajmiemy się później, o ile istotnie okaże się podejrzany. Lowell, pogadaj z Jelbartem i wracaj tu do nas.

-

Robi się.

-

Bob, możesz chwilkę poczekać? - spytał Hood. - Muszę z tobą o czymś pogadać.

-

Jasne - odrzekł Herbert.

Kiedy Coffey się rozłączył, Hood nacisnął przycisk wyciszenia. Wolał, aby Herbert pomyślał, że przez chwilę załatwia jakieś inne sprawy. W rzeczywistości chciał zyskać trochę czasu, by zastanowić się, co powiedzieć. Herbert bardzo źle reagował, gdy to nie on miał ostatnie słowo w dyskusji.

Hood ponownie nacisnął wyciszenie.

-

Już jestem - zgłosił się.

-

Co się stało, czyżbym za głośno trąbił o tym, co uważam za ważne? -

spytał Herbert.

-

Nie, skądże - zaprzeczył Hood. - Wprost przeciwnie. Kiedy coś jest ważne, nie należy się wycofywać.

-

Szefie, dla mnie wszystko jest ważne - powiedział Herbert.

-

Wiem o tym - odrzekł Hood. - Ale Lowell wyprowadzał cię z równowagi.

Dałem mu się wygadać, a teraz chcę się dowiedzieć, co ty o tym wszystkim myślisz.

-

Wkurzył mnie, bo jest lewicującym snobem. Tylko że tym razem może mieć rację. Nie jestem pewien, czy słusznie upieram się, by zacząć od Dahmana.

-

A ja nie jestem pewien, czy przypadkiem to nie ty masz rację. Może byś pojechał do Malezji i trochę tam powęszył? - zaproponował Hood.

-

Szczerze mówiąc, ten pomysł cholernie mi się podoba. Zgodziłbym się, gdyby nie to, że czas nas goni - powiedział Herbert. - Jednak ponieważ nie mam nic na poparcie swojej tezy, nie wiem, czy byłaby to najlepsza metoda wykorzystania mojego czasu. W każdym razie dziękuję za kontrpropozycję. Sądziłeś, że ją przyjmę?

-

Nie byłem pewien - odparł Hood. - Dopuszczałem taką możliwość.

-

Ze względu na moją niespokojną duszę południowca?

-

Coś w tym rodzaju.

-

No cóż, jeśli o to chodzi, to chyba się nie pomyliłeś - przyznał Herbert.

-

Zostałem szpiegiem, bo chciałem być kimś takim jak Peter Gunn.

Pamiętasz go? Prywatny detektyw z telewizyjnego serialu.

-

Niespecjalnie - odrzekł Hood. - Ja byłem wielbicielem Gunsmoke i Bonanzy.

-

Preferowałeś działania grupowe - stwierdził Herbert.

-

Nie zastanawiałem się nad tym, ale to możliwe - przyznał Hood. -

Marzyła mi się taka Ponderosa.

-

Gunn był samotnikiem - przypomniał Herbert. - Nigdy nie zapominał

języka w gębie, bez względu na to, czy rozmawiał z opryskiem, z gliniarzem czy z kobietą. Zawsze miał w zanadrzu najinteligentniejszą, najbardziej błyskotliwą ripostę. Był twardy. Nieraz zbierał cięgi, ale sam też potrafił przyłożyć. No i zawsze wygrywał. Dlatego chciałem być taki jak on.

-Ale...

-

Ale historię mojego życia pisze inny pisarz - stwierdził Herbert. -

Zorientowałem się, że istnieje ogromna różnica między fikcją a rzeczywistością.

Między nami, szpiegami, mówiąc, nie wydobyłem z pułkownika Hwana tyle informacji, ile zamierzałem.

-

Wyciągnąłeś od niego tyle, ile trzeba.

-

Prawie - zgodził się Herbert. - Kiedy coś takiego mi się przytrafia, następnym razem mam ochotę naciskać zbyt mocno. Dzięki, że mnie przyhamowałeś.

-

Sam się przyhamowałeś - powiedział Hood.

-

Mylisz się, ale niech ci będzie - odrzekł Herbert.

Szef wywiadu rozłączył się. Hood oparł się w fotelu. To było zabawne. Nigdy by nie pomyślał, że Herbert wstąpił do CIA, żeby upodobnić się do telewizyjnego bohatera. Nasunęło mu się pytanie, czy takie sprawy nie powinny być odnotowane w teczkach personalnych. Był poruszony i cieszył się, że ta rozmowa się odbyła.

Nie tylko ze względu na Herberta, ale i na niego samego. Zdarzało się bowiem, że Hood też miał wątpliwości odnośnie do podjętych decyzji. Brało się to stąd, że nie miał tak wąskiej specjalizacji jak Herbert, Coffey czy Rodgers. Bywało jednak i tak, jak w owej chwili, że był absolutnie pewny słuszności swojego postępowania. Przypomniawszy sobie, co mawiała pod koniec życia matka jego matki.

Babcia April była krawcową. Nauczyła się fachu w Phoenix, w czasach, kiedy Arizona wciąż jeszcze miała status terytorium zależnego* [Arizona została czterdziestym ósmym stanem USA dopiero 14 lutego 1912 roku (przyp. tłum.)].

Kiedy rodzina przeniosła się do Los Angeles, babcia zatrudniła się w wytwórni filmowej. Pewnego razu Hood poszedł wraz z nią do studia i przyglądał się, jak szyła suknię balową do filmu. W pewnej chwili poprosiła o skrawek szarego materiału. Jedenastoletni wnuczek spytał, do czego jej potrzebny tak nudny i nijaki kolor.

-

Czasem czerwień i błękit nie współgrają ze sobą i trzeba wstawić między nie jakąś neutralną barwę - odpowiedziała babcia.

Nie myliła się. Dlatego Hood miał teraz tak dobre samopoczucie. Po prostu zasada ta sprawdzała się także w stosunku do ludzi.

ROZDZIAŁ 31

Morze Celebes, Sobota, 00.36

Coffey poprosił chorążego Jelbarta o rozmowę w cztery oczy. Jelbart zgodził się i zaprowadził go do biura dowódcy. Kabina była ciasna, przypominała schowek z upchniętym biurkiem i krzesłem, ale przynajmniej miała drzwi. Coffey zamknął je za sobą. Żaden z nich nie usiadł.

Jelbart widział, że prawnik rozmawiał z Centrum. Jednak nie słyszał ani słowa, bo Coffey mówił cicho i jego głos zagłuszały normalne rozmowy na pomoście i komunikaty radiowe. Nie licząc silników dudniących w maszynowni.

Choraży był zdumiony, kiedy Amerykanin podzielił się z nim nowinami. Nie kwestionował wprawdzie samych informacji, ale nie zgadzał się z konkluzją.

-

Panie Coffey, dlaczego ktoś zajmujący tak wysoką pozycję jak Salty mieszałby się w tego rodzaju czarnorynkowe afery? - spytał.

-

Jak pan powiedział? Salty? - zainteresował się Coffey.

-

Tak. To przezwisko. Pochodzi od gatunku krokodyla - wyjaśnił Jelbart. -

Muszę przyznać, że pasuje do Darlinga jak ulał.

-

Ciekawe - zauważył Coffey. - Krokodyle nie mają specjalnych preferencji, jeśli chodzi o dobór ofiar. Rzucają się na wszystko.

-

Wiem, do czego pan dąży, ale nie zgadzam się - zaproponował Jelbart. -

Jestem przekonany, że byłyby bardziej wybredne, gdyby dysponowały miliardami dolarów, układając swoje menu.

-

Być może.

-

Daruje pan, panie Coffey, ale czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co pan mówi? - spytał Jelbart.

-

Jak najbardziej. W związku z tym wróćmy do pierwszego pańskiego pytania. Zakładając, że informacja jest prawdziwa, dlaczego człowiek taki jak Darling mógłby zajmować się takimi rzeczami?

-

Nie mam pojęcia. - Jelbart potrząsnął głową.

-

Niech pan się dobrze zastanowi - naciskał Coffey.

-

Może nuda? Próba sił? - zastanawiał się Jelbart. - Bóg raczy wiedzieć.

Ma tak ogromną władzę, pieniądze i wpływy, że chyba niczego mu nie brakuje.

-

Czyjego potęgą opiera się na solidnych podstawach? - spytał Coffey.

-

Zdecydowanie tak - odparł Jelbart. - Dla wielu zwykłych obywateli Jervis Darling uosabia prawdziwie australijskiego ducha. Bo udowodnił, że każdy może stworzyć imperium. Wszyscy politycy zabiegają o jego poparcie i chcą się z nim sfotografować.

-

A co z jego życiem prywatnym?

-

Gazety zajmujące się gospodarką nie przepadają za nim, ale w rubrykach towarzyskich pozostaje bożyszczem - powiedział Jelbart. - Wszędzie jeździ ze swoją nastoletnią córką. Pokazuje się wyłącznie w towarzystwie znanych aktorek albo szanowanych matron, związanych z polityką.

Żadnych modelek czy kociaków.

-

Co się stało z panią Darling?

-

Dorothy Darling zginęła przed czterema laty w wypadku na lotni -

poinformował Jelbart. - Być może zainteresuje pana to, że Jervisowi Darlingowi nigdy nie postawiono żadnych zarzutów. I nie ma z tym nic wspólnego fakt, że z jego pieniędzy żyje cała armia

firm prawniczych.

-

Panie chorąży, niech pan będzie szczery. Czy on rzucił na pana jakiś urok? - spytał Coffey.

-

Nie. Ale podziwiam w nim te cechy, które doceniają moi rodacy.

-

Co chce pan przez to powiedzieć?

-

Szlachetność zobowiązuje.

Coffey wzruszył ramionami.

-

Wiem, że to może dziwnie brzmi dla was, Amerykanów, ale Darling to człowiek, który ma klasę, a jednocześnie jest hojny i życzliwy - ciągnął

Jelbart. - Dzięki temu ma święty spokój. Jest powszechnie lubiany.

Przywodzi na myśl Walta Disneya lub Tomasza Edisona. Zaczął od mało popularnego czasopisma archeologicznego, które przekształcił w atrakcyjne medium dla wielkich reklamodawców. Z zysków zbudował swą posiadłość, założył bank, zainwestował w rozwój Internetu. Stał się bohaterem narodowym. Ludzie nie dadzą o nim powiedzieć złego słowa.

-

Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie możemy się do niego dostać? -

spytał Coffey. - Albo że pan nie ma zamiaru w tym uczestniczyć?

-

Nie wiem - powiedział Jelbart, wzdychając. - Dowody są niezbyt przekonujące.

-

Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Coffey. - Ale wiemy, że zaginęła substancja promieniotwórcza. Nie wiemy natomiast, gdzie się znajduje.

Czy mamy czekać z założonymi rękami, aż ktoś zdetonuje brudną bombę?

-

Tego nie powiedziałem - zastrzegł Jelbart.

-

Po prostu nie chce pan mieszać w to Jervisa Darlinga.

-

Właśnie, nie chcę go w to mieszać.

-

My też tego nie chcemy - przytaknął Coffey. - Przynajmniej nie na tym etapie, a być może w ogóle, jeżeli informacja okaże się nieprawdziwa.

-

Obawiam się, że trudno nam będzie ją weryfikować. Martwię się także tym, co się stanie, kiedy okaże się ona prawdziwa.

-

Nie rozumiem pana. - Coffey zdziwił się. - Jeżeli zarzuty wobec Darlinga okażą się zasadne, to resztą powinien chyba zająć się wymiar sprawiedliwości.

-

Wówczas nawet solidne dowody mogą nie wystarczyć, aby się do niego dostać - zauważył Jelbart. - obrońcy mogą podważać prawdziwość i dopuszczalność dowodów, o czym zapewne pan wie.

-

Naturalnie.

-

Nawet jeżeli się to uda, upadek Darlinga wstrząśnie nie tylko jego imperium - powiedział Jelbart. - Jego inwestycje i działalność mają zasięg światowy.

Coffey milczał. Jelbart pokręcił głową.

-

Pomijając to wszystko, będę musiał poinformować o dochodzeniu Commodora Atlana, dowódcę lotnictwa obrony wybrzeża. On prawdopodobnie przekaże tę informację ministerstwu obrony. Darling będzie bardzo trudnym celem do namierzenia, ponadto trudno będzie całą sprawę utrzymać w

tajemnicy.

-

Czy potrzebuje pan pozwolenia Atlana, by zapoznać się z danymi na temat przemytu materiałów radioaktywnych? - spytał Coffey.

-

Obecnie mam pełnomocnictwa do prowadzenia dochodzenia w sprawie sampana, którego szczątki zostały wyrzucone na australijski brzeg -

odrzekł Jelbart. - A ta sprawa dotyczy zaginięcia substancji promieniotwórczej na wodach międzynarodowych. Muszę złożyć raport. Wówczas dowódca lotnictwa obrony wybrzeża oceni płynące stąd zagrożenie dla Australii i podejmie decyzję, czy będzie przeciwdziałać temu zagrożeniu.

Paradoksalnie, jeżeli okaże się, że siedzi w tym Darling, trudno będzie przekonać sztabowców, że kraj jest w niebezpieczeństwie. On zawsze był uznawany za patriotę.

-

Być może Australia rzeczywiście nie jest zagrożona - zgodził się Coffey. -

Ale co z Japonią, Tajwanem albo Stanami Zjednoczonymi?

-

Woli pan szczerą odpowiedź czy zgodną ze swoimi oczekiwaniami?

-

Proszę o szczerą - powiedział Coffey.

-

Otoczają nas kraje, którym obca jest nasza kultura Zachodu, które boją się naszych swobód obywatelskich, a zarazem zazdroszczą nam bogactwa -

oznajmił Jelbart. Dlatego w tym rejonie świata musimy poruszać się bardzo ostrożnie. Nasi sąsiedzi tylko czekają na okazję, aby przedstawić nas swoim obywatelom w jak najgorszym świetle. Dlatego staramy się trzymać z dala od spraw, które nas bezpośrednio nie dotyczą. Nie jestem tchórzem, panie Coffey...

-

Nigdy nic takiego nie powiedziałem. Ani nie sugerowałem.

-

Prosił pan o szczerą - odrzekł Jelbart. - Stanąłbym do walki z samym diabłem, gdyby swym szpiczastym ogonem zawadził o Złote Wybrzeże.

Na razie jednak wiemy tylko to, że malezyjski statek powinien, a nie zostawił na składowisku odpadów radioaktywnych; że w sprawę odpadów przypadkowo wmieszał się singapurski sampan oraz że oficer armii północnokoreańskiej przygląda się naszej ekipie. Wasz wywiad, opierając się na krótkiej rozmowie z owym oficerem, sugeruje, że w sprawę może być, podkreślam, może być zaangażowany obywatel australijski. Panie Coffey, to się nie trzyma kupy.

-

I wcale nie musi, w końcu nie piszemy powieści - stwierdził Coffey. -

Prowadzimy śledztwo w sprawie przestępstwa, więc powinniśmy sprawdzać wszelkie uzasadnione podejrzenia.

-

Otóż to, uzasadnione - zauważył Jelbart. - Ja nie widzę tu żadnego uzasadnienia. Nie mam zamiaru nadawać biegu sprawie na podstawie jakichś niesprawdzonych teorii. Imię Marcus może nie jest zbyt popularne, ale Marcus Darling nie jest jedynym człowiekiem, który je nosi.

Jervis Darling nie jest jedynym posiadaczem ziemskim na archipelagu Sióstr, nie jest nawet największym inwestorem w tym rejonie.

-

Już te dwa ślady, zestawione ze sobą, tworzą uzasadnione podejrzenie -

zauważył delikatnie Coffey.

-

Nie mamy odcisków palców ani nagrań magnetofonowych, a więc nie mamy uzasadnionych podejrzeń. Dysponujemy jedynie spekulacjami - Jelbart odrzekł lekceważąco.

-

W porządku, niech pan to nazwie spekulacją, przypuszczeniem, nawet mało prawdopodobnym domysłem, co tam panu przyjdzie do głowy - uniósł się Coffey. - Bez względu na to, co pan sądzi, Centrum sprawdzi interesy Darlinga. Czy będzie pan w tym uczestniczył? A może woli pan, abym zadał panu to pytanie później, kiedy już znajdziemy jakieś mocniejsze dowody? Tylko że wówczas będzie pan musiał wyjaśnić swoim przełożonym, dlaczego wcześniej nie zainteresował się pan

przemycem materiałów promieniotwórczych.

-

Panie Coffey, nie obchodzi mnie budowanie własnego wizerunku -

odparł Jelbart. - Natomiast nie znoszę bezsensownego działania. Po prostu nie mam czasu na takie zabawy. Jeżeli chce pan, abym pomógł panu w śledztwie przeciwko Darlingowi, niech mi pan poda choć jeden motyw, uzasadniający udział kogoś takiego w przemyśle odpadów promieniotwórczych.

-Może chce wysadzić w powietrze jedną ze swoich fabryk, aby zyskać międzynarodową sławę -
podsunął Coffey. - Albo ma zamiar rozwalić zakłady jakiegoś konkurenta, by pozbyć się go z rynku.

-

Mógłby pan wymyślić coś bardziej sensownego - mruknął Jelbart.

-

Pyta pan o motyw. - Coffey ze złością wzruszył ramionami. - Jestem adwokatem, a nie teoretykiem. Ale jedno mogę panu powiedzieć. Jeżeli to pan się myli, przyjdzie panu zapłacić bardzo wysoką cenę. Czy jest pan na to przygotowany?

Jelbart słyszał nad głową szmer wentylatora. Powietrze w ciasnym pomieszczeniu miało metaliczny zapach, prawdopodobnie z powodu bardzo wysokiej wilgotności, o której świadczyły kropelki, perlące mu się nad górną wargą.

-

Domyślam się, że porozmawia pan z major Loh i poinformuje ją o drugim podejrzanym Malezyjczyku - powiedział Jelbart.

-

Jeszcze nie - odrzekł Coffey. - Dyrektor Hood uznał, że włączanie w to Singapuru na tak wczesnym etapie nie byłoby uzasadnione.

-

Dlaczego?

-

Proszę pomyśleć o Saltym - odrzekł Coffey. - Nie o człowieku, lecz o krokodylu. Trąca się ogon, a łeb sam może ugryźć!

-

A jeśli będę nalegał na udział major Loh? - spytał Jelbart.

-

Z jakiego powodu?

-

Chodzi o triangulację - wyjaśnił Jelbart. - W wojsku staramy się zawsze mieć trzy punkty odniesienia. A poza tym przyda się nam dodatkowa para oczu. Pan i ja bez wątpienia postrzegamy pewne sprawy zupełnie inaczej.

-

W porządku - zgodził się Coffey. - Skoro pan nalega, nie będziemy się sprzeciwiać.

-

Nalegam - potwierdził Jelbart. - Jeżeli wyrazicie zgodę, skontaktuję się z moimi przełożonymi.

Coffey popatrzył na Australijczyka.

-

Chciałbym pana o coś spytać, panie chorąży. Co panem powoduje, szacunek czy lęk?

-

Ani jedno, ani drugie - odparł Jelbart. - Powiedziałem to, co powiedziałem,

żebyście mieli świadomość, kim jest Darling. A na udział major Loh nalegam dlatego, by chronić australijskie lotnictwo wojskowe oraz własny stołek. Powiem panu szczerze, że postąpiłbym tak samo w przypadku, gdyby podejrzanym był kuchcik z okrętowego kambuza. Wierzę w sprawiedliwość i prawo do prywatności, panie Coffey.

-

Podobnie jak ja-przyznał prawnik. - Jednak ten świat jest pełen niebezpieczeństw, panie chorąży. Uważam też, że ludzie mają prawo do tego, by ich życie nie było wypełnione lękiem; w tym konkretnym przypadku, lękiem przed napromieniowaniem.

-

Zgadzam się z panem, panie Coffey. Zamierza pan skontaktować się z Centrum przed czy po rozmowie z major Loh?

-

Po - odrzekł Coffey. - Prośba o pozwolenie jest mniej istotna niż zdobycie informacji.

Jelbart nie wiedział, czy była to aluzja, czy zwykła szczerłość.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Jelbart usunął się na bok, aby je otworzyć. Za nimi stał radiotelegrafista Eddie Albright z radiotelefonem.

-

Major Loh - powiedział.

Jelbart podziękował mu, wziął radiotelefon i rzucił do Coffeya:

-

To się nazywa strzał w dziesiątkę.

Następnie włączył nadawanie i zgłosił się:

-

Mówi Jelbart.

-

Panie chorąży, nasze patrole przybrzeżne meldują, że nie odnalazły malezyjskiego statku z obszaru sto trzydzieści i pięć - powiedział kobiecy głos.

- Ich zdaniem trop jest już całkiem zimny.

-

Nic dziwnego. Mieli dużą przewagę czasową i wyszli na szerokie wody - powiedział Jelbart. - Pani major, chcielibyśmy wraz z panem Coffeyem porozmawiać z panią prywatnie. Czy to jest bezpieczna linia?

-

Tak. Czego miałyby dotyczyć rozmowa? - spytała Loh.

-

Pan Coffey ma informację na temat kogoś, kto być może jest zamieszany w sprawę.

-

Chodzi o Jervisa Darlinga?

-

Tak - potwierdził odruchowo Jelbart, zaskoczony tym, co usłyszał. -

Dlaczego wymieniła pani właśnie jego?

-

Interesujemy się nim od chwili, kiedy zabił swoją żonę.

ROZDZIAŁ 32

Morze Celebes, Sobota, 01.00

Malezyjski kuter rybacki powoli podpływał do jachtu. Kannaday przyglądał mu się z pokładu. Kuter miał tylko jedno światło, zawieszone na dziobie. Gdyby ktoś go zauważył lub gdyby trzeba było uciekać, dowódca zakryłby światło i w kompletnych ciemnościach zmienił kurs. Cały czas starał się płynąć tuż za większym jachtem, aby pozostać niewidoczny dla radaru. Jacht również nie był mocno oświetlony.

Miał jedynie małe światełka na dziobie, rufie i śródkręciu, u podstawy grotmasztu.

Kannaday nie spodziewał się żadnych problemów ani ze strony patroli morskich, ani lotniczych. Ekran radaru był pusty. Jedyne kłopot mógł sprawić Hawke.

Kannaday zaplanował sobie dokładnie, jak rozprawić się z szefem ochrony.

Rozważył różne scenariusze. Prawdopodobieństwo, że wypadki potoczą się zgodnie z przewidywaniami, wynosiło dwa do trzech. Lubił tak spekulować.

Mimo to był wciąż spięty. Nigdy dotąd nie musiał sobie radzić z niesubordynacją.

Jego ludzie nie mieli problemów z własnym ego. Dostawali pieniądze za konkretną robotę i wykonywali ją. Co gorsza, w przeciwieństwie do poprzedniej scysji w kabinie, tym razem miało dojść do publicznej konfrontacji. Pod pokładem na szwank został wystawiony jedynie honor kapitana. Na pokładzie stanie pod znakiem zapytania jego zdolność dowodzenia jachtem.

Kannaday stał przy relingu. Widział, jak podpływająca jednostka zatrzymuje się w odległości piętnastu metrów od jachtu. Ani kuter, ani jacht nie rzuciły kotwicy.

Obaj dowódcy woleli zachować mobilność. Czterej ochroniarze wyszli spod pokładu

„Hosanny”. Każdy z nich niósł małą beczułkę. Za nimi szedł Hawke, aby dopilnować załadunku do jednej z dwóch motorówek. Po załadowaniu cennego towaru łódź miała zostać spuszczone na wodę. „Hosanna” nie zabierała niczego w zamian.

Bezpośrednie uiszczanie należności za towar zastąpiono innymi formami płatności.

Kannaday nie wiedział, jakimi, ale domyślał się, że chodzi o przelewy na konta w zamorskich bankach.

Kannaday podszedł do ochroniarzy i rzekł głośno:

-

Panie Hawke, chciałbym, aby im pan towarzyszył.

-

Zawsze tak robię - odparł Hawke.

-

Nie naszym ludziom, lecz Malezyjczykom - wyjaśnił Kannaday.

Hawke stanął naprzeciwko kapitana. Za plecami miał światło, więc Kannaday nie widział wyrazu jego twarzy.

-

Dlaczego niby miałbym to zrobić? - spytał Hawke.

-

Zapewni pan bezpieczeństwo towaru, aby szef mógł być spokojny - powiedział

Kannaday.

- Czy to jego rozkaz?

-

Ja pana o to proszę - odrzekł Kannaday. Miał nadzieję, że Hawke prędzej zastosuje się do prośby niż do rozkazu. Ponadto nie wyjawiał w ten sposób, czy był to pomysł Darlinga. Hawke nie odważyłby się zadzwonić i zapytać, bo świadczyłoby to o jego buntowniczym nastawieniu. Wiedział, że Darling nie byłby tym zachwycony.

Nieważne, jak i kiedy, ważne, by Hawke znalazł się w motorówce. Kannaday mógłby wówczas zanotować swój rozkaz w dzienniku okrętowym, pokazując tym samym Darlingowi, że wciąż

pozostaje dowódcą jachtu.

Hawke milczał. Bez wątpienia rozważał te same możliwości, o których myślał

Kannaday.

-

A jeżeli odmówię? - spytał, robiąc krok w kierunku Kannadaya. Jego zimne spojrzenie wyrażało całkowitą determinację.

-

Z jakiego powodu?

-

Moje miejsce jest tu, na jachcie - odparł Hawke.

-

Pańskie miejsce jest tam, gdzie zdecyduje kapitan - stwierdził Kannaday. -

Kręcą się tu patrole. Dobrze pan o tym wie. Mogą szukać nas lub tych, z którymi mamy się spotkać. A może woli pan, bym połączył się z szefem przez radio i powiedział mu, że nie widzi pan potrzeby pilnowania towaru?

-

Poślę do ochrony kilku moich ludzi - odparł Hawke. - Nie będą nam w tej chwili potrzebni.

-

Oni nie mają tak wysokich kwalifikacji jak ich szef.

-

To, co potrafią, wystarczy w zupełności - powiedział z naciskiem Hawke, po czym odwrócił się i odszedł.

-

A więc chce pan, abym połączył się z szefem i poinformował go, że pan się boi? - spytał Kannaday głośno, tak by słyszała go reszta załogi.

Hawke nawet się nie odwrócił.

-

Proszę bardzo, niech pan tak zrobi.

-

Panie Hawke, albo uda się pan na kuter, albo zejdzie pod pokład - rozkazał

Kannaday.

-

Mam swoje obowiązki na pokładzie - odparł Hawke.

-

Pańska praca właśnie się skończyła - powiedział Kannaday.

-

Nieprawda. Skończy się dopiero z chwilą powrotu do przystani - odciął się Hawke, wciąż patrząc przed siebie.

Kannaday poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Hawke przy świadkach zignorował jego rozkazy. Nadwątlił też jego autorytet w oczach Malezyjczyków, którzy przez gogle noktowizyjne przyglądali się całej sytuacji z pokładu kutra.

Na pewno opowiedzą szefowi, co się stało, a ten powiadomi Darlinga. Dotknięty do żywego Kannaday przestał kontrolować sytuację. Przymknął na moment oczy, a kiedy je otworzył, pojawił się w nich dziwny blask. Poczuł uderzenie gorąca i mrowienie w mięśniach. Wydawało mu się, że za chwilę straci resztki godności dowódcy, a nie chciał do tego dopuścić. Przewidział co prawda, że Hawke może odmówić wykonania rozkazu, ale nie wyobrażał sobie, że tak to odczuje.

W zaistniałej sytuacji mógł zrobić tylko jedno.

Bez wahania złapał Hawke'a za ramiona i zacisnął palce wokół mięśni. Następnie cofnął się gwałtownie, pociągając za sobą Hawke'a. Jednocześnie obrócił się i pochylił, powodując, że szef ochrony z hukiem rozciągnął się jak długi na pokładzie. Leżąc na plecach napadnięty wyciągnął womerę i nastawił ją ostrzem do góry. Kannaday zamierzał przygnieść ofiarę do pokładu i stłuc do nieprzytomności, ale widząc womerę, musiał się cofnąć. Nie chciał, by Hawke wykorzystał okazję i zabił go w obronie własnej.

Hawke szybko stanął na nogi.

-

Ty sukinsynu! Nikt nie ma prawa mnie dotykać! Nikt!

Dzieliły ich nie więcej niż trzy metry. Hawke ruszył do przodu, trzymając ostrze na wysokości pasa. Kapitan stał twardo na lekko kołyszącym się pokładzie, rozstawiwszy szeroko nogi, z rękami opuszczonymi po bokach.

Patrzył na Hawke'a, który właśnie wychodził z cienia. Nie mógł się już cofnąć.

-

No, spróbuj jeszcze raz, durniu! - prowokował Hawke.

-

Uspokój się, Hawke! Nie wykonałeś mojego rozkazu.

-

Za cienki jesteś, żeby mi rozkazywać!

-

A więc pozbaw mnie dowództwa.

Motorówka była załadowana, ale nikt nie spuścił jej na wodę. Ludzie stali i przyglądali się kłótni między kapitanem a szefem ochrony.

-

Ułatwię ci to - powiedział Kannaday. Zrobił krok do przodu, złapał

womerę i przystawił sobie ostrze do serca. - Pchnij!

Hawke spojrzał na kapitana. Kannaday nie wiedział, jak zachowa się przeciwnik.

Czubek ostrza przebił materiał koszuli i zagłębił się w ciało. Kannaday zdawał

sobie sprawę, że nie wolno mu się cofnąć na oczach wszystkich, zwłaszcza po tym, jak sprowokował Hawke'a.

Hawke przestał naciskać, ale nie wyciągnął ostrza z piersi Kannadaya. Stał wbity w ciało powodowała nieznośny, tępy ból, przypominający skurcz mięśni, ale kapitan starał się nie okazywać cierpienia.

-

Nie biorę udziału w przedstawieniu - powiedział Hawke. - Nasi klienci znajdują się pod opieką szefa ochrony kutra. Ja zostałem zatrudniony do ochrony tego jachtu.

-

Skoro tak, pańskie zadanie dobiegło końca - stwierdził Kannaday. -

Proszę zejść pod pokład.

Hawke nie ruszył się. Kapitan zdał sobie sprawę, że musi jakoś przerwać ten impas. Zrobił krok w tył. Ostrze wysliznęło się z rany. Nie zważając na krwawienie pod koszulą, Kannaday zwrócił się do ludzi na rufie:

-

Panie Neville, proszę przekazać ładunek na kuter.

Neville miał kierować motorówką. Należał do ludzi Kannadaya.

-

Tak jest, sir - odpowiedział marynarz.

Załoga zaczęła opuszczać motorówkę na wodę. Kannaday podszedł do relingu i przyglądał się, jak mała łódź dotknęła gładkiej powierzchni morza. Po aluminiowym trapie zeszło do niej czterech ludzi. Neville włączył mały reflektor, zamontowany na dziobie. Chwilę później motorówka odbiła od jachtu i popłynęła w kierunku kutra.

Kannaday odwrócił się, by zakończyć awanturę z Hawkiem. Wściekłość już mu przeszła, ale wciąż odczuwał gniew. Nie wiedział, co powiedzieć, na szczęście nie musiał się nad tym zastanawiać. John Hawke zniknął z pokładu, a wraz z nim jego ludzie.

Kannaday ruszył w stronę grotmasztu. Niedbałym ruchem wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i, wsunawszy ją pod koszulę, przycisnął do rany. Krwawienie nie było wielkie. Wystarczyłby bandaż. Kapitan zdecydował, że zajmie się tym, kiedy zejdzie pod pokład. Życzyłby sobie, aby na tym zakończyły się jego kłopoty z Johnem Hawkiem.

Był wyczerpany, ale nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Kiedy motorówka wróci, czeka ich powrotny rejs do Cairns. Podróż potrwa prawie cztery godziny.

Hawke zapewne wykorzysta ten czas, żeby się na nim odegrać. Szef ochrony nie puści płazem publicznej obelgi. To osłabiłoby jego autorytet wśród podwładnych, a także pozbawiłoby szacunku dla samego siebie. Kannaday uświadamiał to sobie aż za dobrze. Wiele by dał, by móc uniknąć zemsty.

Nagle na pokładzie pojawił się radiooperator i ruszył szybkim krokiem w stronę kapitana. Było to bardzo dziwne, ponieważ nikt nigdy nie widział, aby młody Darling dokądkolwiek się spieszył. Musiało to być naprawdę coś ważnego.

-

O co chodzi? - spytał Marcus, z trudem łapiąc oddech.

-

To ja się pytam, o co chodzi? - rzucił Kannaday.

-

Hawke powiedział, że chce mnie pan widzieć - wyjaśnił Marcus. -

Dodał, że to pilne.

Kannaday znowu poczuł się, jakby ktoś zdzielił go po głowie. Zadowolenie wyparowało jak poranna mgielka znad powierzchni morza. Spojrzał na młodego człowieka i zaklął.

Wiedząc, że jest już prawdopodobnie za późno, Kannaday minął Marcusa Darlinga i puścił się biegiem pod pokład. Hawke'owi chodziło o dostęp do radia. Cokolwiek chciał przez to osiągnąć, na pewno nie było to nic dobrego dla Kannadaya.

ROZDZIAŁ 33

Morze Celebes, Sobota, 01.01

Monica Loh nigdy nie czuła się swobodnie, rozmawiając z obcymi. W jej przypadku słowo „obcy” odnosiło się do wszystkich, za wyjątkiem najbliższej rodziny.

Najlepiej sprawdzała się w akcji. Czuła się pewnie w każdej sytuacji wymagającej sprawności fizycznej i umiejętności dowodzenia. Dobrze знаła judo, umiała świetnie posługiwać się bronią palną i potrafiła wydawać stanowcze rozkazy.

Dokładnie tego oczekiwano od oficera singapurskiej armii.

Jednak rozmowa była czymś innym. Major Loh nigdy nie umiała przewidzieć każdego pytania, a nie znosiła mówić „nie wiem”. Uznawała to za oznakę słabości.

Szczególnie nie lubiła rozmawiać z mężczyznami. W takich sytuacjach rzadko chodziło o samą rozmowę. Zwykle czuła, że rozmówcy traktują ją pobłaźliwie, a w najlepszym przypadku zaledwie ją tolerują. Czasem gapili się na jej ciało, nie słuchając tego, co ma do powiedzenia. Zawsze to dostrzegała. Kiedy umysły jej rozmówców pracowały, widać to było jedynie w ich oczach, ciała mężczyzn pozostawały rozluźnione. Natomiast pod wpływem fizycznego pobudzenia ich mięśnie napinały się, a ruchy stawały się bardziej drapieżne.

Na szczęście rozmowa z Jelbartem i Coffeyem na temat Dorothy Darling prowadzona była na odległość i ograniczyła się jedynie do tego, co major wiedziała na jej temat, a wiedziała niezbyt wiele.

Loh opowiedziała im o przyjeździe trzydziestopięcioletniej kobiety do Singapuru w towarzystwie córki Jessiki-Ann. Pewnego ranka odwiedziły słynny ptasi park Jurong dwie godziny przed otwarciem dla zwykłych zwiedzających, a potem wybrały się terenowym wozem w kierunku okolicznych wzgórz. Pani Darling była pilotką i wielką pasjonatką lotnictwa. Zostawiła córkę na pikniku pod opieką swej asystentki, a sama wraz z instruktorem z Cairns pojechała wyżej w góry, na pole wzlotów. W samochodzie mieli dwuosobową motolotnię, która przypominała skuter podwieszony pod normalną lotnię. Był to j eden z wczesnych modeli amatorskiej produkcji, niewyposażony jeszcze w spadochron ratowniczy.

W dalszych słowach Loh opowiedziała im o tym, że lotnia zapaliła się wkrótce po wzbiciu w powietrze. Na oczach Jessiki-Ann buchająca płomieniami maszyna zatoczyła łuk nad wzgórzem i runęła w gęsty las.

-

To musiało wstrząsnąć dziewczynką - zauważył Lowell Coffey.

-

Mała mówiła, że widziała na niebie czerwono-czarnego ptaka - powiedziała Loh. - I dodawała, że kiedy spadał, głośno skrzeczał.

-

Okropność! - mruknął Jelbart.

-

Czy ta informacja pochodzi z oficjalnego raportu z dochodzenia? - spytał

Coffey.

-

Czytałam tylko artykuły w australijskich gazetach, które barwnie opisywały to zajście.

-

To typowe dla lokalnych szmatławców - przyznał Jelbart. - Nie ma sensu czytać i powtarzać tych bzdur.

-

Dowiedziałam się, że konta bankowe pani Darling były pod kontrolą -

powiedziała Loh.

-

Kto je kontrolował? - spytał Coffey.

-

Australijczycy. O sprawie szeroko pisały właśnie te gazety. Pani Darling miała rzekomo romans z instruktorem pilotażu. Prowadzący śledztwo poszukiwali osoby, której zazdrosny mąż mógł zapłacić za uszkodzenie silnika. Gdyby udało im się znaleźć jakikolwiek dowód zbrodni, Darling miałby sprawę o morderstwo.

-

Śledztwo w sprawie morderstwa przyniosło jednak zaskakujące wyniki -

ciągnęła Loh. - Okazało się, że brakuje wielu części silnika i niczego nie można sprawdzić. Nie trafiono też na żaden ślad człowieka, który mógłby być wykonawcą poleceń Darlinga. Wykryto jedynie jego niezwykle aktywność finansową.

-

Czym się ona przejawiała? - spytał Coffey.

-

Darling ulokował ogromne sumy w bankach singapurskich, mimo iż oprocentowanie było w nich niższe niż w Australii - powiedziała Loh. -

W dodatku utrzymywał te pieniądze wyłącznie w postaci płynnych aktywów.

-

O tym też pisali w gazetach? - spytał Coffey.

-Nie.

-

To skąd pani to wie?

-

Spotykałam się przez pewien krótki czas z bankierem. Lubił się przede mną chwalić nazwiskami właścicieli kont, którymi zarządzał.

-

To dlatego znajomość trwała tak krótko - domyślił się Coffey.

Loh nie podjęła tematu, ale Amerykanin miał rację.

-

Ten koleś z banku powiedział pani, że rząd kontroluje konta Darlinga? -

zdziwił się Jelbart.

-

Owszem - odrzekła Loh. - Jednak nie powiedział mi, czy udało się wykryć coś istotnego. O tym mógł zresztą nie wiedzieć.

-

A więc nie orientuje się pani dokładnie, do jakiego stopnia rząd interesował się Darlingiem i co ewentualnie udało się ustalić?

-

Nie - przyznała Loh.

-

Gdyby udało się im połączyć Darlinga ze śmiercią jego żony, nie zostawiliby go w spokoju - powiedział Coffey. - Australia ma umowę ekstradycyjną z Singapurem.

-

Nie sądzę, by był na tyle nieostrożny, żeby zostawić jakikolwiek ślad - zauważył Jelbart.

-

Amerykańscy prezydenci oraz reki światowej finansjery niejednokrotnie pokazali, że ludzie dysponujący ogromną władzą czują się nietykalni - stwierdził

Coffey. - Jedno tylko mnie intryguje, pani major. Dlaczego pani jest pewna, że Darling zamordował swoją żonę?

-

Wszystko wskazuje na to, że jest człowiekiem zaborczym - odparła.

-

Czy każdy zaborczy człowiek jest mordercą? - spytał Coffey.

-

Sądzę, że wielu ludzi byłoby zdolnych popełnić morderstwo, gdyby czuli się bezkarni - odrzekła Loh.

-

Niezupełnie się z tym zgadzam, ale mniejsza o to - powiedział Coffey. -

Pani major, czy ma pani dostęp do rządowych akt, dotyczących Darlinga?

-

Nie jestem pewna - odpowiedziała Loh z rozbrajającą szczerością, po czym dodała: - Ale sprawdzę.

-

Jeśli się uda, proszę sprawdzić, czy nie pojawia się w nich malezyjski miliarder Mahathir bin Dahman. - Coffey przeliterował nazwisko. - Słyszała pani o nim?

-

Także i w tym przypadku tylko tyle, ile pisano w gazetach - odpowiedziała.

- Prowadzi bardzo szerokie interesy na rynku nieruchomości.

-

Jakieś skandale? - spytał Coffey.

-

Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekła pani major. Była to nieco łagodniejsza forma sformułowania „nie wiem”, ale i tak słowa z trudem przeszły jej przez gardło. Nie wiadomo, dlaczego Loh chciała wypaść jak najlepiej w oczach tych dwóch ludzi. Tym bardziej że nie wywierali na niej żadnej presji.

-

W porządku - powiedział Coffey. - Jeśli znajdzie pani cokolwiek i tak będzie to więcej, niż wiemy w chwili obecnej.

-

Czy macie panowie jakieś informacje o tym marynarzu z sampana? - spytała Loh.

-

Według ostatniego meldunku ze szpitala sprzed półtorej godziny, pacjent zachowuje się spokojnie, ale wciąż nic nie mówi.

-

Czy na miejscu jest ktoś, kto zna język malajski na wypadek, gdyby pacjent przemówił?

-

W pokoju stale działa mikrofon interkomu, ponadto koło łóżka stoi magnetofon uruchamiany głosem - poinformował Jelbart. - Wszystko, co powie, zostanie zapisane na taśmie i odtworzone w obecności tłumacza.

Dopilnuję, żeby pani także mogła to usłyszeć.

-

Dziękuję - powiedziała Loh. Musiała przyznać, że jak na mężczyzn, ci dwaj byli całkiem w porządku.

-

Pozostaje pytanie, co będziemy robić, czekając na wieści od pani? - rzucił

Coffey.

-

Czy wolno mi będzie coś zasugerować? - spytała Loh.

-

Proszę bardzo.

-

Jest taka wojskowa zasada: nie czekać, zawsze do przodu.

-

To świetnie wygląda w podręcznikach - stwierdził Coffey.

-

Ale sprawdza się w praktyce - odparowała Loh pewnym głosem i sprawiło jej to wyraźną satysfakcję. - Uważam, że sami powinniśmy spróbować dowiedzieć się czegoś na temat Darlinga.

-

Jestem oficerem straży obrony wybrzeża, a nie szpiegiem - odezwał się Jelbart. Loh wydało się, że chorąży jest zmieszany i trochę niespokojny. -

Obawiam się też, że im więcej Australijczyków dowie się o sprawie, tym więcej sprzeczności narodzi się wokół Darlinga. Wszystko, co zostało powiedziane, to tylko spekulacje, w dodatku niepoparte dowodami.

-

Nasz szpieg numer jeden przybędzie do Australii za kilka godzin -

powiedział Coffey. - On będzie wiedział, co robić.

-

Ja też mogę powiedzieć, co powinniśmy robić - odrzekła Loh.

-

Czyżby? - spytał z powątpiewaniem Coffey.

-

Owszem.

Loh znów wbiła się w dumę, że zna odpowiedź. Zresztą była ona dość oczywista.

-

Nie ma sensu tracić czasu na dalsze penetrowanie obszaru sto trzydzieści i pięć. Trop ostygł.

-

A co w takim razie ma sens? - spytał Coffey.

-

Należy zrobić wszystko, aby Jervis Darling nie zdołał już nikogo więcej zabić.

ROZDZIAŁ 34

Waszyngton, Piątek, 12.31

- Szefie, proszę o zgodę na wpuszczenie do sieci dobrotliwego wirusa systemowego.

W drzwiach stał korpulentny człowiek z opuszczonymi rękami i śmiertelnie surowym wyrazem twarzy. Nazywał się Matt Stoll i był geniuszem komputerowym. Hood nauczył się już, żeby nie traktować poważnie niczego, co powie, za wyjątkiem rad w sytuacjach kryzysowych. Stoll nie był klasycznym typem szalonego naukowca, należał do szalonych naukowców do kwadratu. Nie był po prostu bystry. Był

agresywnie inteligentny. Kierował się nieposkromioną ciekawością przedwcześnie rozwiniętego

bachora, czym budził był postrach w szkole podstawowej.

-

Dobrotliwy wirus? - Hood udał, że bierze jego słowa za dobrą monetę. - Co miałeś na myśli?

-

Coś, co pozwoli użytkownikom największego w kraju telekomu, dostarczającego usługi internetowe, uzyskać prawdziwie nieskrępowany i szybki dostęp do zasobów sieciowych - odrzekł Stoll. - Kiedy otwieram załącznik, wywala mnie z sieci. Kiedy ściągam fotografię, wywala mnie z sieci. Kiedy usiłuję dostać się do jakichś danych, otrzymuję komunikat, że system jest przeciążony.

-

Matt, być może się mylę, ale chyba w większości przypadków korzystamy z sieci rządowej?

-

Nie mylisz się - odpowiedział Stoll charakterystycznym, jednostajnym głosem. - Chodzi mi o mój komputer domowy. Maszyny, których używamy tutaj, mają wystarczająco duży potencjał, by znacznie poprawić dostęp.

-

Chcesz wpuścić go na stałe? - spytał Hood.

-Nie, tylko na godzinę. Zamierzam pokazać tym telekomunikacyjnym nieudacznikom, jakie efekty mogliby uzyskać, gdyby unowocześnili swoje komputery. Poświęcili nieco więcej uwagi klientom zamiast notowaniom giełdowym.

-

Oto moja odpowiedź: nie - powiedział Hood.

Stoll wcale się tym nie przejął.

-

Szefie, oni są jak imperium zła. Mamy prawdziwie kryzysową sytuację, która spełnia wszelkie statutowe kryteria warunkujące reakcję Centrum.

-

Kryteria te określają zarazem procedurę postępowania w przypadku, gdy ktokolwiek, poza dyrektorem naczelnym, jego zastępcami lub osobą pełniącą obowiązki dyrektora, występuje o nadanie projektowi statusu operacyjnego - odparł Hood. - Sporządź raport i przedstaw go

kongresowej komisji do spraw kontroli wywiadu. Jeżeli komisja cię poprze, dostaniesz moje błogosławieństwo.

-

Mógłbym to zrobić, nie mówiąc panu ani słowa - stwierdził Stoll. - Nic by pan o tym nie wiedział, aż do chwili, gdy przeczytałby pan notatkę w biuletynie informacyjnym lub w raportach wywiadu.

-

Co cię powstrzymało? - spytał Hood.

-

Osobnik, którego właśnie rozpracowujemy, niejaki Jervis Darling, jest głównym udziałowcem australijskiej gałęzi naszego telekomu - wyjaśnił

Stoll. - Nie chciałem uruchamiać żadnej akcji wymierzonej w kontrolowany przez niego holding, żeby nie zostawić śladów, prowadzących do mnie lub do Centrum. To mogłoby wzbudzić podejrzenia.

-

Dzięki ci za to - powiedział Hood.

-

Bardzo proszę - odrzekł Stoll.

Informatyk poszedł do siebie. Rozmowa z nim była osobliwa, ale już wcześniej zdarzały się takie przypadki. Mówienie o tym, jakich to szkód mógłby dokonać, stanowiło typowy sposób narzekania Stolla. Był w końcu technikiem i perfekcjonistą. Nieraz skarżył się na sieci, operatorów międzymiastowych i inne nowoczesne systemy. Przypominał w tym Rodgersa, narzekającego na biurokrację w Pentagonie, albo Herberta, który zwykł wygłaszać tyrady, czego to by on nie dokonał, dysponując jedną dziesiątą budżetu CIA lub FBI.

Jednak tym razem Stoll miał sporo racji. Telekomunikacyjny moloch był zwyczajną porażką. Zarabiał pieniądze tylko dlatego, że posiadał strukturę monolitu.

Myśląc o tym dłużej, Paul Hood wkurzyłby się tak samo jak Matt Stoll.

Zadzwonił telefon. To był Coffey.

-

Paul, od czasu naszej ostatniej rozmowy wiele się wydarzyło - powiedział

Coffey i przedstawił Hoodowi treść dyskusji z major Loh. - Rozmawiała z agentami wywiadu z biura

informacji strategicznych przy kancelarii premiera Singapuru -

kontynuował. - Potwierdzili, że Darling i Mahathir bin Dahman prowadzą wspólne interesy. Darling zainwestował w malezyjskie budownictwo, przemysł lotniczy i oczyszczalnie ścieków.

-

Czy istnieją jakieś dokumenty na potwierdzenie tego, co mówisz? - spytał

Hood.

-

To są ogólnie znane fakty - odrzekł Coffey. - Darling wpłaca pieniądze na konta w malezyjskich bankach, a bin Dahman korzysta z nich w miarę potrzeb.

-

Czy znana jest zawartość portfela akcyjnego Darlinga?

-Nie. Specjaliści rządowi twierdzą, że Darling lokuje pieniądze w prywatnych inwestycjach. Wszystko najzupełniej legalnie.

-

Jestem pewien, że są to spore sumy, nieproporcjonalnie duże w porównaniu z innymi inwestorami. Daję głowę, że po każdej inwestycji Darlinga bin Dahman ponosi dotkliwe straty.

-

To prawda - przyznał Coffey.

-

Wygląda więc na to, że bin Dahman wykorzystuje nieruchomości i prywatne firmy, żeby płacić Darlingowi za wyświadczone usługi, na przykład dostarczanie materiałów rozszczepialnych - powiedział Hood.

-

To trzyma się kupy - przyznał Coffey. - A co sądzisz o samym Darlingu?

Tutaj wszyscy mają o nim jak najlepsze zdanie. Jest gigantycznie bogaty. W imię czego miałby ponosić tak wielkie ryzyko?

-

Zastanawiałem się - powiedział Hood. - Może ma to coś wspólnego z tym, o czym mówiłeś przed chwilą? Udało mu się uniknąć odpowiedzialności za morderstwo i dostał wiatru w żagle.

-

Myślisz, że to powtórka z Leopolda i Loeba? - spytał Coffey. - Znużony bogacz nakręca się, planując zamordowanie milionów ludzi?

-

Sam sobie odpowiedziałeś.

-

Tak - zgodził się Coffey. - W rozmowie z Jelbartem uznaliśmy to raczej za próbę przejęcia władzy, ale możesz mieć rację. Nawet nie konsultowałeś się z Liz Gordon. Prosta i zgrabna teoria.

-

Stanowi przynajmniej jakiś punkt wyjścia - stwierdził Hood. - Przy okazji, jakie będzie wasze następne posunięcie?

-

Płyniemy z powrotem do Darwin, gdzie mamy czekać na Boba, a potem chyba przedostaniemy się do Cairns - powiedział Coffey. - Naturalnie naszym głównym podejrzanym będzie Darling.

-

Oczywiście - potwierdził Hood. - A kiedy już go dorwiecie, wyświadczysz mi pewną przysługę.

-

Jasne.

-

Powiedz mu, że jego usługi internetowe są do niczego. To opinia Matta Stolla.

Coffey nie bardzo wiedział, o co chodzi, ale Hood powiedział mu, żeby się tym nie przejmował.

Hood rozłączył się. Miał wrażenie, że bardziej niż zwykle kontroluje rozwój wypadków, a to dlatego, że Coffey, w odróżnieniu od Mike'a Rodgersa czy byłego dowódcy oddziału Striker, pułkownika Bretta Augusta, informował go o każdym, nawet najdrobniejszym posunięciu. Z drugiej strony to właśnie on miał dostęp do różnych źródeł informacji w trzech krajach, których dotyczyło dochodzenie.

Szybkie reagowanie rządziło się swoimi prawami, podobnie jak matematyka: jeden punkt to po prostu punkt i nic więcej, ale już dwa punkty wytyczały prostą, a trzy - całą płaszczyznę, a więc coś, na czym można się oprzeć. W tym przypadku płaszczyznę tworzyły Stany Zjednoczone, Australia i Singapur.

Było coś jeszcze, co ułatwiało Hoodowi zadanie. Jervis Darling, mimo przyklejania mu różnych łątek, w głębi duszy był człowiekiem interesu. Być może dość pokreconym, jednak wciąż pozostawał biznesowym potentatem. W

przeciwieństwie do zbrodniczych generałów i megalomańskich polityków, z którymi zwykle miało do czynienia Centrum, Hood doskonale znał ten gatunek ludzi.

Potrafił postawić się na ich miejscu i próbować przewidzieć, jakie decyzje podjęliby w danej sytuacji.

Jednak z oddali nadciągała burza, której Paul Hood nie był w stanie przewidzieć.

Burza tak gwałtowna, że ani Centrum, ani jego sojusznicy nie będą w stanie nad nią zapanować. Jeżeli można by ją do czegoś porównać, to chyba tylko do cyrku.

Kiedyś Bob Herbert powiedział komisji kontroli wywiadu, że kryzys przypomina wielkie przedstawienie cyrkowe.

-

Nie wolno skupiać się na schwyтaniu mistrza ceremonii, nie zwracając uwagi na pozostałych wykonawców - tłumaczył Herbert. - Kiedy będziemy stali stłoczeni na trybunach, szarżujące słonie i pędzące wózki kłownów runą przed nami i zgniotą nas na miazgę.

Hood wiedział jedno. Jeżeli Darling faktycznie jest zamieszany w tę historię, to jedyna nadzieja tkwi w tym, że wie, gdzie i do kogo trafiają dostarczane przez niego materiały rozszczepialne. W przeciwnym razie trybuny spłyną krwią.

ROZDZIAŁ 35

Morze Celebes, Sobota, 14.02

Idąc do kabiny radiowej, Peter Kannaday nie wiedział, czego się spodziewać.

Nie miał pojęcia, z kim Hawke chce się połączyć. Z Darlingiem? Z malezyjskim kutrem? Z kimś innym? Umysł zaczął podsuwać mu jakieś niestworzone historie.

Może Hawke spiskuje z piratami, którzy płyną w ślad za „Hosanną”? A może wzywa samolot, który ma zabrać z pokładu jego albo Kannadaya.

Zaledwie jednak zbiegł po schodni, przekonał się, jak bardzo się mylił. Hawke nawet nie wszedł do kabiny radiowej. Wraz z kilkoma swoimi zbirami czekał na niego w korytarzu. Dwaj z nich złapali kapitana za ręce, trzeci zaszedł go od tyłu, przystawił mu nóż do szyi i wbił kolano w plecy, by się nie ruszał.

Czwarty wcisnął mu w usta brudną szmatę. Kannaday poczuł smak ropy. Potem obrócili go w stronę korytarza. Stał tam Hawke.

Szef ochrony wyszedł z półmroku. Ręce miał opuszczone po bokach i jak zwykle trudno było doszukać się w jego postawie jakiegokolwiek wyrazu. Wyjątek stanowiły oczy, groźne jak dwa wulkany tryskające lawą.

Kannaday szarpał się przez chwilę, po czym znieruchomiał. Nie czuł lęku, mimo iż dobrze wiedział, co niebawem nastąpi. Miał zginąć. Był zrezygnowany, ale nie chciał tego okazywać.

Hawke podszedł powoli, podłożył mu dłoń pod brodę i odchylił głowę do tyłu.

Wzrok Kannadaya ześliznął się z wściekłych oczu Hawke'a i utkwiał w suficie.

Poczuł, jak napinają mu się mięśnie ramion. Nacisk dłoni Hawke'a uniemożliwiał mu oddychanie. Usiłował wciągnąć powietrze mimo szmaty w ustach, ale na próżno.

Wpadł w przerażenie. Jeżeli Hawke naciśnie mocniej, złamie mu kark. Nie mógł na to pozwolić i znowu zaczął się szarpać.

- Dusisz się - zadrwił Hawke. - Pomogę ci zaczerpnąć powietrza.

Puścił jego brodę, odsunął się nieco i uderzył go mocno w brzuch. Kannaday łapczywie wciągnął powietrze do płuc. Hawke zamachnął się i wyrznął go sierpowym prosto w szczękę. Cios był tak silny, że szmata prawie wysunęła mu się z ust.

Dzięki temu zdołał złapać głębszy oddech, zanim lewa pięść Hawke'a wylądowała ponownie na jego brzuchu. Zadając cios, Hawke wykonał wykrok i skręcił się w pasie, uderzając kapitana łokciem w żebra. Umiał bić i to tak, żeby bolało.

W młodych latach Kannaday brał udział w kilku portowych bójkach. Jednak zwykle polegały one na przepychankach i chwytaniu za bary, a kończyły powaleniem przeciwnika na podłogę. Nigdy nie dostał porządnego lania. Teraz bolała go szczeka, czuł łomot w uszach. Ogarnęły go mdłości po ciosach w brzuch, a ramiona drętwiały od silnego uchwytu stojących za nim ochroniarzy.

Lewy hak odrzucił mu głowę do tyłu. Kannaday miał wrażenie, że jego mózg odbił się od sklepienia czaszki. Zęby przecięły materiał i wbiły się w język. Poczuł

smak krwi. Kość żuchwy wręcz zabręczała od uderzenia, a jej drgania jakby rozchodziły się aż po kończynach. Gdyby ochroniarze go nie podtrzymywali, zwałiłby się z nóg. Brzęczenie szczęki wzmogło się, kiedy Hawke uderzył go prawym prostym w usta. Kannaday przesunął językiem po rozchwianych zębach.

Powieki opadły mu na oczy.

Hawke chwycił go za podbródek i ścisnął. Ból zmusił kapitana do otwarcia oczu.

-

To dopiero początek lekcji - syknął.

Następnie dwukrotnie kopnął Kannadaya kolanem w brzuch. Knebel całkiem wypadł mu z ust i pociekły struzki śliny zmieszanej z krwią. Hawke nie zwracał uwagi na lepką, krwawą ciecz, spływającą mu na ręce. Uderzył go pięścią w prawe ucho, w prawe oko, potem cofnął się i trafił jeszcze raz prosto w usta. Kannaday poczuł, jak pękają mu wargi.

-

A teraz o coś cię zapytam - powiedział Hawke. - Słuchasz mnie?

Kannadayowi dudniło w głowie, piekła go cała twarz. Prawie nic nie widział na prawe oko, a słyszał jedynie przyspieszone bicie własnego serca i rżący oddech.

Hawke znowu chwycił go za podbródek i przysunął usta do lewego ucha Kannadaya.

-

Zadałem ci pytanie - przypomniał.

Kannaday wciąż krwawił z rany na piersiach zadanej womerą. Był półprzytomny z powodu utraty krwi i zamroczonej ciosami. Zdobył się jedynie na lekkie skinienie głową.

-

Grzeczny chłopczyk. Oto jak będzie przebiegał dalszy ciąg przedstawienia -

poinformował Hawke. - Zostaniesz w kabinie aż do przybycia do Cairas. Potem udasz się do szefa i zameldujesz, że wyprawa zakończyła się sukcesem. Kiedy spyta, co ci się stało, powiesz, że doszło między nami do nieporozumienia.

Kannaday spróbował coś powiedzieć, ale nie mógł nawet poruszyć ustami. Wydawało mu się, że zęby, język i wargi połączyły się w jednolitą masę. Wobec tego pokręcił tylko głową.

Hawke znów uderzył go kolanem, tym razem w pachwinę. Krwawy bryzg trysnął z rozbitych ust Kannadaya. Hawke wciąż pochylał się nad nim.

-

Możemy się w ten sposób bawić tak długo, jak zechcesz. Kiedy skończymy, i tak zrobisz to, o co poproszę.

Kannaday zdołał wyszeptać jakieś słowo, które brzmiało mniej więcej:

-

Dlaczego?

-

Dlatego, że kiedy powiesz mu, że wpadłeś w następną pułapkę, to uzna, że jesteś dupa, nie dowódca, pozbędzie się ciebie i ja dostanę twoje stanowisko. A ja tego nie chcę. Wolę, żeby w kolejce do odstrzału stał przede mną ktoś inny. Interesuje mnie jedynie zarabianie pieniędzy - powiedział Hawke, odsuwając się nieco. - Nasz przyjaciel Marcus potwierdzi twoje słowa. On też chce, żeby wszystko pozostało po staremu. Woli być donosicielem stryjka Jervisa niż kapitanem tej łajby.

Hawke mówił powoli i wyraźnie. Kannaday słyszał każde słowo i był coraz bardziej zdumiony. Po raz pierwszy miał do czynienia z człowiekiem, który za wszelką cenę broni się przed awansem.

-

Teraz moi ludzie zabiorą cię do kabiny i dopilnują, żebyś został umyty i połatany. Najpierw jednak muszę mieć pewność, że się dobrze zrozumieliśmy, kapitanie.

Głos Hawke'a dudnił Kannadayowi w uszach. Kapitan nie mógł wykrztusić słowa.

-

Aha - powiedział wreszcie z wysiłkiem. Był to jedyny dźwięk, który wydobył się z jego krtani bez udziału warg i języka. Nie był pewien, czy ktokolwiek go słyszał. Zaczynał tracić przytomność. Przymknął zdrowe oko.

Hawke szarpnął go mocno za podbródek.

-

Aha? Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Kannaday przytaknął ledwo dostrzegalnym ruchem. Hawke puścił wreszcie jego podbródek i głowa kapitana opadła bezwładnie. Chwilę potem poczuł, że jego nogi odrywają się od podłoża i jest niesiony na rufę.

Bycie półprzytomnym miało pewne osobliwe zalety. Kannaday skupiał się wyłącznie na chwili obecnej. Szarpał nim potworny ból, więc jedynym jego zadaniem było pozbycie się go. Chwile, gdy

cierpienie nieco się zmniejszyło, wprawiały go w prawie euforyczną radość. Jakąś częścią siebie był nawet wdzięczny ochroniarzom za to, że go niosą.

Plan Marshalla dla Petera Kannadaya, pomyślał kapitan w przeblysku świadomości.

Najpierw cię złamiemy, a potem pomożemy ci się podnieść.

Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Był w korytarzu. Potem rozpoznał

łóżko. Jeszcze później zarejestrował bandażowanie i owijanie w mokre prześcieradło. Poczł rzeškość, choć bardzo bolesną. Świadomość opuszczała go, by powrócić, kiedy ochroniarze zajmowali się jego ranami.

Wreszcie nastąpił spokój i zapadła cisza. Ból wciąż mu towarzyszył, ale jakby z oddali.

Leżąc na koi, Kannaday usłyszał brzęczący dźwięk. Poznał go - był to silnik motorówki. A więc jego ludzie płyną na kuter. A może już wracają. Stracił

poczucie czasu. Prawdopodobnie leżał na dole dłużej, niż mu się zdawało. W

każdym razie powinien wyjść na pokład, aby upewnić się, że przesyłka została dostarczona. Wciąż był kapitanem, przecież twierdził tak nawet zbuntowany Hawke.

Hawke - Kannaday przypomniał sobie nagle sceny z bicia oraz uczucie panicznego lęku, kiedy schwytali go ochroniarze.

Jako kapitan powinien zabić zbuntowanych łotrów przy pierwszej nadarzającej się okazji. Powinien wyjąć pistolet z szuflady biurka i powystrzelać jak kaczki.

Marcus też uczestniczył w spisku, ale Kannaday nie mógł zabić bratanka szefa.

Mógł jednak zamknąć gówniarza w kabinie radiowej, aż do powrotu do Cairns.

Jervis Darling powinien to zrozumieć.

Kapitan usiadł na łóżku i w tym momencie poczuł, jakby jego głowę pochłonęła czarna dziura. Ruch spowodował nagły nawrót bólu. Piekły go czoło, skronie, szyja i kark. Jego ciało płonęło. Zrobiło mu się słabo, kiedy poczuł metaliczny smak krwi w ustach. Wydał z siebie krótki okrzyk i opadł z powrotem na koję.

Oddychał szybko, zaciskając oczy i jęcząc z bólu.

Nikt do niego nie przyszedł. Nikt się nie odezwał. Słyszał tylko pulsowanie krwi w uszach.

I kompletną pustkę.

ROZDZIAŁ 36

Nad południowym Pacyfikiem, Sobota, 7.44

Przed położeniem się spać Coffey zatelefonował do Boba Herberta. Przekazał mu ostatnie nowiny o Jervisie Darlingu. Doświadczony oficer wywiadu nie był

zaskoczony, że ktoś taki jak Darling mógł być podejrzany o udział w podobnym przedsięwzięciu. Jednak Herbert nie sądził, by jakąkolwiek rolę odgrywało tu poczucie bezkarności, jakie daje władza. On sam nazywał to syndromem grubej ryby. Nie chodziło o faktyczną władzę i prestiż, lecz o dostęp do określonych dóbr materialnych.

Herbert spotkał się z tym zjawiskiem już w dzieciństwie, kiedy ważniakami byli właściciele kolorowych telewizorów. To do nich chodziło się oglądać Bonanzę, Star Treka lub kreskówki. Dziesięć lat później najbardziej pożądanym artykułem stała się ropa naftowa. Wszyscy jej pragnęli. Ponieważ najwięcej posiadali jej Arabowie, to oni stali się grubymi rybami. Na początku lat osiemdziesiątych najważniejsze w klasie były te dzieciaki, które miały kartrydże z Pac-Manem na konsolę Atari. Niedługo potem Japończycy opracowali produkty, które podbiły światowe rynki. Nowe pokolenie grubych ryb miało skośne oczy. Pieniądze nie grały roli. Ludzie byli skłonni zapłacić każdą kwotę, aby tylko zdobyć to, co wciskali im domokrążcy ery kosmicznej.

Wraz z upadkiem Związku Radzieckiego najbardziej poszukiwanym towarem stały się substancje promieniotwórcze. Właściciel określonej ilości wzbogaconego uranu lub plutonu albo wręcz samej bomby atomowej, mógł choćby przez pewien czas szpanować zupełnie tak jak dzieciak konsolą PlayStation 2. Herbert przypomniał sobie, jak parę lat temu Indie i Pakistan szczyły się z powodu posiadania bomb atomowych.

Jeden z krajów przeprowadził eksplozję na pustyni i trafił na czołówki gazet, drugi wysadził w powietrze górę - z takim samym skutkiem. Honor i zasługi narodu, obraza Boga, głód i choroby nie miały żadnego znaczenia. Przez te kilka dni liczyły się tylko niszczycielskie bomby. Megatony decydowały o zdobyciu pozycji gwiazdy na scenie międzynarodowej.

Ktoś przywykły do bogactwa i władzy mógł uznać, że posiadanie materiałów rozszczepialnych jest mu konieczne niezbędne. Dysponując nimi, miał pewność, że nigdy nie wypadnie z gry. Wiedząc, gdzie są, był bezpieczny. Bez nich przechodził na pozycję obserwatora, który mógł być łatwo zmieciony z szachownicy wraz z innymi pionkami. Taka sytuacja zapewne nie odpowiadałaby Jervisowi Darlingowi. Wolał należeć do grubych ryb.

Co gorsza, Darling faktycznie był grubą rybą. Herbert ściągnął całe gigabajty danych na jego temat. Darling miał ochronę, wpływy i pieniądze. Sprawował

kontrolę nad międzynarodowymi korporacjami, które mógł wykorzystywać do prania brudnych

pieniędzy, ukrywania ludzi i żonglowania prawami własności. Był także właścicielem największej na świecie prywatnej kolekcji skamielin.

Gość chce zawsze pamiętać, co stało się z olbrzymami, które nie potrafiły się przystosować, stwierdził w myślach Herbert.

Jak na złość Darling był powszechnie uwielbianą grubą rybą. Stanowił ucieleśnienie australijskiego marzenia o sukcesie.

Minęło już kilka godzin, odkąd Herbert znalazł się w ciasnej kabine samolotu.

Silnik huczał miarowo, niebo zaczęło się rozjaśniać, a on wciąż był głodny wiedzy, jak gołąb czekający na okruchy pod drzwiami piekarni. Sprawdzał plik po pliku, chwytając tu i tam strzępy informacji. Wszystko, do czego zdołał dotrzeć, potwierdzało jego przypuszczenia. Człowiek taki jak Darling mógł być zamieszany w handel materiałami rozszczepialnymi.

Po stwierdzeniu tego faktu szef wywiadu wyprostował się na wózku.

-

Jak możemy się upewnić, że stoisz, draniu, za tym brudnym interesem? -

zastanawiał się na głos Herbert.

Muszą kontynuować poszukiwania pozostałych uczestników transakcji. Jednak Herbert zdawał sobie sprawę z tego, że mogą nie odnaleźć nawet śladu odpadów.

Jak dotąd uszkodzeniu uległ jeden statek, a drugi zatonął. Nie można było wykluczyć, że przemytnicy korzystają z samolotów i okrętów podwodnych. Być może substancje promieniotwórcze gdzieś ukryto, aby sięgnąć po nie później.

Możliwości było sporo.

-

Nie - powiedział Herbert do siebie. - Coffey miał dobry pomysł.

Muszą dobrać się do samego Darlinga. Bezpośrednio i po cichu. Gdyby to był film przygodowy, Herbert założyłby okulary z grubymi soczewkami i udał paleontologa, który ma na sprzedaż unikalne skamieliny. Major Loh grałaby rolę jego asystentki. Nie ulega wątpliwości, że Darling byłby podejrzliwy i zrobił im test z wiadomości o dinozaurach. Herbert musiałby wkuć na pamięć kilka książek o prehistorycznych zwierzętach, a to czego by nie wiedział, uzupełniłaby jego błyskotliwa asystentka.

Niestety, to nie był film i trzeba było szybko wymyślić jakieś sensowne rozwiązanie, które pozwoliłoby udowodnić Darlingowi przestępstwo. Herbert miał

nadzieję, że pozwoli to także powstrzymać sam przemyt.

W chwili, gdy TR-1 wlatywał w nowy dzień, Herbert ujrzał pomarańczowy błysk na ekranie swego komputera. Po chwili poczuł cudowne ciepło promieni słonecznych na karku.

Wówczas właśnie przyszedł mu do głowy pewien pomysł, za sprawą którego mógł uniknąć konieczności uczenia się trudnych słów, takich jak pachycephalosaurus.

ROZDZIAŁ 37

Waszyngton, Piątek, 19.44

Paul Hood wyszedł na parking. Wieczór był ponury, niebo zasnuwane chmurami, ale zimne powietrze pachniało wspaniale, jak zawsze po całym dniu spędzonym w klimatyzowanych, pozbawionych okien pomieszczeniach Centrum. Hood ruszył w stronę swojej nowej toyoty maxim. Czekala go czterdziestopięciominutowa jazda do domu. Jego mieszkanie było straszliwie puste. Brakowało odgłosów gier wideo i dzwonek telefonu. Brakowało charakterystycznego łomotu, z jakim Alexander zeskakiwał z połowy półpiętra, trzymając się jedną ręką poręczy, a drugą ściany. Mimo wszystko miejsce to znowu coraz bardziej kojarzyło mu się z domem. O ile rzucanie brudnych koszul na kanapę, wypożyczanie płyt DVD wyłącznie według własnego gustu oraz jedzenie sałatki z kurczaka prosto ze styropianowego pojemnika można było uznać za czynniki budujące domową atmosferę.

Hood właśnie wsiadał do samochodu, kiedy odezwała się komórka. Dzwonił Mike Rodgers. Nie rozmawiali ze sobą od spotkania Rodgersa z senatorem Debenportem.

Generał spędził cały dzień na rozmowach z kandydatami na członków jego nowej sekcji szpiegowskiej. Rodgers wolał spotkać się z nimi w miejscu publicznym, zamiast zapraszać do swego gabinetu. Mógł w ten sposób sprawdzić ich umiejętność wtapiania się w tłum w obcym miejscu.

-

Jak przebiegały rozmowy? - spytał Hood.

-

Były bardzo inspirujące - odparł Rodgers.

-

Zaczekaj chwilę - poprosił Hood. Rodgers wiedział, co to oznacza.

Hood usiadł za kierownicą i nałożył słuchawki, jednocześnie wetknął komórkę do urządzenia zagłuszającego, przy desce rozdzielczej. Przypominało ono typowy zestaw głośnomówiący, ale pod obudową krył się układ, który emitował

głośne trzaski przez cały czas trwania rozmowy.

Jedynie telefon wyposażony w takie samo urządzenie mógł odfiltrować ten dźwięk.

Układ z samochodowego zestawu pracował tylko w przypadku tych rozmówców, których numery w pamięci telefonu miały dodany specjalny kod.

-

Gotowe - odezwał się Hood. Uruchomił silnik i skierował się do wyjazdu.

-

Od razu chcę powiedzieć, że w niczym nie przypomina to formowania grupy do zadań specjalnych. Nie trzeba się wykazać umiejętnościami strzelca wyborowego ani znajomością technik walki wręcz - uprzedził Rodgers. -

Cały proces wygląda dość idiotycznie.

-

Jak to?

-

Dobry szpieg z zasady mówi jak najmniej. Zamiast tego słucha i obserwuje -

tłumaczył Rodgers. - Kiedy tam siedziałem, zastanawiałem się, czy lepszy będzie kandydat milczący, czy ten, który z własnej woli pragnie udzielić informacji.

-

Ciekawe - przyznał Hood. - Domyślałem się, że oceniając ich, kierowałem się instynktem.

-

Prawie wyłącznie - potwierdził Rodgers. - Skłonność do milczenia to niemal to samo, co brak zainteresowania. Z drugiej strony, David Battat jest gadułą, a Maria Corneja wprost przeciwnie.

Aideena Marley'a postawiłbym gdzieś pośrodku.

Falah Shibli zna pięć języków, ale mówi jeszcze mniej niż Maria. Kogoś takiego nie da się ocenić inaczej niż intuicyjnie.

-

No i co z tym Shibli? - spytał Hood.

-

Doskonale - odrzekł Rodgers. - Zgodził się nam pomagać, ale woli ograniczyć się do rejonu bliskowschodniego. Wydaje mi się, że on potajemnie pracuje dla Mosadu.

Falah Shibli miał dwadzieścia dziewięć lat i był Izraelczykiem arabskiego pochodzenia. Mając za sobą siedem lat ciężkiej służby w izraelskiej jednostce zwiadowczej Sayeret Ha'Druzim, wstąpił do policji w północnym mieście Kiriat Szmone. Pracował dla Centrum na Bliskim Wschodzie. Mógł być bardzo wartościowym źródłem informacji dla izraelskiego wywiadu, ponieważ potrafił bez problemu przeniknąć w szeregi Arabów.

Hood skinął dłonią sierżantowi Ridpathowi, który siedział w budce przy wyjeździe z parkingu. Podoficer gestem odwzajemnił pozdrowienie i nacisnął przycisk.

Ciężki drewniany szlaban podniósł się i Hood wyjechał na ulicę.

-

A więc jakie wrażenie zrobili na tobie ci nowi ludzie?

-

Jeden gość szczególnie mi się spodobał - powiedział Rodgers. - Sprague West, pięćdziesiąt pięć lat, były żołnierz piechoty morskiej, służył w Wietnamie. Spędził ćwierć wieku w nowojorskiej policji jako jeden z pierwszych dziesięciu tajniaków. Przenikał w szeregi Czarnych Panter, handlarzy narkotyków, walczył z prostytutką. Lubię takich jak on. Jest naprawdę w porządku.

-

Małomówny?

-

Ma się rozumieć - potwierdził ze śmiechem Rodgers.

-

Gdzie stacjonuje?

-

Tutaj. Przeniósł się do Waszyngtonu po odejściu ze służby, żeby być bliżej matki.

-

Ma swoją rodzinę?

-

Dwie dorosłe córki i trzy byłe żony - oznajmił Rodgers. - Nie wytrzymały z powodu jego pracy.

-

Świetnie. Możemy więc uruchomić grupę wsparcia. - Hood ucieszył się.

-

Milczek oraz człowiek, który uwielbia słuchać. To może być ciekawy duet - stwierdził Rodgers.

-

Raczej śmiertelnie nudny. Jaki jest twój plan gry, jeśli chodzi o pana Westa?

-

Zaprosiłem go do biura na poniedziałek, żeby pogadać o szczegółach. Jego mamka zmarła w zeszłym roku, dlatego chciałby wrócić na pierwszą linię.

-

Doskonale - przyznał Hood.

-

Przy okazji, co słyhać u Lowella?

Hood przekazał mu nowiny. Kiedy skończył, generał zamilkł na chwilę.

-

O czym myślisz?

-

O naszych współpracownikach z Australii i Singapuru. - Rodgers wyrwał się z zadumy. - To twardzi ludzie. Dobrze, że mamy ich po swojej stronie w tej wielkiej grze.

-

Właśnie, jak wielka, twoim zdaniem, jest to gra?

-

Jeżeli o to ci chodzi, na pewno nie mamy do czynienia ze światowym spiskiem, kierowanym przez Darlinga - zapewnił Rodgers.

-

A skąd ta pewność?

-

Ludzie podobni do Darlinga to autokraci, a nie oligarchowie - wyjaśnił

Rodgers. - Obrońcy zwierają szeregi, aby zapewnić sobie wzajemną ochronę. Agresja oznacza samotne działanie. Podczas II wojny światowej Niemcy dzieliło od Japonii pół świata. W rezultacie oba kraje walczyły zupełnie samotnie.

-

A więc jaki scenariusz przewidujesz?

-

Rozumiem, że mam wykluczyć perwersyjną zabawę? - upewnił się Rodgers. -

Moim zdaniem zaatakowane zostaną stolice światowego biznesu. To spowoduje ogromne straty i sparaliżuje gospodarkę. Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie nastąpią ataki, sprawdź, w których miastach Darling poczynił najmniej inwestycji.

-

Już to zrobiłem - powiedział Hood. - Wciąż pompuje pieniądze w Australię oraz w Amerykę Południową, ale przeniósł większość kapitału z Europy i Stanów Zjednoczonych na rynki dalekowschodnie.

-

I o to chodzi - stwierdził Rodgers. - Ma zamiar zrównać z ziemią Londyn albo Waszyngton, Paryż albo Bonn. Zmienić światową równowagę ekonomiczną i geopolityczną na korzyść Dalekiego Wschodu. Czy on ma jakieś dzieci?

-

Ośmioletnią córkę.

-

Będzie jego spadkobierczynią, to dla niej tak się stara - zauważył

Rodgers. - Który ojciec nie chciałby podarować swej córce całego świata? Sam byłeś gotów zrezygnować z pracy w Centrum ze względu na swoje dzieci i rodzinę.

-

To prawda, ale to co innego niż mordowanie milionów ludzi. - Hood nie dał się przekonać.

-

Czyżby?

-

Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Hood się zdziwił.

-

My także jesteśmy gotowi stanąć do walki w obronie naszego stylu życia i przyszłości naszych dzieci - powiedział Rodgers.

-

Tylko wówczas, gdy zostaniemy zaatakowani - zastrzegł Hood. - A to spora różnica.

-

Być może właśnie Darling uważa, że jego świat został zaatakowany, albo przynajmniej zagrożony - podsunął Rodgers. - Może sądzi, że Australia została zepchnięta na margines przez Stany Zjednoczone i Unię Europejską. Albo odczuwa wzrost politycznej, gospodarczej i strategicznej potęgi Chin. Niewykluczone że kraje sąsiadujące z Chinami także są zaniepokojone i Darling wraz z nimi stworzył obronny sojusz. Może to

Pekin jest ich celem. Tego jeszcze nie wiemy.

-

Ciekawy punkt widzenia, choć przeczucie mówi mi, że więcej w tym interesów Darlinga niż polityki.

Możliwe - zgodził się Rodgers. - Nie zmienia to jednak faktu, że trzeba go powstrzymać. Jak już powiedziałem, mamy szczęście, że dysponujemy tam na miejscu najlepszymi ludźmi. A w razie potrzeby możemy uruchomić rezerwy, które w niczym im nie ustępują. Na pewno nie

będzie łatwo, ale poradzimy sobie, zobaczysz.

Hood podziękował Rodgersowi za rozmowę. Rozłączył się i uchylił okna. Wciąż nie mógł się nacieszyć tym, co jego syn nazywał „prawdziwym powietrzem.”

To nie było zajęcie dla ludzi, którzy mieli rodziny albo cenili sobie spokojne noce. W tej pracy nikt nie martwił się o wyniki finansowe przedsiębiorstwa czy dotrzymanie terminu zakończenia projektu. Tu zawsze chodziło o życie - czasem jednego człowieka, a czasem dziesiątek tysięcy ludzi. A jednak ludzie tacy jak Mike Rodgers czy Bob Herbert nieodmiennie sprawiali, że Hood nie rezygnował.

Podziwiał ich ogromne doświadczenie, umiejętność szerokiego spojrzenia na problem i coś jeszcze. Coś, co często umykało w codziennym natłoku złowieszczych informacji i przerażających teorii.

Nadzieję.

Optymizm.

I bezgraniczną determinację.

ROZDZIAŁ 38

Cairns, Australia, Sobota, 9.45

Jervis Darling udał się na spoczynek po otrzymaniu sygnału, że transfer został

nareszcie dokonany. Taką informację niosły za sobą trzy dzwonki na jego telefonie komórkowym, w dwóch seriach, jedna po drugiej. Ponieważ Darling miał

zainstalowany układ FDS, blokujący rejestrowanie rozmówców, nie można było ustalić, kto dzwonił. Nawet jeśli ktoś śledził jacht, nie było możliwości namierzenia rozmowy telefonicznej. Zazwyczaj nie martwił go fakt, że ktoś nawiązywał kontakt z jachtem. Tym razem jednak napływały niepokojące doniesienia o ataku sampana na wodach Morza Celebes. Pojawiły się też niepotwierdzone relacje o wykryciu śladów promieniowania na wraku. Jeśli była to prawda, morskie służby patrolowe mogły prowadzić nasłuch łączności w tym rejonie. Albo wyruszyć na poszukiwanie źródeł radioaktywności,

jak również osób, które mogły słyszeć lub widzieć eksplozję. Gdyby „Hosanna” została z jakiegoś powodu zatrzymana, jego bratanek wiedział, że ma udawać głupka. Marcus miał powiedzieć, że właściciel jachtu wynajął go do przetestowania kabiny radiowej i koniec. Kropka.

Jervis zatelefonowałby wtedy do osoby, która dowodzi akcją. Zaprotestowałby ostro wobec przypuszczenia, że jego bratanek może być w jakikolwiek sposób zamieszany w przemyt materiałów radioaktywnych. Peter Kannaday zająłby się resztą. Nie było przecież przestępstwem wynajęcie jachtu. Szkopuł wiązał się z ładunkiem, do którego przewozu wynajęto kapitana Kannadaya.

„Hosanna” nie wracała najprostszą drogą do Cairns. Przez kilka godzin po nastaniu dnia żeglowała w kierunku lądu, jak każdy turystyczny jacht. Kannaday miał się upewnić, że nikt ich nie śledzi. I przyprowadzić łódź na miejsce.

Powinien zjawić się około godziny dziesiątej rano.

Pierwszą część niedzielnego poranka Darling spędził tak jak zwykle -przy śniadaniu ze swoją ośmioletnią córeczką. Posiłek złożony z łososia, jajeczniczy i tostów należał do ulubionych w menu Jessiki-Ann. Podano go w dużym atelier przylegającym do sypialni Jervisa Darlinga. Pomieszczenie zostało kiedyś zbudowane dla jego żony, by mogła oddawać się malarstwu. Należało tylko żałować, że hobby to nie stało się jej życiową pasją. John Hawke, oceniając jej zachowanie, pozwolił sobie na komentarz: „Pańska żona całą swą uwagę skupiła na nowym pędzlu”. Fakt, że mężczyzna jest zajęty, nie daje jeszcze żonie prawa do zabawiania się z kimś, kto dysponuje większą ilością wolnego czasu. W końcu Jervis i Dorothy Darling przysięgali sobie wierność i dozonną miłość, nie przelotny romans.

Sztaluga i paleta z farbami należące do Dorothy wciąż jeszcze leżały w kącie, rozświetlone słońcem. Na sztalugę naciągnięte było płótno nawet nietknięte pędzlem. Jessica-Ann zapowiedziała, że kiedyś będzie malować. Lubiła tu przychodzić. Jasnowłosa dziewczynka była ulubionym tematem obrazów matki. Zapach farb sprawiał, że Jessica wciąż czuła jej obecność. Darling nie miał odwagi odbierać córce tej niewielkiej pociechy.

Mimo utraty matki cztery lata wcześniej Jessica-Ann wyrosła na towarzyską, pełną uroku i światową młodą damę. Darling dbał o to, by nie brakowało jej ani towarzystwa, ani zajęć. Starał się również dopilnować, żeby spędzali razem możliwie jak najwięcej czasu. Nie odczuwał oporów przed zabieraniem jej na spotkania. Jeśli odbywały się one zagranicą, jedna, czasem dwie guwernantki po prostu pakowały manatki i towarzyszyły im w podróży.

Darling nie miał jednak zamiaru angażować córki w swoje sprawy. Wiedział, że dziewczynka pragnęła zostać malarką, podobnie jak jej matka. Już teraz lubiła rysować. Radość sprawiało jej szkicowanie ptaków i owadów spotykanych w okolicy.

Wyobrażała sobie przy tym twarze, jakie mogą mieć rysowane przez nią motyle i robaczki świętojańskie. Taka perspektywa cieszyła Darlinga. Pragnął też, by Jessica-Ann miała sposobność zakosztować wszystkiego. Kiedy nadejdzie właściwy czas, sama rozstrzygnie, co zrobić ze swoim życiem. Decyzję tę podejmie na świecie, który nie będzie się kręcił wyłącznie wokół Europy i Ameryki.

Dziewczynka zasiadła do stołu w modnym, jaskrawożółtym kombinezonie. Miała długie włosy związane i schowane pod czapkę z nazwą boys bandu, którego fanką aktualnie była. Darling załatwił stałą rezerwację miejsc w górnych łóżach we wszystkich halach widowiskowych i na stadionach w Australii, bo Jessica-Ann chciała obejrzeć każdy koncert zespołu. Dziewczynka miała na twarzy zdrowe rumieńce i szeroki, radosny uśmiech. Dopiero co skończyła lekcję squasha na jednym z prywatnych kortów. Wykorzystała ten moment i demonstrowała teraz ojcu właściwe ułożenie ciała przy serwie.

-

Chciałbym cię o coś zapytać - odezwał się Darling, gdy córka wsunęła się wreszcie na żelazne tapicerowane krzesło. - Czy wolałabyś grać doskonale technicznie i przegrać, czy też odnieść zwycięstwo mimo kiepskiej techniki?

-

Wolałabym wygrać - odparła dziewczynka bez wahania. - Byłoby nawet lepiej wygrać, grając kiepsko technicznie, gdyż wówczas mówiono by o moim zdumiewającym talencie.

-

Podoba mi się twój sposób rozumowania - oświadczył Darling, gdy pani Cooper serwowała śniadanie. Spokane, kot syjamski Jessiki-Ann, leniwie przyczłapał do stołu, wyczuwając zapach świeżego łososa. Spasione kocisko nosiło imię pierwszego miasta, jakie dziewczynka zwiedziła poza Australią. Kot ocierał się natrętnie o jej nogi, gdy Jessica-Ann podsuwała mu pod pyszczek plaster łososa.

W ciągu tego tygodnia Darling widywał się z córką regularnie. Był to dla nich okres szczególny. Sprawy służbowe zeszły na drugi plan. Z tego też względu odebrał telefon z jachtu dopiero około dziesiątej rano, nie interesując się wcześniej „Hosanną”. Pił właśnie kawę i zaczynał przeglądać internetowe serwisy informacyjne. Chociaż nie oczekiwał tego telefonu, nie był nim zaskoczony.

Człowiekiem z drugiej strony łącza nie był Peter Kannaday. Dzwonił Marcus.

Telefonował z linii naziemnej. Po wejściu do zatoczki jacht można było podłączyć do zwykłej sieci telefonicznej.

-

Otrzymałeś sygnał? - zapytał Marcus.

-

Tak. Dlaczego dzwonisz ty, a nie kapitan?

-

Kapitan jest w swojej kabinie - odparł Marcus.

-

Powtarzam pytanie raz jeszcze - naciskał Darling. Potrafił wyczuć, gdy ktoś mówił wymijająco. Odpowiedź padała wówczas szybko, jak gdyby była z góry przygotowana.

-

Doszło do bijatyki między nim i panem Hawkiem - oznajmił Marcus.

-

Czy pan Hawke jest z tobą?

-

Nie - odpowiedział Marcus. - Mam go sprowadzić?

-

To nie jest konieczne - stwierdził Darling. - Co się właściwie stało?

-

Nie jestem do końca pewien - wyznał Marcus. - Do spotkania doszło o wyznaczonej porze. Podczas przygotowań do wysłania motorówki Hawke zszedł na dół z kilkoma ze swych ludzi. Poprosił mnie, bym w jego imieniu przekazał kapitanowi Kannadayowi, że będzie czekał na niego w kabinie radiowej.

Sam miałem zostać na pokładzie, aż przyjdą po mnie.

-

Jak długo tam czekałeś? - dopytywał się Darling.

-

Około dziesięciu minut - odpowiedział Marcus. - Hawke wszedł na pokład i powiedział, że mogę już zejść na dół.

-

A kapitan?

-

Hawke stwierdził, że Kannaday zrzekł się dowództwa i nie zamierza nikogo przyjmować ani

odbierać wiadomości - zrelacjonował Marcus.

-

Jesteś pewien, że kapitan Kannaday żyje? - spytał Darling.

-

Podszedłem do drzwi i nasłuchiwałem przez chwilę - odparł Marcus. -

Usłyszałem tylko, że ktoś tam się rusza. To wszystko.

-

Nie prosił o nic? - dopytywał się Darling.

-

Nic takiego do mnie nie dotarło - oznajmił Marcus. - W każdym razie nie używał interkomu.

-

Zatem Hawke dowodzi jachtem.

-

Najwidoczniej - potwierdził Marcus. - Doprowadził nas do zatoki. Większość czasu przespałem.

-

Czy ktoś zszedł na ląd? - zapytał Darling.

-

Jak dotąd nie - odparł bratanek. - Hawke powiedział mi, żebym poinformował o powrocie. Nie otrzymałem dalszych instrukcji i nie mam nowych informacji.

Darling dolał sobie nieco kawy. Była taka, jak lubił - mocna i słodka.

John Hawke był sprytny. Kannaday z pewnością zrobił to, co podsunął mu Darling.

Narobił szumu, jak na prawdziwego kapitana przystało. W rewanżu Hawke musiał

posunąć się do groźby. Być może związano go albo pobito. Tak czy owak, Kannaday wciąż jednak był kapitanem. Jeżeli przytrafi się kolejna wpadka, czy to wobec prawa, czy wobec Darlinga, cała

odpowiedzialność znowu spadnie na niego. Ale to był problem Kannadaya. Kłopot Darlinga polegał na tym, że jeśli wezwie do siebie Kannadaya, wyjdzie na jaw to, że Hawke przyparł go do ściany i wygrał. Wtedy musiałby go ktoś zastąpić albo odesłać z powrotem na „Hosannę”. Jednak utrzymując go na stanowisku, sam okazałby słabość. Nie mógł świadomie pozostawić dowództwa w rękach kapitana, który stracił autorytet. Niestety, na miejsce Kannadaya nie miał nikogo innego poza Hawkiem. Prosząc Hawke'a o przejęcie dowodzenia, ryzykuje, że ten mu odmówi. John Hawke wolał pozostawać w cieniu.

Jego odmowa znów sugerowałaby słabość Darlinga. Hawke zresztą już zademonstrował, że potrafi postawić na swoim.

Następna dostawa planowana była dopiero za cztery dni. Do tego czasu jacht miał żeglować zgodnie z wytyczoną marszrutą, z turystami na pokładzie.

-

Kiedy zobaczysz kapitana, przekaż mu, że jestem zadowolony z tego, iż wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami - oświadczył Darling.

-

A jeśli nie spotkam się z kapitanem, co wtedy? - zapytał niespokojnym głosem Marcus.

-

Wówczas przekażesz tę informację drugiej osobie po kapitanie - oświadczył

Darling. - To typowa procedura w takich sytuacjach, czyż nie tak?

-

Oczywiście - odparł Marcus, nie bez wahania.

-

Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia? - tym razem zapytał Darling.

-

Prawdę powiedziawszy, tak. Nie jestem pewien czy chce mi się wracać na pokład.

-

Dlaczego?

-

Na statku panuje napięta atmosfera - przyznał bratanek. - Najpierw piraci, potem ostre zatargi między kapitanem a Hawkiem.

-

Nie powinno to mieć żadnego wpływu na twoją pracę - oznajmił Darling. - To ciebie nie dotyczy.

-

A jednak dotyczy - skarżył się Marcus. - To odbija się na całej załodze.

-

Musisz sobie z tym poradzić - oświadczył stanowczo Darling. - Powinieneś stanowić wzór dla reszty. Potrzebuję na jachcie radiotelegrafisty.

-Tak jest, sir.

-

A teraz wracaj na pokład - nakazał Darling. - Pamiętaj, że strach ma wielkie oczy. Bądź dobrej myśli.

-

Tak zrobię, sir - bez przekonania wydusił z siebie Marcus i rozłączył się.

Darling odłożył słuchawkę. Spoglądał na ekran laptopa, ale niewidzącymi oczyma.

Myślał o „Hosannie”. Miał pewność, że Hawke panuje nad sytuacją. W głębi duszy współczuł Peterowi Kannadayowi. Niektórzy ludzie nie powinni być dowódcami. Na przykład Kannaday. Był i zapewne pozostanie tylko kapitanem wycieczkowego jachtu. Być może po paru latach będzie człowiekiem zamożnym. Ale czy bogactwo może zrekompensować brak szacunku do samego siebie?

Darling zastanawiał się, czy Kannaday podejmie kolejną próbę zdobycia przewagi nad Hawkiem. Nie znał wprawdzie kapitana, ale znał dobrze ludzką naturę. Znał

się na ludziach. W starciu testosteronu z rozumem ten ostatni zwykle przegrywał.

Kannaday pewnie zaatakuje raz jeszcze. Tym razem jednak nie skończy się na uwięzieniu w kabinie.

Darling powrócił wzrokiem do ekranu komputera. Zaczął czytać najnowsze pogłoski na temat radioaktywnego wraku sampana odnalezonego na wodach Morza Celebes.

Zgodnie z doniesieniami, nikt nie wiedział, kim może być nieprzytomny marynarz oraz co mu się właściwie przytrafiło.

Była to dobra wiadomość. Nawet jeśli marynarz odzyskał przytomność, jest mało prawdopodobne, by mógł wiedzieć coś istotnego. Hawke z pewnością zadbał o to. W

końcu, pomyślał Darling, on najlepiej czuje się w mroku.

ROZDZIAŁ 39

Darwin, Australia, Sobota, 12.08

Kilka minut po jedenastej rano TR-1 wylądował w szkole pilotów australijskich sił obronnych w Tamworth, w Nowej Południowej Walii. Nim upłynęło dziesięć minut, wypoczęty i naładowany energią Bob Herbert wjeżdżał rampą na wózek do brzucha helikoptera RAAF Bell 204. Zadzwoił wcześniej i zażyczył sobie podstawienie tej właśnie maszyny. Nie uczynił tego ze względu na swoje kalectwo. Nie chodziło o wygodę. Śmigłowiec był dostosowany do akcji zwiadowczej, jaką Herbert zaplanował. Był tak duży, że bez trudu mieścił na pokładzie pododdziały wojsk, i co ważniejsze, mógł zostać przekonfigurowany do przewozu rozpylaczy z wodą, używanych do gaszenia pożarów.

Po dziewięćdziesięciminutowej bezproblemowej, choć hałaśliwej podróży Herbert wylądował w Darwin. Przed opuszczeniem Tamworth oznajmił, że być może śmigłowiec będzie mu potrzebny przez kilka godzin dłużej. Pilot wyłączył wirnik i czekał, aż mężczyzna na wózku wysiądzie. Lowell Coffey oraz człowiek w mundurze czekali już na niego. Wojskowy budził podziw zdrową opalenizną, twarz Lowella miała kolor ziemisty.

Wojskowy przedstawił się jako chorąży George Jelbart. Przykucnął, by uścisnąć Herbertowi dłoń. Pierwszy raz ktoś tak zrobił. Prawdopodobnie uczynił to z grzeczności, chcąc nawiązać bezpośredni kontakt wzrokowy. Ale Herbert poczuł się niezręcznie. Odniósł niemal wrażenie, że wojskowy pogłaszcze go zaraz po głowie.

Gdy ruszyli w kierunku terminalu, Coffey spod zmarszczonych brwi rzucił

Herbertowi spojrzenie, wyrażające zdumienie tym widokiem. Herbert ucieszył się, że prawnik to dostrzegł. Nie był jednak pewien, jak wiele z tej sceny zdołał

zarejestrować jego zmęczony umysł. Przekrwione oczy oraz blada cera Coffeya nie pozostawiały wątpliwości, że krótka morska przygoda nie dostarczyła mu przyjemnych wrażeń.

-

Nie będę pytać, czy miał pan przyjemny lot, gdyż całodniowe eskapady zawsze są męczące - oświadczył Jelbart. Musiał mówić głośno, by jego słowa przebiły się przez silny wiatr. - Ale

doceniamy pana przybycie.

Przed lotniskiem czeka na nas samochód. Przygotowaliśmy też zimne napoje i kanapki. Czy oprócz tego życzy pan sobie czegoś jeszcze?

-

Nie, dziękuję - odparł Herbert.

-

Panie Herbert, dowódca sił obronnych poinformował mnie, że dzwonił pan wcześniej, życząc sobie podstawienia tej konkretnej maszyny - dorzucił Jelbart.

-

Tak. Z rejestru RAAF dostępnego w TR-1 dowiedziałem się, że dysponujecie tym typem śmigłowca - wyjaśnił Herbert.

-

I poprosił pan właśnie o ten model - kontynuował Jelbart.

-

Zgadza się.

-

Czy mogę zapytać, co pan zamierza? - naciskał wojskowy. - Mamy tu rozmaite typy śmigłowców.

-

Wiem o tym doskonale - odparł Herbert. - Ale ta maszyna ma w sobie coś szczególnego.

-

Czy byłby pan skłonny podzielić się z nami tą informacją? - Jelbart nie dawał za wygraną.

-

Porozmawiamy o tym, kiedy już będziemy w biurze.

-

W porządku - zgodził się chorąży.

-

Proszę mi coś wyjaśnić - podjął rozmowę Herbert. - Czy major Loh będzie brała udział w operacji?

-

Tak, będzie - potwierdził Jelbart. - Ale pragnę podkreślić, że cokolwiek zrobi, nie będzie to mieć nic wspólnego z oficjalnymi działaniami takich paktów jak ASEAN czy ANZUS. Ta operacja jest całkowicie niezależna.

ASEAN to Association of Southeast Nations (Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej), którego kartę podpisano w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku w Bangkoku. Do tego porozumienia o charakterze społeczno-gospodarczym, a de facto także obronnym przystąpiły Indonezja, Malezja, Singapur, Filipiny, Tajlandia oraz Brunei. Z kolei ANZUS, podpisany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, jest podobnym traktatem zawartym pomiędzy Australią, Nową Zelandią oraz Stanami Zjednoczonymi.

-

Dlaczego chce pan utrzymać w tajemnicy, co będziemy robić? - zapytał

Herbert. - Lowell, czy nie mówiłeś wcześniej, że Ellsworth nie mógł się doczekać na oficjalny udział Stanów Zjednoczonych w tym dochodzeniu?

-

Mówiłem - przyznał Coffey.

-

Tak było, zanim jeszcze na scenie pojawił się Darling - oznajmił Jelbart.

- Każde działanie podejmowane przez te struktury ma charakter jawny. Jeśli okaże się, że zabrnijemy w ślepią uliczkę, Jervis Darling nie może pod żadnym pozorem dowiedzieć się, iż był podejrzany.

-

Nieglupie - ocenił Herbert. - Darling dysponuje siłą, dzięki której może niszczyć ludzi i rozbijać banki. Prawdopodobnie byłby w stanie obalić rząd, jeśli postawiłby sobie taki cel i zgromadził odpowiednie środki.

-

Bez cienia wątpliwości - przytaknął Jelbart. - Major Loh jest tego samego zdania. Nie jestem nawet pewien, czy możemy otwarcie wymieniać jego nazwisko.

-

Zatem nadajmy mu kryptonim - zdecydował Herbert. - Jak się wam podoba na przykład kapitan Hook?

Jelbart uśmiechnął się

-

To do mnie przemawia.

-

W porządku - odparł Herbert i spojrzał na Coffeya. Dotarli już do budynku terminalu. Automatyczne drzwi uchyliły się. - Zrobiłeś się milczący, Lowell.

-

Owszem.

-

Jesteś też blady jak śnieg - dodał Herbert.

-

To też prawda - przyznał Coffey. - Panie Jelbart, twierdził pan, że na pokładzie nawet nie zauważę kołysania okrętu. Było jednak inaczej. Wciąż to czuję.

-

To dlatego, że siedział pan albo leżał zamiast stać - wyjaśnił wojskowy.

Wyraźnie wolał rozmawiać na tematy niezwiązane z osobą Jervisa Darlinga.

- I teraz mi pan to mówi!

-

Uczestniczyłem kiedyś w seminarium poświęconym homeostazie - kontynuował

Jelbart. - Było ono obowiązkowe dla personelu służącego na łodzi, w wodzie i w powietrzu. Dowiedzieliśmy się wtedy, że ciało dąży do szybkiego dostosowania się do nowych bodźców takich na przykład jak kołysanie na morzu czy stan nieważkości w kosmosie. Jest to coś analogicznego do instynktu przetrwania albo odporności organizmu. Jednak tego rodzaju dostosowanie jest najlepsze, gdy dany osobnik robi to, co zwykle: chodzi, rozmawia, spożywa posiłek i tym podobne.

-

To, co odczuwasz, Lowell, nie jest kołysaniem, lecz antykołysaniem wyzwolonym przez twój

organizm - dodał od siebie Herbert.

-

Nie rozumiem - stwierdził cichym głosem Coffey.

-

W nowym środowisku wyzwolony zostaje odruch ucieczki albo walki, a do krwi wydzielane są duże ilości adrenaliny - wyjaśnił Herbert. -

Gdy znajdziesz się na otwartym morzu, energia płynie do ośrodków zachowania równowagi. Wzrasta tętno, zwiększa się siła mięśni, rośnie metabolizm. Powrót do fizjologicznej normy musi trochę potrwać. Wraz z upływem czasu takie przestawianie się można coraz łatwiej kontrolować. Doświadczeni marynarze, jak chorąży Jelbart, przechodzą z jednego stanu w drugi, nie odczuwając żadnych sensacji.

Herbert nie miał pojęcia, czy jego słowa docierały do uszu Coffeya. Prawnik spoglądał prosto przed siebie, a jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

-

Jestem pod wrażeniem pańskiej wiedzy na ten temat, panie Herbert - wtrącił się do rozmowy Jelbart.

-

Wysłuchaliśmy tego samego wykładu. Pan w swojej firmie - odparł Herbert. -

Różnica dotyczyła nazwy. U nas nie było to seminarium na temat homeostazy, lecz wykład o akronimie DCCSR.

-

Co to znaczy? - zaciekał się Jelbart.

-

Dlaczego Chce Ci Się Rzygać - wyjaśnił Herbert.

Chorąży pokręcił głową i się uśmiechnął. Coffey nie zareagował. Był zbyt zajęty stawianiem jednej stopy przed drugą.

W podstawionym mikrobusie za kierownicą siedział cywil, stąd też w trakcie krótkiej jazdy nikt nie rozmawiał na temat czekającego ich zadania. Jelbart poinformował Herberta, że Darwin stanowi azjatyckie wrota Australii. Port lotniczy poddano ostatnio rozbudowie, ukończono też - kosztem

ponad czterech miliardów dolarów - linię kolejową łączącą Darwin z Adelajdą i innymi ważnymi miastami na południu Australii. Z pewnością rozwój miasta rysował się w świetlanej perspektywie. Śródmieście Darwin miało bardziej wielkomiejski charakter, niż Herbert sobie wyobrażał. Samochody i piesi przemykali tłumnie szerokimi, zalanymi słońcem alejami. Nowe dwudziestopiętrowe i wyższe wieżowce wyrastały zza ulic gęsto obsadzonych szpalerami drzew. Modne ekskluzywne salony umiejscowiły się w lokalach na parterze. Podobnie wyglądały Cleveland czy Charlotte albo inne mniejsze amerykańskie metropolie.

Być może to dlatego ludzie formatu Darlinga chcą przewrócić świat do góry nogami, pomyślał Herbert. Chociaż posiadał udziały w międzynarodowych korporacjach, być może nie akceptował globalizacji we własnym kraju. Tego rodzaju resentymy nie ograniczają się wyłącznie do narodów Trzeciego Świata oraz radykalnych reżimów. Nawet Kanadyjczycy borykają się z problemem nadmiernych wpływów amerykańskich.

Mikrobus zatrzymał się przed budynkiem Australian Central Credit Union. Cała grupa wjechała windą na dziesiąte piętro. Udali się bezpośrednio do biur MIC, gdzie przyjął ich Brian Ellsworth. Był zatroskany i nie tak pewny siebie jak chorąży Jelbart.

Ellsworth się boi, pomyślał Herbert.

Usiedli w ciepłej, nasłonecznionej sali konferencyjnej i zamknęli za sobą drzwi.

Jelbart odsunął jedno z krzeseł, a Herbert podjechał wózkiem do okrągłego stołu konferencyjnego. Nalał sobie wody i wziął pół kanapki z sałatką z tuńczyka.

Ugryzł kawałek i spojrzał przez okno. Przed jego oczyma rozciągał się widok na ocean. Sałatka z tuńczyka smakowała wybornie. Być może rybę złowiono i przyrządzono na miejscu. To było naprawdę nieduże miasto z wielkomiejskimi aspiracjami i typowymi problemami współczesnego świata. Nic dziwnego, że Ellsworth był wystraszony. Rozwiązania sytuacji kryzysowych dwudziestego pierwszego wieku istniały tylko na papierze. W praktyce Australijczycy wciąż toczyli wojnę z japońską Osiemnastą Armią o Nową Gwineę.

Byli silni, ale mało delikatni. Cechowała ich odwaga, a zarazem brak cierpliwości.

Jelbart nalał sobie kawy, wziął kanapkę i usiadł. Coffey też usiadł, ale nie zamierzał nic jeść. Ellsworth wolał stać.

-

Czy pan Herbert został o wszystkim poinformowany? - Ellsworth zwrócił się z pytaniem do Jelbarta.

-

Tak - odparł Jelbart.

-

Nie wiem jednak - wtrącił Herbert - gdzie przebywa major Loh.

-

Pojechała do szpitala, by jeszcze raz przyjrzeć się rozbitkowi z sampana -
oznajmił Jelbart. - Wkrótce do nas dołączy.

-

Ach, tak - kontynuował Herbert. - Mniemam, że szuka czegoś szczególnego?

-

Tego nie powiedziała - rzekł wojskowy.

-

Proszę mi wybaczyć, panie Herbert, ale musimy posuwać się do przodu -

oświadczył Ellsworth. - Kilku ministrów i pewien premier czekają na rezultaty naszego spotkania. Chorąży Jelbart i ja otrzymaliśmy pełnomocnictwa do przygotowania planu i podjęcia działań zmierzających do zlokalizowania zaginionego materiału radioaktywnego. Chcemy również zgromadzić dowody, które będą pomocne w zidentyfikowaniu oraz postawieniu w stan oskarżenia osób zamieszanych w kradzież i handel wspomnianym materiałem. Z oczywistych względów plan działania musi zostać sporządzony najszybciej, jak to tylko możliwe. Bardzo nam zależy na pana udziale.

Herbert spojrzał na Ellswortha.

-

Sądzę, że pojąłem, o co chodzi - oświadczył szef wywiadu. Znów ugryzł

kanapkę. - Istnieją dwa skuteczne sposoby realizacji tego zadania. Jednym z nich jest zastawienie pułapki. Będziemy udawać ludzi szukających na rynku gorącego smaru.

-

Gorącego smaru? - zapytał Ellsworth.

-

Materiałów rozszczepialnych - wyjaśnił Herbert. - Substancji, która wyzwala reakcję łańcuchową.

-

Wielki Boże! -jęknął Ellsworth.

-

Spróbujemy oddalić nieco widmo kataklizmu, żeby nie popaść w depresję -

wyznał Herbert. - Tak czy inaczej kłopoty z tym wariantem polegają na tym, że potrzeba całych tygodni, by przygotować dobry kamuflaż. Nie dysponujemy takim czasem. Dlatego sugeruję działać szybciej i mniej konwencjonalnie.

-

To znaczy? - zapytał Ellsworth, nie kryjąc zniecierpliwienia.

-

Wykurzimy sukinsynów z nory - odpowiedział szef wywiadu Centrum.

ROZDZIAŁ 40

Darwin, Australia, Sobota, 12.31

Monica Loh stała w szpitalnej sali za ołowianym ekranem i zaglądała do środka.

Drzwi za nią zamknęły się. Pachniało inaczej niż za pierwszym razem, kiedy tu była. Nie szpitalem, lecz piżmem. Nie było w tym nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę fakt, że pacjent przebywał tu już od dwóch dni. Miał cewnik i przyjmował

tylko płynne pokarmy. Stąd też pielęgniarki nie były przy nim zbyt zajęte.

Musiały tylko co sześć godzin przewracać go na drugi bok.

Marynarz wciąż nie odzyskiwał przytomności. Zdaniem lekarza był to po części rezultat eksplozji, a po części efekt zastosowanych środków przeciwbólowych oraz uspokajających.

Major Loh zapytała lekarza, czy możliwe byłoby nawiązanie kontaktu z pacjentem po chwilowym odstawieniu kroplówki.

- Obawiam się, że będzie tylko jęczał - odparł doktor. - I to głośno. Oparzenia, jakich doznał, są naprawdę bolesne.

Zatem nie zdobędzie tu żadnych informacji, podobnie jak żadnych przesłanek nie dostarczyły oględziny wraku. Przed wizytą w szpitalu była na dole. Wśród szczątków sampana poszukiwano

fragmentów jednostki, która przypuszczalnie została uszkodzona podczas wybuchu. Niczego nie znaleziono. Eksplozja nastąpiła na sampanie. Eksperci pobrali nawet próbki glonów z drewna, mając nadzieję, że tym sposobem można będzie wskazać region Morza Clebes, którym sampan płynął przez ostatnie godziny przed wybuchem. Niestety, organizmy zidentyfikowane przez naukowców należały do kolonii zamieszkujących ocean.

Tajemniczy statek i tajemniczy marynarz... Pierwsze informacje o ofierze dotarły do niej, kiedy byli na morzu. W singapurskim rejestrze podatkowym zaewidencjonowano ponad pięćset osób o nazwisku Lee Tong. Więcej niż połowa z nich odpowiadała wiekiem piratowi. Straż obrony wybrzeża wzięła się do ich sprawdzania. Ale to mogło potrwać kilka dni, a nawet tygodni. Gdyby udało się zidentyfikować tego, który tu leży, można byłoby szybko sprawdzić, z kim ostatnio kontaktował się na lądzie. I czy ktoś jeszcze z załogi sampana zdołał

przeżyć. Doktor Lansing poinformował ją, że przywróci Tonga do przytomności, jeśli ona udowodni, iż od odpowiedzi pirata może zależeć życie dziesiątków tysięcy ludzi. Jednak wcześniej nie udało się z niego wiele wydusić. Lansing i Ellsworth byli zgodni co do tego, że kolejne przesłuchanie przyniesie podobne rezultaty. Major Loh czuła jednak instynktownie, że warto byłoby podjąć to ryzyko. Gdyby była przekonana, że Tong przeżyje, naciskałaby na jego przetransportowanie do szpitala w Singapurze. Tamtejsi lekarze mieliby mniej skrupułów. W Singapurze przestępców traktowano z mniejszą pobłażliwością.

Lokalny rząd stawiał wyżej dobro publiczne niż samopoczucie rannego pirata.

Zamiast pracować, opierając się na informacjach źródłowych, choćby nawet fragmentarycznych, trzeba będzie przygotować plan działania, kierując się doświadczeniem amerykańskiego szpiega. Ten Bob Herbert mógł być błyskotliwym agentem wywiadu, jednak każdy jego wniosek będzie tylko hipotezą. To tak jakby żegłować po morzu bez map. Taki sposób działania nie przemawiał do Moniki Loh.

Major singapurskich wojsk ochrony wybrzeża wciąż spoglądała na obandażowanego Singapurczyka. Wydawał się taki opuszczony w tej czystej, białej pościeli.

Zaczęła rozmyślać o jego życiu. Wiedziała, że ludzie urodzeni w ubóstwie, pozbawieni szans, takich jak rodzinny interes czy koneksje, mieli przed sobą tylko trzy możliwości. Mogli wegetować w nędzy, wejść na drogę przestępstwa albo podpisać kontrakt na służbę wojskową bądź terminowanie u rzemieślnika. Co gorsza, jeśli pirat przeżyje, jego sytuacja po powrocie do Singapuru stanie się jeszcze trudniejsza. Z dużym prawdopodobieństwem właściciel zaatakowanej jednostki nie wysunie oskarżenia. Pirat nie trafi za kratki. Ale z uwagi na przeszłość, nie znajdzie już żadnej godnej pracy - poza najbardziej upokarzającymi i najgorzej płatnymi zajęciami. Z tego samego powodu stanie się obiektem zainteresowania policji. Każdy pracodawca będzie zobowiązany do składania władzom raportów o jego zachowaniu. Jeśli Tong weźmie udział w bójce, ukradnie jedzenie lub odzież bądź też opróżni czyjąś kieszeń, zostanie potraktowany z pełną surowością. Wychłoszczą go albo wsadzą do więzienia.

Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby doktor Lansing go obudził. Wtedy major Loh mogłaby zadać mu

kilka kluczowych pytań, a ranny pirat mógłby sobie umierać, uczyniwszy przedtem coś pożytecznego dla ludzkości.

Nie wolno myśleć w ten sposób, Loh upomniała siebie. Nie ma prawa wydawać wyroków.

Odwróciła się i wyszła na opustoszały korytarz. Funkcjonariusze policji z Darwin pilnowali, by nikt spoza upoważnionego personelu nie zbliżył się do pirata.

Legitymowali każdego, kto wjeżdżał na piętro. Pogłoski o tym, co zdarzyło się na Morzu Celebes, zdążyły się już rozejść. Rządowi Australii zależało bardzo na utrzymaniu w tajemnicy faktu, że sprawa dotyczyła szmuglowania materiałów radioaktywnych.

Na korytarzu czekał na Loh oficer z ośrodka wywiadu australijskiej marynarki wojennej, by zawieźć ją na spotkanie. Zjechali windą, nie mówiąc ani jednego słowa. Loh wciąż jeszcze rozmyślała o losie pirata. Zastanawiała się, co właściwie skłoniło go do zajęcia się bandyckim rzemiosłem. Jedną z przyczyn mogła być pewność siebie. Pływanie po morzu na sampanie to praca dla twardzieli.

Tylko wytrwali, doświadczeni marynarze mogli pozwolić sobie na takie eskapady, zwłaszcza z materiałami wybuchowymi na pokładzie.

Tacy ludzie byli zdolni zaatakować każdą jednostkę, pomyślała. Byli niczym wiosłarze z wielorybnych łodzi, którzy nie lękali się ścigać wielorybów.

Żaden statek nie był dla nich zbyt wielki, żadna załoga zbyt groźna.

Ten trop wydawał się mało istotny, lecz mógł okazać się pożyteczny. Być może były jeszcze inne, które przeoczyła. Major Loh odczuła w końcu odrobinę satysfakcji. Niewykluczone że ten biedny człowiek okaże się przydatniejszy, niż początkowo sądziła.

Złe uczynki Lee Tonga mogły dopomóc w wyłapywaniu potencjalnych terrorystów.

ROZDZIAŁ 41

Waszyngton, USA, Sobota, 0.23

Paul Hood nie mógł zasnąć. Dyrektor Centrum, ubrany w garnitur od Cahdna Kleina i wysłużoną koszulkę z logo drużyny futbolowej LA Rams, którą dostał kiedyś od Romana Gabriela, rozgrywającego, leżał na łóżku i spoglądał w sufit.

Przypatrywał się refleksom światła, rzucanym przez przejeżdżające auta lub przelatujące samoloty. Okno było lekko uchylone, żaluzje podciągnięte. Już kilka miesięcy wcześniej przeniósł się tu z pobliskiego hotelu, ale wciąż nie mógł się zebrać, by powiesić zasłony. Dobrze, że chociaż pamiętał

o najważniejszych sprawunkach. Pierwszej nocy okazało się, że brakuje papieru toaletowego. Musiał zastąpić go gazetą „Washington Post”.

Okna wychodziły na zachód, dlatego Hood nie miał możliwości podziwiać wschodzącego słońca. Prawdę mówiąc, było to dla niego bez znaczenia. Zwykle i tak budził się, zanim niebo robiło się jasne. Przypuszczalnie widział więcej wschodów słońca niż całe pokolenie kogutów, a zarazem spędzał na słońcu mniej czasu niż jakikolwiek inny mieszkaniec Waszyngtonu.

Nowy, pięciokondygnacyjny budynek otrzymał nazwę The Newport. Znajdował się przy Tyburn Court w Camp Springs, w Maryland, o kilka minut jazdy od bazy sił

powietrznych Andrews. Hood zajmował narożny apartament na najwyższym piętrze.

Dzięki temu miał dostęp do słonecznego tarasu na dachu, chociaż nigdy na nim nie był. Za każdym razem, gdy przebywały u niego dzieci, Alexander spał na sofie w salonie, natomiast Harleigh miała do dyspozycji drugą sypialnię. By ulżyć nieco niedoli Alexandra, który nie miał swojego pokoju, Hood trzymał w salonie konsolę PlayStation 2 oraz gry wideo.

Pokój był wyciszony. Zresztą to nie hałas nie pozwalał mu zasnąć. Nie chodziło też o sytuację w Australii. Przez ostatnich dziesięć lat Hood przeżył już kilkanaście podobnych kryzysów. Nauczył się radzić sobie z nimi, koncentrując się na pozytywnych aspektach. Co prawda metoda ta nie zamieniała kryzysu w przyjemność, ale przynajmniej można było nad nim zapanować. Ponadto obecnym przypadkiem zajmowali się już bardzo kompetentni ludzie. Gdyby był im potrzebny, wiedzieli, jak do niego dotrzeć.

Tak naprawdę, im więcej o tym myślał, tym bardziej czuł się nikomu niepotrzebny.

Nie chodziło mu o pracę w Centrum, lecz o jego życie prywatne. Życie Paula Hooda z upływem lat stawało się coraz bardziej monotonne, a dni podobne do siebie, tak jak te świetlne refleksy nad jego głową.

Na konsoli do gry zgromadził się kurz. Zauważył to wieczorem, gdy przechodził

obok telewizora. Ostatni raz dzieci były u niego ponad trzy tygodnie temu. Nawet nie spostrzegł, że upłynęło już tyle czasu. Nie czuł złości ani rozczarowania.

Nie chodziło też o to, że teraz częściej bywał w domu. Jego nastoletnie dzieci już dorastały. Nie brakowało im zajęć. Umawiały się na randki. Dwa razy w tygodniu Harleigh chodziła na seanse psychoterapeutyczne. Dziewczyna wciąż jeszcze cierpiała z powodu stresu, gdy przetrzymywali ją jako zakładniczkę w siedzibie ONZ-etu. Sesje rozpoczęły się w początkowej fazie, kiedy zamykała się w pokoju i nie chciała nikogo widzieć. Teraz znów chodziła do szkoły. Wznowiła też lekcje gry na skrzypcach. Ale wciąż jeszcze dopadały ją apatia i depresja.

Od czasu do czasu cierpiała też na ataki bólu głowy oraz zaburzenia żołądkowe o podłożu

psychosomatycznym. Środki terapeutyczne stosowano ostrożnie, a rezultaty przychodziły powoli. Częścią dolegliwości zajmowali się psychoterapeuci, leczenie innych wzięli na siebie Hood i Sharon. Jednak najlepsze skutki przynosiły jej kontakty z przyjaciółmi. Być może tego właśnie należało oczekiwać.

Dzieciaki są jak te samochody i samoloty za oknem, pomyślał Hood. Stopniowo oddalają się, poświęcając coraz mniej czasu i uwagi rodzicom. To normalna kolej rzeczy, z którą trzeba się pogodzić.

Hood martwił się, że nie potrafił niczym zapełnić otaczającej go pustki. Być może utrata aktywności w tej sferze sprawiła, że dostrzegł także inne luki.

Niewykluczone że Centrum nie było prowadzone jak należy. Zbudował skuteczny zespół, ale nie wyznaczył nowych zadań.

Może alternatywą było kandydowanie w wyborach do Senatu, rozmyślał bez entuzjazmu. Uczestniczenie w kampanii podobało mu się, podobnie jak wygłaszanie przemówień, kiedy walczył o fotel burmistrza Los Angeles. Być może wygrałby wybory, mianował sam siebie do komisji kontroli wywiadu i zaczął pracować po drugiej stronie ogrodzenia. Byłoby to z pewnością wielkie wyzwanie. Zwłaszcza gdyby najego miejsce nominowano Mike'a Rodgersa.

Temat wart był przemyślenia. Szczególnie od czasu, kiedy Hood stał się jednym z bohaterów walki o zakładników w siedzibie. Zdołał ocalić życie wielu dzieci, w tym również własnej córki. Wyborcy z pewnością by to uwzględnili.

Im więcej Hood o tym rozmyślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Być może powinien nawet wystartować w wyborach prezydenckich. Kilku wychowanków agencji wywiadowczych zdołało, tak czy inaczej, zasiąść w Gabinetcie Ovalnym.

Zastanawiał się jedynie, czy faktycznie tego właśnie pragnął. A może fotela senatorskiego? A może czegoś innego.

I wtedy odezwał się w nim zdrowy rozsądek. Pustka wcale nie wiąże się z tym, czy jesteś komuś potrzebny, usłyszał wewnętrzny głos. Nie wiązała się także ze sposobem zarabiania na życie. Wynikała z przyjętego po rozwodzie stylu życia.

Jego była żona umawiała się na randki. Miała pracę i poznawała nowych ludzi.

Paul Hood tego nie robił. Wszystko się zmieniało, świat, przepisy ruchu drogowego - tylko on się nie zmienił. Ani na jotę. Oczekiwał na przyjazdy dzieci. Czekał na kolejne kryzysy oraz na przybycie specjalistów z Centrum od sytuacji kryzysowych. Kiedy nie przychodzili, zaczynał narzekać na nudę własnej egzystencji.

Ponowne ubieganie się o pełniony urząd również nie było kiepskim pomysłem, rozmyślał Hood. Ale nie była to decyzja, którą należało podjąć w ciągu jednej bezsennej nocy. Nie w chwili, gdy głowa pełna była ponurych przemyśleń, a w sercu królowała pustka. Nie w momencie, kiedy Hood

powinien najpierw poczynić mniejsze kroki.

Tylko jakie?

Choćby zadzwonić do Daphne Connors i umówić się z nią na drugie spotkanie, odpowiedział sobie, opuszczając powieki i przywołując przyjemne chwile z ich pierwszej randki.

ROZDZIAŁ 42

Cairns, Australia, Sobota, 17.57

Paul Leyland, młodszy kapitan Północnej Terenowej Brygady Straży Pożarnej stanu Queensland, odczuwał głęboką satysfakcję z życia, jakie prowadził.

Mężczyzna o ciekawych brązowych oczach stał na platformie widokowej biegnącej dookoła wieży obserwacyjnej. Strzegł świata i ludzkiego życia, które powierzono jemu i podległemu mu zespołowi. Czuł się niemal tak, jak jeden z antycznych bogów. Każde z bóstw sprawowało pieczę nad określoną sferą- wojną, urodzajem, światem podziemi czy też domowym ogniskiem. Młodszy kapitan Leyland nie wyobrażał sobie większej odpowiedzialności niż ochrona własnego kraju i jego mieszkańców. Nie było też większej nagrody ponad dobre wywiązywanie się z powierzonych obowiązków.

W promieniach zachodzącego słońca łysa głowa Leylanda zdawała się lśnić niczym rozżarzone węgle. Skóra była mocno napięta i spocona. Strażak nie cierpiał

kapeluszy. Pieszczota słońca na łysinie sprawiała mu ogromną przyjemność. Z tego właśnie powodu wolał stać na zewnątrz, niż siedzieć w wieży. Zgodnie ze starym dowcipem, łysa pała jest jak bateria słoneczna dla męskiej aktywności seksualnej. W przypadku Leylanda bateria ładowała się, ale nie była używana. To słońce stanowiło dla niego jedyny obiekt pożądania. Krzaczaste rude brwi oraz sumiasty wąs chroniły przed potem oczy oraz usta. Zapas płynów Leyland uzupełniał, popijając regularnie z manierki zatkniętej za strażackim pasem. Było to staromodne, metalowe naczynie, jakże inne od plastikowych butelek, używanych przez pracujących z nim młodziaków. Leyland lubił dotyk i smak gorącej, pachnącej metalem wody.

Były pilot Morskiej Grupy Patrolowej Królewskich Australijskich Sił

Powietrznych, mierzący sto siedemdziesiąt centymetrów, przepracował w straży pożarnej sześć z czterdziestu dwóch lat, które sobie liczył. Ostatnio zrezygnował z awansu na kapitana, gdyż nie chciał pracować w biurze lub w remizie. Pragnął zostać tu na miejscu, w wieży obserwacyjnej w Cairns, wraz ze swym koalą o imieniu Mały Maluka. Z wysokości blisko sześćdziesięciu metrów mógł obserwować płaskowyż Atherton na przestrzeni wielu kilometrów w każdym kierunku.

Wiatr od oceanu był równie niezmienny, co słoneczny skwar. Leyland potrafił

poczuć zapach pożaru, zanim jeszcze go dostrzegł, nawet jeśli wiatr wiał w przeciwnym kierunku. To był niezwykle przydatny dar. Wyżyny wokół Cairns, z rozrzuconymi farmami, wulkanicznymi jeziorami oraz wodospadami i tropikalnym lasem deszczowym, należały do najważniejszych atrakcji turystycznych w całym kraju. Kolej widokowa Kuranda oraz kolejka linowa Skyrail Rainforest przewoziły rocznie pięć razy więcej pasażerów niż koleje podmiejskie w stanie Queensland.

Paul Leyland, jego stały dwuosobowy personel oraz Mały Maluka tworzyli razem drużynę Kadoova, jak sami siebie nazywali. Byli grupą szaleńców, dla których bezpieczeństwo innych liczyło się bardziej niż własna wygoda.

Wieżę obserwacyjną wzniesiono na szczycie wzgórza o wysokości stu osiemdziesięciu metrów. Prowadziła do niej dwupasmowa, utwardzona droga, było też lądowisko dla helikopterów. Konstrukcję wieży wykonano z nielakierowanego drewna. Cegły i pustaki wprawdzie zapewniały bezpieczeństwo w razie pożaru, ale ich użycie do budowli na szczycie wzgórza było problematyczne. Podmywany grunt nieustannie się osuwał. Kruszejąca zaprawa murarska groziła zawaleniem. Wieża, zbudowana z elementów metalowych, nagrzewała się do granic wytrzymałości. Mogło to przeszkadzać Małemu Maluce i reszcie personelu, ale Leyland był w stanie znieść wszystko. W gruncie rzeczy pochodzący z Cairns mężczyzna uwielbiał

skrajności.

W pomieszczeniach wieży znajdowały się aparatura do nawiązywania łączności oraz dwumetrowa alidada. Na górnej powierzchni obrotowej poziomej tarczy naniesiono mapę z pionowymi znacznikami określającymi kąty. Ze szczytu wieży rozciągał się widok na wszystkie strony świata. Instrument pomiarowy służył do precyzyjnego lokalizowania pożaru. W oczach Leylanda alidada była światem w miniaturze.

Spoglądając na nią, jeszcze bardziej czuł się jak bóg.

Pozostali członkowie jego drużyny, John Smolley zwany Pajakiem, oraz Eva Summers urzędowali w małej chacie zbudowanej z bali, która stała nieopodal wieży. Mały Maluka był ich maskotką i zazwyczaj przebywał w dużym kojcu obok chaty. Doznał

ciężkich obrażeń podczas jednego z pożarów, ale wyzdrowiał dzięki troskliwej opiece ludzi. Kiedy mały torbacz odzyskał siły na tyle, by mógł powrócić na wolność, zdecydował się pozostać z nimi. Właściwie dlaczego miał odchodzić? Eva dostarczała mu codziennie świeże eukaliptusowe liście, stanowiące jego dietę.

Imię dla zwierzęcia wymyślił Leyland. Słowo „maluka” w narzeczu aborygenów oznaczało „szefa”.

Wnętrze chaty było klimatyzowane. Stał w niej telewizor oraz odtwarzacz DVD.

Młodzi spędzali większość czasu na oglądaniu telewizji oraz rozmowach przez radio. Kiedy jednak

zachodziła potrzeba, natychmiast byli gotowi do akcji. Bez wahania ryzykowali własne życie. Cała trójka zjawiała się zazwyczaj jako pierwsza na miejscu zdarzeń, pomagając ochotnikom przy ewakuacji mieszkańców, wyrąbywaniu przecinek oraz koordynując działania strażaków. Jednak żadne z podwładnych Leylanda nie czuło tego samego co on - że ta kraina była Niebem, zaś on sam Świętym Piotrem. Gdy szatan z czerwonym jęzorem pojawiał się u wrót niebios, pokonanie go stawało się najświętszym obowiązkiem.

Mały Maluka leżał na miękkim grzbiecie obok buta Leylanda. Oczy zwierzęcia były przymknięte. Wokół dużego czarnego nosa widniała biaława blizna, inne rysowały się na nogach torbacza. Prawdopodobnie w tych miejscach nigdy już nie wyrośnie szare futerko. Ale mimo to wszystko było w porządku, pomyślał Leyland. Blizny czyniły z małego koali twardziela. Przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Misie koala nie miały prawdziwych wrogów poza ludźmi. Przez całe stulecia człowiek polował na nie, by zdobyć mięso i futro. Obecnie prawo tego zabraniało. Strażak uniósł stopę. Palcem nogi dotknął wypiętego brzucha zwierzęcia. Koala zamruczał, ale nie uniósł powiek.

-

Prawdziwy z ciebie twardziel - mrucał pod nosem Leyland. - Ty leniwy fajtłapo. Pewnie spałeś, kiedy las się palił, i dlatego zostałeś poparzony.

-

Wcale nie jest fajtłapą- odezwał się przez radio kobiecy głos. To była Eva, siedząca w chacie przy głównej radiostacji.

Leyland zawsze chodził z włączonym radiem. W nagłych przypadkach sekunda lub dwie mogły okazać się decydujące.

-

Masz rację. Ale na pewno jest leniem. Nawet się nie rusza, tylko mruczy niczym spasiony kocur.

-

Kiedy komenda straży zacznie tworzyć drużynę misiów koala, on na pewno zaciągnie się jako pierwszy... nie rozłączaj się - powiedziała Eva, sama sobie przerywając. - Mam rozmowę.

Na szyi Leylanda wisiała niewielka, ale solidna lornetka. Sięgnął po nią i ruszył szybkim krokiem wkoło wieży. Jeśli zgłoszono pożar, być może będzie w stanie dostrzec pożogę. Nic jednak nie widział.

-

Kapitanie, przełączam rozmowę do pana - meldowała Eva.

-

O co chodzi? - zapytał Leyland i wyciągnął radio z za pasa. Przyłożył urządzenie do ucha. Górną część zdobił ochronny kołnierz, który umożliwiał rozmowę podczas lotu helikopterem albo w środku ryczącego żywiołu.

-

Nie mam pojęcia, o co chodzi - informowała. - Nie chcą mi powiedzieć.

-

Kto nie chce ci powiedzieć?

-

Tego też nie wiem, nie przedstawili się - odpowiedziała.

-

Lepiej, żeby to nie był jakiś dowcipniś - stwierdził groźnie Leyland.

-

To co mówi, nie wygląda na żarty. Łączę.

Czekając na połączenie, Leyland wysunął dolną wargę i zdmuchnął z wąsów krople potu. Zwykle tak robił, kiedy coś go zaniepokoiło. Nie przywykł do tajemniczych telefonów. Obserwował korony drzew po stronie północno-zachodniej. Czasem tam wybuchały pożary, na terenie obozowisk.

-

Kapitan Leyland? - zapytał rozmówca.

-

Tak. Kto mówi?

-

Chorąży George Jelbart, ośrodek wywiadu marynarki wojennej - poinformował człowieka po drugiej stronie łącza.

-

Czy coś się dzieje? - dopytywał się Leyland. Wojskowy dzwonił z pokładu helikoptera. W słuchawce słychać było szum silnika.

-

Nie chodzi o pożar, jeśli o to pan pyta - odparł Jelbart.

Leyland odetchnął z ulgą. Opuścił lornetkę.

-

Ale jednak coś się dzieje. - Chorąży podjął rozmowę. - Przybywamy tu, żeby to z panem omówić.

-

My? - zapytał Leyland.

-

Dowie się pan wszystkiego, gdy dolecimy - zdecydował Jelbart. - Powinniśmy dotrzeć do lądowiska dla śmigłowców za jakiś kwadrans.

Prosimy o zgodę na lądowanie.

-

Jaki typ maszyny?

-

Bell 204 - poinformował wojskowy.

-

Starczy dla was miejsca. Macie zgodę - oświadczył strażak.

-

Sprawdziliśmy to przed startem - odparł Jelbart. - Mimo to dzięki za wsparcie.

Wojskowy rozłączył się. Leyland ponownie wsunął radio za pas. Urządzenie przełączyło się automatycznie na nasłuch stacji w bazie. Mężczyzna był nie tylko zaintrygowany tą rozmową, ale także zaniepokojony. Nie cierpiał

niejasnych sytuacji. Mógł poprosić o więcej informacji, ale z drugiej strony nie lubił tracić niepotrzebnie energii. Gdyby chorąży chciał, żeby strażak wiedział

więcej, to by go oświecił.

-

Eva, każ Pająkowi wejść tu na górę i mieć oko na wszystko - polecił

Leyland. - Wybieram się na lądowisko dla śmigłowców.

-

Robi się - odparła Eva, przekazawszy uprzednio rozkaz Spiderowi. -

Co się właściwie dzieje?

-

Będziemy mieli gości - odpowiedział Leyland. - Wpadnie tu kilku facetów z wywiadu australijskiej marynarki wojennej.

-

Brzmi całkiem poważnie - zawyrokowała Eva. - Czy faktycznie tak jest?

-

Pamiętasz, kiedy ostatni raz odwiedził nas ktoś spoza straży pożarnej? -
odpowiedział pytaniem Leyland.

-

Nigdy, jak pracuję tu trzy lata - odparła.

- I ani razu w ciągu sześciu lat, które tu spędziłem - oznajmił Leyland i zaczął
schodzić w dół po drabinie umieszczonej pośrodku wieży.

-

Nie bardzo rozumiem - powiedziała.

-

Nikt tu nie przychodzi, jeśli sprawa nie jest poważna - zamknął temat Leyland.

Lowell Coffey nie był w stanie rozstrzygnąć, co znosił gorzej - rejs na korwecie czy lot helikopterem. Jednostka pływająca niemiłosiernie kołysała pasażerami, raz w jedną stronę, raz w drugą. Ale helikopter wpadał w szalone wibracje, a ryk silnika wżerał się w mózg. I to, i to było udręką. Odruch walki lub ucieczki

-jak nazywali tę sytuację Jelbart i Coffey - pobudzał go wyłącznie do wzięcia nóg za pas. Jedynym powodem, dla którego Coffey rozmyślał nad tym, co różniło pływanie od latania, było odwrócenie uwagi od przeżywanych cierpień.

Wreszcie Coffey uznał, że lot helikopterem jest jeszcze gorszy od pływania. Na korwecie dysponował przynajmniej pewną swobodą. Tutaj siedział ściśnięty między major Loh i Bobem Herbertem na twardej ławeczce przeznaczonej jedynie dla dwóch osób. Pilot i Jelbart siedzieli przed nimi. Wózek inwalidzki Herberta umieszczono w małej ładowni za tylnym siedzeniem.

Herbert wniósł nowy element do prac ekipy. Był to plan zebrania poufnych informacji na temat Jervisa Darlinga.

Przez pierwszą połowę podróży plan ten zajmował całkowicie myśli Coffeya. Z

jednej strony nie miał pewności, czy w ogóle da się go zrealizować. Był to jednak jedyny pomysł. Dlatego musiał być wprowadzony w życie. Z drugiej strony prawnik miał wątpliwości, czy działają legalnie. Ale przecież nie szykowali się do rozprawy sądowej. Przynajmniej na razie. Jak stwierdził Jelbart, ich celem było odnalezienie wykradzionych materiałów radioaktywnych. Powiązanie tej sprawy z Darlingiem mogło nastąpić później.

Fakt wtajemniczenia w operację dodatkowych osób również nie przepełniał Coffeya poczuciem szczęścia. Nie miał wprawdzie wątpliwości, że personel Północnej Terenowej Brygady Straży Pożarnej stanu Queensland cechował się odwagą godną żołnierzy. Jednak Jelbart przyznał, że miejscowi ludzie wykazywali bezwzględną lojalność wobec Jervisa Darlinga. Magnat sownie subwencjonował lokalne programy sportowe, ugrupowania ekologiczne, organizacje municypalne oraz akcje charytatywne. Ponieważ powody podejmowanych działań były utajnione, strażacy mogli odmówić udziału w inwigilowaniu swego dobroczyńcy. I mogli nie zezwolić na korzystanie z ich kanałów radiowych. Byłaby to strata czasu i mogłoby dojść do przecieków. Ich zgodę należało osiągnąć w drodze taktownej perswazji.

Bob Herbert potrafił być przekonujący, ale nie grzeszył taktem. Jelbart był

wprawdzie ich rodakiem, ale on również nie był zbyt delikatny. Z kolei Monica Loh była Azjatką. Australijczycy z prowincji cechowali się wrodzoną nieufnością wobec wszelkich przybyszy. Mieli się na baczności zwłaszcza przed tak zwanym

„azjatyckim desantem”. W czasach mniej drażliwych politycznie używano określenia

„żółte zagrożenie”. Liberalna dusza Lowella Coffeya odnosiła się z odrazą do tego zwrotu. Używał go cały zachodni świat przed oraz w czasie II wojny światowej, w szczególności w odniesieniu do Japończyków. Określenie odżyło, kiedy w Chinach do władzy doszli komuniści. A stało się bardziej popularne w trakcie konfliktów w Korei i potem w Wietnamie. Z punktu widzenia Australijczyków zagrożenie to nie miało charakteru militarnej konfrontacji.

Chodziło o bardzo realne niebezpieczeństwo utraty miejsc pracy i obniżenie gospodarczej prosperity wszystkich narodów zamieszkujących azjatyckie wybrzeża Pacyfiku. W większości państw Azji świadczenia społeczne były znacznie skromniejsze niż w przypadku australijskiej klasy pracującej. Firma z szóstego kontynentu mogła zatrudnić dwudziestu tajwańskich marynarzy lub tkaczy w cenie trzech Australijczyków. Wielu spośród tych robotników w ojczystym kraju ledwo wiązało koniec z końcem.

Każdego roku wzdłuż liczącego dwanaście tysięcy kilometrów wybrzeża do Australii przedostawały się tysiące nielegalnych imigrantów. Znajdowali potem pracę w przemyśle, w rybołówstwie oraz w przetwórstwie spożywczym. Większość zarabianych pieniędzy przesyłali do domu, po raz drugi uderzając w ten sposób w lokalną gospodarkę. W rezultacie ich wpływ na egzystencję i dobrobyt dwudziestomilionowego narodu był naprawdę znaczący.

Jedynymi ludźmi w zespole, posiadającymi umiejętności dyplomatyczne, byli Coffey i Ellsworth. Ten drugi pozostał na miejscu, by pełnić funkcję łącznika między poszczególnymi agencjami wywiadowczymi. Dodatkowy ciężar spadał więc na barki Coffeya, i tak już udręczonego cierpieniem.

Helikopter przesunął się nad grzbietem i obniżył lot w kierunku oznaczonego na biało koła lądowiska, znajdującego się na szczycie wzgórza. Gdy wylądował, Coffey uznał, że w ostatecznym rozrachunku lot helikopterem jest rzeczywiście przyjemniejszy niż rejs korwetą. W dodatku podróż była nieporównywalnie krótsza.

Śmigłowiec wylądował bez najmniejszego wstrząsu. Po wyłączeniu wirnika z maszyny wyskoczył Jelbart, który zauważył idącego połą drogą w ich kierunku mężczyznę.

Z tyłu, jakieś trzysta metrów za nim, lśniła w słońcu wieża obserwacyjna. Kiedy pilot wyciągał wózek Herberta, major Loh i Coffey dołączyli do Jelbarta. Przez cały czas podróży major zachowywała milczenie, a jej twarz była bez wyrazu. Być może Loh odczuwała dyskomfort, przebywając w Australii. Lub przeciwnie, koncentrowała się na wykonaniu zadania. Albo jedno i drugie. Nie można było także wykluczyć ewentualności, że to Coffey studził chęć rozmowy. Spędziwszy całe zawodowe życie w otoczeniu polityków i prawników, po prostu odwykł od ludzi, którzy milczeli, gdy nie mieli nic do powiedzenia.

Coffey czekał przy helikopterze, dopóki Herbert nie znalazł się w swoim wózku.

Nawet pozbawiony tego środka lokomocji szef wywiadu Centrum Szybkiego Reagowania wykazywał zdumiewającą ruchliwość. Mięśnie jego ramion były wyraźnie zarysowane.

Z niezwykłą łatwością mógł przedostać się na drugą stronę przejścia lub wskoczyć na biurko, gdyby

zaszła potrzeba zaatakowania kogoś po drugiej stronie. Mocarne palce Herberta były zapewne w stanie wydrapać dziury w betonie. Bez niczyjej pomocy Bob przemieścił się od drzwi śmigłowca na swój wózek. Scena ta mogła budzić podziw.

Coffey sobie zupełnie inaczej wyobrażał funkcjonariusza straży pożarnej.

Spodziewał się, że Paul Leyland będzie mężczyzną o pokaźnej posturze i nienagannym wyglądzie, kowbojem gotowym do akcji, przyozdobionym szczyptą kolorytu australijskiego buszu.

Tymczasem Paul Leyland prezentował się niezbyt okazale. Oliwkowo-zielony mundur był pomięty, na kołnierzu, pod pachami i z tyłu za kolanami widniały plamy potu.

Miał zaczerwienioną skórę, a do butów przyczepiły mu się kępki sierści. Nie był zbyt wysoki, a jego łysa głowa ociekała potem.

-

Myślę, że będziemy w stanie dogadać się z tym gościem - oznajmił Herbert, gdy podeszli bliżej.

-

Na jakiej podstawie tak sądzisz? - zapytał Coffey.

-

Uwzględniam dwie rzeczy. Po pierwsze, uśmiechnął się, kiedy podawał rękę major Loh - stwierdził Herbert.

- I co z tego? Może lubi kobiety - powiedział Coffey.

-

W tym rzecz - potwierdził Herbert. - Nie nosi obrączki. Przez większość dnia przebywa w tym drewnianym domu. Loh okaże się prawdziwym atutem.

-

To dość pochopny wniosek - zauważył sceptycznie Coffey. - Jelbart mówił, że Leylandowi podlega służbowo młoda kobieta.

-

Właśnie - podchwycił Herbert. - Tym lepiej dla nas.

-

Jak to?

-

Ona jest jedyną kobietą strażakiem w tym departamencie - tłumaczył

prawnikowi Herbert. - Musiał wyrazić zgodę na jej służbę w tym miejscu. Lubi więc mieć wokół siebie niewiasty i nie zwraca uwagi na to, czy kobieta jest cudzoziemką. To moje drugie spostrzeżenie. Leyland cechuje się otwartym i niezależnym umysłem.

-

Ani jedno, ani drugie mnie nie przekonuje - wciąż powątpiewał Coffey.

-

Kolacja w restauracji 1789 w Georgetown potwierdza, że mam rację -
oznajmił Herbert.

-

Czy we wszystkich sprawach musimy nieustannie toczyć wojnę? -
zaprotestował Coffey.

-

To nie wojna. Nazwałbym to dyskusją na argumenty. Wchodzisz do gry? -
naciskał Herbert.

-

Wchodzę - ustąpił Coffey.

Mężczyźni opuścili lądowisko. Przeszli przez mokrą trawę i dołączyli do reszty.

Całą grupę jaskrawo oświetlały reflektory zamontowane przy ziemi wokół
lądowiska. Jelbart przedstawił pozostałych gości.

-

Jak rozumiem jest pan człowiekiem z zewnątrz, który kieruje zespołem -
powiedział Leyland, ściskając dłoń Herberta.

Coffey dostrzegł, że kapitan tym razem się nie uśmiechnął. Lecz Herbert owszem.

Kącikiem ust, do Coffeya.

-

Prawdę mówiąc operacją kierujemy wspólnie z major Loh - sprostował

Herbert.

Oboje, Jelbart i Loh, spojrzeli na szefa wywiadu Centrum. Twarz kobiety pozostała niewzruszona, natomiast Jelbart wydał się nieco zaskoczony.

-

Rozumiem - odparł Leyland. - W takim razie które z was zamierza poinformować mnie dokładnie, na czym polega ta operacja? I czy moglibyśmy udać się w tym celu do służbówki?

Wskazał mały budynek stojący u stóp wieży.

-

Za parę minut na zewnątrz robi się naprawdę chłodno. W środku będzie wam wygodniej.

-

Byliśmy ostatnio nieco stłoczeni - odezwał się Herbert. - I zapewniam, że nie pozostaniemy na dworze zbyt długo.

-

W porządku - odparł Leyland. - O czym chce pan powiedzieć?

-

Po pierwsze, dyskrecja - oświadczył Herbert. - Nic z tego, o czym będziemy rozmawiać, nie może być przekazane dalej.

-

Potrafię dotrzymać tajemnicy - zapewnił Leyland. - Proszę tylko, żeby powiedział mi pan jedno. Czy to, co chcecie zrobić, jest zgodne z prawem?

-

Teoretycznie tak, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moimi oczekiwaniami -

odparł Herbert.

Leyland spojrzał na niego ze zdziwieniem.

-

To tak, jakby powiedział pan, że zapałka jest bezpieczna, dopóki się jej nie zapali.

-

Kapitanie Leyland, jestem prawnikiem - przerwał im Coffey. - Sytuację można przyrównać do wyważania drzwi w domu ogarniętym pożarem. Z formalnego punktu widzenia jest to włamanie. Jednak pod każdym innym względem jest to właściwe postępowanie.

-

To prawnicza gadka trawa - odparł Leyland. - Zatem muszę odmówić.

-

Zajmujemy się sprawą dotyczącą bezpieczeństwa narodowego.

-

Raczej bezpieczeństwa międzynarodowego - dodała major Loh.

-

Właśnie - zgodził się Jelbart. - Możemy długo deliberować o subtelnych kwestiach etycznych w konfrontacji z przepisami prawa, jeśli tego pan sobie życzy. Albo zajmiemy się ratowaniem życia milionów ludzi. Którą opcję pan wybiera?

Leyland spojrzał na przybyszy.

-

Jestem tu, by ratować ludzkie życie; Słucham więc, co macie do powiedzenia.

-

Dzięki. - Jelbart odetchnął z ulgą.

-

Kapitanie, czy łączą pana jakiekolwiek stosunki osobiste lub zawodowe z Jervisem Darlingiem? - spytał Herbert.

-

Dwa razy w tygodniu urządzamy wspólne strzelanie do rzutków - odpowiedział

Leyland.

-

To fantastyczne - ucieszył się Coffey.

-

Żartowałem - wyprowadził go z błędu Leyland. - Z panem Darlingiem nie łączą mnie żadne stosunki natury prywatnej czy zawodowej.

Prawdę mówiąc, widziałem tylko tyłek jego helikoptera.

-

A w kwestii gaszenia pożarów? - dopytywał się Herbert.

-

Nasza brygada nawet nie obserwuje jego posiadłości - odpowiedział Leyland.

- On ma własną ochronę oraz własną służbę przeciwpożarową.

-

To samo mi powiedziano - powiedział Herbert. - Wciąż jednak nie tracę nadziei, że gdzieś istnieje jakaś luka. Potrzebuję jakiegoś pretekstu, by dostać się do jego posiadłości.

-

Do posiadłości czy do domu? - dociekał Leyland.

-

Do domu - uściślił Herbert.

-

Ma pan na myśli na przykład prośbę o skorzystanie z klopa?

-

Nie, musi to być znacznie poważniejszy powód - wyjaśnił Herbert. -

Zakładając, że pan Darling przebywa w domu, muszę znaleźć się w jego rezydencji na około dziesięć minut, gdy wyjdzie na zewnątrz. Czy byłby pan w stanie znaleźć przepisy prawne uzasadniające konieczność sprawdzenia terenu pod zarzutem złamania przepisów przeciwpożarowych?

-

Tylko w przypadku, gdyby wybuchł tam pożar - wytłumaczył Leyland. -

Wówczas dysponujemy prawem przeprowadzania inspekcji. Wolno nam badać przyczynę pożarów po to, żeby nie doszło do następnych. Ale niech mnie pan nie prosi, żebym podłożył ogień. Od dwóch tygodni nie padało. Pożar mógłby rozprzestrzenić się na całą okolicę.

-

Nie zamierzaliśmy prosić pana o podłożenie ognia. - Herbert rozwiął wątpliwości.

Coffey obserwował, jak wyraz twarzy Herberta zmieniał się od pełnego nadziei do pełnego złości. Najwidoczniej szef wywiadu był przekonany, że znalazł właściwy sposób.

-

Chciałbym o coś zapytać - odezwał się Leyland. - Czy musi pan spotkać się osobiście z Darlingiem?

-

Nie, jego obecność nie jest konieczna - odparł Herbert.

-

Powinien wręcz przebywać poza domem - odpowiedział Jelbart.

-

W takim razie mam pewien pomysł, który mógłby zadziałać, choć potrzebujemy do niego prawdziwego łgarza - kontynuował Leyland.

-

Mamy takich ludzi pod ręką - stwierdził Herbert. - Proszę kontynuować.

-

Jestem przekonany, że pan Darling chętniej porozmawia z nami niż z grupą ludzi, którzy mogą mu narobić problemów - odparł Leyland.

-

Kogo ma pan na myśli? - zapytał Jelbart.

Proszę pójść ze mną- odpowiedział Leyland, kierując się do wieży obserwacyjnej. - Zamierzam wam pokazać, jak możecie wbić stempel do waszego paszportu.

ROZDZIAŁ 44

Waszyngton, Sobota, 7.31

Oprócz Matta Stolla nie było ani jednego pracownika szczebla operacyjnego, kiedy Paul Hood przybył do biura. Nic dziwnego. Był przecież sobotni poranek.

Hood wpadał teraz w sobotnie ranki, gdyż po prostu nie miał dokąd pójść. Bez względu na to, gdzie przebywał, mógł odebrać aktualne informacje od Herberta lub Coffeya. Miał tego dnia między innymi zatelefonować do Daphne Connors i spytać, czy spędzi z nim ten wieczór. Jeśli nie zmusi sam siebie, nikt nie przyjdzie mu z pomocą.

Stoll przychodził zwykle w weekendy, by pisać programy lub testować oprogramowanie, którego nie zdążył uruchomić w ciągu tygodnia. Komputerowy geniusz nie udzielał się towarzysko od czasu, gdy w mieście odbyła się konwencja technologiczna. Nie wykazywał żadnego zainteresowania kobietami, które nie nadawały na jego fali.

-

Kobieta nie musi znać propagacji bramki w obszarze brzegowym wysokiej częstotliwości, chociaż byłaby wtedy ideałem - powiedział któregoś dnia. - Ale powinna wiedzieć, ile megabajtów pamięci ma jej pecet oraz co z tego wynika.

Jeśli muszę jej to wyjaśniać, to nie mam co liczyć na udany seks.

Hood nie bardzo pojmował, dla kogo seks nie będzie udany i dlaczego. Cieszył się, że nie jest tego świadomy.

Jak się okazało, piękny niczym cherubin Stoll nie przybył dziś po to, by majstrować przy nowym programie. Oznajmił, że dzwonił do niego Bob Herbert i poprosił go o coś bardzo specjalnego.

-

Bob chce, żebym uruchomił mu Hoovera - monotonnym i bezbarwnym głosem relacjonował Stoll. Za każdym razem, kiedy informatyk demonstrował podniecenie, jego palce poruszały się po klawiaturze z niesamowitą prędkością. Właśnie w tej chwili zdumiewająco szybko stukał w klawisze.

-

Cóż to takiego? - zapytał dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania.

Nagle odezwało się w nim współczucie dla każdej kobiety, która na swej drodze spotkała Stolla.

-

Hoover to odkurzacz do zasysania danych - wyjaśnił Stoll. - Bob zamierza wykorzystać swój komputer zainstalowany na wózku jako strefę zrzutu dla zewnętrznego źródła.

-

Chcesz przez to powiedzieć, że podłączymy się do Boba, on zaś podłączy się do czegoś innego - powiedział Hood. - Posłuży jako kanał, który pozwoli nam odczytać to „coś innego”.

-

Nie potrafiłbym ująć tego lepiej - wyznał Stoll.

-

Do czego Bob zamierza się podłączyć? - Hood nie krył ciekawości.

-

Dzwonił na chwilę przed tym, jak baterie w jego wózku miały być doładowane z agregatu w helikopterze, dlatego nie zdołał przekazać zbyt wielu szczegółów -relacjonował informatyk. - Najprawdopodobniej Bob zamierza dostać się na teren posiadłości Jervisa Darlinga. Chce się podłączyć do jego systemu telefonicznego.

-

Po co? Sądziłem, że mamy już dostęp do billingów Darlinga.

-

Owszem - potwierdził Stoll. - Jeśli jednak wykorzystuje on własną podsieć, by prowadzić bezpieczne rozmowy, nie są one zapisywane w bazie danych operatora.

Gdy Bobowi uda się wpiąć bezpośrednio do sieci, dotrze do miejsca nawiązywania połączeń. Dzięki temu zyska dostęp do

wszystkich numerów zapisanych w pamięci telefonów.

-

A jeśli te numery nie zostały zaprogramowane? - zapytał Hood.

-

Większość aparatów telefonicznych w taki czy inny sposób przechowuje te informacje - zapewnił go Stoll. - Funkcja „powtórne wybieranie” zapamiętuje zwykle od dziesięciu do dwudziestu numerów. Wymazywanie ich wymagałoby zbudowania specjalnego układu, który jest

bardzo drogi. Numery są więc przez system przewijane, nie wymazywane. Większość ludzi o tym nie wie.

-

A co z rozmowami przychodzącymi? - Chciał jeszcze wiedzieć Hood. - Musimy je zidentyfikować.

-

Jeśli w aparacie Darlinga zamontowany jest układ rozpoznający ID lub jego australijski odpowiednik, te numery również są rejestrowane -

wyjaśnił Stoll. - W przeciwnym razie będziemy musieli opierać się wyłącznie na rozmowach wychodzących.

-

Czy Bob powiedział, jak zamierza dotrzeć do prywatnej linii Darlinga?

-

Żeby zdobyć rejestr, nie wystarczy dotrzeć do linii - tłumaczył

informatyk. - Musi podpiąć się do samego aparatu. Gdyby wpiął się do światłowodów, też niczego by nie osiągnął. Znalazłby się wtedy poza koderem. Tak zdobyte dane byłyby bezużyteczne.

-

Rozumiem. W porządku. Jak Bob planuje podłączyć się do aparatu telefonicznego?

-

Tego nie powiedział - odparł Stoll. - Jestem pewien, że Darling ma telefon biurowy obsługujący kilka linii. A to oznaczałoby, że jest w nim zainstalowany port danych. Bob musi tylko wpiąć się do niego. Dzięki temu zyskamy dostęp.

-

Bob musi tylko się wpiąć - przedrzeźnił go Hood. - Zadzwońię do niego.

-

Powiedział, że wyłączy swój telefon - odrzekł Stoll. - Nie chciałby, żeby jego aparat zadzwonił, kiedy będzie w domu Darlinga. Jeśli to coś zmienia, Lowell poinformował go, że z punktu widzenia prawa jedyne ryzyko wiąże się z naruszeniem prywatności. Lowell wyraża też przekonanie, że Darling nie zrobi z tego wielkiej awantury, bo przy okazji mogłyby wyjść na jaw powody, dla jakich prowadzone jest dochodzenie. To

zaś w oczach opinii publicznej nie postawiłoby Darlinga w pozytywnym świetle, nawet gdyby był niewinny.

-

Nie martwię się o kwestie prawne - wyznał Hood. - Jeśli Darling jest zamieszany w szmuglowanie materiałów rozszczepialnych, to zapewne ma jakieś kontakty z ciemnymi typami. A oni nie będą tracili czasu na wynajmowanie adwokatów.

-

Trudno ich winić za to, że chcą dojść do prawdy - rzekł Stoll.

Hood gniewnie zmarszczył brwi.

-

Choć z drugiej strony może powinniśmy zadzwonić do Lowella, by powstrzymał

Boba - zasugerował Stoll.

-

Nie - odparł Hood. - Potrzebne są nam fakty, które potwierdzą naszą teorię, a to jest przypuszczalnie najlepszy sposób ich zdobycia. Zakładam, że Lowell nie idzie razem z nim.

-

Nie - potwierdził Stoll. - W skład grupy wchodzi Bob, strażak, kobieta oficer z Singapuru oraz koala.

-

Koala? Taki zwierzak? - zdziwił się Hood.

-

Tak. Naprawdę nie wiem, o co chodzi - przyznał Stoll, kończąc pisanie programu. - Przypomina to bohaterów z Czarnoksiężnika z Krainy Oz. A oni już w tej krainie są. Zabawne, nie sądzi pan?

I tak było w istocie. Czarnoksiężnik też był. Wielki, wściekły, plujący ogniem.

Z jedną tylko różnicą. Ta Kraina Oz nie była wytworem wyobraźni.

Stoll uruchomił program. Wykonał testową operację na linii telefonicznej Centrum, żeby upewnić się, że działa poprawnie. Łącze funkcjonowało idealnie.

Udało się ściągnąć wykaz wszystkich numerów, na które dzwonił Lowell w przeddzień wyjazdu. Hood odwrócił wzrok i polecił Stollowi skasowanie tej listy z komputera.

-

Założę się, że w szkole średniej nawet pan nie zerknął do damskiej szatni przed lekcją wuefu. - Stoll podśmiewał się.

-

W rzeczy samej - przyznał Hood. - Nie mam nic przeciw temu, by być szpiegiem. Nigdy jednak nie lubiłem podglądactwa.

-

Interesujące. Musimy kiedyś podyskutować o różnicy między jednym a drugim

- zasugerował Stoll.

-

Wyrazę to w dwóch słowach - powiedział dyrektor Centrum, poklepując Stolla przyjaźnie po ramieniu. - Bezpieczeństwo narodowe.

-

Instynkt podglądacza ułatwia zdobywanie informacji, a informacja to podstawowa broń szpiega - wyłuszczył swój pogląd Stoll. - Skąd może mieć pan pewność, że Lowell nie pracuje dla Chińczyków albo jakiejś organizacji terrorystycznej, jeśli nie przejrzy pan jego połączeń?

-

Zbyt mocno wierzy w literę prawa. Proszę mi powiedzieć, czy sprawdza pan każdego z nas? - spytał Hood.

-

Skądże. Nie jestem podglądaczem. Tak tylko zapytałem.

Hood skarcił się w duchu. Nie powinien dać się wciągać Stollowi w jedną z typowych dla niego,

pokrętnych dyskusji. Polegały one na błędzeniu po meandrach i prowadziły donikąd. Poza tym dyrektor Centrum nie miał czasu na wdawanie się w tego rodzaju dywagacje.

Stoll poinformował Hooda, że nie będzie wiedział nic więcej, dopóki nie zaczną napływać dane. Hood poprosił swojego czarodzieja od komputerów, by dał mu znać, kiedy to się stanie, potem poszedł do biura. Puste korytarze wywoływały w nim niepokój. Stanowiły niejako odbicie pustki jego własnego życia. Być może coś podobnego przeżywał Bob Herbert po utracie żony. Człowiek pogrąża się w żałobie, ale nie siedzi w miejscu. Stara się zapełniać puste korytarze czymkolwiek się da. Nawet jeśli nie przynosi mu to żadnego pożytku.

Bez wątplenia istnieje różnica między poczuciem swobody a lekkomyślnością, pomyślał Hood. Był pewien, że Bob dokładnie rozważył wszelkie ryzyko. Był

również pewien jeszcze jednej rzeczy. Herbert znalazł się w swoim żywiole. Hood miał tylko nadzieję, że szef wywiadu zdaje sobie sprawę, iż jego największym wrogiem jest samozachwyty.

Cicha posiadłość nad morzem to nie to samo co zniszczony wojną Bejrut czy bastion skinheadów w Niemczech. To było otoczenie, do którego przywykł Herbert, prowadząc własną walkę. W tak niestabilnych regionach instynkt utrzymywał ciało i umysł w nieustannej gotowości.

Hood ufał, że jego towarzysz wie, w co się pakuje. Miał także nadzieję, że Herbert wymyśli coś jeszcze. Coś, o czym często zapomina się podczas pośpiesznego planowania.

Wyjście awaryjne.

ROZDZIAŁ 45

Wielka Rafa Koralowa, Sobota, 22.03

Był poraniony. Wszędzie. Peter Kannaday odczuwał ból przy każdym oddechu. Ból tępy, gorący i wszechobecny. Bolały go ciało i dusza. Leżał na brzuchu, pobity i bezwładny, z twarzą skierowaną do ściany. Odkąd zbiry Hawke'a przywlokły go do kajuty, budził się i zapadał w niespokojny letarg. Miał otwarte oczy i rozchylone usta. Wokół było ciemno. Nic nie widział, nie mógł mówić ani przełykać. Z głodu burczało mu w brzuchu. Język był nabrzmiały i suchy. Przez ostatnich kilka godzin czuł w ustach jedynie własną krew.

W pewnej chwili zwlókł się z łóżka i pełzając jak wąż, sprawdził, czy drzwi od kajuty były zamknięte. Nie były. Sprawdził też, czy pistolet leżał wciąż na miejscu. Nie leżał. Wyglądało na to, że mógł bez przeszkód wyjść na pokład, pobity i poniżony, lecz bez broni. Prawdopodobnie mógł nawiązać łączność radiową z Jervisem Darlingiem, ponieważ wolno mu było poruszać się swobodnie, i wciąż był kapitanem. Ale co mógłby mu powiedzieć? Że został zredukowany do roli figuranta? Że nie potrafił obronić autorytetu kapitana i walczyć o swoje? Że nie miał zielonego

pojęcia, co robić dalej?

Wrócił na koję i zamknął usta. Nawet mięśnie szyi sprawiały mu ból. Widocznie je nadwreżył, kiedy szarpał się z mężczyznami, którzy go trzymali. Musiał pokonać ból i zacząć myśleć. Było jasne, że Hawke nie chciał go zabić. Potrzebował

kapitana, jako buforu między sobą a przepisami prawa. Jednak Kannaday nie miał

pojęcia, jak mógłby się zachować teraz Darling. Magnat nie lubił mieć do czynienia z ludźmi słabymi. Kapitan pozostałby na łodzi tylko tak długo, jak będzie potrzebny. Później zostałby zdymisjonowany lub, co bardziej prawdopodobne, wyeliminowany. Darling lubił kategoryczne rozwiązania.

Jacht kołysał się lekko, więc kapitan wywnioskował, że byli niedaleko brzegu.

Nie ulegało wątpliwości, że Hawke zameldował się ponownie w przystani i płynął

teraz, okrążając Wielką Rafę Koralową. Kannaday dysponował więc czasem na działanie, ale nie miał go zbyt wiele.

Zmusił się, by ruszyć z miejsca. Wsunął ręce pod siebie i próbował dźwignąć ciało. Powoli. Stopniowo. Gdy zmieniał pozycję na siedzącą, drżały mu ramiona.

Oparł plecy o ścianę z boku łóżka. Twarde oparcie nieco mu ulżyło. Głowa pękała z bólu, gdy docierała do niej krew. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Chyba jakimś cudem żebra nie były połamane. Naprężył palce. Były opuchnięte. Być może zadał komuś cios. Nie był w stanie niczego sobie przypomnieć. Pamiętał jedynie, że biegł schodami w dół. Miał wrażenie, że było to tak niedawno, iż z łatwością mógłby zmienić bieg rzeczy. I postąpić zupełnie inaczej.

Ale rezultat wciąż byłby taki sam, pomyślał Kannaday. W odróżnieniu od Hawke'a kapitan był przewidywalny, a sprawy toczyły się błyskawicznie. Hawke'owi przyświecały inne cele niż Kannadayowi. Pragnął zachować dotychczasową hierarchię, wraz z przywilejami. I udało mu się. Fakt, że nikt z ludzi kapitana nie przyszedł sprawdzić, co się dzieje z ich szefem, mówił sam za siebie. Może zajrzał do niego kucharz. Jednak i to było wątpliwe. Załoga zapewne otrzymała rozkaz, by trzymać się z daleka, albo zwyczajnie się bała.

Ciało Kannadaya powoli przyzwyczajało się do bólu. Wydawało mu się, że ma naderwany każdy mięsień w ramionach, barkach i na karku. Ból był tępy i usadowiony głęboko w mięśniach. Wiedział, że im więcej będzie się ruszał, tym bardziej będzie bolało. Nie miał jednak innego wyboru. Musiał wydostać się z kajuty. Musiał przejąć dowodzenie za wszelką cenę.

Odczekał kilka minut, zanim podjął kolejną próbę wykonania ruchu. Przesunął

stopę ku krawędzi koi, potem zestawił ją na podłogę. Powoli stanął na nogach.

Najcięższe urazy odniósł w okolicy nerek. Wyglądało na to, że z nogami wszystko było w porządku. Gdy powłócząc nimi, stawiał pierwsze kroki w stronę drzwi, kręciło mu się w głowie. Po kilku chwilach kręcenie ustało. Choć przychodziło mu to z trudem, Kannaday odzyskiwał powoli równowagę. Wreszcie stanął pewniej na nogach.

Lecz nie do końca. Czegoś mu wciąż brakowało.

Planu działania.

Obolały Kannaday dotarł do drzwi. Obrócił się i oparł o nie plecami. Stojąc w ciemności, rozważał następne kroki, w sensie dosłownym i przenośnym. Gdy tak rozmyślał, jedna rzecz dotarła do jego świadomości. Zdarzenia, które sprawiły, że znalazł się w tym miejscu, mogły okazać się dla niego korzystne. W końcu dwa razy popełnił ten sam błąd. Postępował dokładnie tak, jak oczekiwał tego Hawke.

Człowiek ten spodziewał się, że kapitan po raz kolejny postąpi tak samo.

Zwłaszcza po tym, jak został bestialsko pobity.

Kannaday powrócił do łóżka. Usiadł. Próbował myśleć inaczej niż zwykle.

Postanowił rozważyć rozmaite scenariusze, które mogły zaskoczyć Hawke'a. A także Darlinga. Wszelkie opcje - od podłożenia ognia na „Hosannie”, po odpłynięcie w mroku nocy na pontonie.

Jak daleko mogę się posunąć, pytał sam siebie.

Jednak jeszcze ważniejsze było sprecyzowanie, co właściwie chciał osiągnąć.

Kapitan został wynajęty i wykonywał swoje obowiązki. Wystąpiły pewne komplikacje z powodu piratów. Niezbyt poważne, ale wystarczające, by nadszarpnąć reputację Darlinga, jako absolutnie pewnego dostawcy. Cios ten nie zrobił na nim jednak większego wrażenia. Darling potrafił dogadać się z ludźmi swojego pokroju. Mógł

wszystko wyjaśnić Mahathirowi bin Dahmanowi. Zawsze można było zwalić winę na wyrobników. Z drugiej strony magnat mógł zechcieć ukarać głównego winowajcę.

Wiedział doskonale, jak Hawke zareaguje na zagrożenie lub wyzwanie. A więc celowo wystawił Kannadaya na upokorzenie.

Kapitan zdał sobie sprawę, iż nie zależało mu już na odzyskaniu szacunku w oczach Darlinga. Chciał dać nauczkę Hawke'owi. I dobrać się do skóry samemu Darlingowi. Zastanawiał się tylko, jak to zrobić, aby przy okazji nie skrzywdzić siebie.

Czy aby na pewno?

W twoim myśleniu tkwi logiczny błąd, pomyślał.

To pytanie obnażyło jego słabość. Stracił przewagę zaskoczenia.

W pytaniu bowiem zawarta była odpowiedź.

ROZDZIAŁ 46

Cairns, Australia, Sobota, 22.04

W Australii plan działania uległ pewnym zmianom.

Bob Herbert liczył na to, że dotrze do posiadłości Darlinga najpóźniej do godziny ósmej wieczorem.

Musieli jedynie przeprowadzić dywersję na tyłach rezydencji, następnie podejść od frontu i zastukać do drzwi. Jednak Leyland i Jelbart nie chcieli iść na żywioł. Uparli się, żeby przelecieć kilka razy helikopterem nad liczącym kilkaset hektarów majątkiem ziemskim. Do zbadania terenu posłużyli się noktowizorami drużyny strażackiej. Chcieli się dowiedzieć, jak rozmieszczone są posterunki ochrony, oraz wyszukać miejsca, które w razie potrzeby można było wykorzystać jako drogę ewakuacyjną. Posiadłość była ogrodzona solidnym płotem, który zamykał drogę dzikim królikom oraz zwierzyńce płowej. Udało im się jednak znaleźć dwa miejsca, gdzie można było zarzucić przynętę, nie budząc podejrzeń.

Personel ochrony znał zapewne te kryjówki i przypuszczalnie ruszyłby w ich kierunku. Jelbart chciał ocenić, ile czasu zabierze patrolom dojazd wózkami golfowymi do ogrodzenia oraz powrót. W normalnej sytuacji Herbert doceniłby taką skrupulatność. Tym razem jednak chodziło o nuklearnych terrorystów. Zamierzał

ich niezwłocznie schwytać. Oznajmił to, gdy po raz drugi przelecieli powoli nad posiadłością. Ale właśnie z tych przelotów mieli się tłumaczyć przed Darlingiem lub szefem jego ochrony, kiedy przybędą z wizytą.

-

Nie schwytemy nikogo, jeśli podstęp wyjdzie na jaw - zauważył Jelbart. -

Postawią nam jedynie zarzuty.

Major Loh siedziała z tyłu między Coffeyem a Herbertem.

-

Nie sędę, aby pański rząd miał jakiegokolwiek pretensje. Podążamy bardzo prawdopodobnym tropem w warunkach wyższej konieczności - stwierdziła.

-

Nie zawracalibyśmy sobie głowy rżdem, gdybyśmy badali ten trop w rozsądny i przemyślany sposób - dodał od siebie Jelbart. - Jednak nie robimy tego. Naruszamy prywatność szanowanego obywatela. Przepisy prawa są w takich sytuacjach jednoznaczne.

-

Jednoznaczne i powodujące obstrukcję - odparł Herbert. - Przypomnijcie mi, abym po schwytaniu przeczytał prawa przysługujące bydłakom, którzy usiłują rozprowadzić substancję promieniotwórczą w gęsto zaludnionych miastach albo zatruć wodę pitną.

-

Nie mamy pewności, czy tak rzeczywiście jest - wtrącił się Coffey.

-

Ja jednak mam dostateczną pewność, że należy przycisnąć Darlinga, by odpowiedział na kilka pytań - odciął się Herbert.

- I co potem? Jeśli staniemy się tacy sami jak ci, których ścigamy, szlag trafi cywilizację - zawyrokował Jelbart.

-

To samo stanie się, jeśli tego nie zrobimy - stwierdził Herbert. -

Jelbart, niech pan nie bierze tego do siebie, ale naprawdę rzygać mi się chce na widok naszych przywódców, którzy reagują poniewczasie. Czy na prawdę jestem jedynym człowiekiem zdającym sobie sprawę, że dwudziesty wiek już odszedł do przeszłości?

-

Co masz na myśli? - zapytał Coffey.

-

Mniej więcej w ciągu ostatnich czterdziestu lat w świecie Zachodu uformowało się to pokręcone, humanitarne podejście, które polega na hołubieniu zabójców i terrorystów. Taka postawa przywiedzie nas do zguby -

oznajmił Herbert.

-

Tu nie chodzi o hołubienie morderców, lecz o prawa i godność jednostki -

odparł Coffey. - W kwestii formalnej, wszystko zaczęło się u nas, w Ameryce, po protestach przeciwko wojnie w Wietnamie oraz po tym, jak ruchy obrony praw obywatelskich potwierdziły swoją skuteczność.

Policję zobligowano do czytania przestępcom przysługujących im praw. Dziś wszyscy na świecie chcą być traktowani po ludzku. I moim zdaniem wcale nie jest to złe podejście.

-

To mogło być dobre w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ale dziś jest luksusem, na który nas nie stać - zadeklarował Herbert. -

Nie przestaniemy zajadać się tuńczykami tylko dlatego, że kilka delfinów wpadnie w sieci.

-

A co ma piernik do wiatraka? - zapytał Coffey.

-

Właśnie, co pan sugeruje, panie Herbert? - dodał od siebie Jelbart.

-

Tylko tyle, że powinniśmy bardziej energicznie polować na złoczyńców -

odpowiedział szef wywiadu Centrum. Właściwie wykrzyczał te słowa, by nie zagłuszył ich ryk silnika. Przy okazji rozładował swą wściekłość.

- Czasem zdarzy się dorwać niewinnego. Wtedy należy przeprosić i obiecać poprawę. Ale tylko w taki sposób można ochronić znakomitą większość obywateli.

-

Zatem pana zdaniem nie powinniśmy przestrzegać praw człowieka? - naciskał

Jelbart.

-

Nie! - krzyknął Herbert. - Działania powinny mieć charakter selektywny.

Sugeruję, że powinniśmy udzielać władzom specjalnych prerogatyw w sytuacjach kryzysowych, podobnych do naszej. Mamy dziś do czynienia z rasistami i socjopatami, którzy weszli w posiadanie materiałów promieniotwórczych. Nasze uczelnie kształcą masowych morderców. Kiedy byłem dzieckiem, młodociani przestępcy paradowali z nożami sprężynowymi i tylko sporadycznie robili z niej użytek. Zwykle chodziło o gangsterskie porachunki.

Często ze strachu srali przy okazji w gacie.

Dzisiaj mamy dzieciaki z kałachami i zupełnie innym podejściem do sprawy. To bezwzględni mordercy, panie chorąży. Usiłuje pan rozgrywać mecz piłki nożnej lub futbolu, w którym drużyna przeciwna całkowicie ignoruje decyzje sędziów, popełnia przewinienia, nie respektuje linii końcowych boiska ani czasu gry i w ogóle nie stosuje się do przepisów. Powiadam panu, musimy ich zidentyfikować i unieszkodliwić. W przeciwnym

razie mecz już został przegrany.

Na chwilę w kabinie zapadło milczenie. Po zatoczeniu ostatniego koła nad posiadłością odezwał się Leyland.

-

Widzę drzewo, które możemy wykorzystać - oznajmił, wskazując je pozostałym.

-

Może sami powinniśmy się na nim powiesić - powiedział z przekąsem Herbert.

- Oszczędzimy w ten sposób kłopotów Darlingowi albo komuś innemu, kto kryje się za tą intrygą.

-

Wie pan, panie Herbert, że jestem po pana stronie - oświadczył Leyland, kiedy śmigłowiec zawrócił w stronę lądowiska. - Patrę na każdego turystę jak na potencjalnego podpalacza. Ale to wcale nie znaczy, że tak jest naprawdę, nawet jeśli palą papierosa lub mają przy sobie zapalki.

Nie mogę biec do nich z wężem pożarniczym. To cena, jaką płacimy za obywatelskie swobody. Jeśli nawet postępowalibyśmy w taki sposób, wcale nie byłibyśmy bardziej bezpieczni. Naprawdę nie. Ograniczylibyśmy jedynie naszą wolność.

-

Tylko w skrajnych przypadkach - odparł Herbert. - Wyobraźmy sobie, że gdzieś wybuchł pożar. Złapaliśmy faceta, który biwakował w miejscu zaproszenia ognia. Ma przy sobie zapalki. Powinniśmy mieć możliwość przymknięcia go i przesłuchania, zanim zmyje z siebie zapach dymu.

-

Oczywiście do pewnego stopnia zgadzamy się z takim podejściem, w przeciwnym razie nie byłoby nas tutaj - przedstawił swój pogląd Jelbart.

-

Używamy przy tym podstępu - zauważył Herbert. - Wolę bardziej bezpośrednie podejście.

-

Jak choćby wymuszenie zeznań? - zapytał Coffey.

-

Nie, wystarczy zadać gościowi kilka pytań prosto z mostu o to, co się do cholery dzieje. Jeśli odpowiedzi nie będą zgodne z obiektywnymi faktami, zabieramy faceta ze sobą. I ponownie zadajemy mu pytania. I znowu.

-

Prawne i polityczne następstwa takich działań byłyby katastrofalne -
ocenił Coffey.

-

Tylko w przypadku, gdybyśmy popełnili pomyłkę - upierał się Herbert.

-

O to właśnie chodzi - podchwycił Coffey. - Mógłbyś mieć rację i przegrać.

Tego rodzaju zeznania nie byłyby wiążące dla sądu. Państwo wydałoby miliony dolarów na procesy o bezprawne przetrzymywanie w aresztach, a twój czarny charakter wciąż przebywałby na wolności.

-

Wtedy mógłby mu się przydarzyć nieszczęśliwy wypadek, podobnie zresztą jak jego żonie -
podsunęła major Loh.

-

Bingo! - ochoczo podjął Herbert. - Podoba mi się pani sposób myślenia.

Taka jest cena bezpieczeństwa na świecie w dwudziestym pierwszym stuleciu.

Dyskusja dobiegła końca, gdy helikopter osiadł na ziemi. Leyland rozłożył
szczegółową mapę okolicznych terenów. Pokazał Jelbartowi drogę prowadzącą do kępy drzew, które

mieli wykorzystać do zarzucenia przynęty.

Herbert słuchał od niechcienia, podczas gdy Loh wyładowała wózek inwalidzki, a potem pomogła szefowi wywiadu wysiąść ze śmigłowca. Herbert nie cierpiał tracić czasu na gadanie. Kiedy będą penetrować posiadłość, materiał rozszczepialny może już jechać do fabryki terrorystów. Albo do Waszyngtonu, Londynu czy Sydney.

Jakże głupio by się czuli, gdyby znaleźli się na skraju leju powstałego po wybuchu brudnej bomby, zmontowanej z wykradzionego materiału i kilku lasek trotylu. Jak mogliby dalej żyć ze świadomością, że dziesiątki tysięcy ludzi zmarły wskutek ich opieszałości. Herbert nie zamierzał poznać smaku tego uczucia. Raczej zaryzykowałby narażenie się na gniew Jervisa Darlinga.

Kiedy Leyland i Jelbart uzgodnili miejsce, w którym przeprowadzą pierwszą część operacji, komendant drużyny strażackiej wezwał Pajaka, chłopaka ze swej drużyny.

Młody strażak miał pomóc Jelbartowi podłożyć przynętę, a potem wrócić na posterunek obserwacyjny. Był jeszcze jedną wtajemniczoną osobą ponad limit, który wyznaczył Herbert.

W czasach, gdy szef wywiadu Centrum pracował dla CIA, zawsze starano się ograniczyć do minimum niezbędny personel.

Było już dobrze po dwudziestej drugiej, kiedy Herbert, Leyland i major Loh wsiedli do humvee i ruszyli w kierunku frontowej bramy posiadłości Darlinga. Loh pożyczyła cywilne ciuchy od Evy. Były trochę za duże, lecz nadawały się do odegrania powierzonej im roli. Po ich odjeździe w drogę ruszyli Jelbart i Pajak.

Pojechali drugim jeepem w kierunku drzewa, które wypatrzone podczas powietrznego rekonesansu. Rosło na terenie publicznym, ale jego konary zwisały nad płotem posiadłości Darlinga.

Zamierzali na nim umieścić Małego Malukę, pupila Północnej Terenowej Brygady Straży Pożarnej stanu Queensland, który miał odegrać ważną rolę w planowanym podstępie.

ROZDZIAŁ 47

Waszyngton, Sobota, 8.47

Hood siedział w swoim biurze, czekając, aż nadejdzie dziewiąta. O tej porze zamierzał zadzwonić do Daphne Connors. Kiedy tak czekał, odezwał się dzwonek w jego telefonie. Miał nadzieję, że to ona. Gdyby Daphne zadzwoniła, życie stałoby się o wiele łatwiejsze. Nie była to jednak Daphne Connors. Telefonował Lowell Coffey.

Przed chwilą wysłaliśmy dwa zespoły z bardzo nietypowym zadaniem -

zameldował.

-Gdzie jesteś?

-

W domku przy wieży obserwacyjnej Północnej Terenowej Brygady Straży Pożarnej stanu Queensland. Mamy nowego członka ekipy.

-

Doprawdy?

-

Misia koalę poparzonego niegdyś w pożarze - wyjaśnił Coffey. - Zamierzają wpuścić go na tyły ogrodzonego terenu posiadłości Darlinga.

Wtedy strażak, major Loh i Bob podjadą pod frontowe drzwi i spróbują wyciągnąć Darlinga na zewnątrz.

-

Za kogo się podadzą? - spytał Hood.

-

Za miejscowych wolontariuszy Międzynarodowego Stowarzyszenia Edukacji Ekologicznej i Ochrony Środowiska - odpowiedział Coffey. - Powiedzą, że szukają misia koali, bohatera z ich plakatów. Wcisną Darlingowi kit, w jakim to złym świetle przedstawi go prasa, jeśli zwierzakowi coś się stanie na terenie jego posiadłości. Kiedy będą kręcić się po okolicy, Bob spróbuje odłączyć się od reszty i dostać do telefonu Darlinga.

-

Ma na to szanse?

-

Dobrze wiesz, że lubię Boba - odparł Coffey. - Ale tym razem jego zachowanie trochę mnie niepokoi. Zachowuje się jak wariat.

-

Dlaczego?

-

Zawział się na Darlinga. Ignoruje zasadę, że człowiek jest niewinny, dopóki mu się tej winy nie udowodni - odparł prawnik.

-

Zaczekaj - powiedział Hood. - Dołączę do naszej rozmowy Liz Gordon.

-

Paul, nie wiem, czy sprawa jest aż tak poważna...

-

No właśnie - zgodził się Hood. - Porozmawiajmy z kimś, kto będzie wiedział.

Zawiesił rozmowę z Coffeyem i wybrał numer domowy Liz. Zastał ją w domu i najwyraźniej wyrwał ze snu. Psychiatra Centrum w piątkowe wieczory odwiedzała waszyngtońskie bary. Nie po to, żeby balować, jak zapewniała, ale żeby zbierać materiały do książki o nawiązywaniu kontaktów damsko-męskich. Może była to nawet prawda, ale nie ulegało wątpliwości, że Liz miała ciężkiego kaca, gdy odbierała telefon. Hood wprowadził ją w szczegóły sprawy, a następnie dołączył do rozmowy Coffeya.

-

Lowell, Liz jest na linii - powiedział.

-

Dzień dobry - przywitała go przymulonym głosem.

-

Tutaj jest późny wieczór - oznajmił Coffey. - Ale mimo to dzień dobry.

-

W porządku. Lowell, czy Bob sprawia wrażenie osoby nieźrównoważonej i zniecierpliwionej? - zapytała.

-

Coś w tym rodzaju - odparł prawnik. - Na pewno traci cierpliwość.

-

Jak to wpływa na jego stosunek do ciebie? - pytała dalej Liz.

-

Nie rozumiem pytania.

-

Czy obraża cię, krytykuje albo wykpiwa? - sprecyzowała. - Mówiąc wprost, czy odgrywa się na tobie?

-

Nie! - stanowczo zaprzeczył prawnik. - Nawet gdyby próbował, potrafię być obiektywny. Wierz mi.

-

Wiara to nie jest moja specjalność - odparła. - Czy jego wzburzenie przybrało formę fizycznej manifestacji? Czy walił w coś nerwowo albo obracał coś w rękach?

-

Byłem w helikopterze na tylnym siedzeniu - wyjaśnił Coffey. - Nie mogłem tego widzieć.

-

Paul, czy Boba ewakuowano drogą powietrzną z miejsca wybuchu w Bejrucie? -

tym razem skierowała pytanie do dyrektora Centrum.

-

Najprawdopodobniej tak - odpowiedział Hood.

-

To może być podświadoma pamięć motoryczna. Szum silnika i wibracje mogą w nim wyzwać wrogość, która wcześniej nie znalazła ujścia - wysunęła hipotezę Liz. - Mówiąc między nami, Lowell, czy sądzisz, że Bob może być niebezpieczny?

-

Zdecydowanie nie - odparł Coffey. - Chodzi mi o to, że do tego zadania potrzebny jest człowiek stanowczy i zdeterminowany.

-

Zatem nie jest niebezpieczny - zawyrokowała.

-

Nie, sprawiał tylko wrażenie, jakby był żądny krwi - potwierdził Coffey. -

Jednak w umiarkowanym stopniu.

-

Nie przejawiał agresji - domyśliła się Liz.

Prawnik potwierdził jej przypuszczenie.

, - Paul - spytała - czy były jakieś raporty o nadmiernym pobudzeniu emocjonalnym Boba podczas ostatniej akcji w terenie? Zdaje się, że w Niemczech.

-

Akcja rzeczywiście była w Niemczech, ale o niczym podobnym nie słyszałem -
odparł Hood.

-

Prawdopodobnie mamy do czynienia z przeniesieniem - oświadczyła Liz. - Z

przekierowaniem gniewu z pierwotnego obiektu na inny, łatwiej dostępny. Być może reakcję
wyzwolił lot helikopterem, powodując opóźnione wystąpienie stresu pourazowego. Wszystko to
zostało wzmocnione zrozumiałą frustracją Boba i być może także zmęczeniem po długiej podróży
samolotem. Trudno zdiagnozować dokładne przyczyny bez

bezpośredniej rozmowy z Bobem, ale nie wygląda na to, żeby miał wpaść w szal.

Ludzie, którzy doświadczają przeniesienia, zwykle reagują najsilniej, gdy pojawiają się pierwsze
symptomy. Muszą się rozładować. Wystarczy jakiś bodziec i odpuszczają.

-

Zatem najgorsze mamy już za sobą. - Hood odetchnął z ulgą.

-

Przypuszczalnie tak - odparła Liz. - Chyba że ktoś doleje oliwy do ognia.

Lowell, czy to jest prawdopodobne?

-

Z tego, co słyszałem, Jervis Darling jest niezwykle spokojnym i opanowanym facetem - powiedział
Coffey.

-

A ludzie, którzy towarzyszą Bobowi?

-

Leyland ma spore poczucie humoru, a major Loh jest bardzo cicha i poważna, niemal katatoniczna - stwierdził prawnik.

-

To powinno pomóc mu w zachowaniu spokoju i równowagi - oświadczyła Liz.

-

Więc możemy pozwolić na kontynuowanie operacji - podsumował Hood.

-

Tak, z zastrzeżeniem, że nigdy nie ma stuprocentowej pewności - dodała Liz. - Ale raczej nie powinien wybuchnąć.

-

Nawet gdyby ktoś stanął im na drodze? - zapytał Hood.

-

Bob ma cel, który sam sobie wyznaczył, a jest nim zdobycie danych z telefonu Darlinga-podjęła Liz.- Jeśli ich nie zdobędzie, wpadnie we wściekłość. Ale dzięki wyszkoleniu będzie zapewne w stanie zapanować nad sobą.

Przegrupuje siły i podejmie ponowną próbę. Prawdziwe niebezpieczeństwo pojawi się wtedy, kiedy stanie oko w oko z Jervisem Darlingiem.

-

W roli szpiega, nie wolontariusza ruchu ekologicznego - dokończył Hood.

-

Racja - potwierdziła Liz. - Podawanie się za kogoś innego ułatwi mu ukrycie prawdziwych uczuć. Jeśli jednak nastąpi dekonspiracja, w mgnieniu oka może stać się osobą, jaką opisał nam Lowell. To element mechanizmu walki lub ucieczki, a Bob Herbert nie jest człowiekiem chętnie pokazującym tyły.

Była to prawda. Hood nigdy nie wierzył w możliwości psychiatrii, ale tym razem, pomijając

oczywiście żargon, słowa Liz miały sens.

Hood podziękował jej, zalecając przy okazji zdrowy sen. Potem poinformował

Coffeya, że wyraża zgodę na kontynuowanie operacji. Bez względu na to, czy inkwizytorski nastrój Herberta podoba się reszcie, czy też nie, granica nie została przekroczona. Trzeba było dalej badać tropy, stwierdzić, kto je zostawił

i dlaczego.

Hood westchnął. Nie miał już ochoty dzwonić do Daphne. Dopóki nie będzie miał pewności, że Herbertowi nic nie grozi, nie życzył sobie innych rozterek.

Przynajmniej tak się usprawiedliwiał przed samym sobą.

ROZDZIAŁ 48

Cairns, Australia, Sobota, 22.49

Monica Loh przywykła do ryzyka. Przeżyła liczne sztormy, kolizje, brawurowe akcje ratunkowe, a nawet eksplozje min rebeliantów, z jej własnego lub z ościennych krajów. Katastrofy i wypadki zdarzały się rzadko, a jej załogę cechowały czujność oraz pewność siebie.

Była w pełnej gotowości, ale jednocześnie ogarniała ją coraz silniejsza niepewność, w miarę jak zbliżali się do potężnej bramy posiadłości Darlinga.

Uczestniczyła w operacji, którą marynarka wojenna Republiki Singapuru sklasyfikowała jako akcję zwiadowczo-rozpoznawczą. Wciąż jednak brakowało jej informacji, by mogła poczuć się pewniej. Miała udawać pracownicę singapurskiej organizacji ekologicznej, przebywającą w tych stronach gościnnie. Poza tym szczegółem nie wymyślono dla niej żadnej fabuły, której mogłaby się trzymać. Nie bardzo też wiedziała, co właściwie ma robić, poza tym, by u boku kapitana Leylanda udać się na tyły rezydencji i poszukiwać misia koala. Leyland spodziewał się, że odnajdą Małego Malukę dość blisko miejsca, w którym zostawili go Jelbart i Spider. Koala były bowiem z natury zwierzętami ospałymi. Loh nie wiedziała również, czego spodziewać się po Jervisie Darlingu. Czy choćby po tym Bobie Herbercie. Podziwiała jego pomysły i odwagę. Ale człowiek ten sprawiał

również wrażenie poirytowanego i niecierpliwego. Czy Darling mógł to dostrzec?

Jeśli tak, ich akcja, w najlepszym razie, zakończy się fiaskiem. Major Loh nie rozważała nawet ewentualnych konsekwencji ich zdekonspirowania. Nie starała się o uzyskanie zgody na udział w operacji, gdyż potraktowano ją jako zwiad przybrzeżny. A to podlegało już pod Sztab Dowództwa

Obrony. Dotarcie do komendy SDO zajęłoby sporo czasu, o ile w ogóle uzyskałaby zgodę oficera dyżurnego. Jej pododdział z zasady nie brał udziału w operacjach lądowych.

Leyland podjechał do bramy i opuścił boczną szybę. Szukał wzrokiem domofonu, ale niczego podobnego nie zauważył. Powód wydawał się całkiem oczywisty. Darling nie potrzebował urządzeń tego typu. Z tyłu ich auta zajechał drugi jeep. Ktoś skierował na ich samochód światła reflektorów. Z jeepa wysiedli dwaj mężczyźni.

Obaj uzbrojeni w uzi. Jeden ze strażników podszedł do ich hunwee od strony kierowcy. Oświetlił latarką twarz kapitana Leylanda. Drugi strażnik powoli obchodził auto dookoła. Zajrzał na dach oraz pod podwozie, prawdopodobnie szukając materiałów wybuchowych.

-

Co tu robicie? - zapytał.

-

Jestem kapitan Leyland z Północnej Terenowej Brygady Straży Pożarnej stanu Queensland - przedstawił się strażak. Z kieszeni bluzy wyciągnął skórzane etui i pokazał strażnikowi plaketkę identyfikacyjną. - Pozostali pasażerowie to wolontariusze Międzynarodowego Stowarzyszenia Edukacji Ekologicznej i Ochrony Środowiska. Poszukujemy ранego koali. Jesteśmy przekonani, że dostrzeżliśmy go z powietrza na terenie tej posiadłości.

-

To wasz helikopter krążył tu wcześniej? - upewnił się strażnik.

-

Tak. Przepraszamy za zakłócenie spokoju. Ale musimy koniecznie odnaleźć ranne zwierzę, a robi się coraz ciemniej.

Strażnik poświecił latarką na pozostałych pasażerów. Potem odszedł od auta i wyciągnął radio zza paska. Odwrócił się do przyjezdnych plecami, gdy szeptał do mikrofonu. Po krótkiej wymianie zdań ponownie podszedł do samochodu.

-

Dozorca powiedział, że wyjdzie z domu i poszuka torbacza - poinformował. -

Wy możecie tu poczekać albo...

-

Obawiam się, że nie możemy się na to zgodzić - zaprotestował Leyland. -

Musi pan wiedzieć, że koala jest chory. Istnieje ryzyko, że przeniesie chorobę na inne zwierzęta przebywające na terenie posiadłości. Naprzykład na psy. A córka pana Darlinga zapewne bawi się z tymi zwierzakami.

-

Sugeruje pan, żebyśmy wysłali patrol i zastrzelili to stworzenie? -

zapytał strażnik.

-

Nic podobnego - obruszył się Leyland. - Nie chcemy, żeby stworzeniu stała się najmniejsza krzywda. Zależy nam na schwytaniu go i kontynuowaniu badań. Z

tego właśnie powodu ci ludzie mi towarzyszą. To naprawdę bardzo ważne.

Strażnik zastanawiał się chwilę. Potem znowu odszedł parę kroków, by porozmawiać przez radio. Kiedy skończył, poinformował Leylanda, że osobisty asystent Darlinga, Andrew Graham, spotka się z nimi przy głównym wejściu. Następnie ruszył ku bramie, przesunął kartę magnetyczną przez szczelinę i skrzydła bramy rozsunęły się na boki. Leyland wjechał do środka i podążył krętą, brukowaną drogą w kierunku rezydencji.

Patrząc z lotu ptaka, Monica Loh nie była zbytnio zaskoczona ani zdumiona rozmiarami rezydencji. Z pokładu kutra patrolowego nieraz widywała monumentalne budowle, niekiedy wzniesione na wysokim klifie. Ta była podobna. Kiedy jednak podjeżdżali do portyku z kolumnami, poczuła się, jakby przeniesiono ją w dziwne miejsce, zawieszono w czasie.

Przywykła do widoku wielkich statków i samolotów, ale wszystkie te obiekty się poruszały. Wokół nich tętniło życie. Tutaj było inaczej. Nawet mężczyzna, który wyszedł im na spotkanie, sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Jego ruchy były sztywne i dziwnie napięte. Oczywiście nieoczekiwani i nieproszeni nocni goście z reguły nie wywoływali entuzjazmu. Miejsce euforii powinna jednak zająć choćby złość, tymczasem mężczyzna nie objawiał ani jednego, ani drugiego.

Loh i Leyland wysiedli z auta. Kapitan wyciągnął wózek i rozłożył go. Stał

obok major Loh, a szef wywiadu Centrum zręcznie przeniósł się na skórzane siedzenie wózka.

-

Mój chory koala ma więcej energii niż ta mumia - ocenił Leyland, gdy zbliżali się do czekającego na nich człowieka.

-

To samo sobie pomyślałam - dodała Loh.

-

Ktoś go obserwuje - szepnął Herbert.

-

Kto? - zapytał Leyland.

-

Nie wiem - odparł Herbert. Wjechał między pozostałą dwójkę i wskazał lekko głową wierzchołek jednej z kolumn. - Śledzi go niewielka kamera.

-

Nie chce mi się wierzyć, że kieruje nią osobiście nasza gruba ryba - wyszeptał Leyland.

-

A ja jestem skłonny uwierzyć. Zwłaszcza, jeśli ma coś do ukrycia - odparł Herbert.

Zamilkli, gdyż mężczyzna zbliżył się do nich. Widzieli go bardzo wyraźnie w jaskrawym świetle reflektorów, ustawionych po dwa na każdym z brzegów frontowej fasady. Był dość wysoki, miał okrągłą twarz i śniadą cerę. Miękkim, przesadnie wytwornym głosem przedstawił się jako Andrew Graham. Oznajmił, iż zamierza zaprowadzić przybyłych na tyły domu, a na jego twarzy odmalowało się współczucie, gdy spojrzał z góry na Herberta.

-

Z całym szacunkiem, proszę pana, ale z tyłu jest trawnik - powiedział do niego. - Byłoby panu trudno poruszać się na wózku. Czy nie zechciałby pan poczekać w środku?

Herbert spojrzał na Loh.

-

Co o tym sądzisz? Dacie sobie beze mnie radę z Małym Maluką?

-

W Bandung zajmowałam się kiedyś osieroconym waranem z Komodo - odparła. -

Jestem pewna, że sobie poradzimy.

Herbert uśmiechnął się.

-

Jeśli będzie wam potrzebna moja pomoc, wezwijcie mnie przez pager.

Spojrzenie Loh wyrażało pełne zrozumienie.

Andrew skontaktował się z dozorcą przez telefon komórkowy. W kilka chwil później pojawił się krzepki młody mężczyzna w wózku golfowym. Kiedy wiozł Leylanda i Loh w głąb posiadłości, Andrew pomagał Herbertowi pokonać kilka stopni schodów prowadzących do rezydencji.

Loh miała za sobą wiele lat morskiej służby w stopniu oficera. Jej zmysł

orientacji funkcjonował najlepiej, gdy znajdowała się na morzu oraz gdy, co być może było jeszcze bardziej istotne, tworzyła część zespołu.

Gnębiące ją uczucie niepewności nasiliło się, kiedy ich kluczowy gracz wszedł do budynku zupełnie sam.

ROZDZIAŁ 49

Cairns, Australia, Sobota, 23.12

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Herbert, gdy wjechał do długiego, marmurowego holu, było poszukanie wzrokiem urządzeń alarmowych i ochronnych. W rogu dostrzegł

detektor ruchu, a obok drzwi przyciski zamka szyfrowego. Nie ulegało wątpliwości, że urządzenia te były teraz wyłączone. We wnętrzu nie było też na szczęście kamer. To dobry znak. Jeśli przez chwilę Bob pozostałby sam, była szansa, na swobodne poruszanie się po rezydencji. Andrew rozłożył wózek, gdy tylko znaleźli się w środku. Wskazał ręką salon. Obaj mężczyźni ruszyli w tym kierunku. Herbert czuł się, jakby wszedł do muzeum. Panowała tu zupełna cisza, zakłócana tylko piskiem kół jego wózka oraz skrzypieniem butów sekretarza.

Wielkie obrazy i rzeźby w obszernym pomieszczeniu z przodu były prawie niewidoczne. W matowym świetle Herbert z ledwością dostrzegł inne pokoje.

-

Czy mogę panu zaproponować coś do picia? - zapytał Andrew. - Wodę sodową albo jakiś trunek?

-

Nie, dziękuję bardzo - odparł Herbert.

-

A może coś na ząb?

-

Nie, dzięki - ponownie odmówił Herbert. - Mam do pana jednak prośbę.

Potrzebna mi linia telefoniczna. Chciałbym przesłać e-maila do biura w Waszyngtonie. Biorę udział w poszukiwaniach już ponad dobę i muszę przekazać im pewne informacje.

-

Ależ oczywiście - odparł Andrew. - To żaden problem.

-

Koszty połączenia obciążą moje konto. Pan Darling nie zapłaci ani centa.

-

Jestem pewien, że nic się nie stanie, jeśli zadzwoni pan bezpośrednio do swego biura - odparł Andrew.

-

To bardzo uprzejmie z pana strony - podziękował Herbert.

Weszli do salonu. Andrew poszedł przodem, wskazując drogę do gabinetu. Były tam regały wypełnione książkami oraz różnymi instrumentami, takimi jak szkła powiększające, miotełki, komputerowe dyskiety. Sekretarz wskazał duże mahoniowe biurko. Stał na nim aparat telefoniczny wciśnięty pomiędzy pudła od butów, paczki cygar i plastikowe torby.

-

Pan Darling wykorzystuje ten telefon do połączenia z laptopem -

poinformował Andrew. - Może podpiąć się pan do portu danych z tyłu aparatu.

-

Bardzo panu dziękuję - odpowiedział Herbert.

-

Nie ma za co - odparł sekretarz.

Herbert rozejrzał się dookoła.

-

Można odnieść wrażenie, że pan Darling zajmuje się również pracą naukową.

-

Kolekcjonuje i bada skamieliny - odpowiedział Andrew.

-

Fascynujące - wyraził podziw Herbert. - Kiedy wjeżdżaliśmy, wydawało mi się też, że dostrzegłem kopułę obserwatorium astronomicznego.

-

To całkiem możliwe - oznajmił asystent magnata.

-

Czy pan Darling ogląda również gwiazdy?

-

Pan Darling jest człowiekiem o szerokich zainteresowaniach - odpowiedział

Andrew i zawrócił w kierunku drzwi.

Szef wywiadu wiedział z poufnych informacji zebranych na temat Darlinga, że w rezydencji znajduje się obserwatorium. Był jednak ciekaw, na ile otwarty okaże się Andrew. Odpowiedź brzmiała: nieszczególnie.

-

Proszę w moim imieniu podziękować panu Darlingowi - powiedział Herbert.

-

Nie omieszka - odpowiedział Andrew i opuścił pokój. Nie zamknął za sobą drzwi.

Herbert uruchomił własny komputer, gdy podjeżdżał do biurka. Ustawił się plecami do drzwi i podniósł oparcie fotela po lewej stronie, by rozwinąć ukryte w środku przewody. Jeden połączył do gniazda z tyłu komputera, drugi do portu w aparacie telefonicznym. Jeśli magnat prowadził tu badania

naukowe, była szansa, że odbywał także rozmowy w interesach.

Wybrał numer, który podał mu Matt Stoll. Połączenie zostało szybko nawiązane dzięki małej, wąskiej antenie zamontowanej u góry z prawej strony wózka i podłączonej do wzmacniacza w podwoziu. W odróżnieniu od konwencjonalnych telefonów komórkowych, urządzenie mogło obsługiwać transmisję danych dużej szybkości. Herbert patrzył na ekran komputera, kiedy rozpoczęła się procedura przeszukiwania numerów telefonicznych zapamiętanych w aparacie Darlinga.

-

Nieźła maszynka - rozległ się głos za jego plecami.

Był silny, a zarazem delikatny, z australijskim akcentem. Herbert nie musiał się oglądać, by wiedzieć, do kogo należał. Szef wywiadu uśmiechnął się.

-

To typowy model Delia - odparł.

Darling też się uśmiechnął.

-

Nie miałem na myśli komputera.

-

Wiem - odpowiedział Herbert. - Dobry wieczór, panie Darling.

-

Dobry wieczór. - Darling podszedł szybkim krokiem do Herberta.

Miał na sobie szary dres z napisem Cairns Yacht Club. Nie odrywał wzroku od wózka. - Oczywiście zrobiony na zamówienie.

-

Tak - potwierdził Herbert. - Zaprojektowany przeze mnie, a wykonany przez tę samą firmę, która wyprodukowała wózek inwalidzki dla Franklina Delano Roosevelta.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

-

Z kim mam przyjemność?

-

R. Clayton Herbert - odpowiedział Herbert z uśmiechem. Jednak w środku odczuwał niepokój. Był również zły na siebie. Zazwyczaj nie podawał

pełnego nazwiska, jeśli nie było takiej konieczności. Darling mógł łatwo wytropić, dla kogo pracuje. Nie chciał również, żeby Loh czy Leyland zwracali się do niego Bob, skoro już wyjawiał Darlingowi, że nie jest tym, za kogo się podawał. Powinien wcześniej rozważyć z zespołem tę kwestię. Był to jeden ze szczegółów, o których się zapomina, kiedy przeprowadza się akcję z ludźmi spoza branży.

-

Andrew poinformował mnie, że zamierzał pan przesłać kilka wiadomości pocztą elektroniczną - podjął rozmowę Darling. - Nie chciałbym panu w tym przeszkadzać.

-

To może poczekać - zapewnił gospodarza Herbert.

Gdy rozmawiali, komputer ciągle jeszcze ściągał dane. Stoll powiedział mu, że z chwilą znalezienia właściwego pliku dotarcie do numerów zajmie zaledwie parę sekund. Wcześniej jednak trzeba się przebić przez oprogramowanie karty telefonu, takie jak szybkie wybieranie numerów, systemy poczty głosowej, przekazywania rozmów. Ta procedura może potrwać od kilku sekund do paru minut. Informatyk odpowiedział mu również, że gdy komputer odnajdzie to, czego szuka, rozlegnie się podwójny sygnał. Przed Darlingiem sygnał ten można było wytłumaczyć jako zaprogramowany alarm, przypominający o czymś do zrobienia.

-

W takim razie chętnie posłucham o pana pracy w organizacji ekologicznej - oświadczył Darling. - Jak przypuszczam, jest pan wolontariuszem.

-

Tak - odparł Herbert. - Właściwie to jestem tu na urlopie. Do udziału w poszukiwaniach ściągnęła mnie moja przyjaciółka Monica. Jest aktywistką ruchów ekologicznych w Singapurze.

-

Rozumiem. Mniemam, że jest pan Amerykaninem - powiedział Darling.

-

Pochodzę z Missisipi - odrzekł Herbert. - Obecnie mieszkam w Waszyngtonie.

-

Pracuje pan w administracji rządowej?

-

Nie, w ochronie - odparł Herbert.

-

Fascynująca dziedzina - skomentował Darling. - Jakie jest pana zdanie na temat zabezpieczeń zastosowanych w tej rezydencji?

-

Robią wrażenie - ocenił Herbert. - Ma pan tu wartowników oraz monitoring na zewnątrz, a w środku detektory ruchu. System trudny do sforsowania.

-

Drewno reagujące na dotyk, nikt inny tego nie posiada - chwalił się Darling. Pochylił się lekko do przodu, mrużąc oczy. - Zdaje się, że dysponuje pan wszystkim, co zapewnia bezpieczeństwo i wygodę. W pańskim wózku zamontowano telefon komórkowy, komputer, coś, co wygląda na łącze satelitarne, konsolę sterującą, a nawet ogranicznik prędkości, jeśli dobrze rozpoznałem joystick.

Zgadza się?

-

Owszem. - Herbert uśmiechnął się. - Mogę jechać z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę po szerokim chodniku. Kiedy uczestniczę w maratonach, blokadę można usunąć.

-

Naprawdę? - rzekł ze śmiechem Darling.

-

W rzeczy samej - odparł Herbert. Nieszczerość tej rozmowy przyprawiała go o mdłości. Marzył o tym, by Darling był zmuszony gdzieś wyjść.

-

Fascynujące. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, że osiem kilometrów na godzinę może być niebezpieczną prędkością.

-

Nie chodzi o prędkość - wyjaśnił Herbert. - Istota rzeczy tkwi w rezygnacji ze wspomagania.

Maraton jest przecież próbą fizycznej wytrzymałości.

-

Czy kiedykolwiek pan wygrał, panie Herbert?

-

Nigdy nie przegrałem - odparł Herbert.

Darling wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-

Podoba mi się to.

Kiedy do cholery zabrzmiał ten sygnał, niecierpliwił się w duchu szef wywiadu Centrum. Darling przeszedł za tył wózka.

-

Jestem pod wrażeniem, panie Herbert. Z tyłu zamontowano łącze do obsługi pasma cyfrowego.

-

Zgadza się- potwierdził Herbert. W jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Zaczynało się robić gorąco.

-

Dlaczego potrzebuje pan anteny, by wysłać e-maila?

-

Nie potrzebuję - zaprzeczył Herbert.

Darling pochylił się lekko, by lepiej przyjrzeć się urządzeniu.

-

Widzę jednak zapaloną diodę zasilacza.

-Czyżby?

-

Nie wiedział pan?

-

Zapewne został włączony wcześniej, na posterunku straży pożarnej - szukał

wy tłumaczenia Herbert. - Ściągałem tam dane.

-

To niemożliwe - zaprzeczył Darling. - Kiedy tu przyjechaliście, dioda się nie świeciła.

Zarejestrowała to zewnętrzna kamera systemu ochrony, pomyślał ze zgrozą Herbert.

Gospodarz obserwował ich przybycie.

-

Musiałem włączyć go przypadkiem. - Herbert szukał wymówki, uśmiechając się. Z bólem serca sięgnął do tyłu, by wyłączyć antenę. W ten sposób przerwał połączenie z Centrum. Potem odłączył przewód od telefonu Darlinga. Wyłączył komputer, co automatycznie spowodowało wykasowanie programu Matta Stolla. Nie pozostał najmniejszy ślad po programie.

Niestety, jego komputer wciąż nie dał sygnału. Oznaczało to, że z telefonu nie zostały ściągnięte żadne dane. Całe przedsięwzięcie okazało się stratą czasu. A nawet gorzej, mogło narazić ich na bezpośrednie ryzyko, jeśli Darling zacznie podejrzewać, iż w rzeczywistości nie przybyli tu szukać chorego misia koali.

Musiał dokonać wyboru.

I dokonał.

Darling znowu stanął przed nim. Założył ręce na piersiach, kołysząc się w przód i w tył. Wyglądało na to, że był równie zaniepokojony, jak szef wywiadu Centrum.

-

Wie pan, panie R. Clayton Herbert - powiedział - gdy obcy ludzie zjawiają się o nietypowej porze z dziwnych powodów, zwykle chodzi o reporterów, którzy liczą na zdobycie materiału do artykułu. Albo o konkurentów w biznesie, usiłujących zdobyć jakieś informacje. Jakimi motywami pan się kieruje, panie Herbert?

-

Istotnie, panie Darling, powody, dla których tu jestem, są dużo poważniejsze niż chęć napisania plotkarskiego artykułu o panu - oznajmił

Herbert.

-

Ach tak - Darling przestał się kołysać. Przypatrywał się Herbertowi. -

Zamieniam się w słuch.

Szef wywiadu Centrum zawahał się. To, co zamierzał powiedzieć, mogło narazić na niebezpieczeństwo jego samego, major Loh oraz kapitana Leylanda. Ich kariera zawodowa mogła legnąć w gruzach, być może groziłaby im nawet śmierć. Miał prawo narażać siebie, ale nie pozostałych. Poza tym co mógł zyskać? Darling nie dostarczy mu przecież żadnych informacji. Jeśli był winny, rozmowa o tym może sprawić, że jego ludzie zapadną się głęboko pod ziemię. Z drugiej strony, jeśli wpadnie w gniew, może się niechcący wygada. Albo każe ich po prostu zastrzelić za bezprawne wtargnięcie na teren jego posesji. Trudno było przewidzieć, co się stanie.

Nie mam wyjścia, pomyślał Herbert. W końcu przyszedł tu wykonać zadanie, miał

zdobyć informacje i dzięki temu uratować wiele ludzkich istnień. Pierwszy sposób zawiódł. Musiał więc spróbować drugiego. Poza tym, przyciśnięty do muru Darling mógł przez nieuwagę udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytanie - czy jest winny.

-

Szczerze mówiąc, panie Darling, zupełnie nie znam się na zwierzętach -

wyjawił Herbert. - Nawet nie bardzo je lubię. Ale istnieją stworzenia, które darzę jeszcze mniejszą sympatią. W rzeczywistości pracuję w służbie bezpieczeństwa. Nie powiem panu jednak, kto mnie zatrudnia ani skąd wiem o pewnych sprawach. Mamy do rozstrzygnięcia zasadniczą kwestię. Z

pewnego składowiska odpadów radioaktywnych wykradzono materiał rozszczepialny, a jeden z tropów prowadzi właśnie tutaj.

Darling nie zareagował. Co w pewnym sensie także było reakcją. Nie zapytał

nawet, jaki ma związek jego osoba z wygłoszonym przed chwilą oświadczeniem.

-

Nie skomentuje pan? - zapytał Herbert.

-

Czy podłączył się pan do mojego telefonu po to, żeby mnie szpiegować? -

odpowiedział pytaniem Darling.

-

Tak - przyznał Herbert.

Darling powoli opuścił wzrok. Jego twarz pozbawiona była wyrazu. Podeszedł do telefonu i zabrał go z biurka. Szurając kapciami po drewnianej posadzce, skierował się do drzwi.

-

Proszę stąd wyjść - powiedział. - Natychmiast.

-

Nie wezwie pan policji? - Herbert zdziwił się.

Darling zatrzymał się w drzwiach i obrócił.

-

A po co? Nie mam pojęcia, jakie dane spodziewał się pan ściągnąć z tego aparatu, ale to jest tylko intercom do obsługi rezydencji.

Herbert milczał. To wyjaśniało, dlaczego jego laptop nie dał sygnału. W pamięci tego telefonu nie było żadnych numerów.

-

Czy mamy jeszcze coś do omówienia? - zapytał Darling.

-

Tak - przytaknął Herbert. - Chciałem coś panu zaproponować. Wiem więcej, niż panu powiedziałem. Podobnie jak ludzie, dla których pracuję.

Dopadniemy pana i pańskich wspólników. Proponuję więc panu podjęcie współpracy.

-

Najwyższa pora, by opuścił pan to miejsce, panie Herbert. - Darling nie tracił zimnej krwi. - Dysponuje pan jedynie poszlakami, brak panu dowodów.

-

A pan jest człowiekiem całkowicie pozbawionym sumienia. - Herbert nie wytrzymał. - Pan i pana przyjaciel Mahathir bin Dahman.

O

to właśnie chodziło. Bob Herbert podał jedyne nazwisko, jakie znał, wyjawił jedyną informację, jaką posiadał. Miał nadzieję, że to wystarczy, by rozzłościć Darlinga na tyle, by zrobił coś nieprzemyślanego, jak choćby rzucił się na niego z pięściami. Byłoby to wystarczającym powodem do aresztowania go przez kapitana straży pożarnej. Albo nieopatrznie wyrzuci z siebie w ataku szału dodatkowe informacje. Albo, co byłoby jeszcze korzystniejsze, wyrazi zgodę na współpracę.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

-

Pan bin Dahman rzeczywiście jest moim partnerem - odparł Darling, siląc się na uprzejmość. - Mam szczęście, że moim współnikiem jest osoba ciesząca się tak wielkim szacunkiem w swoim kraju i na całym świecie. Pan zaś jest tylko żalonym pajacem, panie R. Clayton Herbert.

Były to jego ostatnie słowa, zanim opuścił salon.

Herbert miał wielką ochotę porządnie w coś wyrznąć. Najlepiej w coś twardego.

Było pewne, że Jervis Darling jest winny, jak amen w pacierzu. Potwierdził to, decydując się nie wzywać policji. Jednak zaimprovizowane przesłuchanie przyniosło odwrotny skutek. Herbert zaryzykował i przegrał, gdyż od tej chwili Darling będzie się pilnował. Każe swoim ludziom pozostać w ukryciu, zostawiając Herberta bez dwóch rzeczy, których potrzebowało Centrum.

Bez dowodów.

bez wykradzonych materiałów radioaktywnych.

ROZDZIAŁ 50

Cairns, Australia, Sobota, 23.27

Jervis Darling wrócił do sypialni. Po drodze minął się z Andrew i polecił mu dopilnować, by pan Herbert opuścił dom oraz by reszta przybyszy znalazła się poza terenem posiadłości, gdy tylko odnajdą koalę. Nie miał cienia wątpliwości, że zwierzę faktycznie gdzieś tu jest. Z pewnością zatroszczyli się o to, zanim przybyli pod jego drzwi.

Darling zamknął cicho drzwi i wszedł do dużej garderoby. Czuł otępienie i wściekłość. Głucha cisza dzwoniła mu w uszach. Usiadł przy biurku w stylu Ludwika XVI i zatelefonował do bratanka. Wcześniej jednak wyciągnął jedyny w rezydencji aparat telefoniczny z zapisanym w pamięci numerem „Hosanny”. Wystukał

cyfry pięć dwa pięć, osobisty kod dostępu do linii, i usłyszał sygnał

zgłoszenia. Bin Dahman zdobył ten aparat od ludzi z rosyjskich sił powietrznych; był to bezpieczny telefon o nazwie konsulstvo, czyli „konsulat”. Rosjanie używali tego modelu w swoich ambasadach na całym świecie. Konsulstvo było dużym, kanciastym urządzeniem z klawiaturą podobną do komputerowej oraz słuchawką.

Klawisze służyły do wprowadzania kodów. Hawke wpisał swój, zanim wyruszył w morze.

„Uratowaliśmy kogoś z sampana”.

To wystarczyło. Słowa Amerykanina, które przed chwilą padły, nie miały już żadnego znaczenia. Kannaday i Hawke nie tylko natrafili na komplikacje na Morzu Celebes. Stało się coś gorszego. Dopuszcili do przecieku, który doprowadził

funkcjonariusza służby bezpieczeństwa do jego rezydencji. Podejrzewał, że kobieta, która przybyła wraz z dwójką mężczyzn, była oficerem singapurskiej marynarki wojennej.

Amerykanin i kobieta z Singapuru. Australijscy funkcjonariusze zapewne trzymali się gdzieś z tyłu. Widocznie woleli uniknąć bezpośredniego konfliktu z samym Jervisem Darlingiem. Przynajmniej do chwili zdobycia dowodów. Na szczęście dla niego, manipulacje Herberta przy aparacie telefonicznym w salonie nie przyniosły żadnego rezultatu. Ani R. Claytonowi Herbertowi, ani ludziom, dla których pracował - kimkolwiek oni byli. To nawet nie miało znaczenia. Wszystkich

ludzi węszących wokół jego spraw uważał za intruzów. Był w stanie dowiedzieć się, kim są, i potrafił ich powstrzymać. Najpierw jednak musiał się upewnić, że zlikwiduje wszystkie ślady. Zaczynając od „Hosanny”.

Gdy Darling wybierał na klawiaturze numer jachtu, aż gotował się ze złości.

Chciał uderzać we wszystkich kierunkach jednocześnie. Był zły i na Kannadaya, i na Hawke'a. Brak skuteczności z ich strony spowodował

przeciek. Najpierw rozprawi się z Kannadayem, Hawke'a załatwi później. Pragnął

też ukarać Herberta za wtargnięcie do jego domu. Darling był pewien, że znajdzie sposób, by zadać cios, który agent odczuje do końca życia. Postara się również położyć kres karierze kapitana straży pożarnej, który pomagał Herbertowi.

Wszyscy są teraz jego dłużnikami. Darling nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek kwestionował lub opóźniał jego akcję, nie mówiąc już o próbie powstrzymywania go. Przyjmie ten cios i ruszy dalej.

Marcus spał, kiedy stryj dodzwonił się do niego. Starszy Darling zażądał

natychmiastowej rozmowy z Hawkiem. Marcus poszedł do kabiny szefa ochrony i przywołał go do telefonu.

-

Słucham pana - powiedział Hawke do słuchawki.

Oto cały John Hawke. Wezwany do telefonu późnym wieczorem w sprawie, która każdego wyprowadziłaby z równowagi, mówił głosem beznamiętnym i bezbarwnym, jak zawsze.

-

Proszę natychmiast wykonać mój rozkaz - warknął Darling. Jego głos daleki był od opanowania. - Niech pan zniszczy doszczętnie laboratorium oraz kabinę z radiostacją. Nie może ocaleć żaden przyrząd ani instrument. Potem wypłynie pan w morze i zatopi jacht na głębokiej wodzie. Czy starczy miejsca w pontonach dla całej załogi?

-Tak.

-

Dobrze. Niech pan się bierze do roboty.

-

Proszę pana, kapitan Kannaday będzie chciał wiedzieć, dlaczego to robimy.

- Hawke nie kończył rozmowy.

A to cwaniak, pomyślał Darling. Sam jest tego ciekaw. Kolejny raz szef ochrony starał się wykorzystać Kannadaya jako bufor między sobą a Darlingiem. Niestety, tym razem było to niemożliwe. Hawke musiał przyjąć dwa ciosy.

-

Niech pan powie kapitanowi, że zespół ochroniarzy nie zdołał zabić wszystkich ludzi na sampanie - oświadczył Darling. - Jednego zdołano uratować.

Nic nie przerywało pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła. To był cios numer jeden.

-

Byłoby najlepiej, gdyby kapitan poszedł na dno wraz ze swoim statkiem -

kontynuował Darling. - Nie życzę sobie, aby ten wypadek został

potraktowany jako ubezpieczeniowy przekręt. Nie potrzebujemy kolejnego śledztwa.

To był drugi cios. Hawke wiedział teraz, co prawdopodobnie i jego czeka za spowodowanie przecieku.

-

Dopilnuję wszystkiego osobiście - zadeklarował Hawke.

W jego głosie nie było nawet cienia pokory. Wyłącznie determinacja.

Darlingowi to odpowiadało. Oczekiwał rezultatów, nie skruchy.

Odłożył słuchawkę. Odsunął aparat i usiadł.

Jervis Darling spędził dorosłe życie na budowaniu korporacji, zdobywaniu majątku i władzy oraz, co najważniejsze, na kreowaniu oblicza świata. Był przekonany, że jedynie biznesmeni dysponowali środkami, za pomocą których mogli rozwijać postęp. Rządy państw były zbyt stronnice i powolne. Wojskowi z kolei - nazbyt okrutni i mało elastyczni. Tylko on oraz ludzie jego pokroju posiadali wizję, która mogła porwać masy. Jednak najpierw musieli doprowadzić do tego, że staną się niezbędni. Z konieczności sięgali po najemników, jak John Hawke, by uderzać z chirurgiczną precyzją w różnych miejscach świata. Ich celem miały być zakłady przemysłowe, centra dystrybucyjne, kompleksy finansowe oraz elektrownie. Winą można było obarczać istniejące rządy oraz ugrupowania terrorystyczne. Zwłaszcza od momentu, kiedy sam mógł wynajmować licznych członków tych grup. I opisywać te zamachy w sterowanych przez siebie środkach masowego przekazu. Darling oraz jego towarzysze planowali wyeliminowanie konkurencji, dzięki czemu ich własne zasoby miały zyskać jeszcze większą wartość. Bazując na tym, chcieli zbudować prawdziwą polityczną potęgę. I mieć pod sobą wszystko.

Darling wciąż był wściekły. Jednak nie martwił się specjalnie o los przedsięwzięcia czy wyznaczone cele. Jeszcze się nie zdarzyło, aby jakaś potężna operacja biznesowa czy polityczna nie napotkała rozmaite komplikacje. Ale po raz pierwszy miał do czynienia z przedsięwzięciem, którego realizacja stała pod znakiem zapytania. Był jednak pewien, że projekt przetrwa i znów ruszy z miejsca.

W nie mniejszym stopniu był przekonany, że R. Clayton Herbert już wkrótce będzie gorzko żałował, że nie spędził tego wieczoru gdzie indziej.

ROZDZIAŁ 51

Cairns, Australia, Sobota, 24.00

- Zawaliłem sprawę - oznajmił Bob Herbert.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Hood.

-

Dałem prawdziwy popis, jak nie należy wyciągać informacji.

-

Jesteś zbyt surowy dla siebie, Bob - stwierdził Hood. - Zrobiłeś wszystko, co możliwe w skrajnie niesprzyjających okolicznościach.

Głos Hooda brzmiał miękko, ale stanowczo.

-

Paul, to ja stworzyłem te pieprzone niesprzyjające okoliczności. - Herbert nie przestawał się obwiniać. - Czy życzysz sobie listę popełnionych błędów, jaką przy tej okazji sporządziłem dla nowicjuszy? Nie przeprowadziłem rekonesansu.

Podpiąłem się do niewłaściwego aparatu telefonicznego. No i dałem przeciwnikowi do zrozumienia, co wiemy, nie zyskując w zamian nic poza niejasną przesłanką, że nasze podejrzenia są słuszne.

-

Nasz fach nie jest nauką ścisłą- argumentował Hood. - Podjąłeś ogromne ryzyko przy znikomym

szansach na wygraną.

-

Tego powinni podejmować się jedynie najlepsi, a więc teoretycznie ja. -

Herbert wciąż się kajał. - Jednak od najlepszych oczekuje się jeszcze jednego.

Sukcesu.

-

To tylko jedna bitwa w całej wojnie - odparł Hood. - I wcale nie jestem pewien, czy przegrana.

-

Wygrywałem już bitwy. - Herbert nie ustępował. - Zwycięstwo ma inny smak.

Herbert dzwonił ze swego telefonu komórkowego, jadąc humvee. Major Loh i Paul Leyland znaleźli koalę. Spotkali się z Herbertem przed rezydencją i pomogli mu zjechać ze schodów. Po krótkiej rozmowie telefonicznej z Jelbartem opuścili teren posiadłości. Herbert zgadzał się z oceną chorążego, który przypuszczał, że uzbrojeni strażnicy Darlinga mogą stać się nadzwyczaj agresywni. Jednogłośnie uznali, że optymalnym wyjściem będzie powrót do strażackiej bazy obserwacyjnej i przegrupowanie sił. Herbert i major Loh siedzieli z tyłu. Leyland prowadził.

Mały Maluka spał na siedzeniu obok kierowcy.

-

Bob, teraz nie ma już znaczenia, jak do tego doszło - podjął Hood. -

Zastanówmy się nad tym, co osiągnęliśmy i co jeszcze zamierzamy osiągnąć.

-

W porządku - powiedział Herbert i głęboko odetchnął. Można było odnieść wrażenie, że to nieco go uspokoiło. - Mamy do czynienia z przestępcą światowego formatu, który właśnie zdał sobie sprawę, że został namierzony. Wie, że przynajmniej jeden z jego współników także został

zidentyfikowany. Wie też, że mamy w rękach kogoś, kto może zidentyfikować statek, którym przewieźli wykradzony materiał rozszczepialny.

Z pewnością wszystko to nie wprawiło go w zachwyt.

-

Zgadza się. Co więc teraz zrobi?

-

Po pierwsze, musi usunąć wszelkie ślady - wnioskujeł Herbert. - Rejestr jego rozmów telefonicznych oraz operacje finansowe są zapewne czyste. Założę się, że to samo można powiedzieć o bin Dahmanie i każdym innym, kto jest wplątany w sprawę. Darling musi wychodzić z założenia, że schwytany przez nas pirat jest pilnie strzeżony i że wyciągnęliśmy już z niego wszelkie informacje, na jakich nam zależało. Zatem prawdopodobnie nie będzie się fatygował, by do niego dotrzeć. Jedyne bezpośrednie zagrożenie dla niego stanowi teraz statek.

-

Nie byliśmy w stanie odnaleźć go do tej pory - stwierdził Hood. - Jakie mamy szanse, że znajdziemy teraz? Mogli go już gdzieś ukryć.

-

To bardzo prawdopodobne - zgodził się Herbert. - Ale zależy mi na tym, żeby go znaleźć. Do diabła, naprawdę chcę go dopaść!

-

Chcesz dopaść Jervisa Darlinga - skorygował Hood. - A to wcale nie to samo.

-

Będzie to samo, gdy znajdziemy statek - przekonywał Herbert. - Cholera, szkoda, że nasz pirat niczego nie widział. Przynajmniej wiedzielibyśmy, czego szukamy.

-

Może poddać go hipnozie - zasugerował Hood. - Niewykluczone, że coś sobie jeszcze przypomni.

-

To dobre, gdy rzuca się palenie. Nie w przypadku przesłuchania.

-

Chyba jednak coś mamy - wtrąciła się major Loh.

-

Co mianowicie? - zapytał Herbert. - Paul, czy słyszysz major Loh?

-

Bardzo słabo - odparł Hood.

Herbert przybliżył telefon do kobiety i poprosił, by mówiła głośniejsze.

-

Piraci nie zaatakowaliby dużo większej jednostki - powiedziała głośno Loh.

- Teraz zapadły już ciemności. Małe jednostki z reguły zrzucają na noc kotwicę.

-

W jaki sposób może pomóc nam ta informacja? - zapytał Herbert. - Na otwartym morzu jest sporo małych statków.

-

Ale ten nie będzie stał na kotwicy - odparła. - Jeśli statek gdzieś tam jest, a Darling obawia się przyłapania na gorącym uczynku, zapewne każe mu odpłynąć.

-

To całkiem logiczne. - Leyland przyłączył się do dyskusji. - Ale do przeszukania jest duży obszar wód.

-

Nie tak duży, jak pan sądzi - ocenił Herbert. - Ze sporym prawdopodobieństwem statek nie zmierza w kierunku Cairns. Darling nie będzie chciał, żeby pojawił się w pobliżu jego posiadłości.

-

A jeśli zechce go ukryć? - zapytał Hood. - Gdzie znajdzie lepsze miejsce niż własny teren?

-

Przypuszczalnie taki miał plan, zanim zjawiliśmy się u niego - spekulował

Herbert. - Teraz Darling w żadnym wypadku nie podejmie już takiego ryzyka. Jeśli na jego statku byłby choć ślad promieniowania, równałoby się to z odciskiem palca. Możemy zidentyfikować źródło, dysponując nawet cząsteczką materiału. Darling musi zakładać, że ktoś zjawi się, by kontynuować poszukiwania.

-

Powinniśmy zatem ponownie wysłać nasze okręty w morze - powiedziała Loh.

-

Zgadzam się - stwierdził Herbert. - Ale musimy też wysłać helikopter i przeczesywać zygżakiem morze. Jeśli statek wrócił, Darling zapewne odeśle go z powrotem na otwarte morze. A jeśli nie wrócił, zapewne sunie pełną prędkością do innej, bezpiecznej przystani.

-

Czy istnieje jakaś metoda elektronicznej obserwacji, którą bylibyśmy w stanie wykorzystać? - dopytywał się Hood.

-

Jestem pewien, że statek zachowuje teraz ciszę radiową- podsunął Herbert.

-

Możemy prowadzić poszukiwania z wykorzystaniem GPS - wtrąciła major Loh.

-

Racja - zgodził się szef wywiadu Centrum.

-

Chyba nie zrozumiałem - powiedział Hood.

-

Poproś Stephena Viensa, żeby odczytywał wskazania globalnego systemu określania położenia z tego właśnie regionu. Przekazują je satelity - podsunął

Herbert.

-

Satelity, nie odbiorniki? - upewnił się Hood.

-

Sam odbiornik na jednostce pływającej jest punktem pasywnym. Jego rola polega jedynie na odbieraniu ciągłych sygnałów wysyłanych przez trzy satelity lub cztery, gdybyśmy uwzględniali jeszcze wysokość, czego w tym wypadku nie czynimy. Nie możemy namierzyć łodzi, szukając konkretnego numeru identyfikacyjnego. Możemy jednak obserwować sygnały i wyznaczać pozycję jednostek metodą triangulacji. Viens będzie wiedział, co mam na myśli. Każcie mu prowadzić skanowanie mniej więcej co minutę. Jeśli namierzemy obiekt płynący z prędkością dwadzieścia pięć węzłów lub większą, warto będzie przyjrzeć się mu bliżej. Zwłaszcza, gdy będzie oddalać się od Cairns.

-

Podoba mi się to - powiedział Hood z aprobatą w głosie.

Dyrektor Centrum dodał jeszcze, że zleci Viensowi jak najszybsze rozpoczęcie obserwacji GPS.

Herbert podziękował i rozłączył się. Potem odwrócił się i odłożył telefon. Czuł

się nieco lepiej niż przed paroma minutami. Teraz mieli przynajmniej plan. Było jeszcze coś, na co agent wywiadu zawsze mógł liczyć. Pewność, że nocą robactwo wyłazi na wierzch.

-

Z tego co tu usłyszałem, można podejrzewać, że statek jest dobrze uzbrojony - odezwał się Leyland. - Jeśli mają tam na przykład pociski ziemia-powietrze, co wtedy? Wasz helikopter będzie bezbronny. Na pewno nie uwierzą, że tym razem Mały Maluka zabłąkał się na desce.

-

Na czym? - zdziwił się Herbert.

-

Na desce surfingowej. Szusując po falach.

-

Racja. - Herbert roześmiał się. - Jeśli jednak strzelą do nas, będziemy przynajmniej pewni jednego.

-

Mianowicie? - zapytał Herbert.

-

Że znaleźliśmy to, czego szukamy.

ROZDZIAŁ 52

Waszyngton, Sobota, 11.00

Gdy zadzwonił telefon, Hood rzucił się w jego kierunku. Właśnie skończył rozmowę ze Stephenem Viensem, który już pędził do biura. Pełniła tam dyżur Mary Timm od elektronicznego wywiadu, która

już uruchomiła procedurę wyszukiwania z wykorzystaniem GPS. Nie była to zbyt skomplikowana operacja. Skontaktowała ją z oficerem dyżurnym wydziału bezpieczeństwa łączności kanadyjskiego ministerstwa obrony. Była to struktura zajmująca się analizowaniem oraz katalogowaniem przechwyconych transmisji radiowych oraz różnych sygnałów elektronicznych z innych krajów. I blisko związana z amerykańskimi, a także brytyjskimi służbami wywiadu elektronicznego.

-

R. Clayton Herbert - odezwał się niski, matowy głos po drugiej stronie linii. - To Bob Herbert. Jest członkiem waszego personelu, prawda?

W głosie dał się wyczuć Luizjański akcent.

Dyrektor Centrum nie lubił telefonów, które rozpoczynały się od pytań.

Zwłaszcza, kiedy głos brzmiał obco. Jednak dzwoniący zdobył bezpośredni numer Hooda. Oznaczało to, że dysponował wysokim poziomem dostępu do tajemnicy państwowej.

-

Kto mówi? - zapytał Hood.

-

Bruce Perry - padła odpowiedź.

Perry piastował stanowisko specjalnego doradcy prezydenta do spraw wyborów. Jego praca polegała na monitorowaniu przebiegu kampanii wyborczych w innych krajach.

Paul Hood nie bardzo wiedział, co specjalny doradca Perry mógłby chcieć od Herberta. Błyskawicznie poszukał informacji o Perrym w sieci rządowej. Zawarte w niej dane osobowe były nieco bardziej szczegółowe niż oficjalne laurki dla prasy. Dostęp do nich mieli wyłącznie funkcjonariusze wysoce specjalistycznych służb.

-

Nie sądzę, byśmy się kiedyś spotkali. - Hood starał się przeciągać rozmowę, przeglądając jednocześnie wpis o Perrym.

-

Niewykluczone, że ma pan rację - odparł Perry. - Zwłaszcza, że nie zajmuję się szpiegowaniem innych ludzi.

Ach tak, pomyślał Hood. Więc to będzie jedna z tego typu rozmów. I wtedy znalazł na ekranie powód, dla którego Perry dzwonił. Ten sześćdziesięcioletni urzędnik był wcześniej

ambasadorem w Australii.

-

W porządku, panie Perry - oznajmił Hood. - Tak, Bob Herbert jest naszym funkcjonariuszem. Wiedział pan o tym wcześniej, inaczej by pan nie pytał. O co chodzi?

-

Pan Herbert złożył przed chwilą wizytę w domu pana Jervisa Darlinga -

oświadczył formalnym tonem Perry. - Czy słyszał pan o Jervisie Darlingu?

-

Czytam gazety - odparł Hood. Najwidoczniej australijski potentat nie marnował czasu i uruchomił zastępy swoich marionetek.

-

Gazety nie piszą o nim wszystkiego - skomentował rozmówca.

-

Nie mam co do tego wątpliwości.

-

Pan Darling przeznaczył dużą część posiadanej fortuny na niezliczone akcje pomocowe i charytatywne, w tym także na programy wspierania lokalnych demokracji - ciągnął Perry. - Stanowi oparcie dla całego regionu.

Natomiast pan Herbert nie miał prawa nachodzić go w jego własnym domu.

-

W demokratycznym społeczeństwie mamy zagwarantowane różne prawa - oznajmił

Hood.

-

Prawo do prywatności należy wśród nich do najważniejszych - odparował

Perry.

-

Chyba już wystarczy. Zakładam, że Jervis Darling zadzwonił do pana. Czy był również łaskaw poinformować, czego szukał u niego Bob Herbert?

-

Mówił coś o jakichś absurdalnych podejrzaniach związanych z wykradzionym materiałem rozszczepialnym - relacjonował Perry, dławiąc chichot. - Pomyśl, że pan Darling mógł coś o tym wiedzieć, graniczy z czystym absurdem.

-

Dlaczegoż to?

-

Ponieważ, po pierwsze, Jervis Darling bez reszty wierzy w praworządność -

uzasadniał Perry. Przestał już się śmiać. - Poza tym jest człowiekiem o niezwykle silnych zasadach moralnych.

-

Który, być może, zlecił zamordowanie własnej żony - odparował Hood.

-

Jezu Chryste! - Perry sapnął ze złością. - Niech pan nie powtarza tych oszczerstw!

-

Kto go oczerniał?

-

Wydał majątek, żeby się tego dowiedzieć - powiedział Perry. - Udało mu się dociec, że oszczercze plotki rozsiewali Singapurczycy. Zależało im na zablokowaniu jego inwestycji w liberalizację polityczną tego kraju. Mój Boże, panie Hood. Przebywałem razem z Darlingiem, kiedy dotarła do niego wieść o śmierci żony. Był nią wprost zdruzgotany. Podobnie jak jego mała córeczka. Twierdzenie, że mógł mieć z tym coś wspólnego, to prawdziwa obelga.

-

Panie Perry, nie mam zamiaru kwestionować pana argumentów - oświadczył

stanowczo Hood. - Po prostu posiadamy różne informacje.

-

W takim razie jesteście źle poinformowani.

-

Coś panu powiem, panie Perry. Naprawdę żywię głęboką nadzieję, że tak właśnie jest. Obyśmy mylili się we wszystkim, poczynając od zabójstwa, kończąc na przemyśle materiałów radioaktywnych. Nie wątpię również, że działa pan w szczerym porywie uczciwości i honoru.

-

Panie Hood, jestem gotów przysiąc na Boga, że wszystko, co mówię, jest prawdą.

-

To, co pan powiedział, opiera się wyłącznie na pańskiej głębokiej wierze, nie zaś na faktach - stwierdził dyrektor Centrum. - Wyrażam jednak wdzięczność za poinformowanie nas o pańskim punkcie widzenia.

-

Nie ma za co, panie Hood. Jestem również wdzięczny za to samo -

kontynuował Perry. - Jeśli spokój domu pana Darlinga zostanie naruszony po raz kolejny, wniesie on oskarżenie przeciwko R. Claytonowi Herbertowi oraz panu. O

złamanie prawa w Australii oraz o naruszenie zasad etyki tutaj, w Stanach.

-

Bruce, powinien pan skończyć tę rozmowę przed posunięciem się do pogroźek

- powiedział Hood. - Groźba to prawie przyznanie się do winy.

-

Skąd mógłbym o tym wiedzieć - odparł Perry. - To pan zbiera informacje, panie Hood. To też jest informacja. Niech ją pan wykorzysta.

Perry rozłączył się. Odkładając słuchawkę, Hood pokiwał powoli głową. Stuknął

palcem w klawisz kasowania. W ten sposób usunął plik z danymi o Perrym. Problem z rządowymi dossier polegał na tym, że zawierały mnóstwo informacji, ale nie przedstawiały prawdziwego oblicza człowieka.

Oczywiście, to co nazywano skrótem 2DD - dane dwuwymiarowe, same fakty bez treści lub analizy -

stanowiło tylko jeden z problemów służb rządowych. Hooda bardziej niepokoił sposób, w jaki państwowi dygnitarze planowali pokonanie wrogów. Otóż nie zamierzali oni podejmować z nimi żadnej walki. Im dłużej dyrektor Centrum pełnił publiczną służbę, tym bardziej dochodził do przekonania, że przywódcy stanowią jedynie

ciężar dla społeczeństwa. Liderzy nie mogą jednocześnie być ambitni i służyć innym. Naród mógł dziękować Bogu, że zdarzali się czasem przywódcy pokroju Lincolna czy Franklina Delano Roosevelta, których ambicje były przypadkiem zbieżne z dobrem ogółu.

Hood skorzystał z wolnej chwili i zajrzał do Mary Timm. Była w trakcie drugiego odczytu wskazań satelitarnego systemu. Jeśli ktoś płynął na tym akwenu, to na sto procent nie używał GPS-u.

-

Co to może oznaczać? - zapytał Hood.

-

Że dany obiekt znajduje się bardzo blisko lądu i może żeglować, kierując się wzrokiem lub wskazaniem kompasu. Albo że nie ma zamiaru zbliżyć się do brzegu - odpowiedziała Mary.

Nie to chciał usłyszeć Hood. Przekazał te informacje Herbertowi. Szef wywiadu Centrum pozostał niewzruszony.

-

Każda informacja może się przydać - powiedział. - Nawet jeśli tylko zmniejsza liczbę możliwości.

Tu znowu pojawił się paradoks związany z rządem. W ciągu kilku minut wróg Hooda oraz jego sojusznik powiedzieli dokładnie to samo. I obaj mieli rację.

ROZDZIAŁ 53

Morze Koralowe, Niedziela, 1.21

To nie z powodu bolących ran Peter Kannaday nie opuszczał kabiny. Mijała godzina za godziną, a on nie wychodził.

Zwyczajnie się wstydził.

Chwilę stał przy iluminatorze, potem kładł się na koi. Znowu stał i znowu się kładł. Bez końca odtwarzał w myślach niedawne wydarzenia, zastanawiając się nad tym, co powinien był zrobić.

Sięgnął też myślami w przeszłość, do dni, które doprowadziły go do tego punktu. Żałował, że nie zbratał się z Hawkiem, zamiast dać się sprowadzić do roli marionetki. Teraz było już za późno, uznaliby to za tchórzostwo. Zawiązanie z nim paktu przed atakiem byłoby przejawem mądrości i roztropności. Niestety, nie zawsze jesteśmy mądrzy. Po kilku godzinach przyszło mu na myśl, że być może takie było jego przeznaczenie. Że musiał tego doświadczyć. Leżąc w ciemnościach, rozmyślał o biblijnych prorokach, którzy wyruszali na pustynię. Podejmowali wędrówkę, by doznać tortur słonecznej spiekoty i niezaspokojonego głodu. Prorocy zyskiwali mądrość kosztem fizycznego cierpienia, samotności oraz wątpliwości i rozterek. Ale oprócz wiedzy i samoświadomości otrzymywali coś jeszcze. Wewnętrzną siłę, która pozwalała im opierać się wszelkim przeciwnościom.

Być może nie było jeszcze zbyt późno na odzyskanie odwagi. Uświadomiwszy to sobie, Kannaday wiedział nawet, w jakiej formie powinno się przejawić jego męstwo. Musiał opuścić kabinę i wrócić na pokład. Musiał pokazać załodze oraz Hawke'owi, że został pobity, ale nie złamany. Ranga kapitana tym razem nie wystarczała. Musiał odzyskać władzę.

Kannaday wstał z koi. Ból, do którego zdążył się już przyzwyczaić, odcisnął mu się na twarzy. Ale kapitan nie zamierzał się poddawać. Kiedy już opuści kabinę, nie może okazać wahania. Musi być silny.

Gdy zmierzał do drzwi, usłyszał chrobot klucza w zamku. Wcześniej drzwi nie były zamknięte. Rzucił się do klamki i spróbował ją przekręcić. Na próżno. Sięgnął do tylnej kieszeni. Ktoś zabrał mu klucze. Ruszył w stronę biurka po zapasowe.

Również zniknęły. Poszedł z powrotem do drzwi i uderzył w nie pięścią.

-

Jest tam kto?! - wykrzyknął.

Nikt nie odpowiedział. Kapitan nie marnował czasu ani sił na dalsze wołanie.

Zaczął się rozglądać za jakimś narzędziem, którym mógł otworzyć drzwi. Nożem do papieru? Haczykiem z zawiasu w szafie? Postanowił wypróbować najpierw nóż.

Podszedł do biurka, ale i nóż wyparował.

Usłyszał, jak silnik jachtu najpierw przycichł, później przeszedł na obroty jałowe i w końcu zgasł. Jacht zwolnił. Na pewno nie był to planowany postój. Po chwili rozległ się zgrzyt obracających się kołowrotów. Spuszczano pontony na wodę. Podłoga nie drżała już jak zwykle, kiedy pracował potężny motor. Co, do diabła, się działo?

Oparł się o biurko. Nacisnął przycisk interkomu, łącząc się z kabiną radiową.

-

Marcus, jesteś tam?

I znów nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Co samo w sobie było odpowiedzią.

Właśnie wtedy usłyszał ruch w korytarzu. Podeszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Członkowie załogi biegali beładnie tam i z powrotem. Usłyszał odgłosy niszczenia, ale nie krzyki - nie było więc bójki. Domyślił się, że demolują laboratorium.

-

Wielkie nieba! - wymamrotał.

Byli rzeczywiście w laboratorium. Niszczyli wyposażenie. Czyżby usuwali dowody?

Nie wyrzucali jednak niczego za burtę. Mogło to oznaczać tylko jedno - że rozbite sprzęty pozostaną na pokładzie. To zaś również oznaczało tylko jedno.

Że „Hosanna” zatonie bez wieści.

ROZDZIAŁ 54

Cairns, Australia, Niedziela, 1.42

Chorąży George Jelbart odetchnął z ulgą, kiedy wrócił humvee. Przebywanie ze Spiderem w wieży obserwacyjnej nie było idealnym sposobem spędzania wolnego czasu. Pająk zaliczał się do tych małomównych chłopaków z Sidney, którzy czuli się jak w domu, zarówno wspinając się po ścianie Cradle Mountain na Tasmanii, jak i biorąc udział w bójce z Azjatami, w barach w Perth. Chłopak nie trafił

tutaj z miłości do natury. I nie dlatego że pragnął służyć mieszkańcom stanu Queensland. Był tu, gdyż kusiła go groza ognistego żywiołu. Dla Pajaka był to najgroźniejszy wróg. Siła, która istniała nawet w kosmicznej próżni. Jelbart zastanawiał się nad reakcją tego niecierpliwego młodzika, gdyby dowiedział się, jakiemu pożarowi usiłował zapobiec jego zespół. Tego pożaru nikt nie byłby w stanie ugasić. Jelbart oglądał symulacje zniszczeń opracowane przez Pentagon.

Właściwie były to prezentacje, których nie powinno się nazywać symulacjami wojny. Po początkowych fanfarach obie strony konfliktu tonęły w zgliszczach.

Podawano też liczby zabitych oraz szacunkową skalę zniszczeń w przypadku wojny atomowej między Indiami i Pakistanem, Chinami i Tajwanem oraz Izraelem i którymkolwiek z jego sąsiadów. Statystyki dotyczyły małych bomb o sile dziesięciu megaton, które wybuchalyby w głównych metropoliach. Przedstawiano też szacunki odnośnie do małych brudnych bomb sporządzonych z materiału rozszczepialnego połączonego z plastykiem czy dynamitem. W sprzyjających okolicznościach liczba zabitych przekraczała dziesięć tysięcy.

Pająk nie rozumiałby pojęć obejmujących tak szeroką skalę. Nie było też żadnego powodu, żeby sobie je uświadamiał. Jego odwaga i brawura na nic by się zdały wobec wroga, którego tropili Jelbart i pozostali.

Leyland zaparkował humvee w pobliżu lądowiska dla śmigłowców. Postawił na ziemi koalę. Torbacz ruszył w stronę wieży. Potem kapitan wezwał Evę i polecił jej, by przywołała pilota, który był w chacie. Żadnemu ze swoich ludzi nie wyjawiał

szczegółów misji.

-

Przypuszczam, że może to skończyć się dla pana pewnymi nieprzyjemnościami

- powiedział Jelbart do Leylanda.

-

Dam sobie radę - odparł Leyland. - Darling nie będzie w stanie udowodnić, że wiedziałem, jakie mieliście zamiary. Poza tym, co mogą mi zrobić? Wylać z roboty?

-

Porządny z pana człowiek - rzekł Jelbart, podając mu rękę.

Major Loh ukloniła się lekko w stronę Leylanda. Herbert uściśnął obiema dłońmi rękę strażaka. Pilot szykował helikopter do startu.

-

Pomysł z koalą był naprawdę świetny, kapitanie - pochwalił Herbert. - To ja zawałem sprawę. Jeśli rzeczywiście pana wyleją, niech pan przyjedzie do Waszyngtonu. Będzie tam czekać na pana niezła posada.

-

Dzięki. Z panem można iść na przecinkę - odrzekł Leyland.

Monica Loh otworzyła rampę i Herbert wjechał pod górę. Pozostali weszli na pokład śmigłowca. W niespełną minutę byli już w powietrzu. Jelbart spoglądał na znikającą w oddali wieżę obserwacyjną oświetloną reflektorami. Na myśl, że są tacy ludzie, jak kapitan Leyland, coś przyjemnie ścisnęło go w gardle. Był

oddany, obowiązkowy - a jednocześnie elastyczny i mądry. Przeciwnieństwo służbisty.

Herbert pochylił się do przodu, kiedy mknęli ku rozgwieżdzonemu nie bu.

-

Co, do cholery, znaczy „przecinka”? - zapytał Jelbarta.

-

Chodzi o wyrywanie maczetą drogi w gęstych chaszczach - wyjaśnił

wojskowy. - To niedzielna rozrywka prawdziwych mężczyzn. Jeśli pana zaprosił, to znaczy, że pana bardzo ceni. Najwidoczniej zrobił pan na nim dobre wrażenie.

-

Ach, tak - zdziwił się Herbert.

Szef wywiadu wyglądał na zbitego z tropu.

Jelbart znał Herberta zaledwie kilka godzin. Ale wiedział, jak wygląda człowiek, kiedy ogarnia go frustracja. Herbert właśnie tak wyglądał. Leyland również musiał to zauważyć. Być może właśnie dlatego zwrócił się do Herberta tymi, a nie innymi słowami. Żeby dodać mu otuchy.

Chorąży uśmiechnął się, kiedy skierowali się w stronę wybrzeża. Przy takiej postawie Leyland jeszcze bardziej urósł w jego oczach.

ROZDZIAŁ 55

Morze Koralowe, Niedziela, 1.55

Kapitan Kannaday nie zdołał wyważyć drzwi. To zakrawało na ironię. Kiedy mógł, nie chciał wyjść na zewnątrz. Teraz, kiedy drzwi były zamknięte, za wszelką cenę pragnął znaleźć się po drugiej stronie. Nie miał dostępu do radia, więc nie był

w stanie wezwać pomocy. Wewnątrz własnej kabiny niewiele mógł zdziałać. Średnica iluminatora pozwalała jedynie na wystawienie głowy. Nie przecisnąłby się przez otwór. Był jeszcze natrysk, dzięki któremu mógł się chociaż bronić. Gdyby zatkał

otwór odpływowy i wyrwał przewód od lampy na biurku, mógł zanurzyć końce odizolowanych drutów w wodzie. Każdy, kto włożyłby stopę w wodę, zostałby porażony prądem. Ale lampy na jachcie czerpały zasilanie z akumulatorów. Taki prąd nikogo by nie zabił. Może nawet nie ogłuszył.

A Kannaday wciąż tkwiłby w pułapce.

Miał wprawdzie zapalniczkę, ale w ognioodpornych drzwiach nie wypaliłby najmniejszego otworu.

Zaklął w duchu. Nie potrafił zrozumieć, do czego zmierzają Darling i Hawke. Nie czuł już bólu, gdy chodził nerwowo po kabinie. Zatrzymywał się od czasu do czasu i kopał w drzwi. Nigdy wcześniej kabina nie wydawała mu się taka mała.

Nagle usłyszał przytłumiony warkot dochodzący gdzieś z korytarza. Podłoga zaczęła wibrować. Odgłos przypominał elektryczny świder lub frezarkę. Narzędzia te były na wyposażeniu jachtu, na wypadek kolizji lub sztormu. Jednak odgłos dochodził najwyraźniej z dołu. Między zewnętrznym a wewnętrznym kadłubem znajdowała się długa i wąska przestrzeń, na tyle jednak szeroka, by móc się przez nią przecisnąć. Można było dostać się do niej przez klapę w korytarzu. W

komorze tej przetrzymywano przewody, dodatkowy osprzęt oraz wyposażenie na wypadek awarii, w tym narzędzia i rakiety sygnalizacyjne.

Jacht był w dobrym stanie. Mógł być tylko jeden powód wejścia do tej komory i sięgnięcia po narzędzia. W zewnętrznym kadłubie wiercono otwór. „Hossana” miała spocząć na dnie morza.

-

Hawke! - wykrzyknął kapitan, po raz kolejny waląc w drzwi. - Do jasnej cholery, Hawke!

Kannaday przeklinał sam siebie, że nie wyszedł wcześniej z kabiny. Nie zasłużył

na tak okrutną karę. Darling zdecydowałby się zatopić jacht tylko wtedy, gdyby mógł zostać wykorzystany przeciwko niemu. A więc coś nie poszło tak, jak powinno. Darling pozbywał się dowodów. To dlatego zniszczył laboratorium. Widać uznał też, że ktoś musi utonąć razem z jachtem. Trup nie udowodni swojej niewinności.

Załoga nie czuła się związana z kapitanem. Darling nie musiał zbytnio nakłaniać ich do współpracy.

-

Łajdaki! - wykrzyknął Kannaday.

Nawet gdyby chcieli, nie byli w stanie go usłyszeć w szumie kołowrotów i świderów.

Kołowroty stały. Oba pontony najwidoczniej spuszczone już nawodę. Kannaday nie miał jednak stuprocentowej pewności. Chwilę później warkot narzędzi dochodzący z wewnętrznych korytarzy również ucichł.

Kapitan usłyszał głosy i pospieszne kroki. Po kilku sekundach wszystkie dźwięki na jachcie dobiegały z góry, z pokładu. Marynarze pobiegli ku rufie. Pewnie wsiadali do pontonów. Kannaday zastanawiał się, czy ludzie zauważyli jego nieobecność.

Zaczął krzyczeć w rozpacz. Raz jeszcze z impetem uderzył w drzwi. Wiedział, że miały wzmocnioną konstrukcję i były wodoszczelne. Poczuł silny ból w barku.

Cofnął się parę kroków.

Rozcierając obolałe miejsce, chodził w kółko po ciasnej przestrzeni. Rozglądał

się dookoła, usiłując znaleźć sposób wydostania się na zewnątrz. W łazience były pojemniki z aerozolem. Może zdoła je przebić, powodując wybuch. Tylko jak uchroni się przed obrażeniami?

Nagle na jachcie zapadła cisza, którą od czasu do czasu zakłócały skrzypiące maszty. Fale przestały już kołysać jachtem. Znaczyło to, że dół kadłuba zrobił

się cięższy.

Jacht szedł na dno.

ROZDZIAŁ 56

Wielka Rafa Koralowa, Niedziela, 2.09

Monica Loh zdawała sobie sprawę, że szanse na znalezienie statku Jervisa Darlinga są bliskie zeru.

Singapurski kuter patrolowy płynął już w ten rejon z maksymalną prędkością. Na wszystkich częstotliwościach prowadzono ciągły nasłuch w nadziei wychwycenia sygnału ze statku. Jednak statek płynący z wyłączonymi światłami był nocą praktycznie nie do wykrycia. Radar nie dawał wiarygodnych odczytów ze względu na liczne mylące echa. Na ekranie pojawiały się rafy, morskie stworzenia, nawet duże fale. Nowoczesne urządzenia okazywały się niekiedy zbyt czułe. Loh brała pod uwagę fakt, że zanim nadejdzie świt, poszukiwany statek zniknie na dobre.

Jeśli tak się stanie, utracą jedyny trop, prowadzący do Darlinga, i szanse na odnalezienie materiałów rozszczepialnych.

Jelbart skontaktował się ze swoim dowództwem. Kiedy się rozłączył, pilot dał

znać do bazy RAAF w Cooktown. Był to najbliższy położony punkt, gdzie mogli uzupełnić paliwo.

Major Loh nie podobał się świat, w którym przyszło jej żyć. Nie chodziło o to, że tęskniła za dawnymi czasami. Ani też o to, że wątpiła w umiejętności swoje i swoich towarzyszy. Byli inteligentni i zdyscyplinowani. Nie podobali jej się natomiast ludzie, którzy decydowali się na pracę w Interpolu czy CIA wyłącznie z powodów prestiżowych. Wielu z nich nie potrafiło sprostać obowiązkom, jakie im powierzano. Loh miała nadzieję, że ich własne wysiłki nie będą tylko

chlubnym wyjątkiem, lecz staną się pozytywnym przykładem do naśladowania. W cywilizowanym świecie nie było czasu na długotrwałe terminowanie.

-

Właśnie rozmawiałem z generałem Hopkinsem - powiedział pilot. - Dał nam zgodę na uzupełnienie paliwa. Dzięki temu zyskujemy dziewięćdziesiąt minut lotu.

Jak zamierzacie je wykorzystać?

-

Panie chorąży, decyzja należy do pana - odezwał się Herbert.

-

Sugeruję, żebyśmy polecieeli w kierunku północno-wschodniej rafy -

zapropował Jelbart. - Zdaniem dowództwa większość obiektów należących do Darlinga znajduje się na południu i zachodzie. Tam zapewne nie popłynie jego statek. A jego przystań jest całkowicie otwarta. Moim zdaniem statek idzie na pełne morze do obcego portu.

-

Być może tego samego, w którym zniknęła malezyjska jednostka-powiedziała major Loh.

-

To całkiem logiczna teoria - przyznał Jelbart. - Zatem skierujemy się na północ. Musimy tak zrobić, żeby dotrzeć do Cooktown. Potem odbijemy w stronę morza, lecąc wąskim zygzakiem, i mam nadzieję, że wyśledzimy naszą zdobycz.

-

Proszę państwa, generał Hopkins zaproponował również wysłanie dwóch myśliwców Mirage A3, jeśli uważacie, że się przydadzą - dodał pilot.

Major Loh czekała na odpowiedź Jelbarta. Musiał rozstrzygnąć między koniecznością zachowania całkowitej tajemnicy a potrzebą wsparcia w celu zdobycia wszelkich informacji.

-

Jest już za późno na przesadną ostrożność - powiedział Jelbart. - Niech pan podziękuje generałowi i powie mu, że przyjmujemy pomoc. Spojrzę na mapę i przekażę koordynaty obszaru, który powinny spenetrować myśliwce.

-

Tak jest, sir - odpowiedział pilot.

-

Powiadomię mój kuter o naszym planie - dodała major Loh.

Jelbart przekazał jej słuchawki i sięgnął po mapnik.

-

Zastanawiam się czy przypadkiem ich bazą nie jest na przykład jakiś tankowiec - myślał na głos Herbert. - Coś, co się przemieszcza.

- I daję schronienie - dorzucił Jelbart. - Tak duża jednostka mogła być wyrzutnią pocisków Scud.

- I doskonałą platformą dla rakiet z głowicą jądrową - zgodził się Herbert. - A niech to cholera, nie ma chyba na świecie portu, do którego nie zawijają tankowce.

Major Loh w oczekiwaniu na połączenie przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn.

Miała nadzieję, że byli w błędzie. Wystarczająco wielkich zniszczeń mogli dokonać wcale nie najwięksi despoci, dysponujący pociskami średniego zasięgu.

Jeśli dodać do tego wielkie pieniądze oraz motywy polityczne, spisek nabierał gigantycznych rozmiarów.

Nawet jeśli w tym przypadku Herbert i Jelbart się mylili, następnym razem mogli mieć rację. Albo za którymś tam kolejnym razem. Mechanizmy działania wojska oraz służb wywiadowczych musiały ulec radykalnym zmianom.

Na szczęście Loh miała pomysł, gdzie rozpocząć poszukiwania. Jej zdaniem wiedzieli wystarczająco dużo.

ROZDZIAŁ 57

Morze Koralowe, Niedziela, 2.09

Jacht przechylał się na rufę. Kannaday potknął się o koję, kiedy podłoga się pochyliła. Napływająca woda gromadziła się w rufowych pomieszczeniach. Kapitan usłyszał stukot pudełek i luźnych sprzętów, gdy nastąpił przechył.

Korytarz techniczny, przemknęło mu nagle przez głowę. Wąski jak szyb wentylacyjny. Ale jednak wyjście.

Oparł się o ścianę. Końcowy fragment korytarza znajdował się bezpośrednio pod kabiną. Gdyby udało mu się zerwać deski z podłogi, istniała szansa, że zdoła się przez niego przecisnąć.

Rzucił się w stronę biurka i wysunął szufladę. Nie miał noża, nawet do papieru, ale szuflada chodziła na prowadnicach. Wyrwał jęmacznym szarpnięciem, odrzucił na bok i przyjrzał się wkrętom. Pilnik do paznokci powinien wystarczyć. Wbiegł do łazienki i z apteczki wyciągnął cążki. Stroną z pilniczkiem zaczął odkręcać śruby. W każdej z prowadnic były po dwa wkręty. Pierwszy z nich udało mu się wykręcić całkiem szybko. Na razie powinno to wystarczyć.

Prowadnica miała formę kątownika w kształcie litery C. Znow pobiegł do łazienki, odkręcił metalową rączkę od prysznica i położył końcówkę prowadnicy na biurku.

Walił w nią prysznicem tak długo, póki jej całkiem nie spłaszczył.

W ten sposób sporządził sobie łom.

Chwycił łom, pilnik do paznokci i rączkę od prysznica i klęknął na podłodze.

Deski podłogi były z mahoniu pokrytego żywicą epoksydową.

Wcisnął pilnik między dwie deski i poszerzył szparę między nimi. Następnie wetknął w nią łom. Unosząc deskę, wbijał go głębiej rączką prysznica. Uderzał

wystarczająco mocno, by metal wchodził w drewno i jednocześnie się nie wykrzywił. Wystarczyły cztery uderzenia, żeby przeszedł na wylot. Kannaday powtarzał te czynności wzdłuż całej długości deski. Tymczasem jacht zmienił

położenie. Najpierw nieco się wyprostował, potem przechylił na lewą burtę i wreszcie znow osiadł na rufie. Kannaday starał się nie myśleć o tym, że tonie wraz z jachtem. Hawke wyprowadził jednostkę na odległość kilku mil od brzegu.

Przeciętna głębokość wynosiła tu około siedemdziesięciu metrów. Gdyby „Hossana”

osiadła na dnie, Peter Kannaday nie zdołałby już wydostać się na powierzchnię.

Gdy poluzował wreszcie deskę niemal na całej długości, wstał i zaczął w nią kopać. Deska odłamała się z jednej strony i wpadła do korytarza. Kannaday ukląkł

i zaczął odbijać kolejną deskę. Wsunął łom, chwycił palcami od strony otworu i pociągnął. Ustąpiła bez trudu.

Do uszu Kannadaya dobiegał szum napływającej wody. Akumulatory znajdowały się w

hermetycznym przedziale, nie wiedział jednak, ile czasu upłynie, zanim się wyczerpią. Gdy to nastąpi, ogarną go ciemności.

Zdołał już wyciągnąć trzecią deskę. Musiał jednak wyjąć ich co najmniej sześć, by precyzyjnie się do korytarza. Wiedział, że ma coraz mniej czasu. Sięgnął za siebie i ściągnął z koi poszewkę od poduszki. Owinął nią obie dłonie. Potem znów z całych sił pociągnął następną deskę, chwytając za krawędź drewna. Dzięki poszewce dłonie nie ślizgały się po wilgotnym mahoniu. Deska jednak ani drgnęła.

Zawył w rozpacz i rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby się przydać.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że korytarz biegnie w stronę rufy, a to zmieniło postać rzeczy. Przeklinając własną głupotę, sięgnął po latarkę, położył

się na brzuchu i zaświecił w głąb szczeliny po deskach.

Dostrzegł skrzynkę narzędzi, która obijała się bezwładnie o ściany tuż pod drzwiami jego kabiny.

Wyciągnął rękę, jednak nie zdołał jej dosięgnąć. Chwycił łom, wygiął w hak jeden koniec, włożył do szczeliny i próbował złowić skrzynkę.

Udało się. Wciągnął skrzynkę do środka i wyjął z niej młotek. Przyklęknął

ponownie i zaczął z całych sił walić w deski. Wypadały bez trudu. Wreszcie mógł

wsunąć się do korytarza. Ponieważ woda zaczęła zalewać kabinę, kapitan zdał

sobie sprawę, że musi posuwać się głową naprzód. Jacht znów się nieco wyprostował. Przekładając latarkę do lewej dłoni, Kannaday wziął głęboki oddech i ruszył naprzód.

Od otworu wywierconego przez załogę dzieliło go około siedmiu metrów. Jednak posuwał się bardzo powoli, bo drogę blokowały porozrzucane w korytarzu narzędzia. Z trudem przeciskał się przez zalegające wokół niego rupiecie - pojemniki, narzędzia, kawałki drewna oraz inne szpargały. Było to jak przedzieranie się przez tamę, która z każdą chwilą stawała się coraz grubsza. W

końcu musiał odrzucić latarkę i przedzierać się z pomocą obu rąk. Na szczęście załoga zostawiła otwarty właz, by woda mogła szybciej wpływać. Światło z korytarza przebijało przez jego otwór. Kapitan parł do przodu na kolanach w wodzie gęstej od glonów. I coraz głębszej.

„Hosanna” przechylała się coraz bardziej i bardziej. Gejzer morskiej wody odpychał rupiecie dalej do tyłu. Kannaday nie wierzył, że uda mu się dobrać do celu. Bolały go ręce i piersi, a płuca niemal pękały z braku powietrza.

Wstrzymał oddech, widząc, że od włazu dzielił go już tylko metr. Czuł się tak, jakby znalazł się pod zamrznietą lodową taflą. Ale był już blisko ocalenia.

Skronie pulsowały jak szalone, widok przed oczami zaczynał się rozmywać.

Pozostało mu niewiele czasu. Rupiecie znów zablokowały mu drogę, tak że mógł

jedynie wyciągnąć rękę. Obracając się na plecy sięgnął w stronę włazu, przekreślił dłoń i chwycił najbliższą krawędź otworu. Podciągnął się ze wszystkich sił. Metalowe brzegi, narzędzia i inne sprzęty rozcinały mu ciało, kiedy się przez nie przeciskał. Nie wystarczyło dostać się do samego otworu, musiał przez niego przejść i wydostać się z korytarza technicznego.

Tymczasem zaczął się dusić. W ciągu kilku sekund musiał odetchnąć, nawet jeśli do płuc wciągnie tylko morską wodę. Ostatkiem sił, raniąc ciało do krwi, udało mu się chwycić krawędź otworu obiema rękami. Prawie już wysunął przez nie czoło... Przeszło. Teraz barki. Jeszcze trochę wysiłku i znalazł się w zalanym wodą korytarzu dolnego pokładu. Zgiął się w pasie, przeciągnął stopy, zrobił przewrót i zaczął wdrapywać się do góry.

Wyprysnął jak pocisk, stając na nogi i jednocześnie zaczerpując tchu. Do płuc wpłynęło powietrze. Był uratowany. Stał się cud. Wszystkie lęki i obawy w jednej chwili przestały się liczyć. Otrząsnął się z wody i namacał przed sobą ścianę.

Była trochę krzywa, ale oparł się na niej mocno, pewnie. Wyprostował się, z ramion zaczęła spływać mu woda.

Krew ciekąca ze świeżych ran mieszała się z morską wodą. Sól szczypała mocno, ale ból wprawiał kapitana w dumę. Odnosił te rany, dokonując niebywałego wyczynu. Czuł się jak nowo narodzony.

Znajdował się tuż przed kabiną radiową. Woda sięgała mu do pasa. Gdyby wpływała w takim tempie, jacht powinien zatonać za około pół godziny.

Nagle usłyszał trzask, jakby złamała się sucha gałąź. Woda dostała się do akumulatorów. Światło zgasło.

Kapitan odwrócił się w stronę włazu. Spoglądał w dół do korytarza technicznego.

Dostrzegł włączoną latarkę, która kołysała się w płynącej warko wodzie.

Spróbował po nią sięgnąć. Latarka przesunęła się w kierunku rufy. Dryfowała chwilę, zanim zdołał ją wreszcie chwycić. Zawrócił i opierając się na pochylonej ścianie, brnął przez wodę.

Było jeszcze coś, czego potrzebował. Coś, czego mordercy na pewno nie zabrali.

Kannaday wszedł do kabiny radiowej. Większość zniszczonego wyposażenia znalazła się pod wodą. Drobniejsze części, jakieś przewody i układy scalone, unosiły się na powierzchni. Ale skrzynka, której szukał, wciąż stała na wspornikach zamocowanych do ściany na wysokości ramion. Hawke i Marcus nie trudzili się, by zabrać ją z sobą.

Skrzynka była jasnoczerwona i miała rozmiary pojemnika na drugie śniadanie.

Kannaday sięgnął po nią, otworzył i wyciągnął zawartość.

Jacht jęczał i trzeszczał, a kapitan ruszył szybkim krokiem ku gwiazdom i wolności.

ROZDZIAŁ 58

Waszyngton, Sobota, 12.38

Paul Hood, niczym urzędniczy Darwin badający zdolność przeżycia osobników najlepiej przystosowanych do biurokracji, odkrywał rozliczne funkcje, jakie mógł

pełnić dyrektor Centrum. Czasem musiał być rozgrywającym na boisku, kiedy indziej zagrzewającym do boju kibicem, a niekiedy kimś zupełnie innym. Tym razem jednak znów chodziło o rolę kibica.

Dyrektor Centrum wszedł do małego, jasnego pokoju, który był miejscem pracy Stephena Viensa.

Oficjalnie pomieszczenie to należało do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego Centrum. Viens oraz jego jednoosobowy personel czyhali na zakonspirowane wtyczki i zwykłych śmiertelników, którzy mogli ulec pokusie przekazywania tajemnic państwowych innym państwom. Tak przynajmniej określano ich obowiązki, kiedy Carolina Burdo, księgowa Centrum Szybkiego Reagowania, planowała coroczny budżet agencji. Nieoficjalnie było to miejsce, w którym Viens od wielu lat współpracował z Narodowym Biurem Rozpoznawczym, jako główny analityk obrazów satelitarnych. W ten sposób zapewnił Centrum dostęp do satelitów w najlepszej porze.

Gabinet Viensa był jedynym pomieszczeniem z oknem na całym poziomie podziemnym.

Okno wychodziło wprawdzie na korytarz, ale nie miało to znaczenia. Tuż za drzwiami jego pokoju znajdował się niewielki boks zajmowany przez Mary Timm.

Młoda kobieta przeglądała i analizowała dane z różnych satelitów zwiadowczych.

Jej rolą było segregowanie informacji i przekazywanie ich w tej postaci Viensowi.

Viens siedział plecami do okna. Przed nim na laboratoryjnym stole stały obok siebie trzy laptopy. Ekspert od zwiadu elektronicznego podniósł wzrok, kiedy Hood wszedł do pomieszczenia.

-

Przykro mi, Paul, że muszę cię rozczarować, ale nie wychwyciliśmy nic, co mogłoby się przydać - powiedział.

-

A zauważyliście cokolwiek? - zapytał Hood. Zatrzymał się obok Viensa. Na każdym z ekranów znajdowała się inna mapa. Hood domyślił się, że były to różne regiony morskie obserwowane przez Viensa. Ten sposób gromadzenia informacji był stosunkowo nowy dla struktur Centrum, które przywykły do opierania się wyłącznie na zwiadzie satelitarnym prowadzonym przez NRO.

-

Nie udało nam się zauważyć ani usłyszeć niczego, co przypominałoby statek płynący z dużą prędkością - informował go Viens. - Objęliśmy obserwacją obszar wzdłuż Wielkiej Rafy Koralowej, wschodnie rubieże Morza Celebes, cały akwen Morza Banda oraz zachodnie i południowo-zachodnie regiony Morza Koralowego.

-

Zrobiliście to wszystko w ciągu zaledwie dziewięćdziesięciu minut? -

zdumiał się Hood.

-

Tak. Ale musisz wiedzieć, że równocześnie przebiegają trzy procesy -

tłumaczył Viens. - Akustyczny, wizualny oraz termiczny. Jeden z nich często eliminuje konieczność prowadzenia innych.

-W jaki sposób?

-

Na przykład obserwujemy wskazania systemu ARCON - wyjaśniał Viens. - To Cywilna Sieć Obserwacyjna Azjatyckiej Linii Brzegowej.

Mówiąc ogólnie i nieformalnie, pokazuje każdego, kto się tam znajdzie. Morskie służby patrolowe oraz marynarka wojenna w tym regionie stosują specjalną częstotliwość przeznaczoną do łączności cywilnej. Gdyby radar na statku transportowym lub wycieczkowym wykrył inną jednostkę płynącą na pełnych obrotach, nocna wachta zameldowałaby o tym na częstotliwości ARCON. Ponieważ nic takiego nie miało miejsca, nasz program obliczył zasięg radarów zobligowanych do składania takich raportów. Istnieją duże szanse, że poszukiwany statek nie znajduje się na wyznaczonym w ten sposób obszarze, zatem nie marnowaliśmy czasu satelitów na jego ponowne przeszukiwanie. - Twarz Viensa wykrzywiła się ponuro. - Nie jestem zachwycony tym, że wykorzystujemy technologię do określenia gdzie kogoś nie ma, zamiast wskazywać, gdzie jest. Ale to najlepsze, co możemy zrobić.

-

Michał Anioł powiedział kiedyś, że tworzenie rzeźby polega na odkuwaniu kawałków marmuru, które nie są częścią posągu - oznajmił Hood.

-

O ile dobrze pamiętam, malowanie sufitu zajęło mu aż cztery lata - dodał

Viens.

-

Nie mylisz się - potwierdził Hood. Podczas operacji prowadzonej przez Centrum w Botswanie wspólnie z Kościołem spędził kilka nocy na lekturze przewodnika po Watykanie. Wśród bogactw Stolicy Piotrowej były ogromne zbiory dzieł sztuki.

-

Nie miej do siebie pretensji - dodał po chwili. - Prowadzisz poszukiwania, nie mając zielonego pojęcia, co masz znaleźć. Przynajmniej powiadomimy Boba, gdzie nie muszą szukać.

-

Prześle panu e-mailem dokładne koordynaty tych obszarów - odparł Viens.

-

Dzięki - powiedział Hood.

-

Ale wciąż nie jestem zadowolony - żalił się Viens.

-

W porządku. Możesz być niezadowolony. Ale nie zwalaj winy na siebie. To zasadnicza różnica.

Viens mruknął coś, co dyrektor uznał za aprobatę jego słów, i przystąpił do gromadzenia danych dla Herberta.

Hood wyszedł z jego biura. Chyba nie zdołał jednak poprawić nastroju Viensa. Co gorsza, sam zaczynał się martwić. Viens miał dostęp do całego świata elektronicznych danych. Zwykle to, co osiągał, znacznie przekraczało oczekiwane rezultaty. Jeśli on był niezadowolony, oznaczało to prawdziwy powód do zmartwienia.

Hood zerknął na Mary Timm, gdy mijał jej biurko. Uśmiechnął się i puścił do niej oko. Odwzajemniła uśmiech. Wspaniały uśmiech. Nie tylko piękny, ale też pełen ufności. Przesycony młodością i bezgraniczną nadzieją. Oczy Mary promieniały.

Przypomniawszy sobie czasy, kiedy on czuł się podobnie. Najpierw jako burmistrz Los Angeles, potem jako świeżo upieczony dyrektor Narodowego Centrum Szybkiego Reagowania. Może był wtedy

jeszcze naiwny, ale zawsze wierzył, że sprawy dobrze się ułożą. I to się sprawdzało. Może czasem trzeba było płacić duże koszty, ale wówczas przypominał sobie pewne powiedzenie, które poznał, kiedy zajmował się finansami na Wall Street. Jeśli towar jest wart swojej ceny, należy ją zapłacić.

Ten towar był wart swojej ceny.

Sprawy znów ułożą się dobrze, tak czy inaczej. Musiał w to wierzyć.

Uśmiech Mary pozostał na długo w pamięci Hooda. Czasami prosty gest potrafił dodać otuchy.

ROZDZIAŁ 59

Morze Koralowe, Niedziela, 2.39

Gdy kapitan wyszedł na pokład, „Hossana” była już przechylona na prawą burtę o prawie dwadzieścia pięć stopni. Pochylał się do przodu, by jego stopy lepiej trzymały się pokładu, i mocno trzymał w dłoniach dwa przedmioty zabrane z dołu.

Spojrzał w niebo, by określić położenie jachtu. Żeglował po tym regionie od lat i znał go doskonale. Dziób wskazywał kierunek północno-wschodni. Najbliższym lądem był więc Przylądek Melville'a. Powinien znajdować się o jakąś milę na południowy zachód. Kapitan obrócił się, ominął główny maszt i schylił głowę pod drzewcem rei. Dakronowy żagiel łopotał na nocnym wietrze. Tkanina wydawała głuchy, skowyczący odgłos. Kapitan przeszedł obok szybkim krokiem. Nie słyszał

silników pontonów. Ci, którzy w nich płynęli, prawdopodobnie posługiwali się wiosłami. W ciemnościach nocy, na nieznanych wodach zapewne im się nie spieszyło. Kannaday żywił tylko nadzieję, że nie odpłynęli zbyt daleko.

Gdy był pod pokładem, zatonięcie jachtu wydawało się kwestią kilku chwil. Teraz jego przypuszczenia się potwierdziły. Mimo to Peter Kannaday czuł się wspaniale.

Zyskał kolejną szansę zmierzenia się z Johnem Hawkiem. I odzyskania utraconej godności. Zależało mu na tym bardziej niż na szukaniu kamizelki ratunkowej.

Zbliżył się do tylnego masztu i wtedy „Hosanna” przechyliła się nagle na rufę.

Złapał kolumnę masztu, objął kurczowo ramionami i odchylił głowę, gdy luźne fały z impetem walnęły o drzewce i kabestan. W dłoniach wciąż trzymał dwa przedmioty, które zabrał z kabiny radiowej.

Czekał. Jacht nie mógł zatonać. Jeszcze nie teraz.

I nie zatonał.

Przechylił się mocniej na lewą burtę, potem znów odchylił. Kannaday puścił maszt i zaczął ostrożnie przesuwać się w kierunku relingu na rufie. Bariierka sięgała tylko do wysokości kolan. Ale lata spędzone na jachcie nauczyły kapitana utrzymywania równowagi na wzburzonych morzach. Prawe kolano oparł o słupek podtrzymujący tabliczkę rejestracyjną. Potem rozejrzał się dookoła i stwierdził, że toń jest właściwie spokojna. Drobną mgiełka pokryła mu skórę. Słona woda koła ból posiniaczonej szczęki i szczypała w świeżych ranach na rękach. Czuł

się cudownie. Miał wrażenie, że całe jego życie skupiło się w tym jednym momencie. Odczuwał obecność morza, ból, radość i pragnienie. I nie miało znaczenia, czego pragnie bardziej - bogactwa, ocalenia czy zemsty.

Powoli podniósł ręce. Lewą ustawił niemal pionowo, prawą zaś równoległe do powierzchni morza. Wystrzelił z raketnicy trzymanej w lewej dłoni. Nad smugą kłębiastego białego dymu rozblęsnęła różowa raca. Niewielkie, ciemne fale Morza Koralowego wyłoniły się z mroku na coraz większą odległość, tworząc silny kontrast światła i cienia. Jaskrawy obszar stopniowo oddalał się, gdy wystrzelona raca wznosiła się coraz wyżej. Dzięki temu rósł krąg światła, a Kannaday mógł patrzeć coraz dalej. Gdy był już pewien, że stracił szansę zemsty na Hawke'u, dostrzegł to, co tak bardzo pragnął dostrzec. Mniej więcej w odległości trzystu metrów, na krawędzi świetlnego kręgu, zobaczył pontony. Ci, którzy w nich płynęli, spojrzeli najpierw na ognistą kulę, potem na ciągnący się za nią wysoki, dymiący łuk.

Kapitan wyciągnął przed siebie prawą rękę. Wymierzył drugą raketnicę i strzelił. Odrzut spowodował, że Kannaday obrócił się nieco na śliskim, pochylonym pokładzie. Nie sprawdzając nawet, czy pocisk trafił w cel, kapitan załadował dwie kolejne race kalibru trzydzieści osiem milimetrów, które miał w kieszeniach. Zarepetował oba pistolety, uniósł je i wystrzelił z obu naraz. Dwie smugi światła pomknęły po torze wymierzonym w pontony. Pierwsza raca trafiła w cel. Żar ognistego pocisku błyskawicznie stopił neopren. Ponton z sykiem zapadł

się pod wodę. Drugi pocisk nie trafił, ale trzeci i czwarty wylądowały na drugim pontonie. Race najwidoczniej przegryzły się przez jego dno. W nienickim świetle rakiet wystrzelonej w górę Kannaday zdołał jeszcze dostrzec, jak ponton składa się do środka.

Załadował dwie ostatnie rakiety i wypalił w niebo. Firmament rozjaśnił się od białego światła. Blask oświetlał scenę, w której garstka mężczyzn walczyła między sobą, usiłując schwycić wiosła oraz szczątki pontonów. Mimo trzasków na jachcie Kannaday słyszał ich odległe krzyki.

A jednak tego dokonał. W triumfalnym geście uniósł raketnice i w tym momencie jacht pochylił się na prawą burtę, a rufa zanurzyła jeszcze głębiej. Kannaday zawadził o flagsztek i upuścił oba pistolety. Gdy odzyskał równowagę, poczuł

nagle ostry, kłujący ból w lewym barku.

Chwycił za ramię, jednocześnie obracając się w kierunku dziobu. Jęknął głośno, gdy wyczuł grot wbity w ciało, i jeszcze głośniejszym głosem, gdy wyciągnął ostrze z barku.

Nie musiał patrzeć przed siebie, żeby wiedzieć, z kim ma do czynienia.

-

Dobry szef ochrony nie porzuca roboty, dopóki jej nie skończy. - Usłyszał głos dochodzący gdzieś ze śródokręcia.

Sylwetka była ledwo widoczna w świetle gasnących rac. Ale nie ulegało wątpliwości, że to był John Hawke. Podeszedł bliżej. Miał na sobie kamizelkę ratunkową, a w prawej dłoni trzymał womerę.

-

Usłyszałem hałasy pod pokładem i zdecydowałem, że lepiej będzie, gdy tu zaczekam - powiedział.

Szybkim ruchem naciągnął womerę i znów wystrzelił. Druga strzała trafiła Kannadaya w prawe udo. Poczul potworny ból. Noga ugięła się pod nim i musiał

chwycić za flagsztok, żeby nie upaść. Szybko wyciągnął z ciała drugi grot. Drań mógł zranić go dużo poważniej. Ale nie chciał, wyraźnie się z nim bawił.

-

Czekałem na ciebie na dziobie - powiedział Hawke. - Nie sądziłem, że zdołasz się uwolnić.

-

Czekałeś, aż wystrzelę wszystkie race - domyślił się Kannaday.

-

Dobry szef ochrony wie też, kiedy zrobić ruch - odrzekł Hawke i zaczął

zbliżać się do kapitana. - To nieładnie, że wpakowałeś naszych ludzi do wody. Nie wszyscy mają kamizelki ratunkowe, a do brzegu jest kawał drogi. Ale nie będziesz miał zbyt długo wyrzutów sumienia. Podobnie jak wielu z nich utoniesz. Nie zadam ci kolejnej rany, bo byłaby śmiertelna.

Gdybym chciał cię zabić, już byłbyś trupem.

Hawke trzymał teraz womerę jak maczugę. Na tonącym statku było mnóstwo obiektów, o które można się było uderzyć. Z pewnością taki był jego plan. Pozbawić Kannadaya przytomności i pozwolić mu utonąć.

Kapitan nie mógł sobie darować, że po raz kolejny nie docenił Hawke'a.

Stał przed śmiertelnym niebezpieczeństwem i miał tylko moment, by stawić mu czoło. Zraniony bark i udo nie działały na jego korzyść. Hawke nie był nawet drażnięty. Na pewno by go pokonał. Gdyby podjął próbę wspięcia się na reling, Hawke przypuszczalnie dopadłby go, zanim zdołałby przejść na drugą stronę.

Wiedział, rzecz jasna, co ma zrobić. Przecież tyle wysiłku kosztowało go uwolnienie się z kajuty. Przecież tak bardzo zależało mu na odzyskaniu szacunku.

Nie miał zamiaru poddać się teraz bez walki. Dowódca załogi „Hosanny” nie będzie uciekał jak tchórz.

Sylwetka Hawke'a była przez chwilę wyraźnie widoczna na tle rozgwieżdżonego nieba, gdy Peter Kannaday oparł się o liny i podniósł pięści niczym bokser.

Trzymał ręce blisko klatki piersiowej. Jeśli Hawke będzie chciał uderzyć go womerą, kapitan zamierzał blokować ciosy. Atak nastąpi prawdopodobnie od tej strony, gdzie wcześniej zadał rany. Kannaday był gotów wykonać obrót i sparować uderzenie przedramieniem.

Nagle z dołu wkroczył na scenę trzeci uczestnik dramatu.

Zbuntowana woda.

ROZDZIAŁ 60

Rafa Osprey, Niedziela, 2.46

Śmigłowiec leciał w kierunku południowego wschodu, gdy rozległ się dzwonek telefonu Herberta. Wzrok wszystkich, poza pilotem, skierował się na niego. Nie widział dobrze ich oczu, ale wiedział, co się w nich kryło.

Nadzieja. Pragnęli informacji, strzępu wiadomości o miejscu, w którym powinni szukać. Najmniejszego tropu. Jelbart opuścił lornetkę. On i major Loh wpatrywali się w twarz Herberta, oczekując znaku, że ludzie z Centrum czegoś się dowiedzieli.

Szef wywiadu słuchał przez chwilę, potem skinął głową. Bez komentarza. Loh i Jelbart spuścili wzrok i znów zaczęli wyglądać przez szyby śmigłowca. Przed nimi znajdowała się rafa Osprey, położona w odległości dwustu dziesięciu mil od Cairns. Było to popularne wśród turystów miejsce obserwacji rekinów.

Pilot obrócił się do pasażerów.

-

Zbliżamy się do punktu bez powrotu! - wykrzyknął. - Jeśli za jakieś piętnaście minut nie zawrócimy, nie zdołamy dolecieć do miejsca, gdzie możemy zatankować.

Herbert przytaknął na znak, że przyjął to do wiadomości. Patrzył w dal, ku rafie. Czuł się dziwnie. Wózek inwalidzki nigdy nie był dla niego pułapką, aż do tej chwili - chociaż leciał szybkim śmigłowcem, dla którego nie istniały bariery takie jak drogi czy góry. Przyczyną był brak informacji oraz środków do ich zdobycia. Niewiedza nie dawała szczęścia. Była niczym więzienie.

Herbert zamrugał zmęczonymi oczami. Uniósł wzrok ku linii horyzontu. Dostrzegł

na niej bladą czerwonawą poświatę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dopiero trzecia. Było jeszcze za wcześnie na świt.

-

Spójrzcie na horyzont na wschodzie - powiedział Herbert. - Jak wam się wydaje, co to jest?

-

To nie może być wschód słońca - stwierdziła major Loh.

Jelbart skierował lornetkę w tamtym kierunku.

-

Na pewno nie. Widać tam kilka świateł. - Klepnął pilota w ramię. - Rzućmy na to okiem, zanim zawrócimy.

Pilot skinął głową. Bell zatoczył łuk ku ledwo widocznej łunie. Jelbart nie przestawał przyglądać się dalekim światłom przez lornetkę.

-

Te światła mają kolor rakiet wystrzeliwanych w celu wezwania pomocy -

komentował na bieżąco wojskowy.

Herbert pomyślał dokładnie to samo. Białe race sygnalizowały człowieka za burtą.

Żółte informowały o strzelaniu rzutek. Pomarańczowe oznaczały, że statek osiadł

na mieliźnie, ale był bezpieczny.

Jelbart obniżył lornetkę i przycisnął słuchawki do uszu. On i pilot z pewnością odbierali jakąś wiadomość.

-

Jeden z samolotów również widział światła - powiedział podekscytowany Jelbart. - Z pewnością były to race świetlne. Wygląda na to, tonie jakiś kecz.

-

Czy dostrzegli pożar? - zapytał Herbert.

Jelbart pokręcił głową.

-

Szalupy ratunkowe? - zadała pytanie major Loh.

-

Nic takiego nie widzieli - odpowiedział Jelbart.

-

Kecz - odezwał się Jelbart z namysłem. - Taka łódź w tym miejscu nie powinna nikogo dziwić, nieprawdaż?

-

Istotnie - odparł chorąży. Wyciągnął mapę ze schowka w drzwiach śmigłowca. Otworzył ją na stronie zawierającej współrzędne podane przez pilota. - W tym miejscu morze ma siedemdziesiąt metrów głębokości. Nie ma też żadnych raf. Ani niczego, w co jacht mógłby uderzyć. A przynajmniej nie z taką siłą, by groziło mu zatonięcie.

-

Dlaczego przemytnicy najpierw zatapiają własną łajbę, a potem odpalają race, wzywając pomocy? - zastanawiała się major Loh.

-

Zwłaszcza tak dużo rac - dodał Jelbart. - Musiały być co najmniej trzy lub cztery, żeby tak mocno rozjaśnić niebo.

-

Nie jest to rodzaj pocisków, które są odpalane automatycznie w razie pożaru lub pod wpływem wysokiej temperatury - stwierdziła Monica Loh. - Ktoś musiał je wystrzelić celowo.

-

Racja - przytaknął Jelbart. - Chociaż wydaje się, że niektóre z nich rozbłyły nisko nad wodą.

-

Niewykluczone że łódź przechyliła się, kiedy odpalali race. - Major Loh snuła przypuszczenie. -
Może był to akt rozpaczy na chwilę przed tym, jak jednostka poszła na dno.

-

Któż wypływa jachtem na głęboką wodę, zatapia go, a potem robi wszystko żeby zostać
dostrzeżonym - zdziwił się Herbert.

-

Skąd więc te wystrzelone race? - zapytał Jelbart

-

Być może nie wszystkim podobał się pomysł posłania łajby na dno... -
spekulował Herbert.

-

Bunt? - zasugerował chorąży.

-

Odszczepieniec wśród przemytników - odparł Herbert. - Nie trzeba do tego wielkiej wyobraźni.

-

Prawda. Cóż, niebawem uzyskamy odpowiedź - dodał Jelbart. - Obrócił się do pilota. - Kiedy tam
dolecimy?

-

Za około dziesięć minut - odpowiedział pilot.

-

Gdybyśmy nie zdążyli zawrócić po paliwo, to gdzie najbliżej może my wylądować? - zwrócił się z
pytaniem Herbert.

Jelbart sprawdził na mapie.

-

Jest takie miejsce. Moribura. Około dwustu kilometrów stąd, na południowy zachód.

-

To wciąż dałoby nam zaledwie dziesięć minut dodatkowego lotu -
podpowiedział pilot.

-

Mój kuter patrolowy płynie w tym kierunku z maksymalną prędkością -
wtrąciła major Loh. - Powinni być na miejscu za jakąś godzinę.

Będą kontrolowali przebieg zdarzeń.

-

Obawiam się, że nie zdążą pomóc ludziom na tonącym keczu - zaniepokoił się Jelbart.

-

Mogę powiadomić przez radio Darwin - zaproponował pilot. - Niedaleko jest baza straży
przybrzeżnej. Chyba w Port Douglas.

-

Dzięki, ale to chyba niewiele pomoże - odparł Jelbart. - Dysponują oni jednostką Patrol 5, która
rozwija prędkość osiemnaście i pół węzła, poza tym nie mają tam śmigłowca. Zanim nadejdzie
ratunek, ludzie w wodzie będą skrajnie wyczerpani i prawie śmiertelnie wychłodzeni.

-

Biedni przemysłowcy. Chyba się rozplączę - stwierdził z ironią Herbert.

Jelbart zignorował jego uwagę.

-

Czy jesteśmy w stanie zrobić cokolwiek, zanim dotrze tu kuter patrolowy major Loh?

-

Nie sądzę - ocenił pilot. - Mam tylko aluminiową drabinkę, poza tym pozostało nam niewiele czasu
w powietrzu.

Herbert obserwował, jak śmigłowiec zataczał łuk w kierunku tonącego jachtu.

Światła rac przygasły niemal zupełnie.

-

Wydaje się, że dziób znajduje się pod wodą - ocenił Jelbart.

-

Gdzie płonęły race? - zapytał szef wywiadu Centrum.

-

Od strony rufy - powiedział chorąży.

-

To wykluczałoby przynajmniej jedną hipotezę - stwierdził Herbert.

-

Tak - wtrąciła Loh. - Domniemanie, że ktoś wystrzelił racę równoległe do powierzchni wody z powodu gwałtownego przechyłu jachtu. W rezultacie przechylenia do przodu pocisk pomknąłby wysoko ku niebu.

-

Właśnie - odparł Herbert. Ta kobieta imponowała mu inteligencją.

Wydawało się czasem, że nie słucha, ale słuchała. I to uważnie. Poza tym umiała myśleć. Herbert przywykł do tego, jak załatwiano sprawy w Waszyngtonie.

Gdy ktoś milczał, to zazwyczaj z jednego lub z drugiego konkretnego powodu, przy czym oba były negatywne. Albo sądził, iż zna wszystkie odpowiedzi, i nie był

zainteresowany w wysłuchaniu zdania

innych, albo też obawiał się zabrać głos, by nie być odpowiedzialnym, gdyby okazało się, że jego sugestie zostały zrealizowane. Zbyt wielu pracowników federalnej administracji przedkładało interes osobisty nad dobro publiczne.

Herbert wolał być nieświadomy czyichś zalet i potem mile zaskoczony niż rozczarowany wadami. Jego żona Yvonne też go kiedyś zaskoczyła. Gdy zaczęli razem pracować, przyszła pani Herbert zawsze była bardzo cicha. On sam całkowicie błędnie oceniał jej milczenie, patrząc na nią przez pryzmat szczebla, jaki zajmowała w drabince płac. Była podwładną. Personelem pomocniczym. Jednak w rzeczywistości zadziwiała inteligencją. Zwykle rozumiała tyle, co on, czasem ciut więcej.

Było to coś osobliwego. Kiedy wybuchła bomba pod ambasadą w Bejrucie, Yvonne przyjęła na siebie uderzenia drewnianych belek i cegieł.

Herbert nie miał na to żadnego dowodu, ale zawsze był przekonany, że Yvonne wyczuła intuicyjnie wybuch bomby ułamek sekundy wcześniej niż on, popchnęła go na podłogę i nakryła własnym ciałem. Tak ich później znaleziono.

Chociaż nie miał pewności, czy tonący jacht ma coś wspólnego z Darlingiem, szef wywiadu Centrum nie czuł już tak bardzo, że tkwi w pułapce.

-

Zrobiło się zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć - poinformował Jelbart, opuszczając lornetkę. - Żałuję, że nie wziąłem noktowizora.

-

Za mniej więcej dwie minuty obszar znajdzie się w zasięgu reflektorów -
podpowiedział pilot.

-

A my w zasięgu każdej broni, jaką mogą tam mieć - skomentował Herbert, nachylając się w stronę pilota.

-

Właśnie to samo przyszło mi do głowy - dodał Jelbart.

-Pragnę poinformować, że nie dysponujemy żadnymi środkami umożliwiającymi obronę
- oznajmił pilot.

-

Zauważyłem - stwierdził Herbert. - Panie chorąży, czy może pan połączyć się przez radio z generałem Hopkinsem i poprosić go, żeby polecił

załogom miraży krążyć w tym rejonie.

-

Oczywiście - odparł Jelbart. - Ale nie sądzę, abyśmy mieli się czego obawiać. Tonący pokład nie jest najlepszą platformą strzelecką.

-

Mimo to czułbym się lepiej, mając za plecami myśliwce obserwujące statek.

Na wypadek, gdyby załodze przyszły do głowy głupie pomysły -
skomentował Herbert.

-

Sir, postaram się zlokalizować dolną część kadłuba i ustawić maszynę tak, żeby oddzielała nas od ludzi, którzy mogli pozostać na pokładzie.

Wtedy trudniej będzie im w nas trafić.

-

Rozsądna uwaga. - Herbert pochwalił pilota.

-

Na naszą korzyść przemawiają dwie rzeczy - zauważyła major Loh. - Wszelkie uszkodzenia na sampanie były spowodowane bronią niedużego kalibru. Nasi przeciwnicy nie mająna uzbrojeniu niczego o większej sile rażenia.

Gdyby nawet czymś takim dysponowali, znaleźli się tutaj po to, by dowody spoczęły na dnie morza. W tym także broń.

Herbert skinął potakująco głową. To się trzymało kupy. Prawie zakochał się w tej kobiecie.

Szef wywiadu usiadł ponownie i wybrał numer Centrum. Nie sądził, żeby Stephen Viens był w stanie zdobyć w ciągu najbliższych dziesięciu minut jakieś interesujące dane. Jednak chciał, żeby Paul Hood wiedział, co się dzieje. Chciał

też, żeby poznał ich dokładną pozycję.

Tylko na wypadek, gdyby mylili się co do siły ognia przeciwnika.

ROZDZIAŁ 61

Waszyngton, Niedziela, 13.00

Był taki moment, kilka lat wcześniej, kiedy Paul Hood zapoznał się z trzecim aspektem swojej pracy.

Pierwszym z nich była rola rozgrywającego, drugim kibica, natomiast trzeci polegał na wcieleniu się w postać komentatora. Gościa, którego prawdziwe zadanie polegało na szukaniu dziury w całym.

Hood zdołał stworzyć zespół profesjonalistów. Ekspertów do spraw wojskowych.

Strategów operacji wywiadowczych. Wybitnych psychologów, dyplomatów, zawodowców w dziedzinie inwigilacji i rozpoznania. Był tutaj po to, żeby słuchać, co mają do powiedzenia Mike Rodgers, Darrell McCaskey czy Bob Herbert. Jednak bez względu na to, czy zgadzał się z nimi, czy też nie, jego odpowiedź zawsze zaczynała się od słów „Tak, ale...”.

Wypowiedział je również teraz, kiedy szef wywiadu zadzwonił z pokładu śmigłowca.

Usiadłszy za swoim biurkiem i wysłuchawszy opisu wydarzeń, dyrektor Centrum rozpoczął od rutynowej frazy: „Tak, ale...”. Tym razem jednak miał prawdziwe powody do obaw.

-

Jaką masz pewność, że to nie podstęp? - zapytał.

-

Miał za mało czasu, żeby coś takiego zorganizować - stwierdził Herbert.

-

Wystarczyło mu czasu, żeby zadzwonić do specjalnego doradcy prezydenta do spraw wyborów i napuścić go na mnie - wyjawiał Hood.

-

Do Bruce'a Perry'ego? - zapytał Herbert.

-

Właśnie.

-

Zapewne przemówił do ciebie słowami w stylu: „Dlaczego niepokoiacie tego wielkodusznego filantropa?” - powiedział Herbert.

-

Coś w tym rodzaju - odpowiedział Hood. - Nie chodziło o nic konkretnego.

Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby Perry nie miał pojęcia o przemyśle.

-

Zgadza się. Ale i tak coś mnie intryguje - wyraził swój pogląd Herbert.

-

Co mianowicie?

-

Ile punktów dałbyś Perry'emu na skali politycznych wpływów? Dwa na dziesięć możliwych? - spytał Herbert.

-

Jeśli uczciwie na to spojrzeć, to mniej więcej tyle - potwierdził Hood.

-

Darling jest przyzwyczajony do kontaktów na najwyższym szczeblu administracji - kontynuował wywód Herbert. - Na pewno mógłby dotrzeć do kogoś stojącego dużo wyżej od Perry'ego, gdyby był odpowiednio przygotowany. Jednak stało się inaczej. Działając w pośpiechu, nie

mógł zrobić nic więcej. Paul, uważam, że mamy Darlinga w garści.

Hood przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

-

Ja nie wyciągnąłbym takiego wniosku.

-

A jaki jest twój punkt widzenia? - zapytał Herbert.

-

Jestem zdania, że Perry reprezentował najwyższy szczebel, do którego Darling odważył się dotrzeć. - Hood przedstawiał swoją hipotezę. -

Gdyby zadzwonił do przewodniczącego Izby Reprezentantów, a przecież mógł, grywali razem w golfa, jak wynika z archiwów, polityczny instynkt przetrwania zmusiłby przewodniczącego do postawienia sobie pytania: „A jeśli Darling jest winny, co wtedy? Czy rzeczywiście chce nadstawić głowę za tego faceta?”

-

W porządku - zgodził się Herbert. - To kolejna przesłanka, że nasz podejrzany ma jednak coś do

ukrycia.

-

Racja. Ale nie oznacza to wcale, że schwytaliśmy go na gorącym uczynku -

stwierdził Hood. - Ta łajba może być podstawiona, by odwrócić twoją uwagę od rzeczywistego transportu. Albo jeszcze gorzej. Macie noktowizory?

-

Nie. Nie mamy też broni.

-

Jezu Chryste! - Hood się przeraził.

-

A jego akurat mam. Na łańcuszku, tuż przy sercu - odparował Herbert.

Minęła chwila, zanim Hood zrozumiał, o co chodzi. Uśmiechnął się.

-

Posłuchaj, Paul - ciągnął Herbert. - Jesteśmy prawie na miejscu i nie zamierzam się cofnąć. Jeśli te łotry szykują dla nas jakąś niemiłą niespodziankę, dawalcie im bez pardonu. Wyciągnijcie krypę, przeszukajcie milimetr po milimetrze i znajdźcie coś, co obciąży Jervisa Darlinga. Nic nigdy nie jest stuprocentowo czyste. Nic.

-

Bob, szarżowaliśmy już w kilku miejscach i zawsze płaciliśmy za to wysoką cenę - ostrzegał Hood. Stracili przecież Charliego Squiresa w Rosji oraz wielu członków zespołu Striker, usiłując nie dopuścić do wybuchu wojny między Indiami i Pakistanem.

-

Tak, ja też zapłaciłem, chociaż stałem sobie tylko koło ambasady i myślałem o własnych sprawach - zauważył Herbert.

-

Bejrut znajdował się w strefie wojny - przypomniał mu Hood.

-

Paul, dzisiaj cały świat jest w cholernej strefie wojny - przekonywał

Herbert. - Tak czy owak nie mam prawa się teraz wycofać. Rozwiązywanie sytuacji kryzysowych mieści się w zakresie moich służbowych obowiązków. Jeśli to jest łajba, którą posłużyli się przemytnicy, z pewnością mamy do czynienia z sytuacją kryzysową.

Hood poczuł, że zabrakło mu już argumentów zaczynających się zwrotem: „Tak, ale...”. Wywiązał się ze swoich obowiązków. Teraz nadeszła pora realizacji kolejnego etapu. Mniej znaczącego, ale być może trudniejszego. Musiał wziąć w karby własny wrodzony konserwatyzm. Powstrzymać się od przejęcia komendy nad swoim wysłannikiem do specjalnych poruczeń. Pozwolić mu decydować samodzielnie.

Wyrazić zgodę, by zaryzykował własne życie.

-

W porządku. Tylko nie rozłączaj linii, rozumiesz? - poprosił.

-

Oczywiście - odparł Herbert. - Ale nie będziesz wiele słyszał. Trochę tutaj głośno.

-

Mam nadzieję, że to właśnie będzie docierać do moich uszu - oznajmił Hood.

-

Nie bardzo rozumiem. - Herbert się zdziwił.

-

Chciałbym słyszeć głośny warkot śmigłowca, wracającego z udanej akcji zwiadowczej - wyjaśnił Hood.

-

Załapałem - powiedział Herbert. - Dzięki. Jesteśmy gotowi do włączenia reflektorów. I jeszcze jedno, Paul.

-Tak.

-

Jeśli ten drań, Perry, zadzwoni ponownie, przełącz go do mnie - poprosił

Herbert.

- Jasne. A po co?

-

Jeśli się nam poszczęści, wkrótce będziemy mieli mu coś do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 62

Morze Koralowe, Niedziela, 3.01

Jacht kołysał się na pogrążonym w mroku morzu niczym legendarny potwór z głębin.

Sprawiał wrażenie, jakby uczestniczył w walce pomiędzy obydwoma mężczyznami.

Woda zgromadzona na dolnym pokładzie, jakby mszcząc się za uwięzienie, nagle przelała się na dziób, który natychmiast zanurzył się głęboko. Hawke'a rzuciło w tył, Kannadaya w przód. Przeciwnicy zderzyli się ze sobą na śródkręciu, a potem wpadli na kolumnę grotmasztu. Hawke zgubił womerę. Obaj stracili orientację.

Ześlizgiwali się w stronę dziobu, gdy rufa unosiła się do góry. Wymachiwali rozpaczliwie rękami, starając się czegoś chwycić. Jacht tonął coraz bardziej.

Bulaje na dziobie popękały, a z otworów zaczęły się wydostawać wielkie bąble powietrza. Każdy wywoływał lekki wstrząs kadłuba, podobny do skurczu mięśni.

Bąble unosiły jacht nieco w górę, ale tylko na chwilę. Zaczął się już niepowstrzymany ruch w dół.

Kannaday stracił Hawke'a z oczu. Namacał rękami fał i chwycił się go kurczowo.

Brakowało mu sił, bo stracił dużo krwi. Wisiał na linie, a jacht ześlizgiwał się coraz głębiej pod powierzchnię morza. Jedno ucho miał przyciśnięte do desek pokładu, drugim słyszał huk wody, wdzierającej się do wnętrza kadłuba.

Dziwne, pomyślał. Prawdopodobnie miał przed sobą jedną, może dwie minuty życia.

Mimo to czuł się przepelniony osobliwą radością. Oto powstał z martwych, aby stawić czoło Hawke'owi. Teraz życie wędrowca dobiegało kresu, lecz nie była to bezsensowna śmierć. Świadomość tego faktu sprawiała mu przyjemność.

Nagle poprzez fontannę wody dojrzał światło. Zastanawiał się przez chwilę, czy to właśnie o tym świetle opowiadali ludzie którzy przeżyli śmierć kliniczną.

Przyglądał się, jak otoczona tęczą światłość przybliża się i rośnie. Po chwili do jego uszu dobiegł warkot. Dźwięk niósł się poprzez fale napierającej od dołu wody. Białe światło wciąż się zbliżało, aż wreszcie zawisło mu nad głową. Wtedy dopiero zorientował się, że to nie wejście do świetlistego korytarza, łączącego dwa światy.

To był śmigłowiec. Być może pilot dostrzegł rakiety i sprawdzał, co się stało.

Nie miało to jednak większego znaczenia. W wodzie znajdowało się zbyt wielu ludzi, by można było wszystkim pomóc, a od lądu dzieliła ich spora odległość.

Niewielu z nich zdoła się utrzymać na powierzchni przez dwie lub więcej godziny, czyli do czasu przybycia statków.

Kannaday czuł, jak palce zaczynają mu sztywnieć i drżeć. Trzymał się mocno, ale lina była śliska, a kąt nachylenia pokładu wciąż rósł. Zwiększający się przechył

powodował konieczność utrzymania coraz większego ciężaru. Zaczynał tracić czucie w rękach. Stopami szukał jakiegoś punktu oparcia, ale na próżno.

Światło opadło na wodę za jachtem. Kannaday ześlizgiwał się coraz bardziej.

Puścił się jedną ręką i spróbował owinąć sobie linę wokół nadgarstka, jednak nie zdołał. Wciąż tracił krew i czuł, że kręci mu się w głowie. Palce słabły i znowu osunął się nieco w dół. Zmusił się, by mocniej ścisnąć linę. Tak bardzo chciał

przetrwać. Tak bardzo chciał odzyskać dumę. Dumę kapitana Petera Kannadaya. Musi stawić opór wszelkim przejawom buntu. W ostatecznym rozrachunku udało mu się tego dokonać. Niepisane prawo morza wymagało też, aby kapitan pozostał na pokładzie tak długo, aż ostatni pasażer i członek załogi nie zostanie bezpiecznie ewakuowany. Kannaday miał zamiar zachować się zgodnie z tym prawem, choć miał nadzieję, że Hawke pójdzie na dno razem z nim. Wiedział, że Hawke wciąż znajduje się na tonącym jachcie. Parę minut temu widział go uwieszonoego krawędzi dziobowego luku. Nie oddał mu „Hosanny”. Nawet w obliczu śmierci.

Silny podmuch uderzył o burty tonącej jednostki. Był to strumień powietrza spowodowany wirnikiem śmigłowca. Światło wciąż znajdowało się za jachtem. Teraz uniosło się trochę i kadłub rzucił cień na powierzchnię wzburzonego morza. Cień był prostokątny i przypominał trumnę.

Była to ostatnia rzecz, jaką widział Kannaday, bo jacht nagle skrył się pod wodą. Lodowate fale najpierw chwyciły go za stopy. Pogrążając się w morzu, nie wypuszczał z rąk liny ciągnącej go za wrakiem. Nie wstrzymał oddechu i nie walczył o życie. Nie obchodziło go, jaką przyczynę zatonięcia ustali izba morską. Dla Petera Kannadaya liczyło się tylko to, że on sam znał prawdziwy powód. Umarł, pozostając do końca kapitanem.

- Teraz można wykonać bezpieczne podejście - powiedział Herbert. Głos Amerykanina przepełniony był sarkazmem, bo statek zniknął z powierzchni morza.

Jelbart wpatrywał się przez lornetkę w miejsce jego zatonięcia.

-

Czy jacht o nazwie „Hosanna” jest komuś znany? - spytał Herbert.

-

Nie - odrzekł Jelbart. - Wyglądał na typowy jacht wycieczkowy, jakich setki można spotkać w tym rejonie.

-

Tam w wodzie ktoś jest - powiedziała nagle major Loh.

-

Gdzie? - zainteresował się Jelbart.

-

Po mojej stronie. Leży na wodzie twarzą w dół.

Pilot zmienił pozycję śmigłowca i Jelbart także dostrzegł ofiarę.

-

Ma pani rację. Widzę jeszcze jednego, płynie do tego pierwszego.

Pani major, czy może pani podać drabinę?

Loh sięgnęła za plecy i wyjęła z niewielkiego schowka zwiniętą drabinę z aluminiowymi szczeblami.

-

Na podłodze są uchwyty - poinformował pilot.

-

Widzę - odparła Loh. Rozpięła pas i uklękła na jedno kolano. Przymocowała drabinę do stalowych

uchwytów, szarpnęła mocno, by sprawdzić, czy się trzyma, i odwiązała nylonowe taśmy zabezpieczające ją przed rozwinięciem.

-

Gotowe.

-

Macha do nas - zauważył Jelbart. - To zapewne ktoś, kto nie chciał dopuścić do zatonięcia jachtu.

-

W takim razie musimy z nim porozmawiać - stwierdził Herbert.

-

Gdy tylko go wciągniemy, będziemy musieli natychmiast zawrócić - powiedział pilot. - Dodatkowe obciążenie zwiększy zużycie paliwa.

-

Rozumiem - zgodził się Jelbart. - Lećmy więc po niego.

Pilot potwierdził polecenie. W wodzie mogło być więcej rozbitków i z niechęcią myślał o tym, że musi ich zostawić w mroku, na pastwę zimnego i wzburzonego morza. Ale jeszcze mniej uśmiechała mu się perspektywa wodowania, gdyby z powodu braku paliwa jego Bell nie zdołał dolecieć do brzegu.

-

Major Loh, niech pani będzie łaskawa rozwinąć drabinę - poprosił pilot i obrócił śmigłowiec.

Loh otworzyła drzwi, trzymając się parcianej taśmy, która biegła obok. Wyjrzała na zewnątrz. Strumień powietrza od wirnika był silniejszy, niż się spodziewała.

Musiała przytrzymać się także z drugiej strony drzwi.

Rozbitek dopłynął do leżącego na falach człowieka i obrócił go na plecy. Nie było widać żadnych oznak życia. Loh wykopała bezpiecznie drabinę na zewnątrz śmigłowca tak, by nie zranić mężczyzny. Drabinka rozwijała się, cicho klekocząc szczeblami. Loh znowu się wychyliła.

-

Da sobie radę bez pomocy? - spytał Jelbart.

-

Stara się - odpowiedziała Loh. - Płynie w kierunku drabinki, ale używa tylko jednej ręki. Może być ranny.

-

Nie mogę zejść niżej, bo podmuch wgniecie go pod wodę - tłumaczył pilot.

Loh widziała, jak mężczyzna wyprostował prawą rękę, chwycił najniższy szczebel drabiny, po czym przełożył przez niego lewe ramię. Miał kłopoty z wspięciem się do góry. Lewa ręka wyglądała na złamaną.

-

Nie da sobie rady - stwierdziła Loh i dodała: - Schodzę po niego.

-

Chwileczkę, pani major, proszę to włożyć - powstrzymał ją pilot, podając swoje rękawiczki. - Będzie się pani mogła mocniej trzymać.

-

Dziękuję - odrzekła, wciągając je na dłonie. Odwróciła się tyłem do otwartych drzwi i zaczęła schodzić w dół.

Od powierzchni morza dzieliło ją dwadzieścia szczebli. Drabina chwiała się niemiłosiernie. Major schodziła powoli. Morska woda natychmiast zmoczyła szczeble, jej twarz oraz ubranie. Wyglądało na to, że rękawiczki uratowały jej życie.

Co kilka szczebli spoglądała w dół, chcąc się upewnić, że marynarz wciąż trzyma się końca drabiny. Trzymał się, objawszy szczebel prawą ręką. Gdyby poszedł pod wodę, Loh musiałaby skoczyć za nim, by go wyciągnąć.

Zejście nie trwało długo. Będąc tuż nad rozbitkiem, Loh ostrożnie postawiła nogę na szczeblu, którego był uciepiony. Mężczyzna trzymał się mocno, ale sprawiał

wrażenie, jakby cierpiał straszliwe katusze.

-

Czy zdoła pan objąć mnie za szyję chorą ręką? - krzyknęła do niego.

-

Chyba tak - odpowiedział i wskazał głową w bok. - Ten człowiek to zdrajca.

Musicie wziąć odciski jego palców i sprawdzić, w co jeszcze jest zamieszany.

-

Mamy mało paliwa - wyjaśniła Loh. - Wkrótce przybędzie tu patrolowiec i pozbiera zwłoki.

Loh przykucnęła, ale rozbitek się zawahał. Po chwili, niechętnie, próbował

unieść lewe ramię. Loh chwyciła je prawą ręką i owinęła sobie wokół szyi.

Wczepił się słabymi, pokrwawionymi palcami w jej kołnierz. Loh poprawiła się na szczelbu i uniosła mężczyznę nieco wyżej. Potem zaczęła się wspinaczka. Marynarz nie był całkiem bezwładny, ale też niewiele mógł jej pomóc. W połowie drogi poczuła, że jego ciężar ją przytłacza. Każdy kolejny stopień pokonywała z dwukrotnie większym wysiłkiem niż poprzedni. Mężczyzna próbował wspinać się razem z nią, ale gdy tylko sięgał zdrową ręką do drabiny, zwisał całym ciężarem na plecach Loh. Nie spodziewała się tak trudnego zadania. Podczas corocznego sprawdzianu sprawności fizycznej w akademii major Loh potrafiła wspiąć się po dziesięciometrowej linie bez pomocy nóg. Naturalnie nie próbowała eskalady, jak nazywało się to ćwiczenie, z człowiekiem na plecach.

-

Major Loh, proszę go podsadzić!

Ktoś krzychał do niej z góry. Uniosła wzrok. W jej fotelu siedział Bob Herbert.

Trzymał się taśmy i wychylał na zewnątrz śmigłowca. Musiała pokonać jeszcze trzy szczeble, by dosięgnąć jego wyciągniętej ręki.

-

Pani major, proszę się z nim nie wspinać, bo oboje spadniecie! -wrzasnął

Herbert. - Proszę go podsadzić, to wciągnę go do góry.

Ale Loh zignorowała jego słowa. Nie miała zamiaru poddawać się, nie wykonawszy zadania do końca. To nie było w jej stylu, uczono ją czegoś innego. Patrzyła prosto przed siebie, na podwozie. Spróbowała wspiąć się na kolejny szczebel, ale ręce miała już tak słabe, że nie mogła opanować ich drżenia.

Musiała się zatrzymać.

-

Do jasnej cholery, nogi mam niesprawne, ale potrafię podciągnąć jedną ręką dwadzieścia pięć

kilogramów! - krzyknął Herbert.

-

Spróbuję złapać się pani przyjaciela - powiedział rozbitek z ustami przy jej uchu.

-

Dobrze - zgodziła się Loh.

Zablokowała lewe ramię między szczeblami i wolną ręką podparła mężczyznę, który przesunął się w prawo i przywarł do szczebla ponad jej głową. Bob Herbert miał

rację. To było łatwiejsze, niż wspinanie się z rozbitkiem na plecach. Herbert złapał go za zdrowe ramię, a Loh podsadzała go od dołu, ułatwiając mu dotarcie do drzwi śmigłowca. Herbert wciągnął go do wnętrza. Za chwilę w środku była też Loh.

-

Wszystko w porządku? - spytał ją Herbert.

-

Tak - odpowiedziała. - Czy na pewno nie mamy czasu, by zabrać tego drugiego?

-

Na pewno - potwierdził pilot, zerkając na wskaźnik poziomu paliwa. -

Musimy natychmiast wracać.

Wiedziała, że od tej decyzji nie ma odwołania. Odczepiła drabinkę, wciągnęła ją do środka i zamknęła drzwi. Pilot poderwał śmigłowiec i skierował się na południowy zachód. Rzuciła drabinkę na podłogę i usiadła w fotelu naprzeciwko Herberta. Spojrzała na niego i powiedziała:

-

Dziękuję, Bob.

-

A właśnie. I ja dziękuję - przyłączył się nowy przybysz.

Loh i Herbert spojrzeli na niego w tym samym czasie. Mężczyzna siedział na fotelu, który Herbert zwolnił, aby pomóc mu dostać się na pokład. Był

przemoczony i miał dreszcze. Podtrzymał dłoń lewy łokieć.

-

Macie tu jakiś ręcznik? - spytał Herbert pilota.

-

Obawiam się, że nie.

-

A może butelkę wody?

-

Skończyła się jakieś sto osiemdziesiąt kilometrów temu.

Herbert spojrzał na rozbitka i wzruszył ramionami.

-

Bardzo mi przykro.

-

Nie ma sprawy - odezwał się słabym głosem mężczyzna. - Cieszę się, że tu jestem. Myślałem, że już po mnie.

-

Co z pańską ręką? - spytał Herbert. - Możemy zrobić jakiś temblak.

-

To raczej ramię - powiedział ocalony. - Uderzyłem się, kiedy jacht stanął dęba. Na razie się trzyma.

-

Zajmiemy się tym po wylądowaniu - włączył się Jelbart. - Do tego czasu możemy porozmawiać. Jak się pan nazywa?

-

Peter Kannaday, kapitan „Hosanny” - odparł mężczyzna. Mówienie sprawiało mu widoczną trudność. - A wy kim jesteście?

-

Jestem chorąży Jelbart, naprzeciwko pana siedzi Bob Herbert, a ta dama to major Loh.

-

Australia, Ameryka i... zdaje się, Singapur?

Loh kiwnęła głową.

-

Bardzo wam wszystkim dziękuję - powiedział rozbitek, kłaniając się lekko każdemu z nich.

-

Niech pan mi powie, panie kapitanie, co pan robił w tym miejscu? - spytał

Jelbart.

- I kim był ten osobnik w wodzie obok pana? - zapytała Loh, zdejmując nasiąknięte wodą rękawiczki. Poruszyła zziębniętymi palcami. - Mówił pan, że pana zdradził.

-

Zdradził mnie i całą Australię - powiedział złowieszczo mężczyzna, wpatrując się gdzieś w dal.

-

Jak to się stało? - dopytywała się Loh.

Rozbitek zamrugał gwałtownie, jakby budził się z jakiegoś transu.

-

Kapitanie, proszę o odpowiedź - nalegała Loh.

-

Proszę mi wybaczyć - powiedział i nagle jego ramionami wstrząsnął szloch.

- Przepraszam państwa, ale mam za sobą koszmarną noc. Proszę o chwilę cierpliwości. Chciałbym zmrużyć oczy choć na kilka minut.

-

Panie kapitanie, wiemy, przez co pan przeszedł. Ale jest to sprawa niecierpiąca zwłoki - powiedział

Jelbart. - Musi nam pan powiedzieć, kim był ten człowiek i co tu obaj robiliście.

-

Nazywał się Hawke - odparł rozbitek. - John Hawke. To on zatopił

„Hosannę”.

-

Dlaczego? - spytała Loh.

Mężczyzna osunął się na oparcie, zamknął oczy i zamilkł.

-

Kapitanie! - krzyknął Jelbart.

-

Muszę odpocząć - powiedział mężczyzna. - Proszę, choćby przez kilka minut. Zapewniam was, to niczego nie zmieni.

Strużki wody ściekały mu z czoła i skroni. Oparł głowę o okno. Loh szturchnęła go, ale tylko coś burknął, nie otwierając oczu.

-

Gdybyśmy byli w Singapurze, to ja już bym go obudziła - stwierdziła Loh.

-

Gdybyśmy byli w Singapurze, to na pewno bym pani w tym pomógł - zgodził

się Herbert. - Mamy piękną, długą drabinkę. Co mówią przepisy prawa międzynarodowego na temat cucenia gościa poprzez wleczenie go za śmigłowcem?

-

Nazywa się to „szczególne udręczenie”, panie Herbert - powiedział Jelbart.

- W waszym systemie prawnym oznacza to wyrafinowane i okrutne znęcanie się.

-

Ale to wyjątkowa sytuacja - zaproponowała Loh ostrym tonem. Gardziła słabością, zwłaszcza ze strony człowieka, któremu przed chwilą uratowała życie.

-

Ten człowiek nie jest piratem - stwierdził Jelbart. - O ile wiem, nie możemy mu postawić żadnego zarzutu. Musimy odstawić go na brzeg i przesłuchać, nie narażając na żadne niewygody.

-

Są chwile, w których zbyt wielką wagę przykładają się do etykiety i ceremoniału - powiedziała ze złością Loh.

-

Zgadzam się z panią - poparł ją Herbert. - Mamy do czynienia z dwoma rodzajami odpowiedzialności. Jeden z nich to odpowiedzialność wobec kapitana Kannadaya. Drugi dotyczy losu kilku milionów ludzi. W pierwszym przypadku możemy narazić tego człowieka na niewygody, w drugim - miliony ludzi na śmierć. Moim zdaniem nie ma się nad czym zastanawiać.

- Możemy postąpić tak, aby nikogo nie skrzywdzić - upierał się Jelbart. -

Kapitan prosił zaledwie o kilka minut spokoju. Nic nas to nie kosztuje.

Herbert pokręcił głową, a Monica Loh opadła na oparcie fotela. Zadała sobie pytanie, czy Jelbart okazywałby tyle współczucia kapitanowi, gdyby był on Amerykaninem lub Singapurczykiem.

Ze względu na swój podejrzliwy charakter zastanawiała się też, czy kapitan faktycznie śpi, czy tylko udaje i przysłuchuje się pilnie ich rozmowie, aby przygotować sobie późniejsze zeznania.

Nie mogła tego wiedzieć. Była natomiast pewna, że wkrótce ktoś z obecnych na pokładzie śmigłowca będzie się gęsto tłumaczył z powodu podjęcia błędnej decyzji.

ROZDZIAŁ 64

Waszyngton, Sobota, 13.24

Wyszukiwanie informacji było czwartym co do ważności zajęciem Paula Hooda, zaraz po funkcji rozgrywającego, kibica oraz poszukiwacza dziury w całym.

Hood zajmował się tym zwykle w weekendy, kiedy w Centrum przebywało tylko kilku pracowników. W zasadzie lubił to zajęcie. Wyszukiwanie informacji było dobrym ćwiczeniem prostolinijnego myślenia. Przydawało nieco sensu tym wszystkim pytaniom, które zaczynały się od „tak, ale...”. Poza tym skutecznie tłumilo jego emocje i obawy, a w tej chwili bardzo tego potrzebował.

Bob Herbert pozostawił włączony telefon komórkowy. Hood przełączył rozmowę na głośnik, podkręcił nieco siłę głosu i przysłuchiwał się, o czym ekipa ratunkowa rozmawia z Peterem Kannadayem. Natychmiast po usłyszeniu tego nazwiska Hood przeszukał w komputerze zasoby Interpolu i FBI. Niczego nie znalazł. Był to dobry prognostyk. Pozwalał mieć nadzieję, że człowiek ten mówi prawdę, iż faktycznie został wykorzystany i zmuszony do współpracy. Hood sprawdził także wątki poboczne i natknął się na wpis w rejestrze, dotyczący „Hosanny”. Znalazł

tam także informację o Peterze Kannadayu, który był właścicielem jachtu, zanim stał się on własnością przypuszczalnie fikcyjnego Arvidsa Marcha. Zapisano tam także kopie jego patentu oraz daty zawinięcia do różnych portów w obrębie południowego Pacyfiku i Karaibów. Hood przesłał te dane do komputera Herberta.

Jeśli „Hosannę” wykorzystywano do

przemycania materiałów rozszczepialnych, ten skrócony log mógł dostarczyć informacji o miejscach pobrania i pozbycia się towaru.

Zdaniem Hooda chorąży Jelbart postąpił słusznie - rozbitek był gościem, a nie więźniem. Łatwo było o tym zapomnieć w chwilach wzmożonego napięcia, a tych nigdy nie brakowało, kiedy w akcji uczestniczył Bob Herbert.

To dlatego należało się twardo trzymać wcześniejszych ustaleń, uznanych za słuszne, powiedział w myślach Hood. W przeciwnym razie policjant staje się zbirem, prezydent tyranem, a oficer wywiadu jednym i drugim.

Hood przesłał Herbertowi dokumenty dotyczące Kannadaya. Przesyłka po dotarciu do komputera adresata miała wyemitować sygnał akustyczny. Hood wiedział, że Herbert siedzi teraz w kabinie jak na rozżarzonych węglach. Wolał upewnić się, że wiadomość dotrze do szefa wywiadu.

Hood usłyszał przez telefon sygnał wydany przez komputer w wózku. Plik dotarł do adresata. Wciąż jeszcze zdumiewało go, że obecnie informacje można przysyłać z tak wielką prędkością, dokładnością i w dodatku najzupełniej bezpiecznie.

Pamiętał początki szkolenia, kiedy teleks wciąż uznawano za nowoczesny wynalazek. Było to w czasach, gdy na dworcach lotniczych i korytarzach szkolnych stały automaty, na których namiętnie grano w elektroniczną wersję ping-ponga.

W większości przypadków akty terroru także dokonywane były w starym stylu.

Narzędzia zbrodni, wykorzystywane do tej nikczemnej działalności, były powolne i wprawiane w ruch ręcznie. Ponadto trudno było ukryć, podobnie jak obślizgłe ślady ślimaka na kamiennym chodniku. W obecnej, smutnej rzeczywistości była to bardzo krzepiąca myśl.

Smutne to, a zarazem zadziwiające, skąd trzeba było czerpać nadzieję na początku dwudziestego pierwszego wieku.

ROZDZIAŁ 65

Morze Koralowe, Niedziela, 3.33

Herbert siedział jak na rozżarzonych węglach. Wcale nie uważał, że chorąży Jelbart zrobił błąd, wstawiając się za Kannadayem. Sądził jedynie, że postąpił niesłusznie.

Kapitan Kannaday był ranny. Bez wątpienia był też bardzo zmęczony. Ale Herbert nie wierzył w jego nagłą senność. Ta drzemka była tylko wybiegiem. Na jachcie popełniono jakieś przestępstwo. Sam Kannaday to potwierdził. A teraz nie chciał

powiedzieć nic więcej bez obrońcy, pełnomocnika czy jak tam jeszcze na drugiej półkuli nazywają adwokata.

Jelbart postąpił też nierozważnie, wspominając o piracie. Ta informacja nie była publicznie rozpowszechniana. Jeżeli Kannaday rzeczywiście spał, nie miało to większego znaczenia. Ale jeśli udawał, będzie jeszcze mniej chętny do składania zeznań, aby nie powiedzieć czegoś niezgodnego z wersją pirata. To na pewno postawiłoby go w trudnej sytuacji.

-

O rany. - Herbert westchnął, słysząc dźwięk informujący o dotarciu nowego e-maila.

-

Co się stało? - spytał Jelbart.

Herbert odwrócił się i chwycił telefon spoczywający na poręczy wózka.

-

Paul, jesteś tam jeszcze?

-

Jestem - odezwał się Hood.

-

Wybacz, szefie, zupełnie o tobie zapomniałem - tłumaczył się Herbert. -

Udało ci się coś znaleźć?

-

Papiery Petera Kannadaya - odrzekł Hood. - Sądzę, że być może będziesz chciał do nich zajrzeć.

-

Jak najbardziej - potwierdził Herbert. Jego laptop był zamocowany wygodnie do lewej poręczy wózka. Herbert przekręcił ruchomy ekran komputera i ustawił go przed sobą. Nacisnął włącznik zasilania. Urządzenie ożyło, o czym świadczył cichy szum. Otworzył wiadomość otrzymaną od Hooda.

-

Wierzysz, że kapitan naprawdę śpi? - spytał Hood.

-

Jasne. Tak samo jak w to, że zostanę kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

-

Sądziś, że mówił prawdę?

-

Tego nie wiem - odrzekł Herbert, śledząc na ekranie monitora ściąganie pliku. - Mam za mało informacji.

-

Niestety, ani ty, ani major Loh nie możecie zrobić nic, aby uzyskać te informacje - powiedział Hood.

-

No cóż, są pewne sposoby... - zaczął Herbert.

-

Mówię o działaniach zgodnych z prawem - przerwał mu Hood. - Peter Kannaday to Australijczyk, kapitan jachtu, uratowany na wodach międzynarodowych przez australijski helikopter. Australijczycy mają pełne prawo przesłuchać go jako pierwsi.

-

Paul, musimy to obejść - stwierdził Herbert. - Może Lowell wynajdzie jakiś kruczek prawny.

Szef wywiadu wyrzął przez okno, podczas gdy plik wciąż się ściągał. Na zewnątrz panował mrok, ale na pewno nie tak gęsty jak ten, który spowijał duszę Herberta.

-

Daj spokój, Bob. Wiesz jak jest.

-

Niestety, wiem - przyznał Herbert.

-

Nawet jeśli Lowell wymyśli coś, co pozwoli nam pogadać z Kannadayem, to na pewno nie zgodzi się na to, żeby go przycisnąć - powiedział Hood.

-

A więc woli, żeby jakiś szaleniec uruchomił swój atomowy arsenał?

-

Australijczycy do tego nie dopuszczą- odparł Hood. - Musimy im choć trochę ufać.

-

Może i tak, gdyby świat był doskonały - przyznał Herbert. - Sądzę jednak, że kiedy decydenci przekonają się, że nasza gruba ryba jest zamieszana w przemyt, zrobią dokładnie to, czego się obawiam. Schowają go za barykadą. Będą do tego zmuszeni. Rozpad jego imperium spowodowałby ogólnokrajowy kryzys gospodarczy. Znajdą jakiegoś kozła ofiarnego, aby tylko ich bohater narodowy pozostał bez skazy. Jeśli do tego

dojdzie, nigdy nie poznamy nazwisk faktycznych uczestników. I tak się stanie, o ile nie zrobimy czegoś natychmiast.

Herbert nie wypowiedział nazwiska Darlinga na wypadek, gdyby Kannaday nie spał.

Wolał, żeby on sam, spontanicznie, wymienił go podczas przesłuchania. Kłamstwo można wykryć dość łatwo, dużo trudniej jest przebić się przez półprawdy.

-

Uważam, że nie będą chronili Darlinga - powiedział Hood. - Tak poważnej sprawy nie da się całkiem zatuszować. Będą musieli iść na ugodę.

-

Smierdząca sprawa. - Herbert się skrzywił.

-

To normalne w świecie wielkich interesów - dodał Hood. - Albo przymkniesz oczy, albo zniszczysz cały system, żeby dopaść jednego człowieka. W zamian za współpracę podejrzany, zajmujący eksponowane stanowisko, otrzymuje gwarancje nietykalności i czas na rozdzielenie całego majątku pomiędzy wspólników.

-

Jezu, Paul, przecież tu nie chodzi o wymianę handlową.

-

Wiem o tym.

-Nie chcę, żeby jedyną konsekwencją było zabranie facetowi paszportu i skazanie go na areszt domowy. To nie byłoby w porządku.

-

Zgoda. Ale przypominam ci, że nie chodzi tu także o odwet - powiedział

Hood. - To dlatego Nixona pozostawiono w spokoju, kiedy złożył

rezygnację, a Kurt Waldheim podarł swoją wizę, a wszystkie dowody jego ewentualnego udziału w zbrodniach wojennych znalazły się pod kluczem.

Chodzi o to, aby załatwić niewygodne sprawy, robiąc jak najmniej hałasu.

-

To typowo biurokratyczne podejście - stwierdził Herbert. - Takim ludziom powinno się solidnie wygarbować skórę.

-

A to z kolei rozwiązanie godne ostatniego sprawiedliwego, przekonanego o własnej nieomyślności - odparł Hood. - Jeżeli Darling jest winny, ucieszyłbym się, gdyby resztę życia spędził w więzieniu. Ale najprawdopodobniej do tego nie dojdzie. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale nie da się ot tak sobie rozbić fundamentów światowej gospodarki. Może stopniowo, ale na pewno nie natychmiast.

. - Z czasem ludzie zapomną i wybaczą - powiedział Herbert.

-

Nie da się tego wykluczyć.

-

Na pewno tak właśnie się stanie.

-

Pod warunkiem że nie będzie próbował zabijać - stwierdził Hood. - Al Capone był bohaterem ludowym aż do chwili, kiedy z jego rozkazu dokonano masakry w dzień świętego Walentego. Ludzie lubią tych, którzy przeciwstawiają się władzy, ale nie będą tolerować masowych morderstw.

Komputer zapiszczał, sygnalizując koniec pobierania pliku. Herbert zakończył

połączenie i zaczął studiować otrzymane dokumenty. Był wściekły. Nie na samego Hooda, lecz dlatego że Hood miał rację. Jervis Darling prawdopodobnie wywinie się od najpoważniejszych zarzutów.

-Bob?

-Co?

-

Jesteś dziwnie milczący...

-

Przepraszam. Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś - odrzekł Herbert.

-No i?

-

Masz rację, podobnie jak Jelbart. I wcale mi się to nie podoba. Czy na tym polega nasze zajęcie? Ryzykujemy życie po to, by uzyskać kompromis?

-

Na to wygląda - powiedział Hood.

-

W takim razie nie wygląda to dobrze.

-

Fakt - przyznał Hood. - Ale taka jest stawka, kiedy nasi przeciwnicy gotowi są zaryzykować własne życie. Jeśli już o tym mowa, to w naszym fachu kompromis, który pozwala uniknąć wojny, jest zawsze lepszy niż straty, które niesie za sobą otwarty konflikt.

-

Bo ja wiem - mruknął Herbert. - Nigdy nie szanowałem drużyn piłkarskich grających na remis. Mistrzowie tak nie postępują.

Hood zachichotał.

-

Co cię tak rozbawiło?

-

Skojarzenie. Kiedy byłem burmistrzem, w ratuszu wisiała mała tabliczka z brązu. Był na niej cytat z Daniela Webstera: „W tym gmachu mają się odbywać narady i dyskusje, a nie popisy mistrzów”. Też tak uważam.

-

Naturalnie, Paul. Ty masz cierpliwość do rozmów - powiedział Herbert. W jego głosie nie było słychać lekceważenia. Naprawdę podziwiał dyplomatyczne umiejętności Hooda.

-

Rozmowy bywają skuteczne - odrzekł Hood. - Raczej nie zabijesz rozmówcy podczas negocjacji.

-

Potrafię zrobić jedno i drugie.

-

Tylko wtedy, gdy wrzeszczysz, a nie negocjujesz - powiedział Hood.

Hood znów miał rację. Problem polegał na tym, że Herbert zawsze wolał załatwiać sprawy po swojemu. Udawało mu się, ale w ustach Hooda nie brzmiało to dobrze.

-

Zresztą, tu nie chodzi o cierpliwość - kontynuował Hood. - Negocjacje to moja ulubiona metoda.

Skuteczna zarówno wobec wyborców, jak i własnych dzieci. Weszło mi to w krew. Nie zmienię się, choćbym chciał. Ty zapewne także nie.

Ostatecznie Herbert był skłonny się z tym zgodzić.

Hood obiecał, że zadzwoni do Coffeya i poinformuje go o bieżącej sytuacji.

Herbert podziękował mu i się rozłączył. Siedział zamyślony, zastanawiając się nad słowami swojego szefa.

Żaden z nich się nie zmieni.

Hood się nie mylił. Jednak, mówiąc to, dał Herbertowi do zrozumienia, że akceptuje go takiego, jaki jest. Tym samym zapewnił mu pewien margines swobody.

Nie powiedział wprost, żeby trzymał się z daleka od przesłuchań i śledztwa.

Herbert był wściekły na Jervisa Darlinga, na uprzejmego, choć upartego Petera Kannadaya i na cały ten wersal. Rozumiał znaczenie negocjacji, ale w głębi duszy zawsze wolał wojnę. Kosztowała mniej czasu i o wiele lepiej rozwiązywała sytuacje konfliktowe. Na dobrą sprawę straty, jakie powodowała, nie były wcale cięższe, lecz szybsze. Walczący padali od kul, zamiast w wyniku nieskończonych podchodów i wyniszczających sporów.

Herbert zauważył, że major Loh wpatruje się w niego.

-

O czym pani myśli? - zapytał.

-

Zgadzam się z panem - odpowiedziała.

-

W jakiej sprawie?

-

Też uważam, że znaleźliśmy się w sytuacji patowej.

-

Nie sądziłem, że to panią obchodzi. - Herbert się uśmiechnął.

-

Wręcz przeciwnie. Wolałabym raczej walczyć i przegrać, niż mieć świadomość, że nie mogę zrobić

wszystkiego, co jest w mojej mocy.

Herbert wciąż się uśmiechał. To było jak kropka nad i. Major Monica Loh musiała zostać kolejną panią Herbert. Mógł iść o zakład, że jeszcze bardziej niż on sam, Loh nie toleruje kłamstwa i hipokryzji.

Odruchowo otworzył plik przysłany przez Hooda. Poprawił nachylenie ekranu monitora. Z wielką uciechą wyobrażał sobie, jak oboje z Monicą przestają być zapraszani na przyjęcia i bale dobroczynne w Waszyngtonie.

Zawartość pliku wyświetliła się na monitorze. Herbert zerknął nań i otworzył usta ze zdumienia. Wpatrywał się z bliska w ekran.

Teraz już wiedział, jak wyładować swoją złość.

ROZDZIAŁ 66

Cairns, Australia, Niedziela, 3.56

Wciąż nie było żadnej informacji. W pięknej beżowej kuchni Jervis ' Darling zjadał na stojąco połówkę melona. Po czterdziestu pięciu minutach ćwiczeń na maszynie do wiosłowania wziął prysznic i zamienił szary dres miejscowego jachtklubu na szlafrok. Potem włączył telewizor i przez kilka godzin przerzucał

się niecierpliwie z satelity na satelitę, oglądając jedynie fragmenty programów.

Najpierw odczuwał niesmak, później złość, a na koniec zaczął się martwić. Już dawno powinien otrzymać wiadomość od bratanka albo od samego Johna Hawke'a.

Jednak jego telefon milczał jak zaklęty.

Darling skończył jeść i wyrzucił resztki owocu do rozdrabniacza. W ciemną noc wszystko wyglądało gorzej, niż było naprawdę. Miał przeczucie, że stało się coś złego. Mimo to, nawet gdyby nie udało się zatopić jachtu, Marcus powinien się z nim skontaktować. Wciąż nie przestawał myśleć o tym cholernym Amerykaninie.

Uważał, że tylko idiotyczny, ślepy traf pozwoliłby Herbertowi znaleźć jacht. Nie potrafił też sobie wyobrazić, by mógł on powstrzymać Hawke'a. Przecież do tej pory nie dokonał tego nikt. Odpadki zmieliły się, a Darling zastanawiał się, co robić dalej. Jeszcze wieczorem zadzwonił do swojego

kolegi ze studiów, Bruce'a Perry'ego, który obiecał mu, że zajmie się Herbertem. Później już z nim nie rozmawiał. Nie chciał ryzykować kolejnego telefonu, aby dowiedzieć się, jak mu poszło. Stosowanie tego rodzaju nacisku byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy, a to najpewniejszy sposób na utratę sojusznika.

Darling zaczął obmyślać kolejne posunięcie. Być może należało podjąć bardziej zdecydowane kroki zabezpieczające niż zwykły telefon do przyjaciela w Białym Domu. W ten sposób znalazł się w niewygodnej dla siebie pozycji. Zwykle to on wydawał polecenia szefom koncernów i politykom.

Miał wrażenie, że powinien obudzić Jessicę-Ann i wyjechać z posiadłości. Mógł

wraz z córką pójść na przystań i odpłynąć j achtem na Siostry. I Ewentualnie mogli pojechać na lotnisko i odlecieć samolotem. Wolał utrudnić dostęp do siebie, w razie gdyby coś poszło nie tak. Siostry należały do Nowej Zelandii, a więc pomiędzy nim a stróżami prawa kładła się granica państwowa. To stwarzało dodatkowe możliwości, które mogli wykorzystać jego prawnicy.

Wybiegam zbyt daleko w przyszłość, upomniał się w myślach.

Darling wciąż nie miał pewności, czy faktycznie stało się coś złego. Być może John Hawke po prostu postanowił poczekać do świtu. Może ma jakieś powody, by siedzieć cicho. Albo zabawia się w jakąś psychologiczną gierkę. Darling nie podejrzewał Hawke'a o to, by celowo kazał mu czekać. Mógł być złośliwy lub krnąbrny, ale wiedział, że pewnych granic przekraczać nie należy.

Po kilkuminutowym namyśle Darling doszedł do wniosku, że powinien jednak wziąć nogi za pas. Uznał, że najlepiej będzie polecieć samolotem na jedną ze swoich wysp z archipelagu Sióstr. Obudził przez interkom Andrew i kazał mu spakować rzeczy swoje i córki. Potem zadzwonił do pilota, Shawna Danielsa, który mieszkał

w oddzielnym domku na drugim końcu posiadłości. Odrzutowy learjet był zawsze przygotowany na wypadek nagłej podróży w interesach.

Na koniec poszedł obudzić córkę. Energicznym krokiem, lecz bez zbędnego pośpiechu skierował się do salonu i wspiał się po kręconych, marmurowych schodach. Jessica-Ann na pewno będzie zaspana i prześpi cały lot. Obudzi ją ożywcze słońce i czyste morskie powietrze. Przebudzenie sprawiedliwego ze spokojnego snu. Darling chciałby kiedyś sam doznać takiego uczucia.

Zresztą to bez znaczenia. Rano na pewno okaże się, że wszystko jest w porządku, pomyślał.

A jeżeli nie, do wieczora problemy zostaną rozwiązane. Albo poprzez negocjacje, albo większą łapówkę.

Dla kogoś, kto ma dostęp do materiałów rozszczepialnych, zawsze istniało jakieś wyjście z sytuacji.

Morze Koralowe, Niedziela, 4.01

Monica Loh, siedząc w głębokim, winylowym fotelu w ciemnej kabinie śmigłowca obserwowała Boba Herberta. Twarz miał ukrytą

w cieniu, ale widać było, że jest zdenerwowany. Pochylił się do przodu i nerwowo wciskał kciuk w dłoń. Nie zastanawiała się, o czym myślał. Ona to wiedziała.

Chciał za wszelką cenę wydobyć informacje z Petera Kannadaya. Przynajmniej tyle powiedział, rozmawiając przez telefon.

Nagle zaszła w nim jakaś zmiana. Spojrzał na monitor swego komputera i wyprostował się. Jego dłonie się uspokoiły. Zwrócił się w stronę kapitana Kannadaya i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. A potem spojrzał na Loh.

-

Niech go pani obudzi - powiedział.

Loh złapała Kannadaya za ramię i mocno potrząsnęła. Obudzony powoli uniósł powieki.

-

O co chodzi? - włączył się chorąży Jelbart.

-

Chcę zadać pytanie naszemu gościowi - wyjaśnił Herbert.

-

Sądziłem, że zdecydowaliśmy się zostawić kapitana w spokoju - powiedział

Jelbart z lekką nutą zniecierpliwienia w głosie.

-

Zaraz będzie sobie dalej drzemał. Chcę mu tylko zadać proste pytanie.

-

Proszę pytać - rzekł rozbitek.

-

Dziękuję. Przedtem mówił pan jednak, że woli o niczym nie rozmawiać.

-

Jak już wspominałem, jestem wyczerpany. Nie chciałbym czegoś przekreślić albo być źle zrozumiany.

-

Zgadzam się z panem - stwierdził Herbert. - A więc zadam panu pytanie, przy którym trudno o pomyłkę. Gdzie się pan urodził?

Mężczyzna podniósł wzrok na Herberta.

-

O co chodzi? - spytał Herbert. - Czyżby to było za trudne?

-

Pan mówi poważnie? - Kannaday się zdziwił.

-

Już mnie o to pytano. Tak, mówię poważnie - stwierdził Herbert. - Czy może pan udzielić odpowiedzi?

-

Urodziłem się tu, w Australii - odparł mężczyzna.

-

Proszę podać miasto i datę urodzenia.

-

Po co? Chce mi pan kupić prezent urodzinowy? - Rozbitek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-

Właśnie. Coś, co wystarczy panu na długo - powiedział Herbert. - Dożywocie w więzieniu o zastrzonym rygorze.

-

Czyżby? - zdziwił się Kannaday. - Za co?

-

Dobrze pan wie, za co.

-

Bob, mieliśmy nie robić takich rzeczy - upomniał go ze złością Jelbart.

-

To pan tak zdecydował - odparł Herbert, nie spuszczać wzroku z Kannadaya. - Gdzie i kiedy pan się urodził?

Loh nie podejrzewała, aby Herbert znęcał się nad kimś bez poważnego powodu. Na to jednak wyglądało. Obserwowała, jak zareaguje Kannaday. Był niewzruszony. Po chwili kapitan zamknął oczy. Głowa opadła mu na oparcie i znów pogrążył się w mroku.

-

Bob, dlaczego pan zadaje te pytania? - spytał Jelbart.

-

Bo to nie jest Peter Kannaday - odparł Herbert.

-Co?

-

Mam tu fotografię kapitana Kannadaya - powiedział Herbert. Przekręcił

ekran monitora w kierunku Jelbarta i zwiększył nieco jasność. -

Oto zdjęcie dołączone do patentu kapitańskiego.

Jelbart przeniósł wzrok z ekranu na rozbitka.

-

Zrobiłem z siebie durnia. Bob ma rację. Pan nie jest Peterem Kannadayem.

-

Bzdura - odburknął obcy, nie otwierając oczu. - Na pewno jest jakiś błąd w dokumentach.

-

Nie sędzę - stwierdził Herbert. - Na pokładzie jachtu było dwóch ludzi. Tamten zginął, a pan podszył

się pod niego.

-

Po co miałbym to robić? - spytał przybysz, wciąż nie otwierając oczu.

Wyglądało na to, że wcale nie przejmował się sytuacją.

-

Udawanie dzielnego kapitana, walczącego z przemytnikami to najlepszy sposób zdobycia naszego zaufania. I bezpiecznego dotarcia na brzeg. Potem wystarczyłoby zniknąć nam z oczu.

-

Fotografie się pomieszały, a i panu w głowie się pomieszało, panie Herbert.

-

A więc proszę o odpowiedź na moje pytanie. Gdzie i kiedy się pan urodził?

Loh uważnie przyglądała się mężczyźnie. Nawet nie drgnął, nie zareagował też na pytanie Herberta.

-

Coś ci powiem - rzekł Herbert. - Jesteś nędznym oszustem i przemytnikiem, ale nie obchodzi mnie to. Nie ciebie chcę dopaść, lecz kogoś innego.

Rozbitek wciąż milczał.

-

Chcę dorwać Jervisa Darlinga. Wystaw mi go, to puszcze cię wolno.

Obcy powoli otworzył oczy.

-

Nie może pan proponować mi takiego układu.

-

Ale nie zaprzeczy pan, że za tym przemytem stoi pan Darling. - Jelbart szukał potwierdzenia.

-

Pan Darling. - Mężczyzna wydał pogardliwie wargi. - Raczej Jego Wysokość.

Tak, Jego Wysokość lepiej by pasowało do tego upadłego księcia.

-

Najwyraźniej znasz Darlinga - zauważył Herbert.

-

Tylko ze słyszenia - odparł rozbitek. Znowu zamknął oczy i wcisnął się w siedzenie.

Loh była zaskoczona. Herbert zachowywał się nienaturalnie spokojnie, jak szachowy mistrz tuż przed zadaniem przeciwnikowi mata, którego nikt inny jeszcze nie dostrzega.

-

Wyglądasz na twardziela, który nie boi się śmierci - powiedział. - Chociaż z prawdziwą przyjemnością wyrzuciłbym cię w tej chwili z helikoptera, nie będę ci w żaden sposób groził. Zamierzam jednak zmienić nasze plany. A ponieważ jesteśmy jeszcze wciąż na wodach międzynarodowych, sądzę, że chorąży Jelbart nie będzie miał nic przeciw temu.

Jelbart kiwnął głową, przyznając Herbertowi rację.

-

Nie zabierzemy cię do Cairns. Wylądujemy w Cape Melville i tam oddamy cię w ręce miejscowej policji na przechowanie. Patrołowiec major Loh odstawi cię do Singapuru, gdzie powita cię żandarmeria wojskowa. A potem będziesz miał spotkanie z wymiarem sprawiedliwości podczas wstępnej rozprawy sądowej.

Obcy spojrział na niego złym okiem.

-

Pocałujcie mnie w dupę.

Herbert wzruszył ramionami.

-

Sam się obsłuż, gnoju, skoro taki jesteś bojowy. Ja i tak dopadnę Darlinga. Pilot, zmiana kursu.

Pilot popatrzył pytająco na Jelbarta. Chorąży skinął głową.

-

Dowiemy się tego, na czym nam zależy - powiedziała Loh. - Oficer prowadzący dochodzenie wyciągnie z ciebie wszystkie informacje za pomocą tortur lub narkotyków. Żandarmeria wojskowa ma do tego prawo na mocy rozporządzenia z dwutysięcznego drugiego roku dotyczącego zagrożenia atakiem jądrowym. Zgodnie z tym rozporządzeniem przemyt materiałów promieniotwórczych traktuje się jak akt terroru. W Singapurze może dojść do zawieszenia praw obywatelskich w obliczu groźby masowej zagłady.

Herbert posłał jej za wsparcie pełne wdzięczności spojrzenie. Mężczyzna otworzył oczy. Już nie wyglądał na takiego luzaka, jak przed chwilą.

-

Zbliżamy się do brzegu. To jak będzie? Więzienie w Australii i współpraca czy zapuszkowanie w Singapurze i elektrody przyłączone do uszu, i Bóg raczy wiedzieć, do czego jeszcze?

Rozbitek popatrzył przez okno. Brzeg był już coraz bliżej.

-

Domyślam się, że do tej pory jakoś ci się udawało. Ale teraz twój los się odmienił. Możesz być tego pewien - podkreślił Herbert.

-

Nie chcę iść do więzienia - odezwał się mężczyzna. - Nie dowodziłem ani jachtem, ani całą operacją. Byłem zwykłym oficerem.

-

Nazywasz się John Hawke?

-Tak.

-

Czym się zajmowałeś?

-

Byłem szefem ochrony - odpowiedział hardym głosem John Hawke. - Nie miałem kontaktu ze sprzedawcami ani z nabywcami. Nie miałem nic wspólnego z przemytem. Jachtem dowodził Peter Kannaday, a całością operacji kierował Jervis Darling. Łącznością zajmował się jego bratanek, 1

Marcus, który jest teraz w wodzie.

-

Co miały oznaczać rakiety?

-

Wystrzelił je Kannaday, żeby zatopić pontony - odparł Hawke. - Nie chciał dopuścić, by ktoś uszedł z życiem.

-

Dlaczego? - spytał Herbert.

-

Darling rozkazał nam zatopić jacht.

-

Żeby zniszczyć dowody?

-

Tak. Na pokładzie było laboratorium wzbogacania uranu - odrzekł Hawke.

Herbert uśmiechnął się.

-

Niczego nie powiem, jeśli wsadzicie mnie do więzienia - zagroził Hawke. -

Albo puściecie mnie wolno, albo nici z zeznań.

-

Umowa jest taka: albo zeznajesz, albo płyniesz do Singapuru - przypomniał

Herbert. - Proponujemy złagodzenie kary, ale to wszystko, na co możesz liczyć.

-

To za mało - warknął Hawke.

-

Jedyną alternatywą jest natychmiastowe znalezienie się za tymi drzwiami -

powiedział Herbert. - Szczerze mówiąc, pięć do dziesięciu lat w celi z kablówką to lepszy interes niż skok bez spadochronu.

Mimo ciemności Loh dostrzegła, że Hawke drgnął i zacisnął pięści. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę rzucić się na Herberta. Ale to by mu nic nie dało, bo musiałby pokonać jeszcze ją i Jelbarta. Wściekły zacisnął usta. Po chwili z jego oczu znikła złość, jakby się poddały. Mężczyzna zagłębił się w fotelu i wyjrzał

przez okno. Wyglądał na zmartwionego. Herbert miał rację. Hawke po raz pierwszy w życiu został przyparty do muru. W dodatku wszystko odbyło się bez jednego strzału, nawet bez bójki. Pokonano go słowami.

Im bardziej Hawke posępniał, tym szczęśliwszy był Herbert.

ROZDZIAŁ 68

Cairns, Australia, Niedziela, 4.45

Słońce, ukryte jeszcze za wzgórzami, zaczynało rozjaśniać mroczne niebo. Lowell Coffey czekał na przylot śmigłowca. Prawnik zdrzemnął się nieco na posterunku strażackim, zanim Hood zadzwonił do niego i powiedział mu o uratowaniu kapitana Kannadaya. Na sąsiedniej pryczy spał Pająk. Coffey wyszedł na zewnątrz, żeby nie zbudzić go rozmową. Kiedy skończył, odetchnął głęboko rześkim powietrzem.

W Waszyngtonie nie było takiego powietrza. W Beverly Hills także nie. W obu miejscach było gorąco i kłębiły się spaliny. Coffey jak dotąd wyjeżdżał na dłużej tylko na Bliski Wschód. Tam z kolei panowała susza i było pełno pyłu.

Queensland nie tylko koił ducha, ale także cieszył oczy. Głęboka, soczysta zieleń i cisza, z rzadka przerywana świergotem ptaka lub koncertem świerszcza, oraz wiatr, niosący te dźwięki.

-

O Boże! - Coffey aż podskoczył, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

Odpiął aparat od paska. Dzwonił Bob Herbert z informacją, że śmigłowiec wylądował w jakiejś bazie wojskowej, by zatankować. Do Cairns spodziewali się dotrzeć na piątą trzydzieści. Ponadto przekazał prawnikowi wiadomość, że uratowany mężczyzna nie nazywa się Peter Kannaday.

-

To opryszek nazwiskiem John Hawke, który przyznał się do zatopienia jachtu i pomagania Jervisowi Darlingowi w przekazywaniu odpadów promieniotwórczych ze statku na statek. Jacht miał na pokładzie kompletne laboratorium.

-

Czy Hawke powiedział ci to w śmigłowcu? - spytał Coffey.

-

Zgadza się.

-

Bez adwokata?

-

Zamiast adwokata użyliśmy barrakudy wyłowionej z Morza Koralowego. Nie, nie mamy tu prawnika.

- I nie ma żadnych dowodów?

-Nie.

-

A więc nie macie prawa go zatrzymywać.

-

O czym ty, do cholery, mówisz? Przecież mamy całą masę poszlak!

-

Nie - zaprzeczył Coffey. - Macie tylko wyznanie, któremu on w każdej chwili może zaprzeczyć. Słowo przeciwko słowu, w ten sposób niewiele można zdziałać w obliczu prawa.

-

Daj spokój! Słyszały to cztery osoby!

-

Cztery osoby mogą działać w zмовie. Prawnie ich zeznania liczą się za jedno. Mamy tu do czynienia z wymogiem przedstawienia dowodu winy, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Zasadę tę wprowadzono w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, a już czternaście lat wcześniej powiązano ją z ustawą o lekach, truciznach i substancjach ewidencjonowanych.

-

Po co? - spytał Herbert. - Żeby chronić handlarzy narkotyków?

-

Żeby chronić sprawiedliwość - odparł Coffey. - Gdzie jest teraz Hawke?

-

W śmigłowcu.

-

Spryciarz.

-

Jak to?

-

Nie powinien wysiadać na terenie wojskowym, bo wówczas teoretycznie mielibyście możliwość zatrzymać go za wtargnięcie.

-

Lowell, kpisz sobie ze mnie? - Herbert zdenerwował się. - To nieładnie naigrawać się z inwalidy.

-

Ależ Bob, mówię najzupełniej serio.

-Nie to chciałem usłyszeć.

-

Przykro mi. Musicie mieć kogoś, kto rozpozna Hawke'a jako współnika. W

przeciwnym razie nie macie prawa go zatrzymać - wyjaśniał

Coffey. - Do chwili znalezienia dowodów, świadczących o jego powiązaniu z przemytem lub zatopieniem jachtu, facet jest niewinny. Kiedy tu doleciecie, może zażądać zwolnienia i trzeba będzie go puścić.

-

Nie mogę w to uwierzyć -jęknął Herbert. - Ten kutas mnie oszukał.

Powiedział to, co chciałem usłyszeć, żeby tylko nie trafić do Singapuru.

-

Zagroziłeś mu, że tam go zawieziecie? - spytał prawnik.

Herbert potwierdził.

-

To przynajmniej byłoby zgodne z prawem - stwierdził Coffey.

-

Czekaj. Co masz na myśli, mówiąc „byłoby”? Czy nie możemy już tego zrobić? - Herbert zaniepokoił się.

-

Ależ możecie, tylko to nic nie da - powiedział Coffey.

-

Dlaczego?

-

Wylądowaliście w Australii. Hawke jest Australijczykiem. Zgodnie z prawem międzynarodowym pierwsze przesłuchanie powinni przeprowadzić miejscowi.

Jeżeli zabierzecie go do Singapuru, żaden sąd nie będzie mógł zrobić nic, chyba że Australijczycy zrzekną się tego przywileju.

-

Nie zrobią tego, zwłaszcza jeśli okaże się, że siedzi w tym Darling.

-

I na taki właśnie rozwój wypadków niewątpliwie liczy wasz pasażer -
podsumował Coffey.

-

Niech to szlag - zaklął Herbert. - Gdy wylądujemy koło posterunku strażackiego, Hawke po prostu sobie pójdzie. Darling pomoże mu się ukryć i nie będziemy mieli świadka.

-Nie licząc pozostałych rozbitków, z którymi Darlinga łączyło niewiele więcej niż z waszym misiem koala.

-

Nie mogę go puścić. Co robić, do ciężkiej cholery? - wściekał się Herbert.

-

Musisz mieć świadka, żeby zatrzymać Hawke'a - powiedział Coffey. - Kiedy patrolowiec przybędzie na miejsce zatonięcia jachtu?

-

Być może już tam jest - odrzekł Herbert. Ale nie wiadomo, w jakim stanie będzie załoga, a nawet ilu ludzi zdołało się uratować, zwłaszcza tych, którzy coś wiedzieli. Wszystko przez to gadanie.

-

Co mówisz?

-

Zrobiłem tak, jak radził mi Hood, po prostu rozmawiałem z Hawkiem-wyjaśnił Herbert. - A powinienem postąpić tak, jak pierwotnie zamierzałem.

-

To znaczy jak?

-

Polać go benzyną i przesłuchiwać, potrząsając pudełkiem zapalek - odparł
Herbert.

-

Tym razem zgadzam się z Hoodem - powiedział Coffey.

-

Zdaję sobie z tego sprawę.

-

Postąpiłeś właściwie - stwierdził Coffey. - Gdybyś torturował Hawke'a, to ty byś został aresztowany po wylądowaniu.

Herbert milczał.

-

Jak sądzisz, czy Hawke powiedział prawdę o Darlingu? - spytał Coffey.

-

Tak myślę - odrzekł Herbert. - Nie miał nic do stracenia. Chciał mnie zająć aż do chwili lądowania poza terenem wojskowym. W tym celu najlepiej było powiedzieć mi prawdę.

Zapadła cisza. Rozpacz Herberta stała się prawie namacalna. Prysnał gdzieś cały spokój słonecznego poranka.

-

Mówisz, że potrzebny nam świadek - odezwał się Herbert. - Czy możemy pozostać w bazie aż do powrotu patrolowca?

-

Tak, ale Hawke w każdej chwili może zażądać wyprowadzenia go poza teren bazy - powiedział Coffey.

-

Jak może tego dokonać?

-

Nie wolno wam odmówić mu rozmowy telefonicznej. Przemoc wobec obywatela, któremu nie postawiono żadnych zarzutów, fatalnie wygląda w sądzie.

-

Lowell, w ten sposób mi nie pomagasz - zauważył Herbert.

-

Robię, co mogę. Staram się skupiać na sprawie, a nie na fakcie, że Hawke potrafi manipulować australijskim systemem prawnym. Prawdopodobnie miał wiele konfliktów z prawem i doskonale wie, jak się w tym poruszać.

-

Właśnie zdałem sobie sprawę, że wszystko, o czym opowiedział mi ten cholerny Hawke, dotyczyło kogoś innego - zauważył Herbert. - Darlinga, jego bratanka Marcusa oraz kapitana Kannadaya. On sam był tylko szefem ochrony i nie przyznał się do oddania choćby jednego strzału.

-

A co z innymi tropami albo świadkami? - spytał Coffey. - Czy nie macie kogoś na stałym lądzie?

-

Nic mi o tym... - zaczął Herbert, ale nagle przerwał.

-

Co się stało? - zainteresował się Coffey.

-

Coś mi przyszło do głowy - odrzekł Herbert. - Chyba jest ktoś, kto może przyszpilić tego faceta.

-Kto?

-

Później ci powiem - odrzekł zniecierpliwionym głosem Herbert.

-Zaczekaj, Bob!

Nie było odpowiedzi.

-

Bob, czy wracacie na posterunek strażacki?

Ale w słuchawce rozległ się ciągły sygnał. Jednocześnie powrócił spokój poranka.

Jednak gdzieś w środku Coffeya drążyło niezadowolenie. Przeszkadzały mu słabości jego profesji. Szczegóły były ważne i potrzebne, ale właśnie dzięki nim mógł

wyjść na wolność atomowy terrorysta.

Coffey wielbił prawo i tych, którzy go strzegli - czy to na polu walki, czy w sądzie. Nie uważał się za barrakudę, do której nawiązał Herbert. Wolał

porównanie do delfina. Delfin był zwinny i inteligentny.

I bezradny, tak samo jak on.

ROZDZIAŁ 69

Cairns, Australia, Niedziela, 4.59

Bell wystartował zgrabnie z płyty lotniska pomocniczej bazy RAAF w Cooktown i skręcił na południowy wschód. Po złożeniu zeznań John Hawke zamilkł i więcej się nie odezwał. Wyglądał ponuro. Unikał patrzenia innym w oczy.

Bob Herbert wyglądał na zasmuconego. Jelbart spytał go nawet, czy coś się stało, ale Amerykanin zaprzeczył. Skłamał.

Szef wywiadu siedział w kabinie i czekał, obmyślając, w jaki sposób rozegrać kolejne posunięcie. Po rozmowie z Coffeyem zadzwonił do Stephena Viensa z Centrum i poprosił o pewne szczegółowe dane z obserwacji satelitarnych. W

czasie, gdy Viens spełniał jego prośbę, z major Loh skontaktował się porucznik Kumar z patrolowca. Po dotarciu na miejsce zatonięcia jachtu udało im się wyciągnąć z wody siedmiu ludzi. Podali oni swe nazwiska, ale trudno było potwierdzić, czy mówią prawdę. Kumar nie wiedział, czy wśród uratowanych znajdował się Marcus Darling.

Loh rozkazała patrolowcowi powrót do Darwin. Herbert zaniepokoił się losem Marcusa Darlinga. Wyraźnie komplikowało to jego zamiary.

Lot do Cairns mógł potrwać piętnaście minut. Czasu nie było zbyt wiele.

Mogło być ciężko.

Po trzech minutach lotu zadzwonił telefon Herberta. Szybko odebrał rozmowę.

Dzwonił Viens.

Udało mi się załatwić to, o co prosiłeś - powiedział. - Czy masz pod ręką swój komputer?

-Tak.

-

W takim razie przekierowuję do ciebie na żywo obraz z satelity -

poinformował Viens. - Domyślam się, że wiesz lepiej ode mnie, na co zwrócić uwagę.

-

Całkiem rozsądnie - pochwalił Herbert. - Nie rozłączaj się, być może poproszę cię o przemieszczenie.

-

Nie ma sprawy.

Szef wywiadu przekręcił monitor tak, aby obserwować obraz. Ekran pozostawał poza zasięgiem wzroku Hawke'a.

Satelita przekazywał dość szczegółowy widok posiadłości Darlinga. Dom było widać pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Na zielonkawym obrazie z kamery noktowizyjnej Herbert widział wyraźnie, że na parterze i na piętrze paliły się wszystkie światła, co mogło świadczyć o ożywionej aktywności mieszkańców, dość niezwykłej, jak na piątą rano.

Do przygotowania śniadania wystarczyłoby zapalić światło w samej kuchni, zresztą było zdecydowanie za wcześnie. Coś się musiało dziać.

-

Stephen, chciałbym rzucić okiem na Idlewild - odezwał się Herbert. - Masz to w zasięgu?

-

Chodzi ci o tamtejsze lotnisko?

-

Tak. Trochę dalej na północny wschód.

Herbert wolał użyć terminu, którego Hawke nie mógł znać. Nie chciał ułatwiać przestępcy opracowania nowej strategii działania. W tym celu posłużył się dawną nazwą nowojorskiego portu lotniczego imienia Kennedy'ego.

-

Zrobi się - powiedział Viens. - Muszę jednak przeprogramować satelitę, jak dotąd nie interesowaliśmy się tym obszarem.

-

Rozumiem - potwierdził Herbert. - Postaraj się zrobić to jak najprędzej.

Przyszło mu do głowy, że Darling spodziewał się meldunku o zatopieniu jachtu od Hawke'a lub Marcusa. Ponieważ potwierdzenie nie przychodziło, wolał nie siedzieć z założonymi rękami. Rozgoryczeni utratą zatrudnienia pracownicy mogliby zacząć mówić, dlatego chciał prawdopodobnie wydostać się z Australii. Granica państwa zdecydowanie utrudniała jakiekolwiek działania prawne czy polityczne przeciwko niemu. Herbert nie chciał do tego dopuścić.

Naturalnie Marcus Darling mógł skontaktować się ze swym stryjem i przekazać mu, że ktoś został zabrany z wody przez jakiś helikopter. Wiadomość o uratowaniu Kannadaya czy Hawke'a nie mogła ucieszyć Jervisa Darlinga.

Po krótkiej chwili obraz z satelity zaczął się przesuwać w górę i w prawo.

Zmiana następowała co sekundę. Był to powolny, irytujący proces.

Jak szybko dezaktualizują się informatyczne cuda, pomyślał Herbert.

Każdy nowy obraz przyprawiał go o rosnące zdenerwowanie. Chciał zobaczyć lotnisko natychmiast, dokładnie w tym momencie. Miał nadzieję, że z wieży strażackiej był bezpośredni widok na lotnisko. To ułatwi zadanie.

W dossier Darlinga była informacja, że do lotów na krótkie dystanse wykorzystuje on swój odrzutowiec learjet 31A z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. W Darwin trzymał większego gulfstreama G-V. Herbert potrafił bez problemu zidentyfikować mniejszy z tych samolotów.

Chwilę później niewielki odrzutowiec rzeczywiście pojawił się na pasie startowym lotniska. O tej porze był to jedyny ruchomy element w okolicy. Samolot zatrzymał

się na końcu pasa. Pilot zapewne wykonywał procedurę startową. Potem poprosi wieżę o pozwolenie na start. Kilka chwil później Jervis Darling odleci.

Śmigłowiec go nie dogoni, a Lowell Coffey zapewne nie pozwoli poderwać w powietrze myśliwców z Cooktown w celu zmuszenia learjeta do lądowania.

Zwłaszcza, jeżeli Jessica-Ann będzie na jego pokładzie. Byłby to niezły żer dla prasy - nagłówki w rodzaju „RAAF atakuje małą dziewczynkę”.

Herbert spojrział na zegarek. Do lądowania w Cairns pozostało około siedmiu minut. Na pewno nie

zdążą. Nie miał czasu bawić się w subtelności. Pochylił się do przodu i spytał:

-

Jaki zasięg ma radar lotniska w Cairns?

Jelbart spojrzął na pilota.

-

Co tam mamy, zdaje się, że EL/M-2125? - spytał.

-

Chyba tak, sir - odrzekł pilot.

-

Ten radar zapewnia widok po horyzont, poczynając od wysokości jednego stopnia kąтового od powierzchni ziemi - powiedział Jelbart.

-

A więc zobaczą, że lecimy prosto do Cairns? - spytał Herbert.

-

Tak, gdyby wyjrzeli przez okno - stwierdził Jelbart.

-

A co zrobią, jeśli spadniemy z hukiem prosto na nich?

-

Chce pan przelecieć tuż nad wieżą?

-

Nie, nad samym pasem startowym - powiedział Herbert. - Co zrobi wieża, gdy zobaczy, jak nadlatujemy?

-

Zamknie ruch na lotnisku i spróbuje się z nami skontaktować - odpowiedział mu pilot.

-

No to do dzieła! - rozkazał Herbert.

-

Chce pan, żebym przemknął nad samym pasem? - zapytał z niedowierzaniem pilot.

-Na pełnej prędkości! I to już! - wrzasnął Herbert. - Z pełną ciszą radiową!

Mówiąc to, Herbert wyciągnął przewód łączący słuchawkę telefonu z wózkiem, zacisnął ją mocno w prawej ręce. Lewą złapał za plastikowy uchwyt nad drzwiami.

Nie chciał zapinać pasa, potrzebował nieco więcej swobody.

Jelbart zaprotestował, ale jego sprzeciw zagłuszył ryk potężnego silnika.

Śmigłowiec zanurkował, zwiększył obroty i pomknął do przodu.

Tak jak przewidział Herbert, Johnem Hawkiem rzuciło prosto na niego. Herbert trzasnął go w kark słuchawką. Kiedy upadł, Herbert pochylił się i huknął go jeszcze raz, żeby mieć pewność, że nie udaje. Gdy się ocknie, będzie przekonany, że uderzył się, kiedy śmigłowiec nagle zmienił kierunek lotu.

Monica Loh była na tyle przewidująca, że zdążyła zapiąć pas. Ta niezwykła kobieta pamiętała o wszystkim.

Poprawiając się na siedzeniu, Herbert spojrzał na trzymaną w ręku słuchawkę.

Była pęknięta. Będzie musiał później przeprosić Viensa za przerwanie połączenia.

A potem oprawi telefon w ramki i sprezentuje go Hoodowi.

Przynajmniej w jednej sprawie jego szef zgadzał się z nim w zupełności.

Tej mianowicie, że bywały sytuacje, w których najskuteczniejszą bronią okazywał się telefon.

ROZDZIAŁ 70

Waszyngton, Sobota, 3.06

Hood patrzył na stojący na biurku ekran monitora komputerowego. Stephen Viens przesyłał mu ten sam obraz, który widział Herbert. Hood dostrzegł lśniącego, białego learjeta gotowego do startu na końcu pasa. Samolot wciąż stał w miejscu.

-

A więc to jest odrzutowiec Darlinga. Bob zamierza uniemożliwić mu start poprzez wtargnięcie w przestrzeń powietrzną lotniska - upewnił się Hood.

-

Tak to mniej więcej wygląda - potwierdził Viens.

-

A co potem? Powiedział coś?

-Nie.

-

Nie chciał mówić zbyt wiele - rozważał głośno Hood. - Zwłaszcza mając podejrzanego w kabinie.

-

Ciekawe, czy z Cooktown wystartują myśliwce, żeby przechwycić samolot Darlinga.

-

Być może, ale to już sprawa dla Jelbarta - stwierdził Hood i pokręcił

głową. - Stephen, to jest jedna z tych chwil, kiedy trzeba zaufać ludziom w terenie. Ale jest pewien problem.

-

Jaki?

-

Biedny chłopak z Missisipi chce się dostać do skóry bogatemu Australijczykowi - powiedział Hood.

-

Rozumiem - mruknął Viens.

-

A ja chcę odzyskać odpady promieniotwórcze - dodał Hood.

Wciąż wpatrywał się w monitor. Nie sądził, aby Herbert zapomniał, po co pojechał do Australii. Nagle na monitorze coś się pokazało. Jakiś zupełnie nowy element.

-

Stephen, możesz bardziej przybliżyć?

-

Właśnie miałem to zaproponować - odrzekł Viens.

-

Czy ty też to zauważyłeś?

-Tak.

-

Można się temu przyjrzeć?

-

Za chwilę - powiedział Viens. - Muszę zmienić ogniskową i skorygować ostrość.

Zielonkawy obraz zaczynał się zmieniać. Learjet w dolnym prawym rogu ekranu zrobił się większy. Wydawało się, że biały kadłub świeci w ciemności. Coraz lepiej było widać asfaltowy pas, a nad nim plama w lewym górnym rogu ekranu coraz wyraźniej stała się.

Hood wpatrzył się w nią z uwagą. Po chwili już wiedział, co to za obiekt. Bardzo żałował, że nie może się dodzwonić do Boba Herberta.

ROZDZIAŁ 71

Cairns, Australia, Niedziela, 5.07

Słońce zaczynało oświetlać ciemnoszary, asfaltowy pas startowy małego lotniska.

Wewnątrz zgrabnego learjeta Jervis Darling siedział w głębokim, wyścielanym fotelu na skrzydle. Delikatny szum silników uspokajał go, jak zawsze. Uwielbiał

czuć, że posiada władzę nad ich potężną mocą. Na siedzeniu obok, opatulona w płaszcz, spała jego córka. Po osiągnięciu wysokości przelotowej Darling miał

zamiar przenieść ją do małej sypialni z tyłu kadłuba.

Samolot nie ruszał z miejsca. Darling zaczynał tracić cierpliwość. Nacisnął

przycisk interkomu, umieszczony na poręczy fotela.

-

Shawn, czemu nie lecimy?

-

Wieża kazała nam czekać, panie Darling.

-

Dowiedz się, o co chodzi - warknął Darling. - Chcę być w powietrzu najszybciej, jak się da.

-

Z tym może być kłopot, sir - odrzekł Daniels.

-

O czym ty mówisz?

-

Coś się dzieje na pasie, sir.

-

Co może się dziać na pasie? - Darling się denerwował.

-

Nie otrzymaliśmy żadnej informacji z wieży na ten temat.

-

Niech szlag trafi tę wieżę - burknął Darling, odpinając pas. Pochylił się, aby nie zawadzić głową o niski sufit, i ruszył do kabiny pilotów. Kapitan samolotu Daniels i drugi pilot, którym była kobieta, Kristin Bedard, rozsunęli się nieco na boki, aby mógł wyjrzeć przez wiatrochron.

Na końcu pasa stał śmigłowiec. Wirnik jeszcze się obracał, a drzwi były otwarte.

-

Orientujesz się, co to jest? - spytał Darling.

-

Nie, sir - odrzekł Daniels. - Helikopter typu Bell, ale nie widzę żadnych znaków rozpoznawczych.

Darling wbił wzrok w ciemności. Ze śmigłowca coś wyładowywano. Nie widział, co to było.

-

Panie Darling, być może się mylę, ale to wygląda na wózek inwalidzki -

powiedział pilot.

-

Nie odważyłby się - mruknął pod nosem Darling.

-

Proszę?

Nie zwracał uwagi na pilota. Wciąż patrzył przez okno. Po chwili śmigłowiec wznosił się powoli z tyłu za dziwnym obiektem. Teraz Darling widział wyraźnie.

To był wózek inwalidzki R. Claytona Herberta, który zbliżał się na nim do samolotu.

-

Czy możesz go ominąć? - spytał Darling.

-Co?

-

Czy możesz go ominąć, przejechać nad nim albo po nim?! - wrzasnął Darling.

-

Nie, sir - odrzekł pilot z wyrazem zdumienia na twarzy.

-

Zapytaj wieżę, dlaczego nikt nie przyjdzie i nie zabierze go z pasa -

zażądał Darling.

-

Sir, słyszę rozmowy wieży ze śmigłowcem. Najwyraźniej chorąży Jelbart z ośrodka wywiadu marynarki wyłączył pas startowy ze względu na jakąś operację wojskową.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślał Darling.

-

Wieża pyta śmigłowca o powód - relacjonował pilot. - Chorąży twierdzi, że ma podejrzenia co do ładunku wiezionego przez odrzutowiec.

Pilot sprawiał wrażenie zaskoczonego. Spojrzał pytająco na Darlinga.

-

Mogę się włączyć w tę rozmowę, jeśli pan sobie tego życzy, sir. Co mam im powiedzieć?

-

Powiedz tym na wieży, że wychodzę na zewnątrz, aby usunąć przeszkodę.

Jeżeli mają coś przeciw temu, niech poskarżą się premierowi, którego mam zamiar obudzić natychmiast po starcie.

-

Przekażę, sir.

Darling wycofał się do kabiny pasażerskiej i skinął na Kristin Bedard, która wstała z fotela, otworzyła drzwi i opuściła schodki.

-

Usiądź koło mojej córki, na wypadek, gdyby się obudziła - powiedział

Darling, schodząc na asfalt.

Noc wydawała się nie mieć końca, ale cierpliwość Darlinga była już na wyczerpaniu. Nowy układ sił na świecie i tak był czymś nieuniknionym. Niech więc wszystko zacznie się tu i teraz.

Learjet wydaje się o wiele większy, kiedy się podjedzie całkiem blisko -

pomyślał Herbert.

Nie była to jego jedyna myśl, ale za to najbardziej wyrazista. Gazy wylotowe z silników unosiły się na tle jaśniejszego horyzontu. Maszyna lekko drżała, wydawała się nieprzewidywalna i niebezpieczna. Ostry dziób samolotu był

wycelowany prosto w niego jak lanca. Cichy odgłos silników kojarzył mu się z pomrukiem tygrysa czającego się w zaroślach. Wystarczył jeden nieznaczny ruch kogoś siedzącego wewnątrz, aby bestia poderwała się do ataku. Śmigłowiec odleciał i opadł na biegnącą obok pasa startowego drogę kołowania. Herbert został zupełnie sam. Ponieważ Bell nie blokował już pasa, nie miał wątpliwości, że Jervis Darling będzie chciał go przejechać. Liczył tylko na to, że zaprotestują piloci.

Kiedy Herbert zbliżał się do odrzutowca, w samolocie otworzyły się drzwi. Ktoś zbiegał po schodkach. Herbert nie widział wyraźnie postaci, ale wiedział, że mógł to być tylko Jervis Darling. Zbliżał się teraz szybkim, agresywnym krokiem, rytmicznie wyrzucając ramiona. Herbert zawahał się przez chwilę. Darling nie różnił się zbyt od tych, którzy jako pierwsi szerzyli cywilizację na tych dziewiczych terenach. Byli to skazańcy i ich strażnicy borykający się z odwiecznymi problemami. Jak już się wcześniej przekonał, niełatwo było go przestraszyć. Herbert miał w zanadrzu tylko jeden argument, który mógł posłużyć do zadania decydującego ciosu.

-

Z drogi! - krzyknął Darling, podchodząc do Herberta. - Proszę odejść albo wezwę policję.

-

Niech pan wzywa. Wtedy wyjawię im, dlaczego tu jestem. - Herbert zatrzymał

się i uruchomił blokadę kół wózka. Nie było wiatru. Właściwie panowała taka cisza, że mógł słyszeć oddech zbliżającego się Darlinga.

-

Pańskie urojenia mnie nie interesują - powiedział Darling, stając tuż przed nim.

-

Ale mogą zainteresować policję - odparł Herbert.

-

Przekonajmy się - rzekł Darling i wyciągnął telefon komórkowy.

-

Dlaczego pan się nie przyzna, panie Darling? To zaoszczędziłoby nam mnóstwo czasu.

Darling wybrał zaprogramowany numer.

-

Nawet jeśli zostaną usunięty, pan nigdzie nie polecą - powiedział Herbert.

- Ludzie ze śmigłowca tego dopilnują. Nie odleci pan stąd ani z przystani, śmigłowiec będzie tam przed panem. A pan nie może czekać. Dlatego chce pan odlecieć natychmiast.

Darling odwrócił się plecami do Herberta i zaczął się oddalać z telefonem przy uchu.

-

Nie otrzymał pan wiadomości od Johna Hawke'a z tej prostej przyczyny, że uratowaliśmy go z tonącego jachtu - ciągnął Herbert. - Powiedział

nam wszystko na temat operacji. Jestem pewien, że jeszcze więcej informacji wyciągnę od pańskiego bratanka. Jego i kilku innych członków załogi wyciągnął z wody singapurski patrolowiec. Zdaje się, że kuzynek nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Mogę się założyć, że wyda pana w zamian za złagodzenie wymiaru kary. Tak właśnie czynią lizusy i pochlebcy.

Darling zatrzymał się, zamknął telefon i zawrócił.

-

Czego pan chce, panie Herbert? - spytał. - Nie zależy mi na tym, aby opuścił pan lotnisko, tylko żeby się pan odczepił. Zostawił mnie w spokoju.

-

Na początek niech pan poda miejsce składowania substancji promieniotwórczych, którymi pan obraca.

-

One istnieją tylko w pańskiej wyobraźni! - powiedział Darling ze złością.

- Nie będziemy zajmować się wytworami chorej fantazji. Skupmy się na rzeczywistości. Pytam jeszcze raz, czego pan chce?

-

Już panu powiedziałem.

Darling pokręcił głową.

-

Panie Herbert, próbowałem traktować pana poważnie. Ale to nic nie dało.

Teraz proszę zjechać z pasa. Wolno mi odlecieć tym samolotem i mam zamiar właśnie to uczynić.

-

Przejedzie pan mnie?

-

Panie Herbert, jeżeli to wszystko, co pan o mnie mówi, jest prawdą kolejna zbrodnia nie zrobi wielkiej różnicy - oznajmił Darling.

Australijczyk odwrócił się i odszedł. Herbert miał jeszcze jeden pocisk w komorze naboju. To była jego srebrna kula.

-

Nie oskarżałem pana o morderstwo! - zawołał. - Ale widocznie pan jakieś popełnił, skoro twierdzi pan, że nie ma nic do stracenia.

-

Radzę panu odjechać! - odkrzyknął Darling przez ramię.

-

Jak poczuje się pańska córka, kiedy się dowie, że kazał pan zamordować jej matkę?

Australijczyk szedł chwilę dalej, ale nagle odwrócił się i cisnął telefonem w Herberta. Komórka roztrzaskała się na asfalcie. Znowu zaczął iść w stronę intruza.

Nokautujący cios dosięgnął przeciwnika. Herbert czekał teraz na typową reakcję.

-

Ty kupo łajna! - wrzasnął Darling. - Ty cuchnąca kupo łajna!

A więc zaczęły się wyzwiska i obelgi. To początek ostatniego stadium. Podobnie było w przypadku Hitlera, wykrzykującego rozkazy w bunkrze podczas gdy jego świat walił się w gruzy. Jeżeli Herbert

dobrze wszystko rozegra, osiągnie swój cel.

-

Twoje ambicje są tak samo ograniczone, jak zdolność poruszania się! -

Darling pinił się. - Nie masz oczu, nie masz wrażliwości, nie potrafisz marzyć, nie masz niczego!

-

Chce pan porozmawiać o wrażliwości? Straciłem nogi w wyniku zamachu terrorystycznego - powiedział Herbert. - W tym samym zamachu zginęła moja żona. Oddałbym wszystko, żeby znów była ze mną. A pan zabił swoją żonę z próżności. Bo tak było wygodniej. I kto tu jest cuchnącą kupą łajna?

-

Nie wiesz nic o moim życiu! - wykrzyknął Darling.

-

Być może to dla pana szokujące, ale nie jest pan pępkiem świata - oznajmił

Herbert. Wiedział, że przeciąga strunę, ale potrzebował jeszcze jednego.

I dostał to, czego chciał.

Australijczyk zamachnął się i uderzył go w twarz. Herbert przyjął cios.

-

Nie wiesz nic o moim życiu! - powtórzył Darling. - Wracaj do swojej zapyziałej, ciasnej nory, do przeglądania meldunków i tropienia wybitnych jednostek, które tworzą historię. Ale nie próbuj mi przeszkadzać, bo nawet nie wiesz, co czynisz!

-

Wiem doskonale - odparł Herbert. - Właśnie sprowokowałem pewnego szaleńca do tego, żeby mnie uderzył. Dyżurni z wieży kontroli na pewno to widzieli. Moi ludzie ze śmigłowca wzywają właśnie policję. Zostanie pan aresztowany za czynną napaść. A wówczas rządy pańskiego i mojego kraju powstrzymają pana od faszzerowania radioaktywną substancją tuneli metra i budynków w miastach na całym świecie.

Darling gwałtownie pokręcił głową.

-

Ja próbuję pomóc światu! Dlaczego historię mają tworzyć tylko Stany Zjednoczone albo Chiny? Co stanie się z nami? Gdzie jest nasze miejsce w historii?

-

Niektórym z nas wystarczyłoby zbudowanie międzynarodowego imperium i posiadanie kilku odrzutowców na własny użytek - zauważył Herbert.

-

Oto dlaczego niczego pan nie osiągnął! - odparł Darling. - Zadowolą się pan byle czym. Skupia się pan na drobiazgach.

-

Czyżby? - spytał Herbert z powątpiewaniem. - Właśnie załatwiłem pana kilkoma słowami. A to nie jest drobiazg, panie Darling.

Słońce wzniosło się ponad horyzont i w jego promieniach Darling jakby nieco zmałał. Jego cień był większy od niego samego. Miliarder opuścił głowę, ramiona mu opadły.

-

Tam, skąd pochodzę, nie dzieje się nic, co mogłoby zmienić świat na wielką skalę - powiedział Herbert. - Częściowo chodzi o to, abyśmy wciąż się doskonalili, stawali się lepszymi ludźmi, rodzicami, małżonkami. To wcale nie są drobiazgi. To doprawdy wielki cel i jeszcze większy projekt. Powinien pan kiedyś spróbować.

Australijczyk spojrział wprost w żółtopomarańczowe słońce. W jaskrawym świetle wyglądał staro, jego twarz miała więcej zmarszczek niż zwykle. Głowa opadła mu dziwnie na jedną stronę, odwrócił się i poszedł powoli w kierunku samolotu.

-

Panie Darling, dokąd pan idzie? Powinien pan tu zostać! - zawołał za nim Herbert.

-

To pan powinien stąd zniknąć.

-

To nie rozwiąże problemu - odrzekł Herbert. - Zbyt wielu ludzi wie już o wszystkim.

Darling wciąż szedł do samolotu.

-

Panie Darling! .

-

Jest coś, co powinien pan sobie uświadomić - powiedział Darling. - Otóż ludzie wiedzą tyle, ile im się powie. A ja mam jeszcze coś do powiedzenia.

Herbert zasępił się. Coś było na rzeczy. Coś niepokojącego. Do Herberta powoli zaczynało docierać, o co mogło tu chodzić.

ROZDZIAŁ 73

Cairns, Australia, Niedziela, 5.24

- Na wieży zauważyli czynną napaść na Herberta - powiedział pilot do Jelbarta.

- Dzwonią po policję, zgodnie z pańskim życzeniem.

-

Dobrze - odrzekł Jelbart. Jego słuchawki były wyłączone.

-

Teraz zapytają, dlaczego pan Herbert i pan Darling stoją na pasie startowym - ciągnął pilot.

-

To oczywiste - odparł chorąży Jelbart. Wciąż patrzył na dwie ciemne sylwetki na asfalcie. - Rozmawiają ze sobą.

-

Na wieży też to widzą- powiedział pilot. - Chcieliby jednak wiedzieć, dlaczego.

-

Zdjąłem słuchawki specjalnie, żeby nie słuchać tego pieprzenia - odparł zniecierpliwiony Jelbart.

-

Rozumiem pana - rzekł pilot. - Ale kontroler twierdzi, że nasza operacja narusza kilka przepisów bezpieczeństwa, wydanych przez ministerstwo transportu.

Między innymi ten, który mówi, że Cairns jest zapasowym lotniskiem w tym rejonie na wypadek wystąpienia sytuacji awaryjnej.

-

Powiedz im, że to jest właśnie sytuacja awaryjna! - warknął Jelbart.

-

Proszę spojrzeć! - krzyknęła Loh. - Darling wraca!

Ożywienie w głosie major Loh jakoś nie pasowało do powolnych ruchów Darlinga.

Chwilę później Herbert zrobił gest w kierunku samolotu i ruszył za Australijczykiem.

-

Wieża, zostańcie na nasłuchu - powiedział pilot, po czym zwrócił się do Jelbarta - Co robimy?

-

Musimy uniemożliwić mu start.

-

Zaczekajmy - powiedziała Loh. - Chyba nie o to chodzi Herbertowi.

-

Jak to? - obruszył się Jelbart. - Przecież taki był plan.

-

Wiem - odpowiedziała. - Ale wydaje mi się, że Herbertowi chodzi o Darlinga. Poczekajcie chwilę. Wychodzę na zewnątrz.

-

Po co?

-

Zaczekajcie, proszę.

Major Loh otworzyła drzwi, wyskoczyła ze śmigłowca i pobiegła w kierunku Herberta. Huk wirnika przypominał jej ryk morskich fal. Ostra woń spalonej nafty unosiła się w powietrzu i mieszała z zapachem oceanu, niesionym przez wiatr wiejący ze wschodu. W sumie dźwięki i zapachy były całkiem podobne do tych, które знаła z pokładu patrolowca. Podziałało to na nią jak wezwanie do boju.

Herbert zauważył ją. Wskazał na miliardera i schwycił się za nadgarstek.

Miała rację. Chciał, żeby powstrzymała Darlinga.

Pobiegła w kierunku odrzutowca. Teraz biegła bardzo szybko. Darling doszedł do schodków i obejrzał się za siebie. Dostrzegł ją, po czym z obojętnym wyrazem twarzy wspinał się do środka. Nie miała szans, by zdążyć przed zamknięciem drzwi.

Nie przerywając biegu, odwróciła się w stronę śmigłowca. Podnosząc i opuszczając rękę, wskazała na dziób learjeta. Pilot zrozumiał ją od razu. Śmigłowiec wystartował i natychmiast ją wyprzedził. Pilot zatoczył szeroki łuk, aby podmuch wirnika nie zwałił jej z nóg. Po chwili znieruchomiał dwieście metrów przed samolotem, na wysokości około dwudziestu metrów nad asfaltem. Learjet nie mógł

odlecieć. Gdyby ruszył, pilot śmigłowca mógł go zatrzymać, zniżając się i tłukąc mu wiatrochronem gołeniami podwozia.

Loh przebiegła obok kabiny pilotów i dopadła drzwi. Znajdowały się one tuż przed skrzydłem z lewej strony kadłuba. W chwili, gdy znalazła się przed nimi, usłyszała, że ktoś je zamyka. Uderzyła w nie pięścią.

-

Panie Darling, proszę wyjść! - krzyknęła. - I tak pan nigdzie nie odleci!

Silniki obu maszyn robiły taki hałas, że nie była pewna, czy ją słyszą.

Odsunęła się od drzwi i zajrzała do kabiny pilotów. Słońce odbijało się w szybie wiatrochronu i raziło ją w oczy. Osłoniła je dłonią. Miała zamiar dać znak pilotowi, żeby ją wpuścił.

Jednak kabina pilotów była pusta.

ROZDZIAŁ 74

Cairns, Australia, Niedziela, 5.30

Po wejściu do samolotu Darling przywołał pilota, Shawna Danielsa, do kabiny pasażerskiej. Kapitan wstał zza sterów.

-

Czy wszystko w porządku, sir? - spytał Daniels, wkładając czapkę i poprawiając krawat. - Czy nic się panu nie stało? .

-

Ja... - zaczął Darling i zamilkł. Jak tu wytłumaczyć temu człowiekowi, że właśnie zawalił się cały jego świat? Że stracił swoje imperium, marzenia, szacunek dla samego siebie.

Drugi pilot Kristin Bedard była już w kabinie pasażerskiej. Siedziała naprzeciwko Jessiki-Ann. Dziewczynka obudziła się i rozmawiała z pilotką.

Właściwie to naśladowały głosy dwóch prehistorycznych gadów, tworzących logo Darling Enterprises. Latający pterozaur i pływający ichtiozaur namalowane były na przedniej przegrodzie kabiny. Zgodnie z uwagą poczynioną przez Darlinga, kto opanował morze i przestworza, ten miał władzę także i nad lądem.

Bedard wstała z miejsca, kiedy wszedł Darling. Zajął miejsce obok córki, Daniels i Bedard odsunęli się nieco i stanęli do nich tyłem.

Darling dotknął palcem koniuszka nosa dziewczynki. Uśmiechnął się, kiedy zmrużyła oczy.

-

Tato?

-

Jestem tutaj - powiedział. - Dobrze ci się spało?

Kiwnęła głową i potarła lekko nos przedramieniem.

-

Chcę cię o coś zapytać. Czy jesteś szczęśliwa, córeczko?

Dziewczynka znów przytaknęła.

-

A co sprawia ci największą radość? - spytał ojciec cichym głosem, prawie szeptem.

Nie odpowiedziała. Nie potrafił stwierdzić, czy się zastanawia, czy raczej zasypia. Nagle odezwała się:

-

Frenchie.

-

Twój kucyk? - Nie to spodziewał się usłyszeć, ale poszedł tym śladem. -

Frenchie jest sympatyczny, prawda?

Jessica-Ann kiwnęła głową.

-

A najbardziej nie lubię dinozaurów - dodała szybko, zanim ojciec sformułował następne pytanie.

-

Dlaczego - spytał.

-

Bo się ich boję - odrzekła.

-

Nie są takie straszne.

-

Właśnie, że są.

-

Mówiłem ci, że wiele z nich było całkiem łagodnych. Pamiętasz, które?

-

Roślinożercy.

-

Właśnie. - Uśmiechnął się.

-

Ale mogły przypadkiem kogoś nadepnąć - powiedziała Jessica-Ann.

Nie była już taka śpiąca.

-

Na pewno by tego nie zrobiły - zapewnił. - Miały dookoła swoje własne młode. Były bardzo zwinne i ostrożne.

I wszystkie wyginęły, pomyślał. Tak długo im się udawało. Były wielkie i potężne. Mimo to zostały unicestwione przez nieuchronne prawa natury.

Darling pogłaskał córeczkę po policzku.

-

To dobrze, że lubisz kucyka. Ale chciałbym się dowiedzieć, czy jesteś szczęśliwa.

-

Tak ogólnie?

-

Tak. - Uśmiechnął się.

Energicznie pokiwała głową.

-

To bardzo się cieszę - powiedział.

-

A teraz ja chcę cię o coś zapytać. - Spojrzała mu w oczy.

-

Proszę bardzo.

-

Dokąd lecimy?

Darling poczuł, jak łzy cisną mu się do oczu. Otarł je nonszalancko koniuszkami palców.

-

Właściwie, kochanie, to ja muszę lecieć - powiedział Darling. - A dla ciebie mam poważne zadanie.

-

Fajnie - odparła dziewczynka, robiąc zabawną minkę. Nagle zmarszczyła czoło. - Tato, ktoś chyba puka do drzwi.

-

Nie przejmuj się tym - powiedział Darling. - Pojedziesz teraz do domu z Shawnem i Kristin.

-

Mam pojechać do domu? To nie jest żadne zadanie.

-

Ależ jest - obruszył się Darling. - I to bardzo ważne. Pojedziesz z nimi do domu, żeby przekazać coś Andrew. Powiesz mu, że tatuś musiał

gdzieś wyjechać, a ty nie mogłaś jechać razem z nim.

-

Dokąd wyjeżdżasz?

-A jak myślisz?

Jessica-Ann zastanawiała się przez chwilę.

-

Jedziesz odwiedzić mamusię?

Darling lekko drgnął. Zaskoczyło go pytanie córki. Dziewczynka spojrzała mu w oczy.

-

Dlaczego to powiedziałaś? - spytał.

-

Twój głos brzmi tak samo jak wtedy, kiedy powiedziałeś mi, że mamusia miała wypadek - odrzekła.
- Jedziesz na jej grób?

-

Nie - zaprzeczył Darling. - Muszę zrobić coś innego.

Wstał z fotela i podniósł córkę, stawiając ją na siedzeniu.

-

Przytulił tatusia - poprosił, obejmując ją ramionami.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno.

Darling poczuł zapach szamponu, którym wieczorem umyła włosy. Morelowy, pomyślał. Przypomniawsobie czasy, kiedy była dużo młodsza. Matka często wychodziła i nie wracała do późnej nocy, więc sam ją kąpał i mył jej głowę. A potem kładł ją do łóżeczka. Teraz kładzie się już sama.

Kiedy tak szybko urosła?

To bez znaczenia, ważne, że urosła, pomyślał. To był właśnie cud dorastania i rozwoju. Nie był go w stanie powstrzymać nawet globalny kataklizm.

Jervis Darling przytulił delikatnie Jessicę-Ann. Zmiany, które chciał

zaprowadzić w jej świecie, nie nastąpią. Być może ona sama kiedyś tego dokona. W

końcu jest jego córką. Powstrzymał go człowiek, którego nie powinien był

zlekceważyć. Herbert był funkcjonariuszem, trybikiem w maszynie. A jednak zwyciężył, tak samo, jak niepozorne ssaki pokonały kiedyś potężne dinozaury. Co za ironia losu. Siedzi teraz w prywatnym odrzutowcu i zdawać by się mogło, że u jego stóp leży cały świat. A tymczasem dla niego pozostało już tylko jedno miejsce.

Nie puszczając córki, Darling odwrócił głowę i po cichu zawołał Shawna i Kristin. Załoga podeszła bliżej. Darling oddał córkę kobiecie.

-

Zabierzcie ją do domu - powiedział.

-

Tak jest, sir - potwierdził pilot. - Czy coś jeszcze?

Darling wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-

To się okaże.

A potem, schylając się, odprowadził ich do drzwi.

ROZDZIAŁ 75

Cairns, Australia, Niedziela, 5.38

- Proszę się odsunąć! - zawołał ktoś z wnętrza learjeta. - Wychodzimy z panną Darling!

Bob Herbert właśnie dojechał do samolotu. Wraz z Loh odsunęli się o kilka

metrów. Głos ze środka nie należał do Jervisa Darlinga. Z boku kadłuba było pięć okienek. Herbert zajrzał do środka, ale nie zauważył

go. Nie spodziewał się, żeby Darling wyszedł wraz z innymi. Herbert zdał sobie sprawę, co uderzyło go w zachowaniu Darlinga. To było jak nagły atak huraganu, który zapewne wciąż jeszcze trwał. Teraz nastąpiło coś, co można było porównać do wyjścia kobiet i dzieci z Alamo przed ostatnim szturmem. Ale temu Herbert nie mógł zapobiec. Dziewczynka i

każda inna osoba, która chciała opuścić samolot, miała pełne prawo to uczynić.

-

Tato, chodź ze mną!

Herbert błyskawicznie przeniósł wzrok na otwierające się drzwi. Przeczucie go nie myliło. Darling kazał wyjść córce i załodze samolotu. Herbert zerknął do kabiny pilotów. W środku ktoś się poruszył. Zapewne był to Darling.

Opuściły się schodki, po których zeszli piloci. Kapitan trzymał na rękach Jessicę-Ann. Dziewczynka usiłowała spojrzeć mu za plecy, do środka samolotu.

Wciąż wołała ojca.

Wśród wycia silników odrzutowca i huku wirnika helikoptera Herbert słyszał

wyraźnie syreny wozów policyjnych. Funkcjonariusze przybywali, by aresztować Jervisa Darlinga. Dlatego trzeba było go zatrzymać za wszelką cenę.

Herbert już miał krzyknąć do Loh, aby wbiegła na schodki, ale ona jak zwykle była szybsza. Gdy tylko pilotka wyszła z samolotu, Loh ominęła ją i wpadła do środka.

-

Jest za sterami! - krzyknął za nią Herbert.

Loh kiwnęła głową. Herbert przesunął się z wózkiem w taki sposób, żeby móc ją zobaczyć. Waliła pięścią w drzwi kabiny pilotów.

-

Panie Darling, nie wolno panu odlatywać! - krzyknęła.

Herbert obserwował załogę. Piloci pospiesznie przeszli na mały, ogrodzony parking, gdzie stał samochód z kierowcą, któremu szef kazał zapewne poczekać do chwili odlotu. Herbert był zadowolony z takiego przebiegu wypadków. Wołał, aby Jessica-Ann nie widziała tego, co miało się teraz wydarzyć.

-

Panie Darling! Proszę otworzyć drzwi! - wołała Loh.

Herbert znowu zajrzał do kabiny pilotów. Dostrzegł czubek głowy Darlinga, siedzącego na miejscu kapitana. Odrzutowiec drgnął i zaczął się toczyć.

-

Pani major, niech pani ucieka! - wrzasnął Herbert.

Ale ona wciąż dobijała się do kabiny pilotów.

Herbert nie był pewien, czy Darling nie blefuje. Nawet gdyby udało mu się ominąć śmigłowiec i wzbić się w powietrze, otwarte drzwi uniemożliwiłyby mu utrzymanie maszyny w równowadze. Tej wielkości odrzutowiec był wrażliwy na gwałtowne zmiany ciśnienia i temperatury.

Darling mógł blefować, ale tylko pod warunkiem że działał racjonalnie, pomyślał

Herbert. Podczas ostatnich kilku minut miliardier wydawał się spanikowany. A w takich chwilach trudno o racjonalne rozumowanie.

Herbert podniósł wzrok na śmigłowiec i machnął ręką do pilota, by zszedł niżej.

Lotnik po mistrzowsku manewrował maszyną. Pochylił śmigłowiec i zawisł na drodze samolotu tak, że lewa płoza mierzyła wprost w jego wiatrochron. Herbert widział, jak skrzydła learjeta uginają się pod naporem strumienia powietrza spod wirnika śmigłowca. Obie maszyny dzieliło mniej niż dziesięć metrów. Zderzenie było nieuniknione.

Herbert nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny. Chciał wbiec na pokład odrzutowca i pomóc major Loh w sforsowaniu drzwi kabiny pilotów. Zamiast tego cofnął jedynie swój wózek. Pod wpływem uderzenia odrzutowiec zwolnił nieco, ale nadal toczył się do przodu. Śmigłowiec przechylił się w prawo, a wirnik lekko się przekrzywił.

Było coś surrealistycznego w tym widoku, jakby starły się dwa prehistoryczne potwory. Śmigłowiec zakołysał się i wyprostował lot. Pilot zatoczył ciasny łuk, przygotowując się do ponownego uderzenia.

Herbert dawał mu energiczne znaki, żeby go powstrzymać. Chociaż ze wszystkich sił pragnął złapać Darlinga, nie chciał zbyt poważnie uszkodzić samolotu.

Darling mógł nadal próbować startować, a Herbert miał zamiar wpakować go do więzienia, nie do kostnicy.

Ktoś nadbiegał od strony wieży. Dwa policyjne radiowozy wjechały na pas startowy i ruszyły za odrzutowcem. Był tam już także inny pojazd, którego kierowca wyglądał znajomo. Za kółkiem siedział Paul Leyland, a na stopniu stał Pająk.

Wieża wezwała drużynę strażacką, która wjechała na płytę lotniska lekkim wozem bojowym typu nissan patrol. Samochód był wyposażony w sześciusetlitrowy zbiornik wody. Strażacy z Queensland wykorzystywali go do walki z ogniem tam, gdzie brakowało hydrantów.

To podsunęło Herbertowi pewną myśl.

Zamachał do pilota śmigłowca, żeby ten ponownie spróbował zatrzymać samolot. Tym razem wolno opuszczał rękę, chcąc w ten sposób pokazać, aby atak nie był zbyt gwałtowny. Ryzykował, ale musiał spowodować, by Darling zwolnił. Kiedy śmigłowiec schodził niżej, Herbert podjechał do wozu strażackiego.

-

Waż! - wrzasnął, przemykając obok skrzydła learjeta. - Bierz waż!

Pająk nie słyszał go, a Herbert zaczynał tracić nadzieję. Za niecałą minutę będzie już za późno, żeby zatrzymać Darlinga.

-

Potrzebny będzie waż! - krzyknął, szerokimi ruchami wskazując na płaską, parcianą rurę wiszącą z boku wozu strażackiego. Potem pokazał

na learjeta.

Leyland przyspieszył. Wyprzedził jeden z radiowozów i z piskiem opon zahamował koło Herberta.

-

Zalejcie wodą wloty powietrza do silników - powiedział Amerykanin.

Leyland błyskawicznie ocenił sytuację i ruszył za learjetem. Za nim z kolei pojechał Herbert. Musiał spróbować wyciągnąć ze środka major Loh.

Kiedy wóz strażacki nabierał rozpędu, Pająk przesunął się na tył samochodu po wąż. Poruszał się tak zręcznie, że w pełni zasłużył na swe przezwisko. Zdjął wąż z zaczepu, uruchamiał pompę i wspiął się po drabince na wierzch zbiornika. Była tam mała platforma, na której stanął, przechylając się do przodu pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni. W odległości około dwustu metrów Pająk przestawił zawór, znajdujący się u podstawy prądownicy, i wycelował w silnik, umieszczony na ogonie samolotu. Uderzenie wody było tak potężne, że chłopak wyprostował się jak drut. Rozpylona woda zakryła cały silnik.

Herbert był daleko za samolotem. Nie miał szans, aby zdążyć na czas. Silnik odrzutowy zassał wodę do środka, wprost na gorące łopatki turbiny. Woda natychmiast zmieniła się w parę, chłodząc wewnętrzne części silnika. Rozległ się ostry trzask, tak jakby w pobliżu uderzył piorun. Dym zmieszany z parą wodną pojawił się z tyłu, a potem wydostał się także z boku, przez szczeliny w osłonie. Chwilę później srebrne i białe kawałki metalu wystrzeliły z przodu i z tyłu silnika. Potem osłonę rozsadziło od środka, jak parówkę umieszczoną na grillu. Samolot zatoczył się, skręcił lekko w lewo, ale wciąż sunął do przodu.

Tym razem śmigłowiec zbliżał się do learjeta bardzo ostrożnie. Pilot starał się powstrzymać odrzutowiec raczej poprzez ocieranie się o jego kadłub, a nie silne pojedyncze uderzenie. Metoda ta skutecznie uniemożliwiała Darlingowi zwiększenie prędkości.

Pająk zostawił dymiące zgliszcza lewego silnika i skierował strumień wody na prawy. Tak jak przedtem turbina skwierczała i pluła parą na wszystkie strony.

Herbert widział płomienie wewnątrz prawego silnika. Widocznie jego osłona była już pęknięta. Silnik palił się tylko przez chwilę, bo woda zdusiła płomienie.

Wkrótce potem rozerwał się z głośnym hukiem. Odrzutowiec zakołysał się, skręcił w kierunku wieży i znieruchomiał. Oba silniki dymiły, a biały dym powoli zmieniał się w czarny.

Pająk przeniósł strumień wody na pierwszy silnik. Leyland zatrzymał wóz i wyskoczył na zewnątrz. Miał na ramieniu małą butlę tlenową i maskę. Znalazł się przy schodkach tuż przed Herbertem. Leyland wsunął się do wnętrza samolotu.

Kabinę wypełniał gryzący biały dym, przez który trudno było cokolwiek dostrzec.

Kolejnych kilka sekund przypominało kadry filmu przesuwane w zwolnionym tempie.

Śmigłowiec odsunął się z samolotu i opadł na pas startowy. Wysiadł z niego chorąży Jelbart i pobiegnął do samolotu. Zajechał radiowóz, z którego wyskoczyło dwóch policjantów w jaskrawoniebieskich mundurach. Jeden z nich wzywał karetkę pogotowia przez krótkofalówkę. Pojawił się zdyszany kontroler lotów, który wymachiwał rękami i kłął, na czym świat stoi. Ale

Herbert słyszał tylko cichnący syk silników. Wpatrywał się w otwarte drzwi odrzutowca.

Wreszcie z kłębow dymu wyłonił się Leyland. Był sam. Schodził po schodkach tyłem, patrząc do wnętrza.

Zdenerwowany Herbert krzyknął do niego:

-Paul! Co się stało?!

Zanim Leyland zdołał odpowiedzieć, z potężnej chmury dymu wynurzyła się Monica Loh. Prowadziła Jervisa Darlinga, a raczej pomagała mu iść, z zarzuconą ręką na szyi. Głowa miliardera kołysała się bezwładnie. Loh sprowadzała półprzytomnego Darlinga po schodkach, a Leyland asekurował ich z przodu.

Kiedy zeszli na płytę, Leyland i jeden z policjantów odebrali Darlinga z rąk major Loh i położyli go na tylnym siedzeniu radiowożu.

Herbert podjechał do Moniki. Przesunął się na jedną stronę i zaproponował jej miejsce obok siebie. Odmówiła. Twarz miała zlaną potem. Wydawało się za to, że jej ciemne oczy świecą jeszcze bardziej intensywnym blaskiem. Kiedy na miejsce dotarł Jelbart, Loh popatrzyła na rozerwane silniki samolotu, a potem na Herberta.

-

Bardzo sprytny plan awaryjny - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

-

Plan awaryjny?! - zdziwił się Herbert. - Co to ma znaczyć?

-

W końcu udało mi się otworzyć te drzwi - odparła z ledwo dostrzegalnym cieniem uśmiechu na twarzy. - Jervis Darling i tak nie zdołałby wystartować.

Herbert uwielbiał tę kobietę. Po prostu ją ubóstwiał.

ROZDZIAŁ 76

Waszyngton, Sobota, 16.00

- Trudno powiedzieć, co bardziej ucierpiało - powiedział Lowell Coffey przez telefon do Paula Hooda. - Learjet Jervisa Darlinga czy australijska ustawa o przestępstwach i wykroczeniach.

-

Czy bardzo źle to wygląda? - spytał Hood.

-

Dla nas? Właściwie to całkiem korzystnie - odparł Coffey. - Wziąłem samochód Leylanda i dopiero co przyjechałem na lotnisko, więc wciąż uzupełniam zaległości. Przede wszystkim komisja do spraw przestępstw i wykroczeń stanu Queensland przejęła sprawę z rąk miejscowej policji.

Na miejsce ma przylecieć zastępca komisarza w celu poprowadzenia śledztwa.

-

Czy to z powodu Darlinga?

-

Częściowo tak, ale głównie ze względu na charakter zarzutów. Jelbart przekazał je przez telefon. Zniszczenie odrzutowca i atak na lotnisko zostały potraktowane jako pojedyncza akcja i zaliczone na konta miejscowej drużyny straży pożarnej, Centrum, marynarki wojennej Republiki Singapuru oraz ośrodka wywiadu morskiego.

-Dobry Boże...

-

Należy jednak dodać, że wymienienie wszystkich uczestników jest dla nas korzystne - zapewnił Coffey. - Dodaje wagi naszemu wspólnemu twierdzeniu, które będziemy starali się przeforsować, że zatrzymanie odrzutowca miało głębokie uzasadnienie. Kolejnym pozytywnym sygnałem jest fakt, że komisja określiła swoje działania jako śledztwo „reaktywne”. To wyszukane określenie oznacza po prostu, że dochodzenie pro

wadzone jest „po fakcie”. Dzięki temu łatwiej będzie dowieść, że mieliśmy poważne przyczyny, aby zrobić to, co zrobiliśmy. Może to nie jest idealny przykład, ale to trochę tak, jakby próbować zatrzymać faceta, który wchodzi do banku z bronią w ręku i w masce na twarzy. Zatrzymanie go samo w sobie nie stanowi jeszcze przestępstwa. Można mówić raczej o wykroczeniu.

-

Rozumiem - odrzekł Hood.

-

Najlepszą wiadomością jest jednak częściowa odpowiedzialność ze strony samej komisji, która dopuściła do przewozu niebezpiecznych materiałów przez własny rejon działania. Zgodnie z meldunkiem chorążego Jelbarta, wdrożono procedurę zwaną „czynnym” dochodzeniem w sprawie działalności przemytników.

-

A o co w tym wszystkim naprawdę chodzi? - spytał Hood.

-

W praktyce oznacza to, że Hawke zostanie zatrzymany, jeżeli tylko Jelbart wyrazi takie życzenie - wyjaśnił Coffey. - Na razie i tak trzymają go w szpitalu. Uderzył się w głowę podczas lotu do Cairns. Zdaje się, że jako jedyny nie miał zapiętych pasów, kiedy śmigłowiec gwałtownie skręcił i zanurkował.

Rozmawiali przez zwykłą linię, dlatego Hood nie powiedział, co właśnie przyszło mu do głowy. Właściwie to nie musiał nic mówić. Był przekonany, że identyczne myśli pojawiły się w głowie Coffeya.

-

A co z Darlingiem?

-

Postawili mu zarzut czynnej napaści, ale na razie także zabrali go do szpitala, żeby się upewnić, czy wszystko z nim w porządku. Nałykał się sporo dymu i trochę go przymuliło.

-

Czy dobrze pilnują Hawke'a i Darlinga?

-

Na razie zajęła się tym miejscowa policja, ale Jelbart wezwał już swoich ludzi. Powinni wkrótce tu wylądować.

-

O szóstej rano? - zdziwił się Hood. - Twoi nowi koledzy nie marnują czasu.

-

Faktycznie, nie marnują- przyznał Coffey. - Wszystkie służby, od straży pożarnej do policji, wykazały się wyjątkową skutecznością.

Hood dobrze wiedział, dlaczego tak było. Australia otoczona jest państwami, których siłę napędową gospodarki stanowi czarny rynek. Tymczasem kontynent ten ma ze wszystkich stron otwartą linię brzegową. Gdyby służby nie były utrzymywane w gotowości niemal bojowej, wkrótce w Australii pojawiłaby się korupcja.

-

Szczerze mówiąc, wszyscy tutaj uważają, że Hawke wykręci się jakoś i dostanie minimalną karę więzienia - ciągnął Coffey.

-

Wcale mnie to nie dziwi - zgodził się Hood.

-

Weźmie na siebie główny impet upadku Darlinga w zamian za obietnicę szybkiego zwolnienia warunkowego. Wytaczanie pokazowego procesu Darlingowi do niczego nie doprowadzi. Może zakończyć się cyrkiem, który zaszkodzi gospodarce i odwróci uwagę od głównej sprawy,

jaką jest zniszczenie siatki przemytników i odnalezienie substancji promieniotwórczych. Jervis Darling i tak jest praktycznie skończony. Zostanie dyskretnie zmuszony do rezygnacji z zarządów swoich firm. Założone przez niego fundacje zostaną prześwietlone pod kątem prania brudnych pieniędzy zarobionych na dostawach uranu, a on sam być może spędzi pewien czas za kratkami. Potem wyjdzie na wolność i pewnie osiadzie na jednej ze swoich wysp.

-

Z córką albo bez niej - powiedział Hood.

-

To już nie zależy od sądu - stwierdził Coffey. - Ale Darling będzie chciał

zapewnić jej jak najlepsze wykształcenie. A to oznacza szkołę z internatem w Australii lub w Europie. Nie pobędą razem zbyt długo.

-

Matka nie żyje, ojciec aresztowany - powiedział Hood. - Czy dziewczynka była świadkiem wydarzeń na lotnisku?

-

Nie sądzę - odrzekł Coffey. - Ale na pewno musiała słyszeć eksplozje silników i wycie policyjnych

syren. Wie, że samolot nie wystartował.

-

Zastanawiam się, jak ona to znosi.

-

Widziałem ją w budynku terminalu, kiedy tu dotarłem. Siedziała z kobietą, która jest drugim pilotem Darlinga, oraz z jego kierowcą. Coś do niej mówili. Mała wyglądała na przerażoną.

-

Chciałbym jej jakoś pomóc - powiedział Hood. Pomyślał o swojej córce, Harleigh, która mieszkała bez niego. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ten człowiek naraził własne dziecko na tego rodzaju przeżycia.

Prawdopodobnie wcześniej odebrał jej matkę, pomyślał Hood. Trudno więc stosować w tym przypadku zwykłą miarę. Dobrze przynajmniej, że Jervis Darling nigdy nie odbierze rodziców żadnemu innemu dziecku.

-

Jestem pewien, że wkrótce panna Darling znajdzie się pod fachową opieką -

uspokoił go Coffey. - Osoby, które przy niej widziałem, wyglądały na bardzo troskliwe. Z drugiej strony trudno nie zadać sobie pytania, czy wszyscy ci ludzie byli Darlingowi wierni z sympatii, czy też ze strachu.

-

Jestem pewien, że z obu tych powodów - powiedział Hood. - Ale największy wpływ miała zapewne „przepustka do wszystkiego”.

-

Jaka przepustka? - Coffey zdziwił się.

-

Znam ten termin z czasów, kiedy byłem burmistrzem - zaczął Hood. - Ludzie z otoczenia kogoś bardzo ważnego i wpływowego nie mają problemu z wejściem do luksusowej restauracji, klubu, najpopularniejszych atrakcji w parku rozrywki.

Nie muszą zawczasu kupować biletów, nie

mają do czynienia z biurokracją lub kiepską obsługą. Jeśli wpadną w kłopoty, wystarczy wymienić

nazwisko lub wykonać jeden telefon, a sprawa zostanie rozwiązana. Jestem pewien, że ty także miałeś do czynienia z czymś podobnym w kancelarii swego ojca.

-

Owszem, tylko że w Beverly Hills to się nazywało włożeniem w dupę i nikt tego nie lubił - odparł Coffey.

-

Miałeś zatem szczęście. Byłeś bogaty i mogłeś dokonać wyboru - powiedział

Hood. - A wielu ludzi nie ma żadnego wyboru. Dla nich bycie służalcem u Jervisa Darlinga lub burmistrza Hooda jest jak konsolidacja długów: upokorzenie może ich spotkać tylko z jednej, a nie ze wszystkich stron.

-

Zdaje się, że Herbert i Loh kończą już naradę wojenną- oznajmił Coffey. -

Chyba będę musiał do nich dołączyć. Powiedz mi coś. Czy lubiłeś, jak ludzie starali ci się podlizywać?

-

Nienawidziłem - przyznał Hood. - Starłem się odwozić ich od tego, ale bez skutku. To jedna z przyczyn, dlaczego jestem tutaj, a nie tam.

-

Zobaczymy, kto pozostanie teraz przy Darlingu - rzucił na koniec Coffey. -

Jak mawiał amerykański filozof, Hoffer: przegrany jest jak obcy w swoim własnym domu. Znikam.

Hood rozłączył się. Popatrzył na telefon.

To było okrutne, a zarazem prawdziwe, pomyślał. Już sama porażka bywa wystarczająco bolesna. A tu jeszcze na dodatek trzeba sobie z nią radzić w pojedynkę. Trudno darzyć Jervisa Darlinga choćby odrobiną sympatii. Tymczasem Hood, zamiast rozkoszować się zakończeniem kolejnej udanej akcji, głęboko przejął się zjawiskiem porażki. Był bardzo zaniepokojony losem Jessiki-Ann Darling, na którą spadnie teraz tyle smutku. Myślał także o swoich błędach popełnionych w stosunku do własnej rodziny. Zastanawiał się, czy dręczące go uczucie niedoskonałości kiedykolwiek przeminie.

A może nie powinno przeminąć. Może to właśnie ono powstrzymuje człowieka przed popełnianiem od nowa tych samych błędów?

Hood podniósł słuchawkę. Tylko jednej, jedynej rzeczy, mógł być pewien. Od dupy wylizanej znacznie gorsza była dupa skopana. Przez samego siebie. Nie podobało mu się ani jedno, ani drugie rozwiązanie.

Musiał zapomnieć o przeszłości.

Musiał zatelefonować do Daphne Connors.

Natychmiast.

ROZDZIAŁ 77

Cairns, Australia, Niedziela, 7.10

John Hawke i Jervis Darling zostali umieszczeni w areszcie w oddzielnych celach.

Śmigłowiec pozostał w Cairns nieco dłużej, bo pilot chciał upewnić się, że płoza podwozia nie została uszkodzona.

Oględziny wypadły pomyślnie.

-

Metal jest jednak bardziej wytrzymały niż szkło - oświadczył dumnie Herbertowi, gdy wszystko dokładnie sprawdził.

Leyland i Pająk pożegnali się z resztą ekipy. Obaj zasłużyli sobie na uznanie i wdzięczność Herberta.

Leyland machnął ręką w geście protestu, gdy usłyszał, że on i Pająk wykazali się bohaterstwem.

-

To wy powiedzieliście nam, gdzie jechać i co robić.

-

Bzdura, my tylko daliśmy sygnał do ataku.

-

Pomysł z węzem był wasz - dokończył Leyland. - A to się naprawdę liczy.

-

Ale to wy ścigaliście odrzutowiec - powiedział Herbert. - To wymaga odwagi. Dzięki wam Darling nie zwał. Według moich standardów to jest bohaterstwo.

Leyland wzruszył ramionami.

-

Chyba nie mieliśmy wyboru, prawda?

-

Ależ oczywiście, że mieliście - powiedział Jelbart.

-

Czyżby? Sądzi pan, że Darling uwierzyłby nam, gdybyśmy powiedzieli, że chcemy wyciągnąć koalę z silnika?

Herbert roześmiał się. Znał Leylanda krótko, a już czuł, że będzie mu go brakowało. Zastanawiał się, czy nie wpaść do niego, kiedy będzie jechał w odwiedzinę do Loh. Bo to miał zamiar zrobić na sto procent.

-

Chciałbym pana jeszcze o coś spytać, Paul - powiedział.

-

Proszę bardzo.

-

Dlaczego to właśnie u pana służy jedyna kobieta-strażak w całym okręgu?

Coffey przewrócił oczami. Leyland uśmiechnął się.

-

Prawda jest taka, że w całym okręgu ona jest najlepszym strażakiem.

Herbert skrzywił się, a Coffey zaśmiał.

-

No widzisz? Nie każdy ma takie kosmate myśli jak ty - powiedział.

Ale Leyland nachylił się do Coffeya i dodał:

-

Szczerze mówiąc, lubię patrzeć, jak strażak Eva wchodzi na drabinę.

Teraz Herbert się roześmiał.

-

A to lowelas! - rzekł do Coffeya, który kiwnął twierdząco głową.

Kiedy pilot powiedział, że śmigłowiec jest gotowy do startu, Lowell Coffey wszedł do środka i usiadł tam, gdzie przedtem Hawke. Lot powrotny był

spokojny i przebiegał w milczeniu. Wszyscy byli zmęczeni. I trochę rozczarowani.

Herbert widział to w ich twarzach. A przecież zakończenia nie można było nazwać pyrrusowym zwycięstwem. „Dobrzy”,

jak Herbert nazwał ich zespół w rozmowie z Loh, nie ponieśli żadnych fizycznych strat. Pozostał jednak pewien niepokój. Związki wielkiego biznesu z polityką od dawna były bardzo bliskie. Ścieżki biznesu i świata przestępczego krzyżowały się regularnie tam, gdzie prano brudne pieniądze, wykradano informacje i prowadzono inną podobną działalność. Wielki biznes nierzadko rozpętywał wojny, by poprawić koniunkturę i zwielokrotnić zyski. Jednak po raz pierwszy w historii, o ile orientował się Herbert, niewielka grupka biznesmenów postanowiła wykorzystać substancje promieniotwórcze, by zmienić światową równowagę sił. Pomysł był

równie obrzydliwy, co niepokojący. Nie dowiedzą się nigdy, czy zdemaskowali wszystkich uczestników tej intrygi, czy udało się odzyskać wszystkie granulki uranu bądź innej przemycanej substancji.

-

Bob, mam do pana jedno pytanie - powiedziała Loh.

-

Proszę się nie krępować - odrzekł Herbert.

-

Czy pan naprawdę zamierzał puścić Hawke'a wolno?

-

Chodzi pani o to, co mówiłem w drodze do Cairns, nakłaniając drania, by sypnął swego szefa?

-

Właśnie - potwierdziła Loh.

Herbert zarechotał. Była to odpowiedź może niezbyt zgrabnie wyartykułowana, za to precyzyjna.

-

Teraz ja chciałem dowiedzieć się czegoś od pani - wtrącił się Jelbart. -

Staram się być na bieżąco, jeśli chodzi o prawo obowiązujące w tym rejonie świata, jednak nie przypominam sobie singapurskiego rozporządzenia z dwutysięcznego drugiego roku dotyczącego zagrożenia atakiem jądrowym. Czy coś takiego w ogóle istnieje?

Po raz pierwszy od chwili poznania Herbert ujrzał śmiejącą się major Loh. Nie przypominało to co prawda jego rechotu, ale może to lepiej, że Monica nie była aż tak cyniczna jak on.

-

Tak podejrzewałem - powiedział Jelbart. - Świetnie to pani rozegrała.

-

To teraz ja zapytam was oboje - oświadczył Herbert. - Jak sądzicie, co Darling miał zamiar na koniec zrobić?

-

Pyta pan o to, czy chciał odlecieć, czy odebrać sobie życie? - upewnił się Jelbart.

Herbert przytaknął.

-

Też się nad tym zastanawiałem. Kazał zabrać córkę z samolotu, co mogłoby sugerować, że liczył się ze śmiercią.

-

A może po prostu chronił ją przed niebezpieczeństwem - stwierdził Coffey.

- Przecież mógł ją później do siebie sprowadzić. Chciał wydostać się z kraju i rozpętać batalię prawną. Pewnie teraz też tego spróbuje. A w ogóle, to ta sprawa pachnie ugodą.

-

Tak pan myśli? - spytał Jelbart.

Coffey kiwnął głową.

-

Nie jesteśmy w stanie udowodnić wszystkich naszych podejrzeń, a Darling nie da rady wymigać się od wszystkich zarzutów. To musi doprowadzić do kompromisu. Poza tym, wszyscy będą chcieli, żeby sprawa została jak najszybciej zakończona. Darling, bo wówczas poniesie mniejsze straty. Rząd, bo istnieje realne ryzyko sprowadzenia Darlinga i Jessiki-Ann do roli ofiar.

-

Nie wolno też zapominać o tym, że taki proces kosztowałby kupę szmalu - wtrącił Jelbart.

Coffey popatrzył na Herberta.

-

Co ty o tym myślisz?

-

W kwestii samobójczych zamiarów Darlinga? - spytał Herbert i pokręcił

głową. - Myślę, że gdyby pozbawiono go finansowego pancerza, okazałby się zwykłym tchórzem. A tchórze nie odbierają sobie życia.

-

O, nieprawda! - zaprotestowała Loh. - Uważam, że przyczyną większości samobójstw jest strach przed zmierzeniem się z losem.

-

Nie sądzę, aby statystyki to potwierdzały - stwierdził Herbert.

-

Tego akurat nie wiem - przyznała Loh.

-

Wsadzenie sobie lufy do ust to nie jest coś dla lękliwych.

-

Życie nie jest dla lękliwych - odparła Loh. - Zaś rezygnacja z życia to, moim zdaniem, szczyt tchórzostwa.

-

Sądzę, że oboje się mylicie - wtrącił Coffey. - Studiując prawo, dowiedziałem się, że większość zbrodni w afekcie od momentu decyzji do realizacji dzieli mniej niż pięć minut. Dotyczy to także samobójstw. Nie uważam, aby umysł czy twardy charakter miały tu coś do powiedzenia.

Samobójstwo to najczęściej akt rozpacz.

-

A także niezbyt przyjemny temat do dyskusji - dodał Jelbart.

W kabinie znów zapadła cisza. Herbert i Loh wzajemnie mierzyli się wzrokiem.

Podobnie jak Herbert, pani major była osobą, która nie znosi bezczynności.

Umiała walczyć, zadawać pytania, dyskutować, a na dodatek była bardzo ładna.

Herbert przez chwilę szukał odpowiedzi na pytanie, czy ta kobieta ma jakieś wady.

No jasne, pomyślał. Mieszka w Singapurze.

Był też ciekawy, co ona o nim sądzi. Zastanawiał się, czy to dobrze dla niego, że chce o tym wiedzieć.

Przed samym lądowaniem do Jelbarta zadzwonił Brian Ellsworth. Wieści na temat wydarzeń w Cairns przemieszczały się z miejsca na miejsce dużo szybciej niż bell 204. Przedstawiciele międzynarodowych środków masowego przekazu czekali na nich na lądowisku. Podobnie jak

sam Ellsworth, który powitał ich przy samym śmigłowcu. Policja trzymała dziennikarzy z daleka. Ellsworth pogratulował im skuteczności oraz przestrzegł

przed odpowiadaniem na pytania, zadawane przez prasę.

-

Bez względu na to, co powiecie, zostanie to przekazane i zniekształcone, zarówno na korzyść, jak i na niekorzyść Darlinga - powiedział Ellsworth. - Takie zamieszanie może mu tylko pomóc.

-

Nazywa się to uprzedzaniem wyroku sądu - powiedział Coffey. - Stwarzaniem wrażenia, że władze już osądziły Darlinga.

-

W rzeczy samej. Muszę zadać wam jedno pytanie - rzekł Ellsworth, wyjmując z kieszeni telefon

komórkowy. - Premier czeka na informacje o zaginionym ładunku. Chce wiedzieć, jakie są szanse odzyskania tych substancji.

-

To zależy - powiedział Herbert. - Najpierw musimy znaleźć ludzi, którzy rozprowadzali towar. Potem trzeba będzie zmusić ich do mówienia.

-

Musimy też mieć nadzieję, że substancje nie zostały już przekazane dalej -

dodał Jelbart.

-

Tym bym się nie przejmował - zauważył Herbert. - Ci ludzie działają podobnie jak złodzieje diamentów i dzieł sztuki. Chwilowo w okolicy zrobiło się zbyt gorąco, żeby ryzykować dalszy przerzut. Mamy tydzień lub dwa na ustalenie tożsamości przestępców. Wszystko zależy od tego, jak wam pójdzie z Darlingiem, Hawkiem i innymi członkami załogi.

-

Być może trzeba będzie się z nimi dogadywać, co zapewne nie będzie ci się podobać - powiedział Coffey.

-

Jedyne, co należy z nimi zrobić, to powiesić za nogi nad dołem z grzechotnikami - oświadczył Herbert.

-

Panie Coffey, niewątpliwie czekają nas różne korowody z prawnikami Darlinga - powiedział Ellsworth. - Właściwie to przysparza mi to prawie tyle samo zmartwień co pogoń za przemytnikami.

Herbert dobrze go rozumiał. Powstrzymał się, by nie rzucić Coffeyowi złośliwego spojrzenia. Odkąd pewien prawnik pomógł wyjść na wolność jednemu z ludzi, odpowiedzialnych za wysadzenie w powietrze ambasady w Bejrucie, Herbert kochał

adwokatów prawie tak samo jak terrorystów.

-

Jak się trochę postaramy, to uda się nam znaleźć te radioaktywne materiały

- oznajmiła Loh.

-

Skąd ta pewność? - spytał Ellsworth.

-

Czy grał pan kiedyś w siatkówkę, panie Ellsworth? - spytała.

-

W szkole. Ale co to ma do rzeczy?

-

Podczas tej gry są momenty, kiedy wypracowuje się pozycję, oraz takie, kiedy się ścina. Teraz właśnie jest czas na atak. Należy pójść świeżym tropem, dopóki jeszcze istnieje.

-

Czyli?

-

Proszę przydzielić do mojej dyspozycji jednego z uratowanych marynarzy -

powiedziała Loh. - Wszystko jedno którego, choć lepiej, gdy by był to jakiś gość mniej zahartowany w bojach. Obiecuję, że znajdziemy trop i skradzione substancje. Może nawet nie trzeba będzie zabierać go do Singapuru. Sama perspektywa znalezienia się w tamtym miejscu powinna otworzyć mu usta.

Ellsworth namyślał się przez chwilę.

-

Pani major, marynarze z jachtu są teraz na pani patrolowcu. Sama może pani zdecydować, którzy z nich faktycznie strzelali do ludzi na sampanie. To uwiarygodni Singapur jako miejsce, gdzie mogą zostać aresztowani i postawieni przed sądem.

-

Dziękuję panu, panie Ellsworth - powiedziała Loh. - Zaraz przekażę wiadomość oficerowi wachtowemu.

Ellsworth odwrócił się plecami do dziennikarzy i zadzwonił do premiera. Loh wsiadła do jednej z limuzyn, aby skorzystać z zainstalowanego w niej telefonu. A Herbert skorzystał z sytuacji. Chciał porozmawiać przez chwilę z pilotem śmigłowca. Podjechał wózkiem pod kabinę. Pilot zeskokczył na ziemię. Wyraźnie ucieszył się na widok Herberta.

-

Chciałem panu podziękować za pomoc - powiedział Herbert, wyciągając dłoń.

-

To ja dziękuję panu za przygodę, sir - odparł pilot.

-

Widzi pan, trochę mi głupio, bo nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

Twarz pilota rozciągnęła się w uśmiechu, który trwał dobrą chwilę, wzbudzając zainteresowanie Herberta.

-

Czyżby coś umknęło mojej uwadze? - spytał Herbert.

-

Ależ nie, sir - zaprzeczył pilot. - Tylko że ja się nazywam Bob Herbert.

Na twarzy szefa wywiadu pojawił się grymas, udający uśmiech.

-

Żarty pan sobie stroi.

-

Przysięgam na biskupa Barkera. Tyle że w mojej rodzinie nazwisko wymawia się „Erbert” - powiedział pilot. - Niewykluczone, że teraz to się zmieni - dodał, salutując Herbertowi. - To naprawdę wielki dla mnie zaszczyt nazywać się tak jak pan, sir.

Herbert również zsalutował i z niedowierzaniem pokręcił głową. Potem wrócił do reszty zespołu.

Cywilizacja mogła być zagrożona. Szczury w rodzaju Darlinga mogły starać się przekształcić świat w piekło. Jednak po tej wymianie zdań Herbert poczuł, że jest w stanie poradzić sobie z każdym problemem. Ludzie tacy jak pilot Bob Herbert dodawali mu sił i chęci do dalszej walki. To dzięki nim nie tracił nadziei.

Ta wojna nie jest jeszcze przegrana, pomyślał, kierując się w stronę czekającej limuzyny.

Herberta wraz z całą ekipą zawieziono do biura Jelbarta, gdzie czekało jeszcze więcej dziennikarzy. Trzy limuzyny wjechały do podziemnego garażu. Winda towarowa zawiozła ich na piętro, na którym urzędował Jelbart. Loh miała przez chwilę wrażenie, że znalazła się na lotniskowcu. Czowała się swobodnie i pewnie.

To było przyjemne uczucie. Herbert okazał się wyjątkowo energicznym człowiekiem.

Objął dowództwo nad całą operacją i nie oddał go do końca. Początkowo Loh uznała, że ma do czynienia z tą samą męską arogancją, z którą wciąż spotykała się wśród personelu wojskowego i pracowników służb wywiadowczych. Potem odkryła, że silny charakter i wysoki poziom testosteronu nie mają z tym nic wspólnego.

Herbert objął dowództwo tylko z jednego powodu.

Wiedział, co robić.

Było w tym coś fascynującego. Już tylko z tego powodu Loh żałowała, że wspólna akcja tak szybko dobiegła końca.

Po przybyciu do biura Jelbarta skontaktowała się z patrolowcem. Okręt wciąż pozostawał na miejscu zatonięcia jachtu. Porucznik Kumar powiedział, że wolałby nie dopuścić do tego, by jacht porwały prądy, a ślady zatarła słona woda.

Ponadto wykazał się inicjatywą i przesłuchał rozbitków. Wyglądało na to, że Marcus Darling, postraszony Singapurem, prawdopodobnie ujawni wszystko, co wie na temat zajścia na jachcie. Ponadto wciąż opowiada o udziale swego stryja w tym przedsięwzięciu. Słuchając Kumara, Loh pomyślała, że Coffey jednak mógł się mylić. Nic nie wskazywało na to, by Jervis Darling zdołał uniknąć zasłużonej kary.

Loh poinformowała Kumara, że dołączy do niego następnego ranka. Jelbart chciał

jeszcze raz znaleźć się w miejscu zatonięcia jachtu, tym razem na pokładzie swojego okrętu, i obiecał, że ją zabierze. Wy płyną z portu za dwie godziny. Loh miała zamiar trochę odpocząć podczas rejsu. Miała jeszcze coś do zrobienia przed wyjazdem. Weszła do biura Jelbarta, aby to załatwić, a potem pomaszerowała do windy.

Herbert i Coffey rozmawiali ze swymi przełożonymi w Waszyngtonie. Loh przeszła obok sali konferencyjnej, w której się znajdowali. Herbert zobaczył ją, przeprosił na moment rozmówców i po krótkiej chwili znalazł się już u jej boku.

-

Tak. O dziesiątej - odparła i nacisnęła przycisk windy.

-

Jelbart zamówił kawę i pączki. Może się pani skusi?

-

Muszę jeszcze coś załatwić - powiedziała.

-

Sama?

Popatrzyła na niego.

-

Tak będzie lepiej.

-

No, cóż.

-

Zastanawiam się nad czymś. - Zmieniła ton. - Za dwa miesiące będę miała trzy tygodnie wolnego. Nigdy nie byłam w Ameryce. Tak sobie myślę, czy nie przylecieć do Waszyngtonu.

-

To doskonały pomysł. - Herbert rozpromienił się. - Z ogromną przyjemnością pokażę pani miasto.

-

Chętnie skorzystam z pańskiej uprzejmości. - Odwzajemniła uśmiech.

-

Tylko niech się pani trzyma z daleka od zastępcy dyrektora, Mike'a Rodgersa - ostrzegł ją Herbert. - Zaraz wysłałby panią na akcję.

Zmarszczyła brwi.

-

Nie bardzo rozumiem.

-

Zrozumie pani na miejscu - zapewnił. - Przedstawię pani Marię Corneję. Ona wszystko pani wyjaśni.

Brzmiało to bardzo tajemniczo, ale Loh podobał się pomysł wyruszenia w świat.

Było jej też miło, kiedy zauważyła, że Bob Herbert szczerze się ucieszył na jej plany. Trochę ją to zaskoczyło. Nie wyglądał na człowieka, który ceni rozkosze leniuchowania.

A ja z kolei nie udzielałam się towarzysko, pomyślała. Może rzecz polega na tym, by znaleźć odpowiednią osobę.

Na pożegnanie wymienili uścisk rąk. Herbert długo nie puszczał jej dłoni, którą ukrył w swoich. Miał mocne ręce, i zarazem delikatne. Sprawiało jej to przyjemność, choć poczuła zniecierpliwienie. Wiedziała, że musi się śpieszyć.

Uśmiechnęła się ciepło, odwróciła i zaczęła iść.

-

Monica! - zawołał za nią Herbert.

Zatrzymała się.

- Tak?

-

Dziękuję za wszystko - powiedział. - Nie chodzi mi tylko o akcję.

-

Bardzo proszę.

-

Życzę powodzenia, cokolwiek zamierzasz zrobić.

-

Dziękuję - odrzekła.

Singapurski patrolowiec nie dysponował pełnym zestawem wyposażenia ratowniczego.

Ale miał przynajmniej pneumatyczne komory wypornościowe. Gdyby okręt został

mocno uszkodzony, komory utrzymałyby go na powierzchni. Nurkowie zeszli pod wodę jeszcze przed świtem i rozmieścili komory w rufowej części „Hosanny”. Akcja była utrudniona z powodu ciemności. Porucznik Kumar wolał jednak nie dopuścić, by jacht osiadł głębiej. Kompresor po kolei napełniał komory powietrzem. Gdy stanęła szósta, rufa „Hosanny” przebiła taflę morza.

Wraz z jachtem na powierzchni pojawiło się coś, czego nikt się już nie spodziewał. Było to ciało.

Nurkowie wyłowili zwłoki. Kumar przeszedł do kabiny, w której trzymano uratowanych marynarzy. Poprosił Marcusa Darlinga, aby zidentyfikował ciało, znajdujące się w izbie chorych.

Marcus zbladł, gdy ujrzał leżące na wózku zwłoki.

-

Kto to jest? - spytał Kumar.

-

Kapitan Kannaday - powiedział cicho Marcus.

-

Czy należał do układu?

-

Początkowo tak. Ale potem... coś się stało.

-

Co takiego?

-

Zmienił się. Przeciwstawił się Hawke'owi.

-

Rozumiem. - Kumar skinął na sanitariusza, który w chwilę potem podał mu coś zawiniętego w biały ręcznik. Porucznik odwinął go i pokazał

przedmiot Marcusowi.

-

Znaleźliśmy to zaplątane w liny. Czy to własność Kannadaya?

-

Nie - odpowiedział Marcus. - To broń Hawke'a.

-

Cóż to takiego?

-

Womera. Służy do miotania grotów.

-

To by wyjaśniało pochodzenie ran na jego ciele - wtrącił się sanitariusz.

- Panie Darling, czy na pokładzie doszło to walki?

-

Nie wiem - odparł Marcus. - Byłem wówczas razem z innymi w wodzie.

Kumar zakrył womerę i odłożył na wózek.

-

Zdaje się, że pan Hawke zapracował sobie na kolejny zarzut, tym razem o morderstwo.

Marcus zachichotał.

-

Zabawne. Hawke był zawsze taki ostrożny. Oni wszyscy byli ostrożni.

-

Wystarczy, że jednego ruszy sumienie, żeby wszystko wzięło w łeb.

Zawiedzie wówczas każdy, nawet najbardziej przemyślany plan - obwieścił Kumar.

-

A to się poszczęściło kapitanowi - stwierdził Marcus. - Chciał być bogaty, a jest martwy.

Kumar spojrział z pogardą na stojącego obok mężczyznę.

-

Bez wątpienia mu się poszczęściło. Buddyzm naucza, że czasem cenniejsza jest chwila, dobra chwila, niż długie życie w nieprawości. Czas i przestrzeń są pełne dobrych wibracji.

-

Dziękuję za lekcję - powiedział Marcus.

-

Właściwie, panie Darling, to była rada.

-

Czyżby?

-

Owszem. Mamy podstawy przypuszczać, że był pan jednym z ludzi, którzy ostrzelali załogę sampana - oznajmił Kumar.

-

Co takiego? Ja nawet nie umiem strzelać!

-

Opowie pan o tym śledczemu z Changi, singapurskiego więzienia o zaostrozonym rygorze.

-

Changi? Przecież nie zakujecie mnie w dyby?! - Marcus przestraszył się.

-

Konsultowałem się ze swoim przełożonym, który jest w kontakcie z przedstawicielami pańskiego rządu. Uznali oni, że mamy prawo ustalić, czy popełnił pan przestępstwo.

-

To nie tak! - krzyknął Marcus. - Żądam adwokata!

-

Zostanie panu przyznany, choć może upłynąć kilka dni, zanim go pan zobaczy

- stwierdził Kumar. - Sądy w Singapurze są bardzo zapracowane.

-

Chodzi mi o jednego z adwokatów stryja!

-

O ile mi wiadomo, wszyscy oni będą bardzo zajęci - powiedział Kumar z udaną troską. - Mogę jednak zaproponować pewien kompromis.

Marcus spytał, co porucznik ma na myśli.

-

Proszę nam powiedzieć, dla kogo pracował kapitan jachtu. Jeśli pan to zrobi, odstawimy pana do Cairns - obiecał Kumar.

-

Sądziłem, że chodzi o strzelanie do sampana - przypomniał Marcus.

-

O to także.

-

Ty wściekły sukinsynu!

-

Tylko nie wściekły - mruknął Kumar. - Przynajmniej na razie.

Marcus piekł się jeszcze przez chwilę po czym stwierdził, że musi się zastanowić. Jednak już w drodze powrotnej do kabiny zgodził się współpracować z Kumarem. Porucznik skontaktował się z Loh i oznajmił, że jego pogawędka z Marcusem Darlingiem przyniosła pożądane efekty.

Młody człowiek był skłonny do współpracy. Kumar powiedział też Loh, że znaleźli prawdziwego Petera Kannadaya.

W izbie chorych sanitariusz oczyścił zwłoki z wodorostów. Usuwał je delikatnie, posługując się długą pęsetą i wacikami. Potem przykrył ciało czystym prześcieradłem. To wszystko, co mógł zrobić. Nie wolno go było dotykać aż do sekcji, która miała być przeprowadzona na lądzie. Zgasił światło i

zamknął

drzwi. Miał za sobą długą noc. Musiał teraz odpocząć.

Kapitan Peter Kannaday został zupełnie sam. Wciąż znajdował się na morzu, które było jego żywiołem.

I osiągnął wreszcie to, o czym ostatnio marzył.

Ukojenie.

ROZDZIAŁ 80

Darwin, Australia, Niedziela, 7.46

Lee Tong nigdy nie poczuł się źle ani nie stracił orientacji na morzu. Nawet podczas pierwszego rejsu na starym drewnowcu. Teraz znajdował się na lądzie i każdy ruch przyprawiał go o mdłości. Jedyne, na co mógł sobie pozwolić, to miarowy, krótki oddech. Dziwiło go to, bo zarazem odczuwał głód. Młody mężczyzna nie mógł sobie przypomnieć, kiedy jadł ostatni posiłek.

Właściwie Tong pamiętał niewiele. Tylko to, że zbliżali się do jachtu, i że został postrzelony. Potem nastąpiła eksplozja, po której nie pamiętał już nic.

Zdaje się, że teraz znajdował się w szpitalu. Widział białe-żółte ściany i jakiś wielki parawan. Nieznani ludzie wchodzili i wychodzili, ale on nie wiedział, kim są, ani co mówią. Właściwie prawie się nie przyglądał i prawie nie słuchał.

Wolał leżeć w chłodnym łóżku i co chwilę zapadać w drzemkę. W półśnie przypominał sobie czasy swej młodości, o których teraz mógł tylko marzyć. Jego przyszłość nigdy nie wyglądała zbyt różowo. Jednak w czasach, gdy pływał po oceanie z ojcem, przynajmniej miał jakąś nadzieję. Miło było wspominać, trudniej było żyć wśród niepowodzeń. W chwilach, kiedy się budził, desperacko pragnął, by tamte czasy wróciły. Chciał zacząć wszystko od początku. Ale rzeczywistość wypierała marzenia. On był tutaj, a nadzieja gdzieś daleko, nieuchwytna. Ludzie nie dostają drugiej szansy.

- Lee Tong.

Mężczyźnie wydało się, że ktoś zwrócił się do niego po imieniu. Głos był

stłumiony, ale brzmiał inaczej niż głosy w jego snach. Ktoś stojący w nogach łóżka patrzył na niego. Była to kobieta. Miała ciemniejszą twarz od innych, ale także nosiła maskę i fartuch. Przez jego ledwo rozwarte powieki wyglądała jak zjawą, spowita lekką poświatą.

-

Słyszysz mnie? - spytała.

Mówiła po malajsku. To było cudowne. Kiwnął głową tylko raz. Starał się jak najmniej poruszać, by nie wywołać jeszcze większych mdłości.

-

W porządku - odrzekła kobieta. - Jestem major Monica Loh z Singapurskiej Marynarki Wojennej. Cierpi pan na chorobę popromienną. Promieniowanie pochodziło z jachtu, który został przez was zaatakowany. Rozmawiałam z pańskim lekarzem.

Wyjdzie pan z tego cało. Czy pan

mnie rozumie?

Tong ponownie kiwnął głową, jeszcze wolniej niż przedtem. Mdłości lekko ustąpiły. Otworzył oczy nieco szerzej. Poświata znikła i wyłonił się obraz zwyczajnej kobiety.

-

Panie Tong, jest pan jedynym członkiem załogi sampana, który przeżył

wybuch - kontynuowała. - Potrzebne nam są pańskie zeznania na temat strzelaniny.

Chcemy, aby powiedział pan nam wszystko, co zdołał zapamiętać. - Kobieta zrobiła kilka kroków wokół rogu łóżka. - Ale nie

dlatego tu jestem. Wiem, co pan tam robił. Nie możemy panu jednak niczego udowodnić. Mimo to chciałabym ustrzec pana przed zajmowaniem się jakąkolwiek nielegalną działalnością w przyszłości. Kiedy zostanie pan zwolniony ze szpitala, chciałabym się z panem spotkać w sprawie pracy w charakterze cywilnego pracownika marynarki wojennej. Może pan zostać przeszkolony do pracy w pionie technicznym lub administracyjnym. Mam nadzieję, że rozważy pan moją propozycję.

Lee Tong przekonał się wreszcie, że to nie sen. To nie mógł być sen, bo znów poczuł okropne mdłości. Ale chyba przesłyszał się, kiedy kobieta powiedziała, że chce, aby pracował dla marynarki. Przecież nie miał odpowiedniego wykształcenia ani żadnych atutów. Nikt z jego rodziny nigdy nie służył w wojsku. To nie miało żadnego sensu.

-Dlaczego?... -wyszeptał.

-

Dlaczego proponuję panu pracę? - upewniła się Loh. - Trzeba być świetnym nawigatorem, aby wypływać sampanem na pełne morze. Należy zawsze wykorzystywać umiejętności młodych, utalentowanych mężczyzn i kobiet. Zresztą nie mam na myśli tylko marynarki.

Kobieta uśmiechnęła się pod maską.

-

Słyszałam, jak ktoś użył dziś w stosunku do nas określenia „ci dobrzy”.

Spodobało mi się to. Chciałabym, aby pan również dołączył do

„tych dobrych”, panie Tong.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko. Znowu kiwnął głową. Warto było mimo mdłości.

Kobieta też skinęła głową w odpowiedzi i wyszła.

Marynarka wojenna, pomyślał Tong. Nawet na cywilnym stanowisku służba w marynarce zapewni mu powszechny szacunek, o którym zawsze marzył. On i jego ojciec. Żał mu było tylko, że jego koledzy z sampana nie dostąpią podobnego zaszczytu. Byli dobrymi ludźmi i wiernymi przyjaciółmi. Będzie mu ich brakowało.

Oczy młodzieńca znowu zasłzy mgłą, tym razem z powodu łez.

Zasypiając, Lee Tong pomyślał, że nie musi już śnić o szczęśliwych czasach.

Teraz może sobie je wyobrażać, bo nie są one jego wspomnieniem, lecz przyszłością.

ROZDZIAŁ 81

Waszyngton, Sobota, 6.29

Paul Hood właśnie wychodził z biura, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniącym był Bob Herbert, więc Hood podniósł słuchawkę.

-

Lowell pojechał do Sydney, żeby zdążyć na jakieś smętne resztki konferencji. Potem ma zamiar zostać jakiś czas u swoich przyjaciół -

powiedział Herbert. - A ja wracam. Rejsowym samolotem, po południu. Mam bilet pierwszej klasy.

-

Mam nadzieję, że linie lotnicze zaliczyły ci dodatkowe mile programu lojalnościowego - roześmiał się Hood.

-Nic z tego. Tym razem funduje Centrum Szybkiego Reagowania. Sam pościg za samolotem Darlinga pewnie nie kwalifikuje się do otrzymania premii - zażartował

Herbert.

-

Sprawdzę, czy mamy jakieś wolne środki na naszym koncie „wydatków na ratowanie świata” - odparł Hood.

-

Jeśli nie, wyciągnij je z funduszu dobroczynnego. Poznaliśmy tu kilku dobrych przyjaciół, Paul. To silni sojusznicy. Mam też podłe przeczucie, że wkrótce możemy ich bardzo potrzebować. Raczej pędzej niż później.

-

Też mi się tak wydaje - przyznał Hood. - To jest cały nowy świat, pełen wrogów, których nawet nie zaczęliśmy jeszcze identyfikować.

-

No, kilku już zidentyfikowaliśmy. Na dobry początek - odparł Herbert. - O

ile wiem, Marcus Darling poszedł na współpracę i ujawnił oficerom singapurskiej marynarki całą galerię ciemnych typów ze swojego notesu elektronicznego.

-

W zamian za co?

-

Za to, że oddali go w ręce władz australijskich, a nie singapurskich oprawców. - Herbert zaśmiał się.

-

Lowell by tego pewnie nie zaaprobował, ale to była dobra robota -

powiedział Hood.

-

Nie wyraził otwartego sprzeciwu, i chwala mu za to. Ta sprawa nieźle go wystraszyła. A jeśli już mówimy o wrogach, to czy miałeś jakieś nowe wieści od pana Perry'ego?

-

Nie. Siedzi cicho jak mysz pod miotłą.

- I wcale mu się nie dziwię - stwierdził Herbert.

To była prawda. Lowell trafił w sedno, mówiąc, że przegrany jest jak obcy we własnym domu. Idąc dalej, można by powiedzieć, że nikt nie opuszcza domu szybciej od polityka. Hood bawił się przez chwilę myślą, żeby zadzwonić do Perry'ego i trochę się z nim podrażnić. Ostatecznie zdecydował, że nie ma takiej potrzeby. Perry prawdopodobnie boi się takiej wizji jak ognia. To była wystarczająca zemsta.

-

No cóż, posiedzę jeszcze parę godzin u Jelbarta i pomogę mu pisać raporty

- odezwał się Herbert. - Dużo się działo, a my nie robiliśmy notatek. A ty jakie masz plany w sobotni wieczór? Jeszcze jest dość wcześnie.

-

Idę na randkę z pewną damą - zdradził Hood.

-

Doprawdy? Czy to ta specjalistka od reklamy, z którą spotkałeś się parę dni temu? - spytał Herbert.

-

Już miałem do niej dzwonić, ale jest ktoś inny, z kim się umówiłem.

-

A któż to taki?

Hood uśmiechnął się.

-

Moja córka.

Herbert milczał. Nie musiał nic mówić. Niedawno miał z czymś podobnym do czynienia. Tyle że wówczas chodziło o Darlinga i Jessicę-Ann. Doskonale znał

historię Hooda.

-

Będziesz się widział z Sharon? - spytał.

-

Tylko przelotnie. Zgodziła się zamieniać ze mną w weekendy, dlatego mogę się dziś spotkać z
Harleigh.

-

To miło. Nie zapomnij jej uściskać od wujka Boba.

-Nie omieszka. Powiem, że przywieziesz jej... może pluszakakoalę?

-

Załatwione - zgodził się Herbert. - A dla Alexandra bumerang. I nie obciążę tym wydatkiem Centrum.

Hood roześmiał się.

-

Dzięki, Bob.

Popatrzył na zegarek. Nie chciał się spóźnić. Pożegnał się z Herbertem, życząc mu przyjemnego lotu,
i wyszedł z biura. Wjechał windą piętro wyżej.

Świat naprawdę zrobił się jeszcze bardziej niebezpieczny i jeszcze mniej przewidywalny, pomyślał,
idąc na spotkanie pierwszych promieni słońca.

Tylko jedno się nie zmieniło. Wierność.

To była najlepsza cecha ludzi. Wierność w stosunku do najbliższych i przyjaciół.

Wierność ideałom i ojczyźnie. Dzięki niej nawet niebiosy mogły znaleźć się w zasięgu ręki.

Albo własna córka.

I o to chodzi, podsumował w myślach Hood, gdy wsiadał do samochodu. Bo tak na dobrą sprawę, co
komu po niebiosach?

PODZIĘKOWANIA

Za cenną pomoc pragniemy podziękować Martinowi H. Greenbergowi, Larry 'emu Segriffowi,
Denise Little, Johnowi Helfersowi, Brittany Koren, Lowellowi Bowenowi, Robertowi
Youdelmanowi, Danielle Forte, Dianne Jude oraz naszemu redaktorowi. Tomowi Colganowi. Jednak

największe podziękowania należą się naszym czytelnikom, za udzielenie odpowiedzi na pytanie, jak udany jest ten oto owoc naszego wspólnego wysiłku.

